

URODZENI W STALINOGRODZIE

Egz. archiwalny

ISSN: 1425-3917 NR INDEKS 033328X

**WIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY**

ŚLĄSK

Nr 4 (78) • ROK VIII • KWIECIEŃ 2002

CENA 4 ZŁ

WIESŁAWA KONOPELSKA Jak umierała drukarnia
10 lat Fundacji „Dializa”

Ks. EMIL SZRAMEK - kapłan i historiozof

ANGELUS SILESIUS w przekładach **TADEUSZA ŚLAWKA**

RYSZARD GABRYŚ czyli sztukmistrz z Katowic

„Metafizyka” - fragment powieści **LECHA MAJEWSKIEGO**

Humanisci na Śląsku - profesor **IRENA BAJEROWA**

Wiersze **MACIEJA M. SZCZAWIŃSKIEGO**

ISSN 1425-3917





Mistrzowski spektakl Kazimierza Kutza otworzył V Festiwal Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje”. W „Damach i huzarach” Aleksandra Fredry, katowicka publiczność zobaczyła plejadę gwiazd krakowskiego Starego Teatru, m.in.: Annę Polony, Annę Dymną, Tadeusza Huka, Jerzego Nowaka i Jerzego Trełę. (O „Interpretacjach” pisze Krzysztof Karwat na str. 53-55)

W galerii „Na Żywo” Radia Katowice została otwarta wystawa malarstwa Henryka Wańka.

Henryk Waniek, Kolysanka, 1990, olej, płótno, 53 x 73



SPONSOR „ŚLĄSKA”

ŚLĄSK

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY**

Nr 4 (78). Rok VIII. KWIECIEŃ 2002 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 253-62-21

e-mail: slask@alfa.com.pl

www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:

TADEUSZ KIJONKA

redaktor naczelny

e-mail: kijonka@alfa.com.pl

FELIKS NETZ

zastępca redaktora naczelnego

e-mail: felix@alfa.com.pl

WIESŁAWA KONOPELSKA

sekretarz redakcji

e-mail: wk@alfa.com.pl

KRZYSZTOF KARWAT

dział kulturalny

e-mail: k.karwat@dz.com.pl

MARIAN KISIEL

dział krytyki i eseju

e-mail: marian@alfa.com.pl

ANDRZEJ KUŚNIERCZYK

dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA

dział graficzny

MIROŚLAW KORBEL

nadzór techniczny i poligraficzny

e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

ANNA STRUMIŁOWSKA

PAWEŁ GARDAWICKI

korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 206-82-71

DTP: STP „KorGraf”, 40-084 Katowice,
ul. Opolska 22, tel. 2597-271 w. 107

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, popra-
wek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do
druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i Dele-
gatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bezpo-
średnio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach
pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO II Oddz.
Katowice 10202326-746272-270-1-111. Prenume-
rata roczna - 48 zł., półroczna - 24 zł. Pismo
w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany ad-
res bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza — 4 zł

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Numer zamknięto 21.03.2002 r.

W NUMERZE:

Feliks Netz URODZENI W STALINOGRODZIE	4
Rozmowa z wiceprezydentem Katowic Józefem Buszmanem SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE	6
Wiesława Konopelska JAK UMIERAŁA DRUKARNIA	8
Katarzyna Widera ABY KTOŚ MÓGŁ ŻYĆ	14
Krystyna Heska-Kwaśniewicz KATOWICZANIN Z WYBORU	18
Agnieszka Jaszkanić-Gruszka ZAGRABIONY PAŁAC	22
Lech Majewski METAFIZYKA (fragment powieści)	26
Krystyna Łukasik WIERSZE	31
Rozmowa z Tadeuszem Siernym, redaktorem naczelnym Wydawnictwa Naukowego „Śląsk” STARY I NOWY „ŚLĄSK”	32
Maciej M. Szczawiński WIERSZE	36
Leszek Dziegiel A POTEŃ PRZYSZŁA WOJNA	38
Rozmowa z Ryszardem Gabrysiem SZTUKMISTRZ Z KATOWIC	42
Tomasz M. Głogowski ŚLĄSKI SALON	46
Angelus Silesius RYMY DUCHOWE (przekład Tadeusz Ślawek)	48
Ks. Jerzy Szymik TĘTNO ZACHWYTU	50
Krzysztof Karwat NASTĘPCY SWINARSKIEGO	53
Katarzyna Taluć KAPŁAN I HISTORIOZOF	56
HUMANIŚCI NA ŚLĄSKU	
Olga Wolińska PROFESOR IRENA BAJEROWA	59
Irena Bajerowa ŚWIĘTO ZANURZONE W CZASIE	61
Ryszard Jasnorzewski WSPÓLNOTA FORMY I KOLORU	64
Piotr Zaczekowski PALOMA I ODCZYNNIKI	65
Maciej M. Szczawiński WSPOMINAJĄC OLGIERDA BIERWIA CZONKA ..	80
Rozmowa z wiceprezydentem Katowic Józefem Kocurkiem ZIELONA ENERGIA	88
ŚLĄSKI MIESIĄC	2
POZA KADREM	
Feliks Netz GUSTA I GUŚCIKI	21
POWROTY	
Marian Kisiel BIOGRAFIA ROZRZUCONA	30
EKOLOGIA	
Jan Rzymelka SOKOLNICTWO	44
PEJZAŻ MITOLOGICZNY	
Antoni Halor SZWEDZKIE NIEZWYKŁOŚCI	45
PODKOPKI	62
EDUKACJA	
PREZENTACJE. LEKSYKON WIEDZY	
O GÓRNYM ŚLĄSKU. Z WYDAWNICTW	66
Arkadiusz Kuzio-Podrucki ŚLĄSCY MAGNACI	67
TEATR	
Krzysztof Karwat KLISZE NARODOWEJ PAMIĘCI ..	68
Tadeusz Kijonka LILIA I DIVA	69
REGIONALIZM	
Ryszard Jasnorzewski LOS ZBIOROWY	70
Magdalena Dziadek MIEDZY NUTAMI	71
KSIĄŻKI	
Agnieszka Kubik-Jęsień MONOGRAFIA	
LECHONIA	72
Jan Pieszczachowicz PRZYGODY FUTURYSTY	73
Monika Peter BOHATER SOCREALIZMU	74
Elżbieta Dutka ROZMOWY NA KOSZT	
ABONENTA	75
Grzegorz Ojcewicz PIEKŁO SOWIECKIEGO	
RAJU	76
Danuta Lubina-Cipińska SZKOŁA LUDZI	
NIEZŁOMNYCH	77
NOTY	78
Marek Baster BLOCK-NOTES	79
Wojciech Janota GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE	81
NOTATNIKI KULTURALNE	
Wiesława Konopelska KATOWICE	82
Jan Picheta BIELSKO-BIAŁA	84
Elżbieta Kot CZĘSTOCHOWA	85
Marek Świercz OPOLE	86
Jacek Sikora ZAOLZIE	87

Pismo
wspierane finansowo
przez
**ZARZĄD
WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO**

oraz dotowane przez
**URZĄD
MIASTA
KATOWICE**



i **MINISTERSTWO
KULTURY**

W kolorze:

- Witold Pałka i Her-
mann Koziół (str. A)
- Z twórczości Pawła
Wilezka (str. B) ● Ol-
gierd Bierwiazzonek -
malarstwo (str. C) ●
Znaki i Twarze Mia-
sta Katowic (str. D)

Na okładce:

Wojtek Łuka, *Stare Ka-
towice*, akwarela

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą
„RUCH” S.A. Tel. +48/022/620-12-71, fax +48/022/620-70-39, 624-14-88.
e-mail: zagran@pol.pl



■ CO szósty mieszkaniec Śląska skończył 60 lat. Za dwadzieścia kilka lat po sześćdziestce będzie co czwarty, a na Śląsku jest tylko jeden szpital specjalizujący się w leczeniu ludzi starych.

■ NOWY dom misjonarek Matki Teresy z Kalkuty poświęcił 1 lutego w Katowicach metropolita górnośląski abp Damian Zimoń. Tej zimy siostry wydają codziennie ponad 150 obiadów, rozdają leki, odzież, organizują i prowadzą katechezy.

■ PODCZAS Indywidualnych Mistrzostw Polski w Skacie (najbardziej śląska ze śląskich gier) mistrzynią w kategorii kobiecej została 25-letnia Agata Światała z Czerwionki-Leszczyny; wśród panów tytuł mistrza zdobył 48-letni Antoni Światała (zbieżność nazwisk zupełnie przypadkowa) z Piotrkówki na Opolszczyźnie.

■ MIMO jednego z największych w kraju zadłużeń (7 mln zł) katowicka Prokuratura Okręgowa odniosła najbardziej spektakularne sukcesy śledcze, m.in. ujawniła mechanizm oszustw finansowych dokonanych przez b. posła Marka Kolasieńskiego i jego rodzinę, szczególnie zabójstwa Andrzeja K. ps. „Pershing”, bossa mafii pruszkowskiej oraz powiązania warszawskich policjantów z gangsterami. Rozpracowała oszustwa w Centrozapie i Colloseum, zakończyła śledztwo przeciw skorumpowanym pracownikom Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach.

■ ZUŻŁOWE Grand Prix Europy odbędzie się na Stadionie Śląskim 14 września br. Budowa nowego toru żużlowego, która trwa na śląskim gigancie, kosztować będzie ok. 1,2 miliona zł.

■ TRAGEDIA górnicza. 6 lutego, ok. godz. 5 rano na poziomie 600 m eksplodował metan i pył węglowy w kopalni „Jas-Mos” w Jastrzębiu Zdroju. Dziesięciu górników spłonęło na miejscu wypadku, ewakuowano 37, wśród nich dwóch rannych w ciężkim stanie. Jest to największa tragedia górnicza od 12 lat. Na Śląsk przyjechał premier Leszek Miller, zapowiadając pomoc poszkodowanym i śledztwo w sprawie wybuchu.

■ ŚMIERCIA górnik zginął: Andrzej Chwolek, 43 lata, Wiesław Glowacki, 41 lat, Jacek Gojny, 28 lat, Ryszard Honisz, 42 lata, Andrzej Jurkiewicz, 33 lata, Kazimierz Kniżyk, 37 lat, Mirosław Kozur, 35 lat, Radosław Lis, 35 lat, Stanisław Mazur, 40 lat, Bogdan Różański, 36 lat.

■ JEDEN z najlepszych malarzy realistycznych Olgierd Bierwiazzonek zmarł 6 lutego w wieku 77 lat. Urodzony na Wileńszczyźnie, po wojnie na stałe związał się ze Śląskiem.

■ POLSKA ekipa olimpijska wystąpi w Salt Lake City w sztytach na miarę czerwonych kowbojskich kapeluszy ze skoczowskiej Fabryki Kapeluszy „Polkap”.

■ KOŚCIOŁ w Tworówce pw. św. św. Piotra i Pawła otrzymał prestiżową nagrodę, przyznawaną corocznie kilku najbardziej zadbanym zabytkom w Polsce.

■ ZWIERZĘTA na diecie. Chorzowskie zoo zaczyna oszczędzać na jedzeniu. Zwierzęta dostaną ograniczone racje żywnościowe.

■ PIERWSZY w historii olimpijski medal dla Podbeskidzia zdobył 10 bm. Adam Malysz. Chociaż „tylko” brązowy Wisła szalała jak złoto!

■ MILIONOWYM pasażerem Międzynarodowego Portu Lotniczego w Katowicach okazała się p. Katarzyna Plewnia z Tychów. Nagrodą dla „milionerki” — darmowy roczny bilet LOT-u na wszystkie trasy europejskie.

■ PEŁNIĄCYM obowiązki prezesa zarządu Górnośląskiego Banku Gospodarczego został Tadeusz Cypcar, który zastąpił na tym stanowisku Tadeusza Wnuka — niedyś wojewodę katowickiego, a obecnie senatora RP. Jako senator Tadeusz Wnuk nie może łączyć obu stanowisk.

■ PO raz pierwszy w Polsce arcybiskup Kościoła katolickiego rozmawiał w środę popielcową z internetami. Metropolita górnośląski Damian Zimoń mówił m.in. o praktykach pokutnych dawniej i dziś, wyjaśniał czym różni się post od wstrzemięźliwości.



■ NARESZCIE Wisła doczekała się: Adam Malysz podczas skoków na dużej skoczni 13 bm. w Salt Lake City został wicemistrzem olimpijskim. Jest się z czego cieszyć, bo poziom skoków był niezwykle zacięty a różnice w notach minimalne.

■ ŚLĄSCY policjanci otrzymali 14 bm. pięć specjalistycznych radiowozów do obsługi wypadków. Każdy wyposażony jest w małe „biuro” oraz w sprzęt do oświetlenia miejsca wypadku i do cięcia blachy.

■ WOJEWÓDZKI Park Kultury i Wypoczynku został — przynajmniej na rok — uratowany. Sejm przyznał 14 bm. dotację dla Parku Ziętką w wysokości 10 mln zł.

■ KATOWICKA straż miejska wyda w tym roku ponad 2,5 mln zł na wynagrodzenia dla pracowników. To ponad 80 proc. jej całego budżetu.

■ KONDOLENCJE dla rodzin ofiar katastrofy w kopalni „Jas-Mos” przekazał na ręce metropolity górnośląskiego abp Damiana Zimonia papież Jan Paweł II.

■ MSZE świętą w intencji dziesięciu ofiar katastrofy w kopalni „Jas-Mos” odprawił w jastrzębskim kościele pw. najświętszej Maryi Panny Matki Kościoła metropolita górnośląski abp Damian Zimoń. Na eucharystię przybyły tłumy wiernych.

■ PROKURATURA i policja w Sosnowcu sprawdzają autentyczność list z nazwiskami osób popierających kandydatów w ostatnich wyborach parlamentarnych. Zachodzi podejrzenie, że sfalszowano na nich nawet kilka tysięcy podpisów.

■ PONAD dwudziestu młodych naukowców z Europy bierze udział w kursie organizowanym w gliwickim Centrum Onkologii. Wykładać będą specjaliści amerykańscy, omawiając i prezentując najnowsze metody biologii molekularnej związane z analizą uszkodzeń DNA.

■ NA poziomie 1030 m w kopalni „Halemba” w Rudzie Śl. podczas przygotowywania ścian do wydobycia zginął 42-letni sztygar zmianowy.

■ PONAD 200 osób znajdzie pracę w nowym centrum logistycznym, które wybudują w Żorach Anglicy. Centrum to sieć biur i magazynów, w których działać będą firmy zajmujące się organizowaniem dostaw towarów i materiałów do fabryk albo sieci handlowych.

■ PIERWSZYM w historii kapelanem Beskidzkiej Grupy GOPR mianowany został przez biskupa ordynariusza bielsko-żywieckiego 33-letni ks. Krzysztof Cójda, wikary z parafii św. Józefa z Zabrzegu k. Bielska. W akcjach ratowniczych bierze udział od 5 lat.

■ GÓRNICZA „Solidarność” zaprotestowała przeciw obcinaniu wydatków na restruktury-

zując górnictwa. Podczas debaty budżetowej w Sejmie posłowie zabrali górnictwu 10 mln zł i przeznaczili je na Wojewódzki Park Kultury Wypoczynku. Przy krótkiej koldrze zawsze coś zmarnieje...

■ GÓRNICZTWO węgla kamiennego zarobiło w ub.r. 771,4 mln zł na sprzedaży węgla. Różnica między kosztem wydobycia a ceną tony węgla wyniosła 7,58 zł — ogłosiła Państwowa Agencja Restrukturyzacji Górnictwa. Zysk ze sprzedaży węgla górnictwo osiąga od dwóch lat.

■ RADA Śląskiej Kasy Chorych, która odwołała 19 bm. ze stanowiska dyrektora Andrzeja Sośnierza w dwa dni później wybrała go ponownie na poprzednio zajmowane stanowisko. Takie to są gry i zabawy „społeczników” za naprawdę spore pieniądze. Tylko choroby nic nie mówią, bo są chorzy...

■ JEDYNA polska kopalnia węgla kamiennego spoza Śląska — „Bogdanka” na Lubelszczyźnie — została najlepszą kopalnią 2001 r. Dopiero za nią uplasowały się śląskie kopalnie: „Polska-Wirek” w Rudzie Śl. i „Pniówek” w gminie Pawłowice.

■ RADA nadzorcza Huty Metali Nieżelaznych „Szopienice” odwołała prezesa Henryka Orczykowskiego. Niemal od miesiąca w hucie trwa protest przeciwko planowanej likwidacji cynkowni.

■ PODCZAS koncertu orkiestry kop. „Staszic” (24 bm.) zebrano w Filharmonii Śl. 6860 zł, które przeznaczono dla rodzin górników — ofiar tragedii w kopalni „Jas-Mos”.

■ NA konferencji prasowej minister sprawiedliwości Barbary Piwnik przebywającej 25 bm. w Katowicach — najistotniejszą wieścią, jaką usłyszeli dziennikarze, było stwierdzenie pani minister, że „trzeba zacisnąć pasą”. Na pytania zasadnicze z dziedziny etyki wymiaru sprawiedliwości odpowiedzi były wymijające.

■ OSCYPKI robimy od wieków i dalej robić będziemy — mówią górale z Żywiecczyny i dlatego raz z Podhalanami będą walczyć o prawa do sera starego jak góry i owieczki.

■ POŁ setki strażaków gasiło pożar, który wybuchł 26 bm. pod wieczór w kamienicy na skrzyżowaniu ulic Stawowej i 3 Maja, naprzeciw dworca PKP. Całkowicie spłonęła zabytkowa kopuła i niezamieszkałe poddasze. Ewakuowano kilkanaście osób. Właśnie od dwu tygodni trwa remont kamienicy.

■ 42-LETNI górnik zginął 26 bm. w Zakładzie Górniczym „Centrum” w Bytomiu. To trzynasty w tym roku wypadek śmiertelny w górnictwie węgla kamiennego.

■ PROKURATORA nie wyklucza wystąpienia z nowym wnioskiem o ekstradycję Salomona Morela, po II wojnie światowej komendanta obozu pracy w Świętochłowicach. W ciągu kilku miesięcy zmarł tam co trzeci więzień. 83-letni Morel żyje na zasłużonej emeryturze w Izraelu. Wniosek raczej symboliczny.

■ NOWYM kuratorem oświaty w Katowicach został wybrany przez komisję konkursową 43-letni Jerzy Grad, w wykształceniu inżynier systemów telekomunikacyjnych.

■ OSIEM prac magisterskich i pięć doktorskich wpłynęło na konkurs zorganizowany przez Politechnikę Śląską i koncern FIATA. W kategorii prac magisterskich nagrodzono Aleksandra Słupka, Krzysztofa Labisza oraz pracę zbiorową Grzegorza Giertowskiego i Krzysztofa Malika. Najlepsze doktoraty napisali: Magdalena Żak, Adam Kristof i Aleksander Lisiecki.

■ ŚLAŃSKY złą sławą b. poseł AWS ze Śląska Marek Kolasieński ujęty został przez policję słowacką w mieście Martin. Były poseł podejrzan jest o wielomilionowe nadużycia finansowe, pospolite oszustwa i inne przestępstwa gospodarcze. Działal — m.in. — w spółce z b. senatorem Aleksandrem Gawronikiem, przebywającym w katowickim areszcie. W areszcie jest też syn b. posła i jego brat.

■ WIELOLETNI działacz NSZZ „Solidarność”, dr inż. Andrzej Sobański zmarł 27 lutego. Miał 62 lata, był długoletnim nauczycielem akademickim Politechniki Śl.

Przedssiębiorstwo Usługowo-Handlowe Telekomunikacji TELEKROS powstało w 1989 roku. W chwili obecnej kierowane jest przez Zarząd w składzie: Prezes - Jacek Zdrzałek, Zastępca Prezesa - Stanisław Mrozik.

Początkowo TELEKROS był firmą kilkuosobową, zajmującą się montażem, uruchamianiem i serwisem analogowych central telefonicznych. Nieliczna załoga większość prac wykonywała na terenie ówczesnego województwa katowickiego.

Dziś firma liczy ponad 100 pracowników. Świadczy usługi na terenie całego kraju. Realizuje także zlecenia zagraniczne. Prowadzi prace w zakresie montażu i uruchomienia urządzeń teletransmisyjnych oraz urządzeń komunikacji radiowej. Zajmuje się także instalacją sieci światłowodowych. Ponad to świadczy kompleksowe usługi w zakresie sieci strukturalnych, wykonuje kompleksowe prace związane z budową sieci teletechnicznych wszystkich standardów oraz stacji bazowych dla operatorów sieci komórkowych. Świadczy również usługi w zakresie całodobowego serwisu wszystkich montowanych przez siebie urządzeń.



TELEKROS świadczy usługi na terenie całego kraju.

Światowa oferta i jakość

Dynamiczny rozwój firmy doprowadził do uzyskania w ubiegłym roku certyfikatu zintegrowanego systemu zarządzania jakością na zgodność z normą ISO 9001:2000, wydanego przez RWTÜV.

Od 1989 roku przedsiębiorstwo przeszło wiele przeobrażeń rozszerzając zakres usług. Od początku istnienia firmy priorytetem dla kierownictwa było dostosowanie oferty usług do zmieniających się wymogów rynku.

Niewątpliwym przełomem dla PPUHT TELEKROS było podpisanie w 1992 roku dużego kontraktu, który pozwolił na rozwinięcie działalności poza granice kraju. TELEKROS wykonywał prace związane z instalacją urządzeń telekomunikacyjnych między innymi w Maroku, Sudanie, Chinach, Libanie, Armenii, RPA, Holandii, Anglii, Hong Kongu, Hiszpanii, Rosji, Ukrainie, Indonezji, na Węgrzech, w Czechach i Słowacji. Niezależnie, rozwinął działalność na terenie całego kraju.

Do ostatnich ciekawych przedsięwzięć należy uczestnictwo w realizacji projektu budowy i modernizacji węzłów Passport systemu sieci szkieletowej POLPAK-T oraz budowa systemów teletransmisyjnych PDH i SDH m.in. w Krakowie, Radomiu, Wałbrzychu, Białymstoku, Wrocławiu i Bielsku-Białej. Zainicjowanie działań w zakresie wykonywania prac liniowych przy budowie sieci telekomunikacyjnych, zaowocowało utworzeniem w firmie osobnego Działu Sieci Teletechnicznych i rozszerzeniem oferty usług o wykonywanie ro-

bót teletechnicznych liniowych, a od 1997 roku także robót związanych z budową sieci światłowodowych. W kolejnych latach TELEKROS wykonywał instalacje dla operatorów sieci komórkowej Era GSM i IDEA Centertel. W ostatnich latach firma rozszerzyła swoją ofertę o instalacje sieci światłowodowych. Aktualnie zwiększyła swoje zaangażowanie w zakresie teletechnicznych sieci strukturalnych i energetyki.

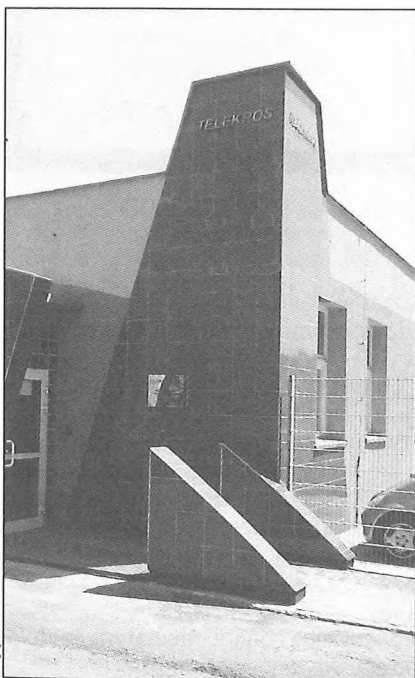
Przedssiębiorstwo TELEKROS rozpoczęło także współpracę z nowymi partnerami. W 1999 roku wraz z MITSUI & NEC Warszawa brało udział podjęło w pracach przy budowie sieci szkieletowej SDH na terenie całej Polski. W tym samym roku podpisało kontrakt SSP z Marconi Communications, dotyczący serwisu urządzeń tej firmy na terenie całego kraju. W latach 2000 - 2001 brało udział w budowie sieci szkieletowej DWDM firmy Lucent Technologies. Dobra współpraca z firmą Lucent Technologies stała się podstawą do zacieśnienia kontaktów i podpisania umowy Business Partner. Również w 2001 roku, TELEKROS nawiązał współpracę z Ascom Poland Sp. z o.o. w zakresie dystrybucji i instalacji urządzeń oferowanych przez tę firmę.

Strategicznymi partnerami przedsiębiorstwa obecnie są: Telekomunikacja Polska S.A., Siemens Sp. z o.o., MITSUI Co. A NEC Warszawa, Marconi Communications, Lucent Technologies Poland Sp. z o.o. Ascom Poland Sp. z o.o. i Siemens AG Monachium. Współpraca z nimi jest potwierdzeniem fachowości i wysokiego poziomu świadczonych usług, daje także dostęp do najnowszych technologii z dziedziny telekomunikacji.

Jednym z najistotniejszych zagadnień dla kierownictwa firmy jest nadszanie za postępem technologicznym i rynkowym. Duży nacisk kładzie się na ustawiczne dokształcanie swoich pracowników, którzy stale uczestniczą w szkoleniach organizowanych w kraju i zagranicą.

Oprócz działalności zawodowej firma angażuje się w działalność charytatywną. Dba o najbliższe środowisko, sponsoruje sprawy i instytucje istotne społecznie.

EWA TOMASZEK



Siedziba firmy TELEKROS w Świętochłowicach.

Urodzeni w Stalinogrodzie

FELIKS NETZ



Legitymacja kierowniczki biura Związku Literatów Polskich – Elżbiety Kruczek (od lat po dziś dzień Elżbiety Pietrzok), obecnie kierującej sekretariatem Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Legitymacja ta dowodzi, że praktykowany był proceder wpisywania Stalinogrodu nawet w dokumenty osób urodzonych przed wojną. Nadużycie charakterystyczne dla mentalności sowieckiej.

Reżyser filmowy, Lech J. Majewski, po dziesięciu latach emigracji wystąpił w USA o obywatelstwo amerykańskie. Wówczas odbyła się dziwna rozmowa z czarnoskórym urzędnikiem, który zapoznawszy się z pedantycznie przetłumaczonymi dokumentami Lecha J. Majewskiego (urzędowy tłumacz przełożył na angielski nawet nazwę ulicy, przy której urodził się twórca „Angelusa“!), zapytał, kim właściwie jest? „Jestem Polakiem“ – odparł Lech J. Majewski. „Zaraz – powiada urzędnik – urodziłeś się w mieście STALINGRAD...“ Lech J. Majewski poprawił go: „STA-LI-NO-GRÓD“. W tekście anglojęzycznym w nazwie miasta Stalinogród nie było „o“ z kreską. Dla Amerykanina Stalingrad, czy Stalinograd – to jedno i to samo. Urzędnik otworzył księgę z nazwami miast świata. „Nie ma miasta o nazwie Stalinograd. Natomiast jest Stalingrad, obecnie Wołgograd. Jesteś Rosjaninem. Urodziłeś

się w Stalingradzie, czyli w Soviet Union, przy ulicy – i tutaj pojawił się gwóźdź do trumny w postaci pedantycznego tłumaczenia nazwy ulicy – Red Army Street!“ Lech J. Majewski tłumaczy: To miasto dzisiaj nazywa się Katowice, jest w Polsce, Poland, Upper-Silesia, a Red Army Street to ulica Armii Czerwonej w Katowicach, w mieście, które w roku, w którym się urodziłem, nosiło nazwę STALINOGRÓD!“ „Kłamiesz!“ – orzekł czarnoskóry urzędnik – A nie ma nic gorszego, niż kłamstwo!“

„Byłem bezradny. On miał rację“ – wspomina Lech J. Majewski – sytuacja wyglądała bardzo poważnie, nawet groźnie.

Na szczęście, udało mu się, choć z niemałym trudem, przeprowadzić dowód prawdy.

Urodzeni w Stalinogrodzie. Dzisiaj, w pewnych okolicznościach, kiedy wspomina się absurdy PRL-u, można się

nawet roześmiać, słysząc, że ktoś - jak na przykład Krystyna Bochenek, Lech J. Majewski, Maciej Szczawiński, czy Michał Ogórek - urodził się w Stalinogrodzie. Dzwonię do Krystyny Bochenek. Pytam, gdzie się urodziła. Śmieje się: „W Stalinogrodzie!” Moje następne pytanie: -A co masz w dowodzie, w paszporcie? Stalinogród“. Krystyna: „Nie, Katowice!“ To mnie zdziwiło: -A w metryce urodzenia, tej, którą odebrali twoi rodzice? Krystyna: Zaraz, chyba Stalinogród! - I słyszę jak Krystyna Bochenek upewnia się u miarodajnego źródła: „Mamusi, jakie ja mam miejsce urodzenia w metryce?“ Słyszę odpowiedź mamy Krystyny: - Stalinogród! Krystyna powytarza: - Oczywiście, Stalinogród.

W istocie, katowiczanie urodzeni między marcem 1953 roku, a październikiem roku 1956, mają w metrykach urodzenia, ale już nie w dowodach osobistych (cóż za osobliwa logika!) zapisane po wsze czasy, że urodzili się w Stalinogrodzie. Zgodnie z aktem urodzenia (dokumentem fundamentalnym) są przeto nie katowiczani, lecz stalinogrodzcykami. Taki prezent otrzymali od namaszczonego przez Józefa Stalina władców PRL-u, prezent paskudny.

Krystyna Broll-Jarecka, poetka, rocznik 1927, katowiczanka: „Ten dzień, kiedy powiedziano, że Katowice to Stalinogród, był dniem strasznym. Tak jak we wrześniu 1939 roku - ja całkowicie świadomie robię to porównanie - tak i teraz poczułam, że to jest inne miasto, a mnie wysadzono z Europy, z tym, że tym razem gdzieś pod Ural“.

Pamiętam oburzenie dyrektorki (żarliwie komunistki) jednego z liceów w ówczesnym Stalinogrodzie (rok jest 1955), gdy jeden z uczniów, a był nim Heniek Sporys, z którym uczęszczałem do klasy IX b, na pytanie o miejsce urodzenia (nasza klasa to był rocznik 1939) odpowiedział bez wahania: Katowice. Dyrektorka poprawiła: Stalinogród. Heniek powtórzył dobitnie: „Katowice. Kiedy ja się urodziłem - dodał - nie było Stalinogrodu. Urodziłem się w Katowicach.“ Poczuliśmy dreszcz na plecach. To był prawie bunt. Następny rok szkolny zaczęliśmy obaj (ja z innego powodu) w innym liceum (nie dało się żyć z tą cholerą, prawda, Heniek?), we wrześniu jeszcze w Stalinogrodzie, ale w październiku - już w Katowicach.

5 marca 1953 zmarł Józef Stalin. Przestało bić serce - jak pisała oczyszta prasa - wodza całej postępowej ludzkości. Umarł - jak powtarzało Polskie Radio - najgenialniejszy człowiek naszej epoki. Rozległ się Wielki Placz. Wszędzie. Na całej kuli ziemskiej. Płakał chłop meksykański i Jean Paul Sartre. Polscy pisarze, i to nie byle jacy, dali wyraz na piśmie swojej rozpacz. Ludzkość dzieliła się wtedy na „postępową“ - należeli do niej, co, oczywiście, ludzie radzieccy, a także, siłą (to właściwe słowo!) rzeczy, obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, i „reakcyjną, czyli imperialistyczną“ z Ameryką na czele. Trafiały się tam wyjątki postępowe, jak na przykład pisarz Howard Fast, tłumaczony na język polski, ponieważ był wydawany w ZSRR. Ale to były naprawdę wyjątki. Wielki był płacz. Nawet Maria Dąbrowska, a także Zofia Nałkowska uroniły postępową łzę na łamach „Nowej Kultury“ - organu ówczesnego Związku Literatów Polskich. Pewnie nie miały wyjścia. Dostały, jak tyłu innych, mówiąc językiem Cosa Nostra „propozycję nie do odrzucenia“. Jak w kilka miesięcy później najsłynniejszy śląski pisarz Gutaw Morcinek. Czy można było odrzucić tę propozycję nie do odrzucenia? Naturalnie. Nie grzło za to więzienie, ani wywózka na Sybir - jak się okazało później, ale ten, kto odmówił opublikowania fotografii generalissimusa Józefa Stalina opatrzonej stosownym, wiernopoddanym i balchowałczym nekrologiem, ograniczając się do skromnej noty - a tak właśnie postąpił (w porozumieniu z całym Zespołem) Jerzy Turowicz, naczelny redaktor „Tygodnika Powszechnego“, mógł wówczas liczyć się i z takimi konsekwencjami. Skończyło się rozpadnięciem zespołu.

Sprawa była zasadnicza, z poważnych najpoważniejsza. Zmarł bowiem, co tu dużo mówić, komunistyczny Bóg.

A przecież Bóg nie umiera. Wyjątkowo jednak Bóg umarł! Problem wielkiej delikatności ideologicznej. Sprawa rozgrywała się w bardzo wysokich, niemal niedosiężnych rejonach myśli ludzkiej, a zwłaszcza partyjnej. Należało więc - zdaniem ówczesnych ideologów i propagandzistów - wspiąć się na najwyższe wyżyny odpowiedzialności, czy mówiąc językiem dzisiejszym: socjotechniki. Świat postępowy wyznaczały - niczym słupy graniczne - granitowe, wielopiętrowe pomniki Józefa Stalina. W tak zwanych ludowych demokracjach i republikach ludowych, lub ludowo-demokratycznych - budowane od fundamentów miasta otrzymywały w nazwie imię Stalina. W Polsce Ludowej takim miastem była Nowa Huta, ale nie na nią padł wybór najwyższych dostojników partyjnych w Warszawie, którzy chcieli - żeby nie owijać słów w bawełnę - przypodobać się Moskwie, czyli centrali, czyli superstolicy.

Jest rok 1953. Śmierć Stalina dała nowy, potężny impuls stalinizmowi. Są to czasy najbardziej ponure w powojennych dziejach Polski. Podział świata wydaje się nienaruszalny. Sowietyzacja Polski zdaje się mieć nieograniczone w czasie perspektywy. Takie przejawy oporu, a w istocie buntu - jak postawa zespołu „Tygodnika Powszechnego“ - to było coś całkowicie wyjątkowego. Podległość Polski wobec ZSRR zdawała się być przesądzona nie na sto, ale zgoła na tysiąc lat. Myśl ludzka kapitulowała przed wyznaczeniem - bodaj hipotetycznie - kresu owej podległości.

5 marca umiera Stalin. To znaczy, tego dnia najwyższe władze partyjne i rządowe ZSRR poinformowały mieszkańców kuli ziemskiej o tym niewyobrażalnym dotychczas wydarzeniu. Strata była porażająca, ale, na szczęście dla całej postępowej ludzkości, leninowska partia bolszewików nie przestała istnieć, ani pierwsze na ziemskim globie państwo sprawiedliwości, równości i braterstwa, czyli ZSRR.

To było coś!

To był jakiś ratunek!

A jednak świat się poniekąd kończył. W takich razach szamani czynią różne tajemne gesty i wypowiadają zaklęcia.

6 marca odbyły się specjalne narady komitetów partyjnych wszystkich szczebli, także egzekutywa KW PZPR w Katowicach z sekretarzem Józefem Olszewskim (zmarł niedawno) na czele wyraziła ból, żal, rozpacz, ale i nadzieję na zwycięstwo światowego komunizmu. I tylko jednego nie ma w organie wojewódzkiej instancji partyjnej, **nie ma w nim słowa o przemianowaniu Katowic na Stalinogród.**

A oto następnego dnia, 7 marca 1953 roku Rada Ministrów i Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej podjęły uchwałę o uczczeniu pamięci Józefa Stalina poprzez nadanie miastu Katowice nowej nazwy: **STALINOGRÓD**. Inicjatywa, rzekomo, przyszła właśnie z Katowic. Co jest nieprawdą. Wybór Katowic - lecz czy? - dokładnie nie wiadomo, ale można - z niewielkim ryzykiem popelnienia błędu - wymienić dwa najważniejsze w kraju nazwiska: Bolesława Bieruta i Jakuba Bermana (który władał bezpieczeństwem i kulturą!) - był z punktu widzenia partyjnej góry, trafny. Katowice - centralne miasto robotniczego, górniczo-hutniczego Śląska, przemysłowe serce Polski, nie miało jakichś specjalnych konotacji historycznych. To nie Kraków. Kraków zasługiwał na karę. Za karę dostał pod samym nosem Nową Hutę. Nadanie miastu imienia Stalina miało być najwyższą nagrodą, a nie karą. W czyjejs głowie zaległa się myśl, żeby może Częstochowę przemianować na Stalinogród. Ktoś jednak spośród towarzyszy zauważył przytomnie, że nie da się Matki Boskiej Częstochowskiej przemianować na Matkę Boską Stalinogrodzką! Możliwe jednak, a też wielce prawdopodobne, że to jest tylko wewnątrzrodziskowa, „partyjna“ anegdota.

7 marca egzekutywa KW PZPR w Katowicach przyjęła uchwałę treści następującej: „Komitet Wojewódzki PZPR i Prezydium WRN w Katowicach w imieniu mas pracujących woj. katowickiego zwracają się do KC PZPR, do rządu PRL, z prośbą o nadanie miastu Katowice nazwy Stalinogród i województwu katowickiemu nazwy stalinogrodzkiego“.

Mniejsza o masy pracujące woj. katowickiego, gorzej, że katowiczanki przy nadziei, jeszcze nie wiedzą, iż dzieci, które w najbliższych miesiącach, ba, już jutro, wydadzą na świat, **urodzą się w Stalinogrodzie**. Nie wie także znany śląski pisarz, Gustaw Morcinek, że to z jego osobą będzie kojarzone to haniebne przemianowanie Katowic na Stalinogród. Bowiem Uchwała Rady Państwa i Rady Ministrów z 7. marca wymagała zatwierdzenia w Sejmie PRL. Co nastąpiło na posiedzeniu w dniu 28 kwietnia 1953 r. Na zdrowy rozum pośród posłów nie było lepszego kandydata do wystąpienia z wnioskiem, niż popularny w całej Polsce autor „Pokładu Joanny“, Gustaw Morcinek, poseł z ramienia Stronnictwa Demokratycznego. Cokolwiek o tym myślał, cokolwiek czuł, cokolwiek śniło mu się w noc poprzedzającą wystąpienie w Sejmie - zrobił to.

W trzy lata później, w katowickim tygodniku „Przemiany“, który narodził się na fali Październikowych - nomen omen - przemian, tygodniku rzetelnym i wiarygodnym, Gustaw Morcinek opowiedział z przekąsem jak do tego doszło:

„Dobrzy ludzie pomogli mi napisać piękne przemówienie, ja wygłosiłem je, i na tym się skończyło. Do dzisiaj zaś nie wiem, kto właściwie był sprawcą tego przemianowania. Zreferowałem więc wtedy, jak umiałem wydukać z karteluszków, prasa owo zreferowanie wydrukowała i czytelnik nabrał przekonania, iż to ja jestem owym nieszczęsnym winowajcą.

Już wtenczas, gdy z trybuny sejmowej wygłaszałem swoje czytane przemówienie, przeczuwałem, że sięje wiatr, by zbierać burzę. Koledzy - posłowie bowiem ziewali haniebnie, najmłodsza koleżanka pokazała mi język, narażając na szwank powagę Sejmu, a w kilka dni później zaczęły napływać do mnie anonimowe listy ze strasznymi pogrózkami. I wciąż jeszcze napływają (...)“

Nie trzeba dodawać, że masy pracujące Śląska stały do najwyższych władz partyjnych i rządowych listy, w których radość walczyła o lepsze ze wzruszeniem z okazji tak epokowego wyróżnienia Katowic i Śląska. I tylko kilka dziewcząt z chorzowskiego gimnazjum rozrzuciło po tramwajach ulotki z żarliwym protestem. Jedna z nich zapłaciła za to więzieniem.

I powiem tak: właśnie myśląc o tej jednej harcerce z Chorzowa, która swój protest przypłaciła więzieniem, o niej myśląc z podziwem i miłością, pytam: czy rzeczywiście po wsze czasy w metrykach urodzenia katowiczanki i katowiczanie urodzonych między marcem 1953 a październikiem roku 1956, będzie straszyło nazwisko Stalina? Bo to prawda, że tak zwany „wyciąg“, czy „odpis“ podaje jako miejsce urodzenia: Katowice, ale ten podstawowy dokument w życiu każdego człowieka, ten papier opatrzony pieczęciami, to, co zwie się tak pięknie i czysto, słowem AKT URODZENIA, jest skażony nazwiskiem jednego z największych zbrodniarzy w dziejach ludzkości.

Za rok - w marcu 2003 - pierwsi katowiczanie urodzeni w Stalinogrodzie będą obchodzić pięćdziesiąte urodziny. Myślę, że stałoby się sprawiedliwie, gdyby te pierwotne, stalinogrodzkie metryki zostały unicestwione, a „urodzonym w Stalinogrodzie“ raz na zawsze oddano Katowice?

Rozmowa z wiceprezydentem
miasta Katowice

JÓZEFEM BUSZMANEM



Spółeczeństwo obywatelskie

- Jako pierwszy marszałek Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego ma Pan wystrzone spojrzenie na ideę samorządności oraz jej funkcjonowanie w praktyce. W przypadku województwa śląskiego, gdzie stale ożywa pamięć autonomii funkcjonującego w międzywojniu Sejmiku Śląskiego, tradycje samorządności są szczególnie żywe. Czy tęsknota za dawną autonomią jest tylko utopią?

- Dwudziestego siódmego maja 2002. roku mija dwanaście lat od pierwszych demokratycznych wyborów do samorządu terytorialnego, odrodzonego po półwiecznym niebycie. Bez względu na opcję polityczną, właśnie mieszkańcy Śląska, Małopolski, Wielkopolski i Pomorza Gdańskiego - pamiętając ustrój Drugiej Rzeczypospolitej - uczestniczyli szczególnie aktywnie w reformie ustrojowej przygotowywanej w środowiskach opozycji demokratycznej. Ustrój przedwojennego Autonomicznego Województwa Śląskiego i jego Statut Organiczny były najbardziej inspirującymi dokumentami. Z tej tradycji rodziło się nowe widzenie ustroju Trzeciej Rzeczypospolitej. Było ono zdecydowanie odmienne od wszechogarniającego molocha PRL-u zawłaszczającego decyzje we wszystkich dziedzinach aktywności obywatelskiej. niesprawne i nieefektywne scentralizowanej jednolitej administracji państwowej

stanowiły podstawę organizacji państwa. Działo się to ze szkodą dla podmiotowości społeczeństwa. Przypomnę, co z myślą o tej kwestii napisał papież Jan Paweł II w encyklice *Centesimus Annus*:

„Wyrazem społecznej natury człowieka nie jest jedynie państwo, ale także różne grupy pośrednie, poczynając od rodziny, a kończąc na wspólnotach gospodarczych, społecznych, politycznych i kulturalnych, które jako przejaw tejże natury ludzkiej posiadają - zawsze w ramach dobra wspólnego - swą własną autonomię. To właśnie nazwałbym podmiotowością społeczeństwa, która wraz z podmiotowością jednostki została unicestwiona przez socjalizm realny”.

- W potocznym rozumieniu autonomia mylona jest z separatyzmem...

Pojęcie autonomii budzi emocje wynikające z niezrozumienia jej istoty; a przecież zgodnie z zasadą pomocniczości autonomia jest nieodzownym warunkiem rozwoju i skuteczności funkcjonowania nie tylko obywateli, ale i wspólnot na wszystkich poziomach szczebli, do państwa i organizacji ponadpaństwowych włącznie. Samorząd terytorialny w województwie śląskim przedstawiał i nadal przedstawia różnorodne propozycje dla sprawnej realizacji antyrecesyjnej polityki wspomaganej i koordynowanej przez zdecentralizowane, sprawne państwo społeczeństwa obywatelskiego. Zapisy w ustawach ustrojowych mówiące o tym, że samorząd terytorialny wykonuje swoje zadania w imieniu własnym i na własną odpowiedzialność, stanowią właśnie o jego autonomiczności - w części kraju za dużej, a w części zbyt małej. Dlatego potrzebne są zmiany, zgodnie z zasadą chrześcijańskiej nauki społecznej: „Tyle samorządności, ile można. Tyle państwa, ile koniecznie potrzeba”.

- Główne kłopoty z dzisiejszym modelem samorządności lokalnej wynikają głównie z braku środków finansowych. Jak w tej sytuacji wygląda kwestia pielęgnowania regionalnych, śląskich tradycji? Czy przyjmowana z entuzjazmem przez mieszkańców idea „małych ojczyzn” nie natrafiła na rafy wynikające z kryzysu finansów publicznych?

- Swojskość była w minionej epoce wielce pojędrzana, zwłaszcza ta, której nie dało się państwu kontrolować. Jest paradoksem okresu przełomu ustrojowego, że mimo braku środków finansowych od momentu odrodzenia się samorządu terytorialnego nastąpił zdecydowany rozwój chórów, zespołów regionalnych i organizacji regionalnych na różnym poziomie pielęgnowujących kulturę. Małe ojczyzny, jako fakt społeczny i kulturowy, natrafiły rzeczywiście na rafy finansowe - ale to właśnie lokalne społeczności stają się dziś oazami rozwoju, innowacyjności, postępu i kreatorami zmian kulturowo-politycznych i społeczno-gospodarczych. Jeżeli będziemy wspomagać środowiska twórcze, amatorskie i profesjonalne, to nie musimy obawiać się globalizacji i utraty tożsamości. Tego możemy być pewni. Przypomnę, że w okresie rozbiorów tak zwany Kulturkampf wręcz rozbudził poczucie dumy ze swojskości i zdecydowany powrót do korzeni.

- Co, Pana zdaniem, w kulturze, w życiu kulturalnym Śląska należałoby wzmocnić, by silniej odnieść się do własnych źródeł?

- Przede wszystkim trzeba wesprzeć środowiska twórcze, zarówno amatorskie i profesjonalne. Począwszy od oświaty - prężne są tylko środowiska od lat uformowane, a więc plastyczne, muzyczne i literackie. Inne płaszczyzny aktywności kulturalnej zanikły lub ledwo się zaznaczają. Wszystkie wymagają wsparcia - jedne dla intensywniejszego rozwoju, a drugie dla reaktywowania środowisk - by to, co stanowi o bogactwie i różnorodności naszej tradycji stało się trampoliną innowacyjności, rozwoju i uczestnictwa w zachodzących zmianach, nie tylko w roli kreatorów, ale i beneficjentów. Najbardziej jednak należy wzmocnić pamięć zbiorową przez przypominanie i uwiecznianie wybitnych osób i ich dokonań. Przykładem takiej postawy jest świetlanej pamięci ksiądz Józef Tischner, który w swych pamiętnikach zapisał, iż jednym z najważniejszych przeżyć intelektualnych młodości była lektura *Między heroizmem a bestialstwem* księdza profesora Konstantego Michalskiego, a zawarta w tej pracy formuła „trzeba mieć miłość w myśleniu” stała się mottem filozoficznej działalności i aktywności społecznej. Osiedle Księdza Konstante-

go Michalskiego położone niedaleko jego miejsca urodzenia jest wyrazem hołdu i wdzięczności miasta Katowice dla tego wybitnego Ślązaka. Póki nie zniwelujemy celowych uchybień poprzedniej epoki, póty będziemy się dziwić, że nasz region określany jest przez wielu „pustynią kulturalną”. Świadczy to z jednej strony o ubóstwie umysłowym osób wypowiadających tą opinię, z drugiej o naszej fałszywej skromności lub nieudolności w ukazywaniu bogactwa i różnorodności naszego wielokulturowego regionu.

- Jak, Pana zdaniem, realizowany jest obecnie model społeczeństwa samorządnego i obywatelskiego, na który często powołują się politycy tej miary co Zbigniew Brzeziński czy Jan Nowak-Jeziorański?

- By móc to ocenić należy wcześniej zdefiniować, co rozumiemy przez społeczeństwo obywatelskie. Jest ono specyficzna formą. Społeczeństwo obywatelskie to społeczeństwo posiadające zbiorową samoświadomość - poznawczą i normatywną. Stanowi ono publiczną sferę i jest wytworem publicznych i prywatnych instytucji. Wyróżnikiem społeczeństw obywatelskich jest to, że różne jego elementy powiązane są wzajemnie dzięki wspólnej czy też zbiorowej samoświadomości uczestnictwa w społeczeństwie. Zbiorową samoświadomość całego społeczeństwa charakteryzuje zaś zainteresowanie wspólnym dobrem.

- Jak zdefiniowałby pan obywatelskość?

- Obywatelskość jest poznawczą i normatywną postawą i odpowiadającym jej wzorcem działania, jest postawą, w której osobowość jednostki świadomie przyzwala na jej uczestnictwo w osobowości zbiorowej, ograniczającej ale zarazem kształtującej jej decyzje i działania. Obywatelskość to akceptacja zobowiązania do działania na rzecz dobra wspólnego, w momencie podejmowania decyzji dotyczących sprzecznych interesów czy ideałów, nakazuje ona branie pod uwagę konsekwencji poszczególnych działań dla dobra wspólnego. Upowszechnienie postawy obywatelskiej pozwala zachować równowagę między różnymi, rywalizującymi i sprzecznymi w swych interesach grup społecznych.

- Pod hasłami „świętego prawa własności” dużo dziś prywaty...

- Zachowanie tej równowagi sprawia, że całe społeczeństwo może funkcjonować jako wspólnota, a nie tylko jako efekt uboczny rywalizacji i konfliktów poszczególnych jego składowych części. Koniecznym warunkiem istnienia społeczeństwa obywatelskiego jest to, by jego członkowie uświadamiali sobie swą przynależność do tego społeczeństwa, jako całości, a także do niektórych z wielu wspólnot czy warstw. Społeczeństwo obywatelskie umacnia tradycję odwołującą się do jego historii i jego osiągnięć jako społeczeństwa obywatelskiego, do dzieł jego instytucji politycznych, sądowniczych, prawodawczych, do wspólnej jego członkom kultury, wyrażanej w ich języku, do napisanych w nim powszechnie znanych dzieł literackich, do wspólnej im oceny znaczących wydarzeń historycznych i wielkości pewnych postaci wyróżniających się w przeszłości.

- Dojrzałe społeczeństwo obywatelskie to...

- Społeczeństwa obywatelskie to społeczeństwa pluralistyczne, w których autonomia jednostek, wspólnot i warstw ograniczana jest poprzez uznanie poszczególnych obywateli zobowiązań wobec społeczeństwa, jego organów i praw.

- Najtrudniej przełożyć jednak szczytne obywatelskie hasła na codzienność, zmaganie się z kłopotami, wcale często sytuacjami konfliktowymi...

- Wartością wiążącą społeczeństwo obywatelskie jest solidarność i wynikające z niej samoograniczenie i uznanie, że rywalizujący lub pozostający z nami w konflikcie przeciwnik ma te same prawa jako obywatel. Ta solidarność często wynika ze świadomości wspólnych korzeni, w tym i kulturowych. Wymienione cechy na przestrzeni ostatnich lat mniej lub bardziej wyraziście cechowały każdego z nas z osobna, czy grup, z którymi przyszło nam współpracować. Jak wygląda nasza obywatelska postawa musi ocenić każdy z nas sam, w szczerej auto-refleksji.

- Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał: ANDRZEJ KUŚNIERCZYK



Przed wejściem głównym do drukarni ciągle jeszcze stoi maszyna pamiętająca czasy Korfanteo.

Jak umierała drukarnia

WIESŁAWA
KONOPELSKA

Odeszła bez rozgłosu, protestów, kamer telewizyjnych. Największa w regionie, jedna z najpotężniejszych w kraju, jeszcze kilka lat temu dawała zatrudnienie kilkuset pracownikom, była chlubą miasta. Budziła emocje, kiedy z początkiem lat 90. zainteresował się nią znany sportowiec i biznesmen Wojciech Fibak oraz zachodni kapitał. Wszystko odbywało się z fanfarami, w obecności dziennikarzy, w atmosferze nieustającego święta.

Fajerwerki nie trwały długo

Ucichł rozgłos, a normalnym zjawiskiem stały się zmiany szefów, reorganizacja produkcji, powolne pozbywanie się pracowników. W ciągu niespełna 12 lat zaistniało pięciu właścicieli, w różnych konfiguracjach własności-

wych: Noma Sport, Fibak Sport S.A., Fibak Noma Press S.A., Fibak Marquard Press S.A., Marquard Press. W efekcie różnych przetarasowań drukarnia zaczęła chylić się ku upadkowi. Dobrze zorientowani w całej sprawie twierdzą, że nie było innego wyjścia, że i tak długo utrzymała się na powierzchni. Czy na pewno?

- Strategia naszej firmy nastawiona jest na tworzenie trwałych podstaw funkcjonowania przedsiębiorstwa, aby bez względu na zmienną koniunkturę i nieprzewidywany rozwój wydarzeń w otoczeniu, sprostać zadaniom i nie utracić kontroli nad biegiem zdarzeń - tak jeszcze w 1994 roku mówił pelen najlepszej wiary Tadeusz Seredin, ówczesny prezes Zarządu firmy Fibak Marquard Press, która przejęła w swoje władanie największą wówczas w regionie drukarnię - Śląskie Zakłady Graficzne.

Starczył jeden rok, by „nieprzewidywany bieg wydarzeń” pozbawił Seredina nie tylko funkcji prezesa, ale także pracy w tej firmie, którą w znacznym stopniu wykreował. Wszystko co działo się tu w minionych 12 latach - co widać z perspektywy wydarzeń od 1990 roku - niewiele miało wspólnego z pięknymi deklaracjami o rozwoju drukarstwa w regionie śląskim, o wielkim kapitale i spadkobiercach tradycji Korfanteo - twórcy tej drukarni i wydawnictwa w 1924 roku.

W 2001 roku, po blisko 80. latach, przestała istnieć największa na Śląsku drukarnia, która w przeszłości przetrwała nie tylko trudne lata kryzysu lat 30-tych XX wieku, hitlerowską zawieruchę, stalinowski reżim i socjalistyczne lata partyjnego panowania PZPR, lecz niestety, nie wytrzymała kilku lat pod rządami speków od współczesnego kapitalizmu. Dziś u zbiegu ulic Opolskiej i Sobieskiego stoją setki a może tysiące metrów kwadratowych pustych powierzchni. Maszyny poligraficzne zmieniły właściciela, którym od marca 2001 roku jest „Poligrafia” S.A. ze Starachowic. Przez ostatnie kilka miesięcy, odkąd na drzwiach drukarni zawisł list pożegnalny napisany do załogi przez ostatniego zarządcę drukarni - Hansa Kisslinga, drukarnia zaczęła dogorywać: kończono zlecenia drukarskie, wywożono sprzęt, papier, zwalniano ludzi z pracy...

W końcu zapanowała głucha cisza, opustoszały korytarze, zgaszono światło. Życie toczy się tylko w pomieszczeniach zajmowanych przez redakcję „Sportu” i inne firmy, ale to kropla w morzu.

Dawny właściciel - firma Marquard Press S.A. pozostała nadal właścicielem obiektu i gruntu. Jaki natomiast los spotka tętniącą jeszcze do niedawna drukarnię, trudno przewidzieć: czy zamieni się w magazyny czy w ogóle zniknie z powierzchni ziemi... ale kogo to dziś obchodzi. Tu zawsze była i pozostać miała po prostu drukarnia - niegdyś duma miasta i województwa, tu miały drukować się idące z duchem czasu kolorowe magazyny i gazety, miał kwitnąć postęp technologiczny. Tymczasem ostatnim śladem, świadczącym o tym, że kiedyś była tu drukarnia są czarne wyrwy w ziemi po maszynach w najstarszej części drukarni, zwanej niegdyś „korfantówką” oraz resztki zapachu ołowiu i farby drukarskiej, jaki przez dziesiątki lat wgrzyzał się w ściany i każdy ką - resztę wysprzątało, zamieciono. Ktoś na pamiętkę zabrał sobie słynną tabliczkę z napisem „Brakoróbstwo i pijaństwo zmniejsza twoje zarobki” - była takim śmiesznym

reliktem z lat może 50-tych, może 60-tych....

Niektórzy pracownicy drukarni skorzystali z propozycji „Poligrafii” i podjęli pracę z dala od domu, bo tu, w Katowicach, dla wysokiej klasy fachowców drukarzy - pracy już nie ma od dawna. Duża część zasilila jednak szeregi bezrobotnych...

O twórcy i dawnej świetności Śląskich Zakładów Graficznych przypomina tablica pamiątkowa umieszczona na ścianie budynku od ulicy Sobieskiego, a o rewolucji technologicznej początku lat 90. świadczy niszcząca poniemiecka maszyna drukarska postawiona jako dekoracyjny eksponat przed głównym wejściem od ulicy Opolskiej. Z czasem jedno i drugie trafi zapewne do Muzeum Prasy Śląskiej w Pszczynie, gdzie to co po Korfantym traktowane jest z należnym historii i postaci szacunkiem. Natomiast w Katowicach, w centrum miasta, ten wielki Ślązak - Wojciech Korfanty ma, owszem, wielką aleję, ma też pomnik dłuta Zygmunta Brachmańskiego na placu Sejmu Śląskiego... tylko jego kolejne dzieło zostało zniszczone - najprawdopodobniej pomnik, jaki Korfanty postawił sobie za życia.

Czarny scenariusz

Ktorego chyba nikt nie przewidział, zrealizowany został z nawiązką: wraz ze zniknięciem Śląskich Zakładów Graficznych - ostatnio zwanych Marquard Press S.A. - na Śląsku zakończył się wielki rozdział drukarstwa. Obok hutnictwa i górnictwa poligrafia była zawsze mocną częścią śląskiego przemysłu, dająca zatrudnienie wielu setkom znakomitych fachowców, którzy często swoje umiejętności i zamiłowanie do zawodu przejmowali od ojca lub dziada.

Przełom lat 1989/1990 przyniósł burzę pomysłów dotyczących likwidacji wielkiego koncernu RSW „Prasa - Książka - Ruch” - podporządkowanemu dotąd PZPR, a zatrudniającego w kraju około 34,5 tysiąca ludzi. RSW skupiało w swoich rękach kilka wielkich drukarni w całym kraju, dziesiątki tytułów prasowych - wysokonakładowych, regionalnych i lokalnych wraz z redakcjami, sieć kolportażową i transportową, zapomniane już dziś Kluby RSW. Zaczęto gorączkowo poszukiwać rozwiązań, które miały doprowadzić do rozbitcia koncernu w oparciu o pospiesznie przyjętą ustawę. Ta - co wnet stało się jasne - nie uwzględniała potrzeb polityki informacyjnej ani nie zapobiegała grabieży wielkiego majątku skupionego w tym monopolistycznym kolosie. Gorliwi likwidatorzy, działający pod presją wielu grup interesów, byli świadomi, że każde odpowiedzialne rozwiązanie wymagać będzie wielkich nakładów finansowych w tym kapitału, którego w kraju wówczas nie było, lecz niezbędnego do unowocześnienia bazy i procesów technologicznych. W październiku 1990 roku „Rzeczpospolita” pisała: „Komisja Likwidacyjna działa na podstawie niedoskonałej, niestety, ustawy. Pozwala ona jedynie na trzy rozwią-

zania przy przekształceniach własnościowych koncernu: nieodpłatne przekazanie spółdzielni pracowniczej, sprzedaż na przetargu lub przekazanie skarbowi państwa.” Analiza składanych wówczas przez jednostki bylej RSW propozycji wskazywała na zagrożenia, które doprowadzić mogły do (według wspomnianej „Rzeczpospolitej”) atomizacji rynku prasowego, przechwycenia kontroli nad prasą polską przez obcy kapitał, zanik dotychczasowych struktur koncernu prasowego bez wskazania na nowe zasady i nowy ład organizacyjny, zakłócenie zasad kolportażu. Aby nie dopuścić do takiej sytuacji, zdaniem „Rzeczpospolitej” należało: 1. stymulować powstawanie silnych kapitałowo wydawnictw i grup prasowych, które byłyby zdolne nie tylko do utrzymania się na rynku ale także do inwestowania, prowadzenia działalności marketingowej i długofalowej polityki wydawniczej; 2. dopuścić na polski rynek zagranicznych wydawców i inwestorów, bowiem brakuje kapitału, nowych technologii i nowoczesnych metod zarządzania.

W tym czasie katowicka drukarnia osiągnęła największy wśród wszystkich drukarni zysk 4,7 mld starych złotych, a wydawnictwo 3,7 mld zł. RSW na Śląsku jako wydawca wysoko nakładowych dzienników: „Trybuny Robotniczej” (później „Trybuny Śląskiej”), „Dziennika Zachodniego” i „Sportu”, a ponadto kilkunastu tytułów tygodników lokalnych, popołudniówki „Wieczór” i tygodnika ilustrowanego „Panorama”, znalazł się w czołówce dobrze prosperujących oddziałów. Dlatego też Śląskie Zakłady Graficzne nie były przysłowiową kulą u nogi lecz dobrą ofertą przetargową, bądź wymagającym sprawnego organizatora i menedżera, mocnym, rozwojowym przedsiębiorstwem, podobnie jak całe Śląskie Wydawnictwo Prasowe, w którego skład wchodziła do tego czasu drukarnia, najbardziej dochodowe spośród wszystkich regionalnych jednostki. Skupiało ono obok wielkiej drukarni prasowej 17 tytułów z zapleczem redakcyjnym, dysponowało magazynami, bazą transportową, magazynami i stacją paliw. Był to ogromny majątek pracujący przez dziesiątki lat na potrzeby rządzącej PZPR

Już pierwsze decyzje likwidacyjne wywoływały niepokój, groząc zmarowaniem i roztrwonieniem ogromnego majątku i rozdrapaniem szczególnie łakomych kęsów, w tym wielkich dochodów dzienników. W tej sytuacji w październiku 1990 roku grupa 17 śląskich posłów na Sejm wsparła inicjatywę Tadeusza Kijonki powołania Górnośląskiego Centrum Prasowego. W grupie tej znaleźli się m.in. Walerian Pańko, Barbara Błida, Herbert Gabrys, Jerzy Wuttke, Jan Rzymelka, Sebastian Szypionka i Jacek Soska. Zgodnie z ustawową zasadą demonopolizacji 30 procent tytułów likwidowanego przedsiębiorstwa miało wraz z drukarnią stanowić jednoosobową spółkę Skarbu Państwa. - Składana na ręce premiera Tadeusza Mazowieckiego petycja wydawała się odnieść skutek -

mówi Tadeusz Kijonka, pomysłodawca GCP. *Potwierdzała to, nigdy nie skorygowana uchwała nr 172 z dnia 29 października 1990 r. „w sprawie zatwierdzenia planu zagospodarowania majątku »Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej Prasa-Książka-Ruch w likwidacji«”.* W skład utworzonego na nowych warunkach holdingu, skupiającego 6 z 17 redakcji Śląskiego Wydawnictwa Prasowego, miały wchodzić jako jednostki autonomiczne: „Trybuna Śląska”, „Dziennik Zachodni”, „Panorama”, „Nowiny Gliwickie”, „Echo” tyśkie i rybnickie „Nowiny”, a także drukarnia prasowa przy ulicy Opolskiej. Wydawało się, że koncepcja ta może mieć sens, skoro Monitor Polski nr 3 z 1991 r. zapowiadał przyjęcie następującego warunkowego rozwiązania: „W przypadku braku odpowiednich ofert niezwłoczne przekazanie na rzecz Skarbu Państwa po zakończeniu procedury przetargowej (...) utworzenie Górnośląskiego Centrum Prasowego i jego późniejszego sprywatyzowania.” Gdy jednak pojawiły się koncepcje innych rozwiązań, sprzeczne z uchwałą Rady Ministrów, pod kolejną petycją z dnia 21 marca z 1991 r. przygotowaną przeze mnie a skierowaną do nowego premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego, podpisało się już 23 śląskich posłów, akcentując, iż „konieczne jest przyspieszenie działań w celu stworzenia Górnośląskiego Centrum Prasowego”, by ochronić przed rozproszaniem majątek i zapewnić (...) korzystne funkcjonowanie śląskiego rynku prasowego, a także dając mecenat kulturze śląskiej na warunkach powinności statutowych.” Funkcję organu założycielskiego GCP miał pełnić zaangażowany w tę koncepcję ówczesny wojewoda katowicki Wojciech Czech.

- Wydawało się, że rozwiązanie to zostanie obronione - dodaje Tadeusz Kijonka - i tylko na Śląsku może się ocalić trzon dotychczasowego wydawnictwa prasowego wraz z drukarnią. Jeszcze w czerwcu 1991 roku ówczesny przewodniczący Komisji Likwidacyjnej Kazimierz Strzyczkowski zapewnił Jana



Tablica upamiętniająca wydawanie przez Wojciecha Korfantego dziennika „Polonia”.

Foto. Józef Wróbel



Po maszynach drukarskich nie ma już ani śladu...

Foto: Józef Wróbel

Rzymek i mnie, że stanowisko wyłożone w uchwale jest wiążące. Okazało się jednak, że był to zbyt cenny łup by racje społeczne przeważały. Także na miejscu pojawili się ustosunkowani poplecznicy innych rozwiązań. Kapitałem Hersanta przejął w znacznej części „Trybunę Śląską”, a „Solidarność” stała się właścicielem „Dziennika Zachodniego”, który później przeszedł w inne ręce.

A drukarnia?...

Kilkakrotnie próbowałem podjąć współpracę z Hersantem, ale nie był zainteresowany żadną propozycją - wspomina po latach Tadeusz Seredin. Podobnie stało się z „Dziennikiem Zachodnim”, który ostatecznie przeszedł w ręce niemieckiego koncernu prasowego. Nowi właściciele i wydawcy tych największych śląskich tytułów nastawieni byli na budowę własnych ośrodków poligraficznych a nie na rozwój katowickiej drukarni. Musieliśmy więc szukać innych rozwiązań.

Oczywiście oceny tamtych sytuacji z dzisiejszego punktu widzenia są inne: wiemy więcej o kulisach spraw, które wówczas były niedostępne przeciętnym zjadaczom chleba. Jedno jest pewne: sprawa koncernu RSW nie została sensownie rozwiązana, a efektem działań podejmowanych w początkach lat 90. była likwidacja wielu tytułów prasowych, rozbiście polskiego, zwłaszcza zaś śląskiego przemysłu poligraficznego i zwolnienie z pracy setek pracowników.

Władysław Śliwoń był związany ze Śląskimi Zakładami Prasowymi od 1967 roku. W 1983 roku został dyrektorem naczelnym, potem - za panowania nowych właścicieli - dyrektorem ds. produkcji, a na koniec dyrektorem ds. nieruchomości. - W marcu 1990 r. wystaliśmy list do premiera Tadeusza Ma-

zowieckiego z prośbą o wyrażenie zgody na przekształcenie naszej drukarni w spółkę kapitałową, której udziałowcami byłiby: budżet państwa i pracownicy drukarni. 6 kwietnia 1990 r. zarejestrowaliśmy Spółdzielnię Poligraficzno-Wydawniczą im. Wojciecha Korfańskiego - mówi Śliwoń. Niestety, Komisja Likwidacyjna RSW uznała, że pracownicy drukarni nie są w stanie udźwignąć takiego ciężaru, bo dysponowaliśmy olbrzymim majątkiem, wobec czego należy szukać inwestora strategicznego. W kwietniu 1991 r. możliwe okazało się przejęcie Zakładów przez spółkę akcyjną „Fibak-Sport”, a przy okazji modernizacja technologiczna produkcji gazet. Wtedy Komisja Likwidacyjna reprezentowana przez przewodniczącego Kazimierza Strzyczkowskiego i Andrzeja Grajewskiego - sekretarza Komisji oraz Grzegorza Przetakiewicza wyraziła zgodę na wydzierżawienie drukarni przez tę firmę. Od tej chwili wszystko potoczyło się jak w amerykańskim filmie.

W spółce „Fibak-Press” Wojciech Fibak miał 97 procent udziałów.

Tadeusz Seredin: - O ile dobrze pamiętam to był pomysł Adama Jazwieskiego, wtedy zastępcy redaktora naczelnego „Sportu”. W 1989 roku zaproponował, aby utworzyć spółkę, w której skład weszliby: tytuł prasowy „Sport” - ogólnopolski wysokonakładowy dziennik, tyska firma „Noma” Jerzego Kubackiego, z którą byłem związany i tzw. wielkie „nazwisko” kogoś ze świata sportu, które miało być chwytem marketingowym. Braliśmy pod uwagę Zasadę, Bonika i Fibaka. Krótko mówić istniejącą spółkę „Noma Press” łączącą Spółdzielnię Dziennikarską, która była wydawcą „Sportu” oraz firmę „Noma” mieliśmy wzbogacić o trzeciego udziałowca. Pomysł wydał się realny i opłacalny, a także dający nadzieję stabilno-

ści i rozwoju. Rozpoczęliśmy więc starania o realizację pomysłu. Boniek i Zasada o ile pamiętam, chyba nie odpowiedzieli na naszą propozycję. Fibak, goszczący na Śląsku przy okazji Mi-strzostw Śląska, które odbywały się na Giszowcu, a których sponsorem była właśnie „Noma” Kubackiego, wydał się zainteresowany tą propozycją. Wiedzieliśmy wtedy tylko tyle, że Fibak przejął w Poznaniu „Gazetę Poznańską”, więc podobny pomysł na Śląsku powinien mu odpowiadać. My jednak chcieliśmy pójść dalej. Wojtek Fibak miał również wnieść kapitał, co pozwoliłoby na utworzenie tak modnych w tym czasie spółek joint ventures. Wydając „Sport” postawiliśmy na własną bazę poligraficzną - na początek miały to być dwie maszyny wydzierżawione w Śląskich Zakładach Graficznych. Zdecydowaliśmy jednak inaczej, zwłaszcza kiedy w drukarni ogłoszono pogotowie strajkowe, będące odpowiedzią na brak pracy, niskie płace i niepewną sytuację co do przyszłości Zakładów. W końcu kwietnia 1991 r. „Noma Press” postanowiła wydzierżawić całą drukarnię, podpisując od 1 maja tego roku stosowne umowy socjalne z pracownikami, których wtedy Zakłady zatrudniały ponad sześćuset. Gwarantowaliśmy pracownikom 50-procentowy wzrost płacy, co oznaczało podwyżki cen druku dla wszystkich drukowanych u nas gazet. Niełatwe to były rozmowy. Natychmiast też przystąpiliśmy do modernizacji technologicznej drukarni: wprowadziliśmy fotopolimery wraz z całą linią produkcyjną, uruchomiliśmy skład komputerowy co było równoznaczne z likwidacją tzw. gorącego składu ołowowego, szkoliliśmy pracowników, by byli w stanie podjąć nową pracę przy komputerach. Musieliśmy też pozyskać nowych kontrahentów. Wydawało się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku.

Spadek po Korfantym

* W 1990 roku córka Wojciecha Korfanteo Maria Ullmann zwróciła się do Kazimierza Świtonia - wtedy prezesa Zarządu Wojewódzkiego Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy w Katowicach, by reprezentował interesy rodziny przy zwrocie majątku, w skład którego wchodziły m. in. Śląskie Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Polonia” S.A.

W styczniu 1990 r. Kazimierz Świtoni zarejestrował tytuł prasowy „Polonia” - wydawany przez Korfanteo przed wojną w Katowicach. Do wskrzeszenia tej gazety nigdy nie doszło. Również zwrot majątku po Wojciechu Korfantym nigdy nie doszedł do skutku, bowiem drukarnia przy Sobieskiego przez wszystkie lata powojenne była rozbudowywana i modernizowana. Świtoni zamierzał również zająć się innymi obiektami, które kiedyś należały do Korfanteo, mianowicie dobrami w Bielsku-Białej, Sosnowcu, Łodzi, Rybniku i Chorzowie.

* W Muzeum Prasy Śląskiej w Pszczynie znajduje się biurko i inne przedmioty, które Wojciechowi Korfantemu służyły do pracy w redakcji „Polonia”. Zostało przekazane przez Władysława Śliwonina - dyrektora SPZG w 1988 r. „Było kompletnie zdewastowane i przed oddaniem służyło w magazynie technicznym za szafkę na drobne materiały.” W drukarni pozostała jeszcze szafa z gabinetu Korfanteo. Jaki będzie jej los?



Ulotka reklamowa Śląskich Zakładów Graficznych i Wydawniczych „Polonia”.

Foto. Arch. Wł. Śliwonina.

* W dwudziestoleciu międzywojennym województwo śląskie stanowiło średniej wielkości ośrodek przemysłu poligraficznego. W 1932 roku na 601 drukarni działających w całym kraju, w województwie śląskim było ich 54 (tylko poznańskie miało 88 drukarni, miasto Warszawa 131, lwowskie 61, łódzkie 56).

Do najnowocześniejszych oficyn drukarskich w tym okresie zaliczano: Drukarnię Narodową w Krakowie, Zakłady „Prasa” w Warszawie, przedsiębiorstwo św. Wojciecha w Poznaniu i Zakłady Graficzne „Polonia” w Katowicach.

* Do 1938 r. w województwie śląskim było już około 130 oficyn drukarskich (wraz z drukarniami przyłączonego Zaolzia). Największym ośrodkiem drukarskim były Katowice, gdzie w 1930 r. funkcjonowało około 40 oficyn różnej wielkości.

Średniej wielkości ośrodkami był również Chorzów (królewska Huta) - 14 drukarni. Dużą rangą cieszyły się drukarnie Leopolda Nowaka i Drukarnia Narodowa. W górnośląskiej części województwa zakłady drukarskie znajdowały się ponadto w Mikołowie, Mysłowicach, Pszczynie, Tarnowskich Górach i wielu mniejszych miejscowościach jak Lipiny czy Panewniki.

(Oprac. na podst. książki
Danuty Sieradzkiej „Drukarstwo
województwa śląskiego w latach 1920-1939”)

W tym roku „Korfantówka” miałaby 80 lat!

Do 1939 r. największa polska firma poligraficzno-wydawnicza związana była z osobą Wojciecha Korfanteo, działacza Chrześcijańskiej Demokracji.

W 1922 r. Korfanty odkupił wyposażenie dwóch oficyn drukarskich z Rybnika i Tarnowskich Gór oraz nabył parcelę w Katowicach przy ulicy Sobieskiego, na której wznosił budynek mieszczący drukarnię, redakcję i administrację wydawnictwa. W 1923 roku uruchomił w Rybniku firmę pod nazwą Księgarnia i Drukarnia Śląska. Od 1924 r. nosiła nazwę „Polonia” spółka wydawnicza z o.o. i została przeniesiona do Katowic. W 1927 r. spółka przybrała nazwę Śląskie Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Polonia” spółka akcyjna. Przedsiębiorstwo prowadziło zakład graficzny i wydawnictwo pism periodycznych oraz książek z różnych dziedzin wiedzy. Założycielami spółki było pięć osób: Wojciech Korfanty, Elżbieta Korfantowa, Zbigniew Korfanty, Czesław Wieniawa-Chmielewski i Jerzy Lewandowicz.

Pracę w nowej drukarni rozpoczęto 27 września 1924 r. - wtedy ukazał się pierwszy numer „Polonii”. Początkowo zakład dysponował dwoma typografiami, dwoma linotypami, 16-stronicową maszyną rotacyjną oraz pięcioma płaskimi maszynami. Był to jak na owe czasy nowoczesny park maszynowy. Przedsiębiorstwo posiadało również własną kliszarnię pozwalającą drukować zdjęcia fotograficzne, stereotypię i introligatornię.

W latach 30-tych firma zatrudniała ponad 150 osób, a w 1937 r. 195.

Spółka nastawiona była przede wszystkim na drukarstwo prasowe. Wydawała poczyną codzienną prasę: „Polonię”, „Siedem Groszy”, „Kurier Wieczorny” (popołudniówka), także „Gazetę Ludową”, „Młodego Polaka”, „Piast”, „Przyszłość”, miesięcznik ilustrowany „Zwrot” i magazyn „Oko świata”. Wydawano także pismo sportowe „Kibic”, „gazetę Właścicieli Domów i Gruntów Województwa Śląskiego”, „Przemysł i Handel”, „Wiadomości Administracyjne Katowic”.

W 1939 r. drukarnia została skonfiskowana przez okupanta i wcielona do pracy na rzecz Rzeszy. W styczniu 1945 roku wycofujący się Niemcy zdewastowali drukarnię, wywożąc większość maszyn i urządzeń. Wkrótce jednak życie w drukarni zaczęło się odradzać, głównie za sprawą drukarzy, którzy z drukarnią związani byli od przedwojnia. „Korfantówka” znów rozpoczęła działalność. 2 lutego 1945 roku ukazał się pierwszy numer „Trybuny Śląskiej” a 6 lutego tego roku pierwszy numer „Dziennika Zachodniego”.

W maju 1947 r. zakład został przejęty przez RSW „Prasa”. Wkrótce dołączono wydawnictwa prasowe i utworzono Śląskie Wydawnictwo Prasowe. W maju 1954 r. ukazał się pierwszy numer tygodnika „Panorama”.

Przez cały czas w drukarni stare techniki drukarskie zastępowano nowymi, wprowadzano nowoczesne technologie. Największa modernizacja nastąpiła w 1975 roku - zamontowano nową maszynę wkłesłodrukową i wymieniono urządzenia towarzyszące. Ciągłe jednak w drukarni pozostawały urządzenia pamiętające początki drukarstwa z lat 20-tych.

W 1983 r. w rejonie ulic Sobieskiego i Mickiewicza rozpoczęto budowę nowej drukarni gazetowej, która miała być najnowocześniejszym obiektem w Polsce i jednym z największych w Europie. Jednak kłopoty gospodarcze i finansowe sprawiły, że oddał się termin oddania drukarni do użytku. W 1989 r. miały być dostarczone nowe maszyny poligraficzne z ówczesnego NRD. Zakończenie prac przewidywano na 1990 r. Koszt inwestycji miał wynosić około 5 miliardów starych złotych. W końcu budowę przzerwano, a gmachu o kubaturze 170 tysięcy metrów sześciennych nigdy nie oddano do użytku. W tym samym zlikwidowane zostało RSW. W 1994 r. po wielkich staraniach właścicielem obiektu stał się Stalexport, który planował uruchomienie w nim m. in. centrum biznesu i banku. Ten pomysł jak dotąd nie został zrealizowany. Przez kolejne osiem lat, aż po dziś dzień, na placu otoczonym płotem sterczą niedokończone hale produkcyjne i stalowe kikuty konstrukcji...

(Oprac. WK. Na podst. książki Danuty Sieradzkiej „Drukarstwo...” i art. „Od Wojciecha do Wojciecha” opublik. w „Gazecie Jubileuszowej” z dnia 28 maja 1994 r.)

Wtedy nikt nie zdawał sobie sprawy z tego (a ewentualne spekulacje prasowe były z gruntu odrzucane - przynajmniej oficjalnie), że wraz z wejściem do spółki Wojciecha Fibaka i utworzeniem firmy „Fibak-Noma-Press” rozpoczęło się podcinanie galezi, na której wszyscy siedzieli.

Jak dotąd wszystko opierało się wyłącznie o dzierżawę Zakładów od Komisji Likwidacyjnej RSW. Jednak początkowy czynsz wynoszący 20 tysięcy nowych złotych Komisja postanowiła podnieść pięciokrotnie! Podjęła również decyzję o ogłoszeniu przetargu na zakup drukarni. W lipcu 1991 r. ogłoszono przetarg na sprzedaż drukarni za kwotę 80 mld starych złotych, czyli 7,3 mln USD. W październiku 1991 r. ogłoszono drugi przetarg i drukarnię nabyła spółka Fibaka. Z przetargu wycofało się Górnośląskie Towarzystwo Prasowe (wydawca „Trybuny Śląskiej”). W końcu drukarnia została nabyta przez firmę Fibak Noma Press za 7,5 mld st. złotych.

Torty przyjaźni

W tym czasie drukarnie w Łodzi, Gdańsku i Krakowie wykupił kapitał amerykański, natomiast drukarnie warszawskie przeszły w ręce Porozumienia Centrum braci Kaczyńskich. Śląskie Wydawnictwo Prasowe przestało istnieć 31 grudnia 1991 roku. Bazę transportową, którą dysponowało odkupił katowicki biznesmen - dealer Nissana w Polsce.

Finalizacja transakcji zakupu drukarni przeciągała się. Została sfinalizowana na początku 1993 r. Należność rozłożono na 4 raty, płatne wraz z odsetkami. W Polsce wówczas odsetki wynosiły około 60 procent rocznie. Zdaniem Tadeusza Seredina, Wojciech Fibak obiecał załatwić tanie kredyty, które miały pomóc w sfinansowaniu zakupu. Rzeczywistość okazała się bardziej dramatyczna: Fibak szybko znalazł swojego następcę w spółce. Jak wieść niesie, była to świetna okazja do pozbycia się przez niego udziałów i szybkiego zarobku. W tym też czasie w prasie zaczęły pojawiać się artykuły pod znamienitymi tytułami, jak np. w „Przeglądzie Tygodniowym” pisano o „Drukarniagate”.

Dobrej pozycji drukarni i wydawnictwa bronił Tadeusz Seredin, mówiąc, że nie może być mowy o złej kondycji firmy, skoro jeszcze niedawno drukowały się tu 24 tytuły, a obecnie 30, łącznie z „Super Expressem”. Jak wtedy oceniał, inwestycja powinna zwrócić się po około półtora roku.

Umowę sprzedaży drukarni 4 kwietnia 1993 r. podpisali Wojciech Fibak i Tomasz Kwieciński - przewodniczący komisji Likwidacyjnej RSW.

Wcześniej, 18 listopada 1992 r., podpisana została umowa z Rejonowym Urzędem w Katowicach dotycząca wieczystej dzierżawy gruntów, na których zlokalizowana jest drukarnia, co było podstawowym krokiem do ustabilizowania sytuacji i przystąpienia do kontraktu.

Fibaka nie interesowała, jak się okazało, ani prasa ani drukarnia, tylko dobre interesy, a katowicka drukarnia okazała się szarą kurą, która w krótkim czasie zniosła wielkie złote jajo.

W 1993 roku nowym właścicielem drukarni został szwajcarski biznesmen i wydawca popularnego wtedy „Popcornu”, „Dziewczyny” i innych tytułów komercyjnej kolorowej prasy - Jürg Marquard. Feta wprowadzająca nowego właściciela odbyła się w katowickim Hotelu „Katowice”, gdzie podczas specjalnej konferencji prasowej wyłożono wszelkie zalety tego przedsięwzięcia. Wtedy to Fibak ze swym przyjacielem Marquardem dzielili się przygotowanymi z tej okazji tortami ozdobionymi ich nazwiskami. Pech chciał, że zostały zamienione, a gazety pisały o „tortach asekuracji” i „tortach przyjaźni”, które w rzeczywistości okazały się ością w gardle ich późniejszych konsumentów. Te torty wielu do dziś pamięta!

- Zaczęliśmy się niepokoić, kiedy w drukarni zaczął pojawiać się Wojtek Fibak w towarzystwie nieznanym nam osób - opowiada Seredin. Nasze przeczcucia sprawdziły się z nawiązką.

Z miesiąca na miesiąc zarzucono myśli o budowie nowej drukarni gazetowej, zwłaszcza że tuż za rogiem niszczał szkielet ogromnego gmachu, który był kosztownym zamysłem z lat 70-tych i 80-tych do nowej drukarni, dla której zamówione zostały nawet maszyny po-

ligraficzne. Budowę rozpoczęto za czasów dyrektora Śliwonina. Wraz z zakupem starej drukarni przez Fibak Marquard Press dostała się firmie również i ta niedokończona inwestycja. Oczywiście nie było szans na jej sfinalizowanie - nikt nie miał takich pieniędzy, poza tym przeciągająca się latami budowa sprawiła, że obiekt był technologicznie przestarzały. Jedynym atutem stał się atrakcyjny grunt w centrum miasta, w pobliżu tak wielkich wtedy firm jak Stalexport czy Węgłokoks. - Wydałem mi się - mówi Śliwoni, że dla Fibaka od początku nie miało znaczenia co kupuje i co sprzedaje, tylko za ile. Rozwojem starej drukarni w ogóle nie był zainteresowany. Chciał z zyskiem sprzedać grunt pod szkieletem, ale nie znajdował kupca. W końcu mnie udało się transakcję sprzedaż doprowadzić do końca. Innego zdania jest Tadeusz Seredin.

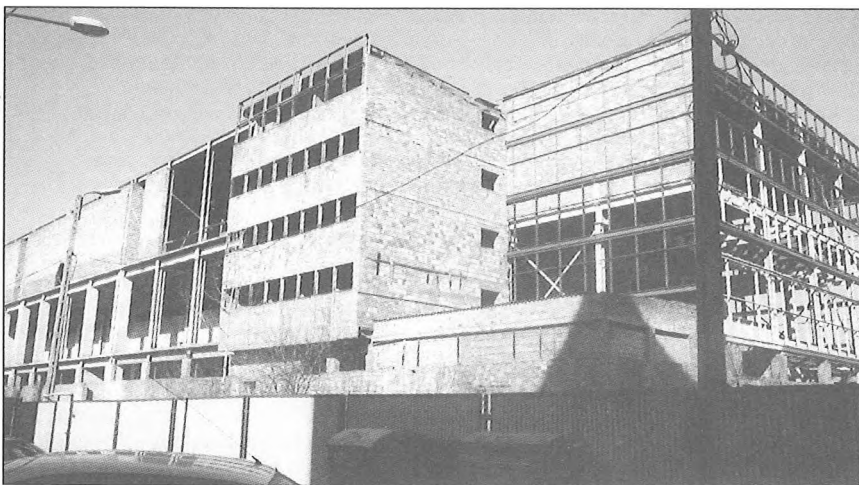
„Odwrót” Fibaka

W maju 1994 r. hucznie obchodzono 70-lecie drukarni, a w lipcu nastąpił „odwrót” Fibaka z drukarni. Kiedy pozyskał dla swoich interesów Marquarda okazało się, że to było dla drukarni i ludzi tu pracujących najlepsze wyjście z sytuacji, w jakiej się nagle znaleźli. Potwierdza to także Władysław Śliwoni. - Wraz z Marquardem w drukarni pojawił się Hans Kissling, który w jego imieniu miał zarządzać firmą. Sam był drukarzem, więc znał się na rzeczy. Sądzę, że dzięki niemu przetrwalibyśmy jeszcze kilka lat. 14 stycznia 1994 r. ostatecznie zlikwidowano tzw. gorący skład. Wprowadzono nowoczesny druk kolorowy i wymieniono stary park maszynowy na nowszy sprowadzony z Norwegii. Produkcja też się jakoś kręciła. Bez tego wszystko rozleciałoby się znacznie szybciej.

Marquard zajął się wyłącznie drukowaniem swoich wydawnictw: likwidowano więc po kolei skład komputerowy, redakcje gazet, które w latach 90-tych uruchomiono, m.in. „Dziennika Śląskiego”, agencje reklamową. Co za tym idzie zatrudnienie z około 530 osób zmniejszyło się ostatecznie do 200. Wcześniejsza likwidacja druku gazetowego i odejście nie tylko wielkich tytułów prasowych jak „Trybuna Śląska”, „Dziennik Zachodni”, w końcu też „Sportu”, ale też lokalnych tygodników, sprawiło że od tego momentu wszystko zaczęło chylić się ku upadkowi. Kolorowy druk bardziej opłacał się za granicą, np. w Czechach, niż w krajowych drukarniach.

- Likwidacja dawnych Śląskich Zakładów Graficznych a potem w ogóle likwidacja drukarni i wydawnictwa były dla mnie prawie osobistym dramatem - wspomina Śliwoni. Tyle lat tu spędziłem - najtrudniejsze lata 80-te i wszystkie zmiany, które miały postawić kolosa na nogi. Sensem jego istnienia było przecież połączenie wydawnictwa i drukarni z jedną częścią administracyjną. Wymagało to oczywiście nowego podejścia i wielkich pieniędzy na unowocześnienie. Nie

Foto. Józef Wróbel



Tu miała powstać nowa drukarnia gazetowa - największa w kraju.



Maj 1962 r. - uroczyste wmurowanie aktu erekcyjnego pod budowę gmachu nowej drukarni gazetowej.

przypuszczałbym jednak, że tak szybko wszystko to przestanie istnieć. Mieliśmy przecież znakomitych fachowców i wspaniałych drukarzy - zabrakło tylko kapitału.

Kiedy nastał kapitał, fachowcy okazali się niepotrzebni. O tradycjach drukarstwa na Śląsku pamiętał jeszcze tylko pierwszy prezes nowej firmy - Tadeusz Seredin. Ale i on musiał zarzucić sentymenty. Dziś jest prywatnym wydawcą „Panoramy”, niegdyś słynnego na całą Polskę kolorowego tygodnika. Chociaż od kilku lat „Panorama” nie ta sama co kiedyś, ale chociaż tytuł został uratowany, bo inaczej po perypetiach i chwilowych przenosinach do Warszawy „Panorama” dawno przestała by istnieć.

Jednak, jak zauważył Władysław Śliwoń, tajemnicą poliszynela od 3 lat było, że drukarnia będzie musiała zmienić lokum. Zaostrzone zostały wymogi ochrony środowiska, więc drukarnię należało wyprowadzić ze śródmieścia. Tak czy inaczej, trzeba by myśleć o budowie nowego obiektu. Marquard wiedział o tym, więc szukał jakiegoś rozwiązania. A że sam - jako wydawca - drukarstwem w zasadzie się

nie zajmował, więc szukał nabywcy na maszyny. W Starachowicach powstała specjalna strefa ekonomiczna, więc firma „Poligrafia” zdecydowała się na zakup sprzętu i przejęcie pewnej ilości pracowników. Ze Starachowic do Katowic jest około 200 kilometrów ... Na miejscu w Katowicach pracuje jeszcze około 20 pracowników zajmujących się pozostawioną nieruchomością i gruntem.

- Nie wiem - dopowiada Śliwoń - jak można było na początku lat 90-tych dopuścić do degradacji całego przemysłu poligraficznego na Śląsku. W Katowicach-Piotrowicach ciągle istnieje szkoła poligraficzna kształcąca znakomitych fachowców, którym od lat skład komputerowy nie jest obcy. Czy młodzi adepci sztuki drukarskiej znajdują pracę poza Śląskiem?

Co na to związki zawodowe?

Przez wszystkie lata 90. w drukarni działały związki zawodowe: Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Poligraficznego i „Solidarność”. Jak zapewnia Jan Pająk - przewodniczący ZZPP obydw

związki zawsze wspólnie zabiegały o dobro pracowników: - Jest to wspólna działalność ze związkiem zawodowym „Solidarność”. My nie wchodzimy sobie w drogę, lecz kroczymy razem. Od negocjowania umów placowych z pracodawcą, rozwiązywania problemów związanych z bezrobociem poprzez sprawy przekształceń własnościowych, bezpieczeństwa i higieny pracy, ochronę zdrowia aż po sport i rekreację. Spraw jest naprawdę bardzo dużo, znacznie więcej niż przed rokiem 1989.

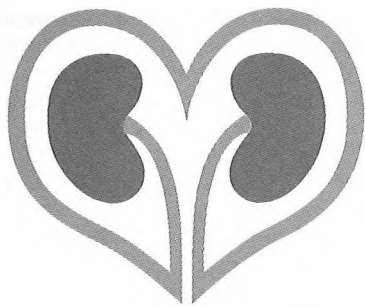
Jan Pająk ze Śląskimi Zakładami Prasowymi związany był od 1974 roku. Jest też sekretarzem Krajowej Rady ZZPP i szefem Okręgu Śląskiego. Zapytany o konieczność likwidacji RSW odparł: - Nikt w 1989 i 1990 roku nie patrzył, że kiedy zlikwiduje się RSW jako nieodłączny propagandowy element partyjnej czapy, to na dole pracę straci tysiące ludzi. Przecież kiedy przychodziliśmy do pracy, nie mówiliśmy, że chcemy zatrudnić się w PZPR, tylko byliśmy drukarzami znającymi się na robocie. Chcieliśmy pracować w drukarni. Już w latach 80-tych widzieliśmy ekspansję zachodnich koncernów wydawniczych i poligraficznych. Wnawiano nam, że gdyby w Katowicach stała drukarnia offsetowa, to „Trybuna Śląska” i „Dziennik Zachodni” dalej by się tu drukowały i drukarnia by istniała. To przecież bzdura! Nowi wydawcy nawet by palcem nie kiwnęli żeby tu drukować gazety, mieli przecież swoje drukarnie i swoje zobowiązania. Gdyby nie unowocześnienie druku kolorowego poprzez wprowadzenie rotomianów, dawno drukarni by nie było! Przecież żyliśmy z druku gazet, a to się szybko skończyło. Zresztą Katowice nie są wyjątkiem: padają polskie drukarnie w całym kraju. Kto pamięta, że jeszcze kilka lat temu w Bytomiu działała wielka drukarnia, że drukowaliśmy w Rudzie Śląskiej - wtedy jednej z najnowocześniejszych, ledwo dyszy katowicka Cartotechnica - dawne Katowickie Zakłady Graficzne. Z powierzchni ziemi został zmieciony Prodryn, czyli sieć niewielkich drukarni często specjalizujących się w różnorodnych drukach. Nikt do nich nie wyciągnął ręki. W Krakowie nie ma już drukarni im. Ancyzy, a Narodowa ma kłopoty. W Łodzi i Bydgoszczy też nie ma czego drukować. U nas przynajmniej, dzięki Marquardowi było tzw. obłożenie produkcji.

Jan Pająk wraz z grupą innych drukarzy podjął pracę w Starachowicach.

Napotkany w pobliżu drukarni znajomy drukarz na pytanie czy też wybiera się do Starachowic odparł, że część skorzystała z oferty - bo nie miała innego wyjścia, ale niektórzy już wrócili. Zarejestrowali się jako bezrobotni.



„Złota” transakcja: Jiürg Marquard (w środku) w towarzystwie Wojciecha Fibaka (z lewej) ogląda nowy zakupi. W drukarni pracowały jeszcze linotypy. 1 marca 1993 r.



W 10. rocznicę powstania Fundacji „Dializa” przy Klinice Nefrologii Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach

Aby ktoś mógł żyć

KATARZYNA WIDERA

Sylwia, Piotr, Andrzej, Bernard i kilka innych osób spotykają się 3 razy w tygodniu, mają prawie cztery godziny... mogą rozmawiać, czytać gazetę, książkę, czy po prostu spać. Dziwne są te ich spotkania, bo też nie są na pewno towarzyskie, żadne z nich nie chciało się w tym miejscu znaleźć. Większość o 7.00 rano wolałaby wychodzić do pracy; Sylwia marzy, by o tej porze wyprawiać dzieci do szkoły, całować męża na pożegnanie wkładając mu w bieg do torby kanapki na drugie śniadanie. Rodzina, dzieci, wspólny dom - to ciągle jeszcze marzenia - zamiast tego bezduszny aparat, 12 godzin w tygodniu, 360 godzin w miesiącu, 4320 godzin w roku... patrzenia w szpitalny sufit.

Nadzieja i ból

W Klinice Nefrologii, Endokrynologii i Chorób Przemiany Materii w Katowicach przy ulicy Francuskiej wszystko się zaczyna i kończy, albo właściwie kończy i zaczyna. Kończy wtedy, kiedy chorzy dowiadują się po raz pierwszy o dializach. Często brzmi to dla nich, jak wyrok. Przecież od tego momentu muszą praktycznie pożegnać się z pracą zawodową, muszą zmienić swoje życie prywatne, na nowo muszą sporządzić swój harmonogram dnia, w którym najważniejsze będą odtąd dializy... Czasem się jednak zaczyna, kiedy dowiadują się, że będą mieli przeszczepioną nową nerkę. To oznacza, o ile wszystko się uda, powrót do normalnego życia. O ile się uda!... Sylwia miała już dwa przeszczepy. Po raz pierwszy dano jej nadzieję w 1992 roku. Radość trwała dwa lata, później organizm odrzucił przeszczep. W 1997 roku podjęto drugą próbę, cieszyła się jeszcze krócej, zaledwie półtora roku. Od tego czasu chodzi na dializy, czuje się różnie: raz lepiej, raz gorzej.

– Cztery lata dializ, ostatecznie można się przyzwyczaić – mówi Sylwia. Zaczęła chorować, kiedy miała 12 lat. Wtedy jeszcze nie zdawała sobie sprawy z tego, że właściwie choroba zadecyduje o całej przyszłości. Przecież to z powodu choroby skończyła zaledwie podstawówkę. Czy nie chciała się dalej

uczyć? Owszem, bardzo chciała, ale okazało się, że lekarze nie pozwalają. Z pozoru mogła zachowywać się tak jak inne dzieci, ale dieta i dializy nie pozwalały zapomnieć o chorobie. Dziś krzepi się nadzieją na kolejną operację przeszczepu nerki. Już czeka na oddział na dawcę, już próbuje układać życie od nowa. Może tym razem się uda.

Czy się boi? Operacji raczej nie, boi się bólu, który jest później, gdy przeszczep zostaje odrzucony. Chce o tym bólu zapomnieć, ale on jest gdzieś w środku głęboko ukryty. Czasami Sylwia pyta samą siebie: dlaczego?... Dlaczego są ludzie, których organizmy tolerują obcy narząd 14, 18 lat, a jej organizm zaledwie dwa lata i krócej. Marzenie jej życia: by kolejna nerką dawała życie przez 5, 8 a może nawet 10 lat.

Jeśli się uda, Sylwia będzie wdzięczna lekarzom, losowi, wszystkim, dzięki którym jest zdrowa. Każdy byłby wdzięczny, tak wydaje się ludziom z zewnątrz. Inaczej wygląda to, gdy ktoś znajduje się w programie dializ. Doktor nauk medycznych, specjalista nefrolog Rafał Wnuk mówi, że faktycznie większość osób jest wdzięcznych za udzieloną pomoc, za to, że mogą się dializować. Przecież 10 lat temu jedynie 20 do 30 procent potrzebujących można było dializować. Nie było ośrodków, nie było sprzętu. Co oznaczało to dla pozostałych? Wiadomo. Są chorzy, którzy traktują dializy jak wyrok. Patrzą na lekarza z niemym wyrzutem, obwiniając go o wszystkie nieszczęścia. Dzieje się tak m.in. dlatego, że choroba zmienia nie tylko organizm, ale również psychikę. Niektórzy w czasie choroby łagodnieją, inni wręcz przeciwnie. I tym ostatnim dłużej i dokładniej trzeba tłumaczyć, że dializa i leczenie nerkozastępcze nie jest wyrokiem – wyrokiem jest choroba, czyli przewlekła niewydolność nerek.

Doktor Wnuk wspomina: – Jako młody lekarz musiałem odmawiać i tłumaczyć, dlaczego nie mogę przyjąć, dzisiaj czasami muszę namawiać chorych. Są tacy, którzy mówią: Panie doktorze wszystko, tylko nie dializa, jeszcze proszę trochę odwiec. Już powinien być leczony, a on nie i nie. Tymczasem chory musi wiedzieć, że im wcześniej leczenie zostanie zastosowane, tym większe ma szanse na uniknięcie powikłań, zupełnie

nieodwracalnych sytuacji, a jeżeli nie ma do tego przeciwwskazań, ma szansę otrzymać przeszczep nerki i może stać się osobą prawie zupełnie swobodną.

Te oczywiste sprawy często jednak nie są takie proste dla pacjenta, dlatego trzeba tłumaczyć i objaśniać, nie straszyć, ale jasno ukazywać następstwa niewłaściwego podejścia do choroby. A kiedy chory już zrozumie, że leczenie jest szansą, wtedy zmienia swoje nastawienie, podejmuje walkę o zdrowie, bo ma motywację i wtedy zupełnie inaczej taką osobę prowadzi się w programie dializ.

– Tak było z moją pierwszą pacjentką, która trafiła do programu dializ po porodzie, kiedy nastąpiła niewydolność nerek – wspomina doktor Wnuk. Tragedia... Gdyby nie było motywacji i chęci życia dla tego dziecka nie chcę myśleć, co byłoby dziś z moją pacjentką. Dalej, gdyby nie było sztucznej nerki, dziecko byłoby od urodzenia półsierotą. Tymczasem dzisiaj jej córka jest rówieśnicą mojej córki, ma 23 lata, ma matkę, która jest już po przeszczepie i ma zupełnie inne życie. Tak więc to nie jest tylko kwestia tych chorych, którzy są dializowani, ale również ich rodzin. Spotykamy się czasami ze wspaniałymi oznakami wdzięczności, a czasami... niestety inaczej.

A chodzi przecież o to, by więcej było w chorobie nadziei niż bólu...

Nie szanujemy nerek

Problem chorego zaczyna się wtedy, gdy dochodzi do przewlekłej niewydolności nerek. Jest to stan nieodwracalnego uszkodzenia ich funkcji. Nerki służą do ich powszechnie znanych czynności, takich jak odfiltrowanie organizmu, najprościej mówiąc – pozbywanie się z organizmu niepożądanych substancji, które są produktem przemiany materii, czyli to co spożywamy zostaje przetworzone, to co wchłaniamy jest zużytkowane, a reszta jest wydalana, najczęściej drogą właśnie nerek. Oprócz tego pozbywamy się nadmiaru wody, elektrolitów i wszystkiego tego, co jest zbędne, co przekracza utrzymanie norm organizmu tzw. homeostazy.

– My, nefrolodzy, mówimy za naszym „guru”, profesorem Kokotem, że jest to inteligentny narząd, który potrafi

zareagować w ciągu praktycznie sekund - mówi doktor Wnuk. Jeżeli mamy czegoś nadmiar, np. potasu, to nerki są w stanie w przeciągu kilku sekund to usunąć, nie potrzeba tutaj żadnego długiego działania. I co najważniejsze: dopóki są zdrowe nie wiemy, że je mamy, są usadowione głęboko w jamie brzusznej, tak że tylko czasami, jak ktoś ma kolkę nerkową to pamięta, że ma nerki, albo jak go gdzieś w krzyżu boli, to też często myśli o nerkach, chociaż najczęściej są to bóle kręgosłupa. Tymczasem jeżeli dochodzi już do choroby nerek, to sytuacja już jest niestety poważna.

Nerek, jak chyba mało którego organu, nie szanujemy, przysparzając im niepotrzebnej pracy. Dlatego muszą sobie radzić z różnymi naszymi niepotrzebnymi wybrykami, czy to dietetycznymi, czy alkoholowymi, czy jakimiś innymi. Zdarza się, na szczęście niezwykle rzadko, że praca w szkodliwych warunkach przy substancjach toksycznych prowadzi do uszkodzenia tego narządu. Uszkodzone nerki nie są w stanie wówczas spełniać już całkowicie swoich funkcji, a to z kolei jest przyczyną, że zatruta krew może dopływać do każdego narządu, do każdej tkanki i wtedy zaczyna się choroba ogólnoustrojowa. Przyczyną są nerki, natomiast cierpi cały organizm. Wszystko jest źle oczyszczone, źle utlenione, źle odtrute, mózg, wątroba, serce, skóra, każdy narząd cierpi i wtedy mamy do czynienia już z powikłaniami ogólnoustrojowymi.

Nefrologrzy najpierw leczą choroby nerek przyczynowo, czyli usuwają źródło choroby, a potem dopiero, jeżeli choroba postępuje dalej, to starają się,

żeby jej postęp był jak najwolniejszy. Jeżeli jednak dochodzi do niewyównanej niewydolności nerek, to wtedy podejmowane jest leczenie nerkozastępcze, a więc leczenie obejmujące wszystkie rodzaje dializoterapii oraz przeszczep. Dializoterapię dzielimy na dwa główne typy: to znaczy na tzw. hemodializę, czyli dializę pozaustrojową, gdzie pobierana od pacjenta krew przechodzi przez specjalne urządzenia i po oczyszczeniu krew taka wraca do chorego. Żeby wszystko utrzymać w równowadze, zabiegi robi się zazwyczaj trzy razy w tygodniu. Drugą metodą leczenia jest tak zwana dializa otrzewnowa, która wykorzystuje błonę otrzewną pokrywającą jelita. Wpuszcza się wtedy płyn dializacyjny do jamy brzusznej. Po zabiegu, czyli po filtracji i dyfuzji, ten już zanieczyszczony płyn odprowadzany jest na zewnątrz i wpuszczany następny.

– Oczywiście wszystko to całkowicie zmienia życie pacjenta – zaznacza doktor Rafał Wnuk. W przypadku hemodializy trzy razy w tygodniu musi zjawić się w ośrodku dializ, a w przypadku dializy otrzewnowej kilka razy dziennie wykonywać dializy. Na pewno zmienia to życie, na pewno obniża jego komfort. Natomiast daje to życie. Alternatywy nie ma, chociaż jest alternatywa – śmierć. Jeżeli tylko nie ma przeciwwskazań pacjent może być zakwalifikowany do przeszczepu nerki, który jest najwspanialszą formą leczenia, bo zastępuje wszystkie funkcje nerki zdrowej. A co jeśli nerka zostanie odrzucona? Pacjent wraca do programu dializ.

Leczenie „nerkozastępcze” trwa praktycznie przez całe życie. Należy tu wspomnieć o ostrej niewydolności ne-

rek i tak zwanej przewlekłej niewydolności nerek. Ostra niewydolność, która występuje na skutek odwracalnych uszkodzeń, pozwala po okresie zdrowienia wrócić nerkom do ich pełnej funkcji. Z pozoru wydaje się to dziwne, że ostra niewydolność nerek jest korzystniejsza od przewlekłej, ale niestety, to właśnie przewlekła niewydolność jest nieodwracalna. W tym przypadku chorzy do końca życia muszą być leczeni nerkozastępczo. Zaczynając zawsze od dializ, a kończąc, jeżeli nie ma żadnych przeciwwskazań, na przeszczepie nerki. Przeszczep nerki to optymalne rozwiązanie, bo zapewnia wszystkie funkcje nerki zdrowej. Jeśli jednak coś się z nerką przeszczepioną dzieje, albo jest odrzucana od razu, albo po pewnym czasie, wtedy chory wraca do programu dializ, bądź czeka na następny przeszczep, itd. W każdym razie do końca życia ma zapewnione leczenie nerkozastępcze.

– Jak długo czeka się na nerkę?

– To praktycznie loteria: rok, dwa lata, kilka miesięcy. Transplantacja już tak się rozwinęła, że jeżeli faktycznie ktoś czeka dłużej niż dwa lata jest kierowany do tak zwanej szybszej drogi, żeby nie czekał za długo, ponieważ to też nie jest wskazane. Najważniejsze jednak jest to, by nerką cieszyć się jak najdłużej. Niektórzy nie mają jednak tyle szczęścia.

Los na loterii życia

40-letni Piotr, który na dializy dojeżdża ze Świętochłowic nie miał szczęścia. – To znaczy miałem – mówi – ale nie do końca. 8 lat temu otrzymał nerkę. Przeszczep się udał, żył z nim 4



Foto: Józef Wróbel

lata. Później zaczęły się problemy i wtedy wrócił do programu dializ. Dziś jak wszyscy, trzy razy w tygodniu przyjeżdża do Kliniki, by zostać poddanym dializie. Kiedyś pracował, miał swój warsztat stolarski, poukładane życie. Dziś nie pracuje, dializy na to nie pozwalają. Jednak ciągle marzy o aktywności zawodowej i pewnie dlatego mimo, że boi się rozczarowań, zdecyduje się na powtórny przeszczep. Jest ponownie pełen nadziei, zwłaszcza wtedy, gdy czuje się dobrze. Może znów się uda i wygra na loterii życia kolejną nerkę, na kolejne cztery lata. A później? O tym nie myśli.

Bardziej rozgoryczony i niechętny do rozmowy jest 42-letni Andrzej z Katowic. Dlaczego? Bo jest chory, bardzo długo jest już chory, od 17. lat. Wtedy po raz pierwszy dowiedział się, że te „fasolki” o długości 10–14 cm, grubości 3–4 cm i ciężarze 120–200 gramów będą problemem jego życia. Ma za sobą 13 lat leczenia farmakologicznego, 4,5 roku dializ i może dlatego, że jeszcze nigdy nie miał przeszczepu, tak bardzo cierpi psychicznie, tak bardzo pograża go myślenie o swojej chorobie. Szybko się żegna i wychodzi ze szpitala pospiesznie, jakby czym prędzej chcąc zapomnieć...

Piotr, Andrzej, Bernard, który jako ostatni opuszcza salę dializ, ciągle starają się wierzyć, że się uda. Dziękują Bogu, że takie ośrodki, jak katowicki istnieją i w oczekiwaniu na nerkę mogą być dializowani...

Czy wiedzą, komu oni i im podobni zawdzięczają swoje życie?

Tylko nie Kokot!

Kiedy w 1977 roku doktor Rafał Wnuk kończył ćwiczenia na nefrologii to – jak wspomina – profesor Kokot był postrachem. Wszyscy młodzi, przyszli lekarze uważali, by się na niego nie natknąć. Szanowali go, cenili za dokonania, ale jednocześnie bali się.

– Pamiętam, jak dziś, że gdy kończyliśmy blok na nefrologii to powiedziałem do kolegów w szatni ubierając się po ostatnich zajęciach: jedno jest pewne, tu pracować nie będę – mówi doktor Wnuk. Ale potem, jak to w życiu bywa okazało się, że dla młodego, ambitnego lekarza nie ma pracy, jedyna możliwość jaka się otwierała to była praca właśnie u profesora Franciszka Kokota. I na nic zdały się okrzyki: byle nie do Kokota!... bo właśnie u profesora odnalazł swoje miejsce przyszły prezes Fundacji Dializa.



Prof. dr hab. nauk med. Franciszek Kokot - twórca śląskiej nefrologii

Jeszcze pierwszego dnia, kiedy przeszedł do nowej pracy mówił: „rany boskie, koniec życia...”, ale właśnie wtedy wyszło na to, że był to początek życia. Profesor okazał się wspaniałym człowiekiem i dziś doktor Wnuk absolutnie nie żałuje swojej decyzji: – Dzięki pracy w tej klinice poznałem mnóstwo ludzi, czołówka światowa nefrologów przewinęła się przez tę klinikę, a przede wszystkim poznałem profesora i mogłem pracować u jego boku – dodaje Rafał Wnuk, który dziś o mistrzu Kokocie mówi „GURU”. – Profesor jest moim guru – i na szczęście – przyjacielem już w tej chwili. Współpracujemy ze sobą 25 lat. Profesor jest postacią tak znaczącą, właściwie dostał już wszystko – jak mówi – co mógł dostać, a nawet w swojej skromności dodaje, że dostał znacznie więcej niż zasłużył... Profesor jest naprawdę wspaniałym naukowcem, genialnym lekarzem, przyjemnością było współpracować z nim, uczyć się od niego. Jednocześnie jest to człowiek absolutnie skromny, czasami zbytnio skromny, bo np. nie da się niestety namówić na częste występowanie w mediach, choć inni tą metodą zdobyli sławę. Profesor zdobył ją jednak inaczej. Ale też przede wszystkim liczy się dla niego chory i jak mówi, nic nie może być bardziej tragicznego dla lekarza, niż to, gdy wie jak można chorego uratować, ale musi mu odmówić, bo nie ma

na to pieniędzy – dodaje doktor Wnuk. Trzeba było znaleźć wyjście z tej sytuacji, po to by pomóc wszystkim potrzebującym pomocy pacjentom. Profesor znalazł takie wyjście.

Sieć stacji życia

Przed dziesięcioma laty z inicjatywy profesora Franciszka Kokota powołana została Fundacja „Dializa”, której podstawowym zadaniem jest gromadzenie środków w każdej postaci: przekazów pieniężnych, darowizn, zapisów i spadków a także w formie bezpośredniej pomocy w aparaturze medycznej i lekach. Początki, jak w wielu tego typu inicjatywach, nie należały do łatwych. Ale bardzo szybko znalazły się osoby prywatne i firmy, które jak magnes przyciągało nazwisko profesora Kokota, te zaś z kolei gwarantowało całkowitą uczciwość i wagę podjętej inicjatywy. Do pracy w fundacji włączyli się: doktor Rafał Wnuk, mgr Małgorzata Olejnik, doktor Zofia Mleczko-Nycz i pani Danuta Kędra. Żadnych struktur, tak by jak najwięcej

pieniędzy przeznaczyć na leczenie pacjentów, a jak najmniej na niepotrzebne wydatki. Jedyną osobą na tzw. etacie jest pani Bożena Hładczuk, księgowa. Kiedy fundacja powstawała należało poznać potrzeby, jakie powinna zaspokoić. W znacznej mierze pracę tę wykonał profesor Kokot, który był konsultantem regionalnym, w tamtych czasach dla czterech województw – katowickiego, częstochowskiego, bielskiego i opolskiego, a obecnie dla województwa śląskiego.

– Jeździliśmy po różnych szpitalach, ośrodkach zdrowia i zazwyczaj tak staraliśmy się dobrać te nasze cele wędrowek, żeby stworzyć sieć stacji, ale tak rozłożonych, aby dostępność i dojazd do dializ był jak najkrótszy, żeby pacjenci z Zawiercia nie dojeżdżali do Sosnowca, Katowic, czy do Siemianowic. Dlatego tworzone stacje tak, by zaspokajały maksymalnie potrzeby chorych – mówi doktor Wnuk. Niestety nie wszędzie spotkali się z odzewem. Były szpitale, gdzie nawiązali kontakt i gdzie stacje powstały, ale niestety są jeszcze takie miejsca, białe plamy, gdzie nadal stacji dializ nie ma: – Jeździliśmy, rozmawialiśmy, a po uzgodnieniu, że stacja dializ powstaje, służyliśmy pomocą przy projektowaniu, często finansowaniu, a nawet zasilaniu w kadrę, w doświadczony personel medyczny, co profesor nazywał „łagodnymi

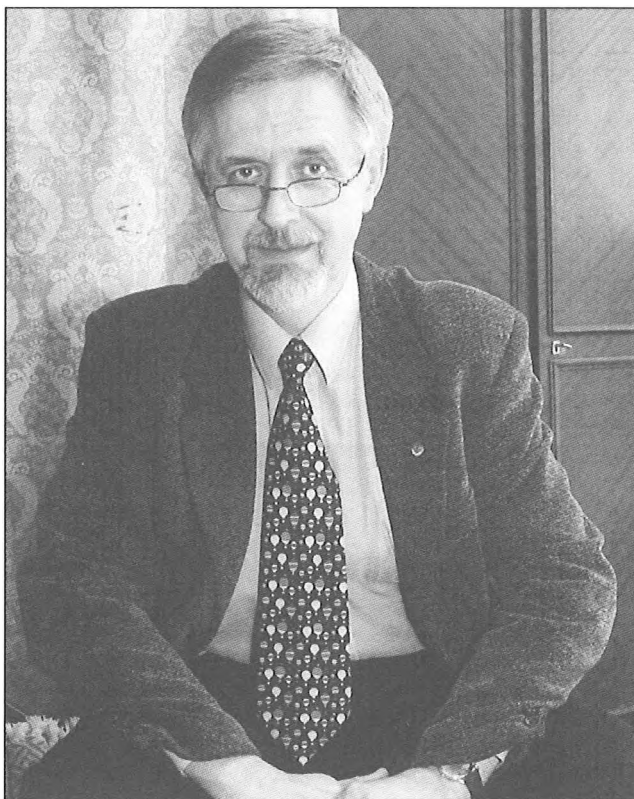
przerzutami z kliniki". Ale dzięki temu były to stacje rzeczywiście prowadzone przez doświadczonych nefrologów".

Przez te 10 lat działalności fundacja brała bezpośredni udział w rozbudowie klinicznej stacji dializ w Katowicach przy ulicy Francuskiej oraz w organizacji ośrodków w Wysowej (to jedyny uzdrowski ośrodek), w Suchej Beskidzkiej, Oleśnie Śląskim, Cieszynie, Chrzanowie, Oświęcimiu i w Dąbrowie Górniczej. Dziś w całym województwie śląskim istnieje 19 stacji dializ, które dializują 1172 chorych. To, że fundacja otwierała stacje oznacza także, że pomagała we współfinansowaniu nie tylko sprzętu medycznego, ale również często całego otoczenia stacji, w finansowaniu remontu i tym podobnych rzeczy.

O Fundacji jest głośno. Organizuje różnego rodzaju imprezy np. koncerty, z których dochód przeznaczony jest właśnie na jej działalność. To dla fundacji występowali m.in. Marek Balata, Ryszard Rynkowski, zespół Pod Budą, Hanna Banaszak, czy katowicki WOSPR wraz z Wiesławem Ochmanem. Przez te lata fundacja zebrała ponad milion złotych i liczy na więcej.

Każda forma, która może pomóc fundacji jest przez nią akceptowana i do dzisiaj zgłaszają się ludzie, których dotknął problem choroby nerek, dotknął ich lub kogoś z ich bliskich, rodzinę, przyjaciół. Często są to byli pacjenci, którzy zawdzięczają zdrowie wysiłkom lekarzy, ale również jest to kwesta codzienna, rozsyłanie próśb po różnych bogatych instytucjach, ale także wśród ludzi niezbyt bogatych. Dla fundacji nie ma właściwie różnicy, czy to jest duży bank, który dał kilkadziesiąt tysięcy, czy to jest emeryt, który ofiarował 20 czy 30 złotych. Mieli ucznia, który dał 20 złotych, lecz dla fundacji każda kwota jest równie cenna. I to nie tylko dlatego, że jest przekazana dla chorych, ale dlatego, że świadczy o poczuciu solidarności i uświadamia, że takie potrzeby po prostu istnieją – mówi doktor Wnuk.

A potrzeby są ogromne: – Dializatory, czyli przewody, są w większości im portowane. Ich cena oparta jest na kursie dolara. Nie jesteśmy już krajem, który może liczyć na jakieś duże ulgi, bo staramy się o wejście do Unii, a więc weszliśmy już bezpośrednio do grupy nie wymagającej tak znacznej pomocy. Oblicza się, że koszt dializy, cena sprzętu do dializy to jest 100 dolarów, czyli mniej więcej 400 złotych.



Dr Rafał Wnuk. Najbliższy współpracownik profesora Kokota od powstania fundacji.

I tutaj zaczynają się problemy. Na razie jest to leczenie, które obecnie jest pokrywane z kas chorych; niestety, tutaj zachodzi duża rozbieżność między poszczególnymi kasami wynosząca od 340 do 420 złotych. Dalej: refundacja nie obejmuje sprzętu, czyli zakupu aparatów, tak zwanych sztucznych nerek, które ani po stronie kas chorych, ani po stronie tych tak zwanych organów założycielskich konkretnych stacji dializ nie są przewidziane. To jest największy problem.

Fundacja jednak, na ile pozwalają jej środki, stara się i kupuje potrzebny sprzęt. Skrzętnie też przechowuje wszystkie rachunki, kwitki, najdrobniejsze dokumenty, by w razie najmniejszych wątpliwości móc przedstawić dokumenty. O tę część dba księgowa fundacji pani Bożena. Pokazuje szereg równo poukładanych w szafie segregatorów, w maleńkim pomieszczeniu, siedzibie Fundacji, która działając na zaledwie kilku metrach kwadratowych pomaga setkom osób, a ilu jeszcze pomoże?

Kocham cię całą moją nerką

Pan Bernard z Katowic dziś ma 75 lat, choruje od 1997 roku. Zaczęło się od podwyższonego ciśnienia podczas badań kontrolnych, a potem okazało się, że są to nerki. Najpierw były tabletki, wtedy kiedy jeszcze pracował w kopalni „Wujek”. Jednak stopniowo dolegliwości były coraz większe, aż musiał rozpocząć

dializy. Nigdy przed chorobą nie myślał o nerkach, o żołądku tak, o sercu, gdy nagle zakolatało zbyt gwałtownie również, ale o nerkach nigdy, aż do października 1997 roku. Dwa lata jest już dializowany. Po dializach czuje się dobrze, chociaż bywają dni, że długo musi dochodzić do siebie. Dziś życzy sobie już tylko jednego: otrzymać sztuczną nerkę i to jak najszybciej, by jeszcze trochę nacieszyć się normalnym życiem.

Swoje życzenia ma też doktor Wnuk, który pragnie tylko, by fundacja mogła dalej istnieć, żeby spotykała na swojej drodze takich wspólnych ludzi, jakich spotyka dotychczas. – To daje wiarę w człowieka: ci którzy mają dzielą się z tymi, którzy nie mają, a potrzebują aby żyć. To jest może takie dosyć skomplikowane zdanie, ale ukazujące chyba całą rację bytu Fundacji. Są ludzie zdrowi, którzy często mogliby powiedzieć, co mnie to obchodzi, ale jednak dzielą się tym, co mają, przekazują

dla tych ludzi biednych, a rzeczywistość chorych, z niewydolnością nerek, którzy są ludźmi bardzo biednymi – mówi doktor Wnuk i tylko mimochodem przypomina, że choroba nerek jest taką, która może dotknąć każdego.

Podobno jedno z plemion Polinezji uważa, że dusza „mieszka” w nerce. By unicestwić wroga, trzeba zjeść jego nerkę... Nerka, siedlisko duszy? Brzmi to dla nas dość dziwnie.

A jednak hasłem przewodnim członków Amerykańskiej Narodowej Fundacji Nefrologicznej są słowa: Kocham Cię całą moją nerką. Sens tych słów nie należy oczywiście brać dosłownie. Chodzi o cenę życia. Rzecz bezcenna.

Dr Rafał Wnuk (ur. w 1953 r. w Częstochowie) studiował na Wydziale Lekarskim ŚLAM w Katowicach, specjalista chorób wewnętrznych i nefrolog. Obecnie jest ordynatorem Oddziału Chorób Wewnętrznych, Nefrologii i Dializoterapii Szpitala Miejskiego w Dąbrowie Górniczej. Ma żonę Annę oraz dwoje dzieci – Zuzannę i Michała.

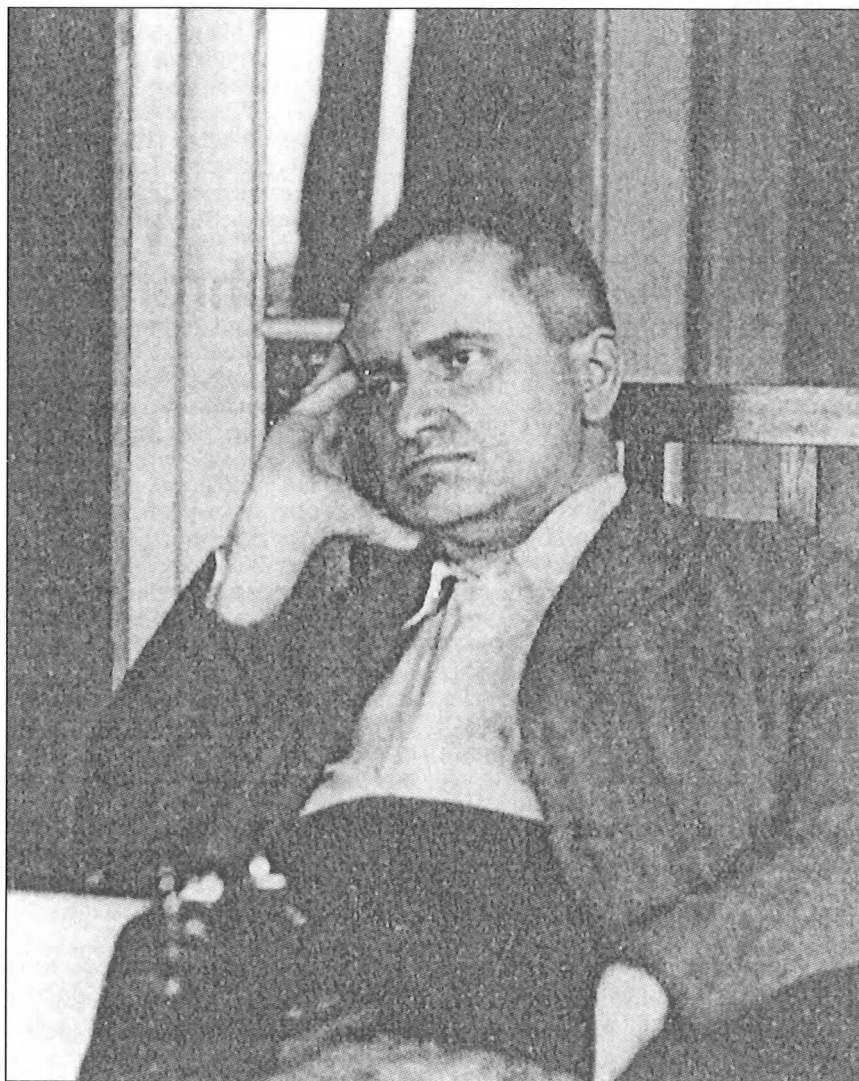


12401331-20018272-2700-401112-001-0000
PKO SA oddział w Katowicach

Numer konta
Fundacji Dializa
Fundacja Dializa
40-027 Katowice,
ul. Francuska 20

Katowiczanie z wyboru

KRYSTYNA
HESKA-
KWAŚNIEWICZ



W pięćdziesiątą rocznicę śmierci Kazimierza Gołby

27 kwietnia 2002 mija 50 lat od śmierci Kazimierza Gołby. Katowice pożegnały godnie autora *Wieży spadochronowej* - najpiękniejszej książki o stolicy Górnego Śląska. Na cmentarz przy ulicy Francuskiej przeszedł ogromny kondukt pogrzebowy. Miało to pożegnanie wymiar symboliczny, zjednoczyło całą społeczność miasta: mszę w kościele Mariackim współcelebrował bp Herbert Bednorz, a kondukt wiódł ks. prałat Stanisław Maśliński, wdowę, Helenę Gołbówą, prowadzili młody pisarz - Zbyszko Bednorz oraz przywódca powstańcy - Teodor Kulik; za trumną szli: Gustaw Morcinek, Janina Zabierzewska-Zelechowska, Włodzimierz Żelechowski, Stanisław Ligoń, Wilhelm Szewczyk, Zdzisław Hierowski, Aleksander Baumgarten, za nimi w zadumanej ciszy nieprzejrzone mrowie ludzkie: duchowieństwo, powstańcy, młodzież a przede wszystkim wierni czytelnicy.

Kazimierz Gołba nie był rodowitym Ślązakiem, urodził się 28 stycznia 1904 roku w Rzeszowie, studia historyczne odbył w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim, jego opiekun prof. Wacław Sobieski proponował mu kontynuowanie pracy naukowej (Gołba pisał i wkrótce obronił doktorat) ale przeważały pasje społecznikowskie i pedagogiczne, do realizacji których idealnie nadawał się świeżo przywrócony Polsce - Śląsk. Do Katowic przyjechał w roku 1926. Zapytany o powody tej decyzji, odpowiedział: „Pociągała mnie wtedy praca nauczycielska na terenie tak świeżo i tak krwawo przylączonym do Polski [...] Niepodobna ująć w kilku słowach, jak odbywał się długi proces wrastania mojego nie tylko w teren, lecz i w duszę Śląska. Studia historyczne przywiodły mnie do odkrycia, że całe dzieje tej dzielnicy były tragicznym dążeniem ku Polsce wbrew Polsce”. Przybył tu w momencie, gdy, po objęciu rządów przez wojewodę Michała Grażyńskiego, zaczęło się dynamicznie, choć nie bez konfliktów, kształtować środowisko o aspiracjach kulturalnych i intelektualnych. Z terenem zrosł się pisarz szybko i serdecznie, wkrótce też stał się popularny dzięki swej prężnej działalności społeczno-politycznej. Wygłaszał odczyty w Bytomiu, nie bez ryzyka osobistego wyjeżdżał na Opolszczyznę. Był prawdziwym pasjonatem pracy społecznej. Ze względu na przekonania polityczne związał się z Chrześcijańską Demokracją i z „Polonią”, co w przyszłości miało stać się przyczyną konfliktów z władzami szkolnymi. Jego twórczość publicystyczna i literacka także związana była z przeszłością i teraźniejszością Śląska. Była ona prosta, żarliwa, rozumiejąca problemy śląskie - to ona oraz wspomniana już działalność zapewniły mu ogromną popularność wśród Ślązaków. A dodajmy, że Gołba znał świat i kulturę europejską, wyjeżdżał na dłużej do Włoch, Francji, Austrii - jego wybór Śląska jako miejsca zamieszkania i tematu twórczości miał głęboką i bardzo patriotyczną motywację.

Literacko debiutował już w czasie studiów, podejmując współpracę z wieloma czasopismami. Jego pierwsza powieść *W cieniu wielkiej legendy*, osnuta na tle losów syna Napoleona I, została bardzo dobrze przyjęta przez krytykę.

W 1935 roku na scenie teatru katowickiego wystawiono jego reportaż sceniczny *Rekruci*, będący ostrą satyrą na śląskie środowisko szkolne, za co został karnie przeniesiony, mimo doktoratu z historii, do szkolnictwa podstawowego, na przedmieścia Katowic, gdzie spotkało go wiele przykrości. W dwa lata później, 1937 roku, gdy miał lat 33 (!) został przeniesiony na emeryturę i mógł się swobodnie oddać pracy literackiej i społecznej. W roku 1938 wydał powieść *Młodzieżowcy*, w której wyszydził metody

wychowawcze wprowadzane do szkolnictwa, ośmieszył władze szkolne. Książka pełna była akcentów autobiograficznych; ukazywała środowisko szkoły powszechnej, ubogą społeczność wielkoprzemysłowego miasta, pojawiały się satyryczne przerysowania i łatwe do odgadnięcia szyfry (ktoś noszący nazwisko Śliwa - w powieści występuje jako „Grusza”) i wywołała skandal porównywalny z *Rekrutami*. Wydana w rok później kolejna powieść *Dusze w maskach*, będąca śląskim wariantem *Nikodema Dyzmy* też miała charakter satyryczny, a śląskie szyfry były w niej bardzo czytelne.

Ze względu na przekonania polityczne Gołba był bliski Wojciechowi Korfantemu i wierny był tej przyjaźni aż do końca, bez względu na koniunkturę polityczną. Po śmierci Korfante- go, 20 sierpnia 1939 roku opublikował Gołba w katowickiej „Polonii” wiersz „Wodzu!”, w którym oddał hołd Zmarłemu. W przeddzień wybuchu wojny poeta odważnie i dramatycznie przypominał:

*Poblądł Niemiec i słucha...
Nad Odrą wstaje zorza,
A dzwony jak szalone biją
groźne „Amen”
Z woli Bożej z Opola, Strzelec,
Raciborza,
gdzie „linia Korfante- go”
czeka - Twój Testament.*

Nie opuścił pisarz Katowic we wrześniu roku 1939. Świadom ryzyka, pozostał w mieście, uczestniczył więc osobiście w tragicznych dniach, które później stały się tematem *Wieży spadochronowej*. Już dziewiątego września przyszło po niego gestapo. Nieludzko skatowany w więzieniu na Montelupich w Krakowie, cudem odratowany, do końca życia był inwalidą. Po uwolnieniu okupację spędził w Sosnowcu, zbierając materiały, pisząc, a przede wszystkim prowadząc z narażeniem życia tajne nauczanie.

Z tym okresem jego biografii wiąże się też niezwykła historia Bolka - kilkuletniego sieroty, którego Helena Gołbowa, żona pisarza, wykradła z sierocińca w Sarnowie na kilka godzin przed wywiezieniem dzieci na śmierć - do Oświęcimia. Pisarz przyjął dziecko do swego domu i zastąpił mu ojca, a - Marylka, córka Gołby, w ten oto niezwykły sposób zyskała brata. Przez wiele niełatwych lat, przezwyciężając własne cierpienie, uczył Bolka na nowo żyć. Jego imię dał później jednemu z bohaterów *Wieży spadochronowej*.

Po wyzwoleniu powrócił twórca do Katowic i bardzo intensywnie pracował pisarskiej, w całości poświęconej tematyce śląskiej. Może ona imponować, gdy zważyć, że był ciężko chorym, przykutym do fotela czło-

wiekiem. Kilka dramatów, kilkadziesiąt opowiadań, ogromna publicystyka, („Gość Niedzielny”, „Odra”, „Ogniwa”, „Niedziela” i in.) a przede wszystkim *Wieża spadochronowa*.

W roku 1947, w 150 rocznicę urodzin Józefa Lompy, Instytut Śląski w Katowicach wydał widowisko sceniczne Kazimierza Gołby pt. *Lompa*., poświęcone jednej z najważniejszych postaci w okresie Wiosny Ludów na Śląsku. Widowisko zostało wystawione w Katowicach 26 czerwca 1945 r. 18 spektakli oglądnięto ponad 6.000 widzów. Reżyserem i odtwórcą głównej roli był Karol Adwentowicz, który w tym samym roku powtórzył katowicką inscenizację w Teatrze Powszechnym im. Żołnierza Polskiego w Krakowie. Było to wydarzenie teatralne sezonu. Ideę utworu wyrażają słowa Lompy, że „przebudzone Śląsko szło będzie odtąd ku Polsce” i choć w wymiarze ludzkim widowisko kończy się klęską Lompy równocześnie pojawia się wiara, że to klęska jednostki a nie sprawy, że jest ona zapowiedzią zwycięstwa idei, która nie ginie.

Najważniejszym dokonaniem Gołby stała się jednak *Wieża spadochronowa* - opowieść o powstańczej i harcerskiej obronie Katowic we wrześniu 1939 roku. Geneza książki wiąże się ściśle z sytuacją zaistniałą na Śląsku w latach powojennych, kiedy posypały się, głównie ze strony mieszkańców Zagłębia, częściowo przez Gołbę sprowokowanych, ataki na Ślązaków, oskarżające ich o kolaborację z okupantem i entuzjastyczne witanie wkraczających na katowickie bruki wojsk niemieckich. Gołba, tak serdecznie ze Śląskiem związany, atak ten odczuł bardzo boleśnie. Świadczy o tym gorąca, bolesna i jakaś rozpaczliwie drapieżna publicystyka z tego okresu. Przynosiła ona jednak szeroki rezonans społeczny, tak ważny dla przykutego do jednego miejsca twórcy. Najbardziej wzruszyła go przesyłka w postaci paczki papierosów, do której dołączony był czterowiersz:

*Że współczują tukej z nami,
ludziskami z papiońkami,
zakurzym se od Ślązaczki,
papierosa z Unra - paczki.*

Ale równocześnie wydarzenie stało się impulsem do chwytności za pióro. W odpowiedzi na ankietę „Odry” w 1946 roku napisał: „Związany więzią serdecznego braterstwa z Ślązakami, nie opuściłem Katowic z chwilą wybuchu wojny. Byłem naocznym świadkiem bohaterstwa powstańców i harcerzy broniących Śląska po odejściu rozbitych wojsk polskich. Ze Śląska usunęło mnie dopiero Gestapo”. Z tego faktu wypłynęło podjęcie tematu obrony Katowic pojmowane w kategoriach obowiązku pisarskiego

sumienia. Książka miała być świadectwem prawdy. Pisarz skierował apel do czytelników „Gościa Niedzielnego”, z którym stale współpracował, zatytułowany „O honor Katowic”. Pisał w nim min. „Rozstrzeliwani na hałdach czy ulicach Katowic i pochowani w zbiorowych mogiłach nie przemówią już nigdy. Ale żyją na pewno jeszcze niektórzy członkowie ich rodzin, ich przyjaciele i bliscy, którzy mają w pamięci jeszcze niejedno nazwisko. Nie można pozwolić, aby te okruciny pokryły wieczne milczenie...”. Bogaty materiał zebrany z ankiet, relacji świadków, źródeł polskich i niemieckich, stał się podstawą faktograficzną do napisania opowieści o Katowicach we wrześniu 1939 roku.

Miasto jest pierwszoplanowym bohaterem *Wieży spadochronowej* poświęconej Katowicom i wśród innych zagadnień poruszonych przez pisarza właśnie sposób ukazania stolicy Śląska, jest ważną i jedną z najbardziej charakterystycznych cech książki. *Wieża spadochronowa* jest tak dokładnym opisem miasta, że na jej podstawie można szczegółowo odtworzyć jego topografię w okresie przedwojennym. Autor wymienił 33 ulice, 10 dzielnic, 1 rzekę i 51 punktów topograficznych (instytucje, sklepy, szkoły, etc.) nakładając na wydarzenia gęstą siatkę lokalizacyjną.

Dwa pokolenia ojców i synów, powstańców i harcerzy uczyniła z Domu Powstańca i wieży spadochronowej reduty, z których będą prowadzić walkę, jak ją nazwie pisarz, „o honor Katowic”. Jest to bardzo ważne określenie, gdyż dla harcerzy honor, tak silnie zakorzeniony w polskiej kulturze i obyczajowości, był najważniejszy, kształtował harcerski etos, silnie nawiązujący do rycerskiego dziedzictwa. O Stachu Jadwiszczoku narrator wprost powie, iż „Porywał go przykład sienkiewiczowskich bohaterów: Podbiptę i Skrzetuskiego, którzy również przekradali się samotnie”. Podjęcie walki jako sprawy honoru pojawi się w *Wieży spadochronowej*, tak jak zresztą w całej literaturze o wrześniu 1939 roku.

Wielka miłość do Katowic promieniuje z całej książki, ona też określa ich wygląd. Nie jest to przestrzeń brudna i zdegradowana przemysłem, przez którą przewala się anonimowy tłum. Miasto, które opisane zostało w „Wieży spadochronowej”, jest przede wszystkim wielkie, z długimi arteriami ulic pełnymi ludzi, przecinane pasmami szyn tramwajowych, i tunelami kolejowymi, ozdobione placami i zieleńcami, na których znajdują się wypielęgnowane klomby i trawniki. Obrazu całości dopełniają rude hałdy, które jednak tutaj nie są symbolem brzydoty i zniszczenia środowiska ale wraz z dymami hut i ko-

palń stanowią znak śląskiego krajo-
brazu, są zmiennym genius loci
a zarazem podstawowym elementem
toposu Śląska: póki dymią kominy
i wznoszą się rudziejące hałdy - Śląsk
żyje.

Najwyższym jego punktem jest
Park Kościuszki, odmalowany
w książce w pełnej krasie barw póź-
nego lata, ku temu miejscu „wspina
się” cały obszar miejski, który jest
różnorodny, pełen wzniesień, nachy-
leń i zapadlisk.

Akcja opowieści toczy się tak, by
można było pokazać całe miasto: od
jego serca - Rynku - promieniście
biegnie aż po odległe dzielnice
(Dąb, Ligota, Piotrowice, Brynów,
Ochojec, Bogucice, Załęże). Zaczy-
na się przy położonym centralnie
dworcu kolejowym, skąd wydarze-
nia będą toczyć się wzdłuż ulic: Ko-
ściuszki, 3 Maja, Gliwickiej, Miko-
łowskiej, Zamkowej i Warszawskiej
oraz ich przecznice, by ostatecznie
znow powrócić do Rynku i tam, oraz
w Parku Kościuszki, zamknąć akcję.
Także głównie tymi ulicami, znow
zmierzając ku Rynkowi i do Parku
wkraczać będą do miasta wojska
niemieckie. Polskie Katowice są ży-
wą i czującą istotą, przeżywającą ból
i strach, są one życiem bohaterów
książki i razem z nimi umierają.
Zbiorowy portret Ślązaków w mo-
mentach wrześnie wojennej przeciw-
stawia się jednobarwnej martyrolo-
gicznej ekspresji. Tu właśnie obok
strzałów powitają Niemców także
kwiaty, co spotęguje tragizm wspo-
mniany na początku naszych rozwa-
żań, gdyż ujawni, jak wrzesień na
Śląsku dramatycznie podzielił rodzi-
ny, domy, ulice. Zapalony harcerz
Paweł Schwerfeger jest synem
Niemca, działacza Volksbundu,
a obok rodzin polskich wystąpią ro-
dliny zdecydowanie niemieckie (np.
Wallotkowie), którym będzie dane
przeżyć nie tylko upojne chwile ra-
dosnego „heilowania” ale też i wła-
sne tragedie.

Najważniejsze wypadki: strzał do
niemieckiego oficera i obrona wieży
spadochronowej rozgrywają się
w Rynku i w Parku Kościuszki i im
bardziej zbliżamy się do zakończenia
książki tym bardziej wszystko za-
gęszcza się wokół tych dwóch miejsc.

Powstańcy i harcerze, ci z Domu
Powstańca i ci z wieży spadochro-
nowej podejmują pełną determinacji
walkę. Te grupy są najwyraźniej
zarysowane w opowieści. Bohatero-
wie książki to zarówno postacie au-
tentyczne, noszące swe własne imię
i nazwisko, jak i postacie literackie.
Ze strony polskiej bohaterami histo-
rycznymi są: Walenty Fojkis, Jan Fa-
ska, Michał Grażyński, Bolesław Pa-
łędzki, Nikodem i Józef Rencowie
(ojciec i syn), Rudolf Niemczyk,
Franciszek Kachel, Antoni Rulczyń-
ski oraz tak znani działacze śląscy

jak Komander, Grzesik, Kocur, Ko-
ścielniak, Gruszka. Są też postaci
bez nazwiska lecz bardzo łatwe do
rozpoznania: oto np. Stach pod gma-
chem Radia przy ul. Ligonia spotyka
swego profesora, „który swego czasu
porzucił szkołę dla radia” łatwo się
domyśleć, że to Stefan Tymieniecki,
dawny nauczyciel z „Kopernika”;
zaś ze strony niemieckiej należą do
nich: Willi Pisarski, Wulfen, Pion-
tek, Joske, gen. Neuling. Największy
może tragizm zawarty w *Wieży spa-
dochronowej* wyraża się w tym, że
pokolenie ojców - powstańców ślą-
skich, działaczy patriotycznych
i społecznych posiada swą reprezen-
tację w książce w postaci konkre-
tnych osób; pokolenie synów, harce-
rzy - jest anonimowe, skryte za fik-
cyjnymi nazwiskami: Stacha, Bolka,
Tereski Jadwiszczoków i ich przyja-
ciół. Nawet Paweł Schwerfeger ma
nieprawdziwy życiorys, gdyż na-
prawdę nie zginął on na wieży!
W ten sposób pomnożony został dra-
mat tego pokolenia. I choć harcerska
obrona wieży spadochronowej jest
faktem historycznym - nazwisk jej
obrońców, mimo wielu wysiłków nie
udało się poznać. Być może, że pi-
sarz znał prawdziwe nazwiska ale
z powodów, o których istnieniu mo-
żemy tylko domniemywać, nie wpro-
wadził do swej opowieści. I choć dał
pewne wskazówki, to zrazem tak za-
szyfrował imiona, nazwiska i miej-
sca pochodzenia tak, że wciąż tego
kodu nie umiemy odczytać.

Pisarz swą opowieść o harcerskiej
obronie Katowic kończy bardzo
pięknym, symbolicznym obrazem:
oto cień wieży spadochronowej
wbrew prawom natury zatacza coraz
szersze kręgi, pada na cały Śląsk;
wszędzie tam, gdzie wrze święta
walka o wolność. W ten sposób
stworzył pisarz przejmującą scenę,
w której umierają bohaterowie a ro-
dzi się legenda bohaterskiej obrony
miasta. Znow z perspektywy najwyż-
szego punktu Katowic, teraz już po-
trząskanej wieży spadochronowej
w Parku Kościuszki. I od razu widzi-
my jak ta legenda rośnie, ogarnia ca-
łe miasto, a potem cały Śląsk, by stać
się wreszcie symbolem wierności oj-
czyźnie. Tak miasto zostaje podnie-
sione do rangi najwyższej - bo w je-
go dzieje zostaje wpisana czysta
młodzieńcza ofiara. Ta scena wyty-
cza zarazem dalszą perspektywę, i li-
teracką, i historyczną, wprawdzie gi-
ną bohaterowie, ale zostaje miasto,
w które wsiąkli ich krew i to ona wy-
da płon stokrotny - to właśnie jest
cień wieży spadochronowej.

Uważna lektura *Wieży spadochro-
nowej* ukazuje jej głębię ideową, mą-
drość i znajomość zagadnienia. Tyko
pozornie stanowi ona prostą i łatwą
w odbiorze lekturę dla młodzieży.
W gruncie rzeczy jest to książka,
w której powiedziano o Śląsku tak

wiele głęboko prawdziwych rzeczy,
że wszystkie pokolenia młodych Po-
laków powinny się na niej uczyć
prawdy o tej ziemi.

★ ★ ★

Pierwsza edycja *Wieży spadochro-
nowej* ukazała się w roku 1947
i została przyjęta dobrze; życzliwie
przez krytykę, przez czytelników en-
tuzjastycznie. Jednak fakt, iż opo-
wieść o harcerskiej obronie Katowic
wyszła spod pióra Kazimierza Gołby,
pisarza o orientacji katolickiej, przed
wojną blisko związanego z Korfan-
tym, dla nowej rzeczywistości i nad-
chodzącego już wielkimi krokami
stalinizmu, nie był argumentem na jej
korzyść. Wkrótce zaczęły się represje
wobec harcerzy, przyjmujące nieraz
formę drastyczną. W 1949 roku za-
wieszono działalność Związku Har-
cerstwa Polskiego, a w bibliotekach
zaczęły się czystki, wycofywano z bi-
bliotek min. całą literaturę harcerską.
Nastąpiła cisza wydawnicza. *Wieża
spadochronowa* podzieliła teraz los
innych harcerskich książek. Wycofa-
na z bibliotek i skazana na przemiał,
nie wznawiana - zesłała do drugiego
obiegu (choć oficjalnie istniał zapis
Młodzieżowców).

Po październikowej odwilży,
w 1957 r. katowickie wydawnictwo
„Śląsk” wznowiło *Wieżę spadochro-
nową* ze wstępem przyjaciela zmarle-
go pisarza, historyka, Alojzego Targa,
w wysokim, dziesięcioletnim nakła-
dzie. Książkę znikła z półek księ-
garskich błyskawicznie. Nowe poka-
lenie młodzieży powitało ją jak dobrą
znajomą. Dziesięciolecie nieobec-
ność na półkach księgarskich nie za-
szkodziła jej wcale. Od tej chwili by-
ła wielokrotnie wznawiana.

Dzisiaj spuścizna literacka Kazi-
mierza Gołby jest już właściwie czy-
telniczo martwa, choć niektóre
z *Obrazków śląskich* (wydał je już
pośmiertnie PAX w 1954 roku)
można by z powodzeniem włączyć
np. do „czytanek śląskich”. Jest ona
cennym dokumentem tamtych cza-
sów i dowodem siły przyciągania
Śląska. Tylko skromna opowieść
o harcerzach śląskich we wrześniu
1939 wciąż wygrywa wyścig z cza-
sem. Choć nie wznawiana od 1996
roku, nieobecna w księgarniach
i usunięta z lektur szkolnych - to jed-
nak podana do ręki młodego czytel-
nika wciąż wzrusza. Nie byłoby
1. listopada zniczy pod wieżą spado-
chronową i na katowickim Rynku,
nie byłoby łuny światła i wart hono-
rowych przy mogile harcerzy i po-
wstańców na panewnickim cmentar-
zu, wciąż żywej pamięci mieszkań-
ców Katowic, gdyby nie książka Ka-
zimierza Gołby.

„Gusta i guściki“ - to przebudzenie francuskiego kina. Wspaniały film, subtelny i zwariowany. (L'Evenement du Jeudi)

Francuzi oszaleli na punkcie tej - ich zdaniem - komedii. W wielu punktach gotów jestem podzielić ich entuzjazm, ale wcale nie jestem pewien, czy to jest komedia.

„Gusta i guściki“ Agnes Jaoui, to pozycja wcześniejsza, niż „Amelia“. Stąd też mowa o „przebudzeniu francuskiego kina“. Fabuła opowiada o fabrykancie, czterdziestoparolatku, żonatym z dyplomowaną dekoratorką wewnątrz, (niemal całkowicie zaabsorbowaną swoim pieskiem, państwo Castella są bezdzietni), pan Castella jest trochę staromodny: ubiera się konwencjonalnie, nosi wąsy, nie zna angielskiego. Jest całkowitym przeciwnieństwem swojego doradcy, którego mu podrzuciła Rada Nadzorcza. Ten jest modelowym nowoczesnym menedżerem, który próbuje nieco ucywilizować bardzo mieszczańskiego pana Castella. Trzeba zacząć od nauki angielskiego. Tak w życiu przemysłowca pojawia się Clara, odprawiona już po pierwszej lekcji. Niezbyt młoda, niezbyt atrakcyjna, nie chce mówić po francusku. Pan Castella ma jej dosyć. Traf chce, że siostrzenica pana Castella jest początkującą aktorką i wujostwo, bez ochoty, wybierają się do niewielkiego teatru, gdzie, w aktorce grającej Berenikę, bohaterkę tragedii Racine'a, pan Castella rozpoznaje Clary, nauczycielkę angielskiego. Słuchając monologu Bereniki, pan Castella płacze! Niebawem jeszcze raz pójdzie na to przedstawienie. Czy dla Clary? Niezbyt młodej, niezbyt atrakcyjnej? I dla niej. I dla sztuki. To znaczy dla „Bereniki“ Racine'a i sztuki w ogóle. Bo pan Castella doznał olśnienia. Jeszcze nie wie, na czym to olśnienie polega. Ale odczuwa silny głód bycia z artystami. Weiska się między nich, narzuca się ze swoim natrętnym towarzysztwem, opowiada kretyńskie dowcipy, najchętniej o rzyganiu i ekstrematach. Nie ulega wątpliwości: jest zauroczony Clary, podejmuje lekcje angielskiego i czyni szybkie postępy, gdy jednak jako zadanie domowe przedstawia ułożony przez siebie w „basic English“ okropny wierszyk, będący dość przejrystym wyznaniem miłosnym, Clara stanowczo ostudzi jego miłosne zapęły.

Historia przemysłowca, pana Castella i aktorki Clary - to jest twardy rdzeń filmu. Ale jest tak, że Clara ma przyjaciółkę-kelnerkę, która odnawia dawną, przelotną znajomość z kierownicą pani Castella, lecz romans nawiąże z jego kolegą, ochroniarzem pana Castella, byłym policjantem, który odszedł z państwowej posady, gdy przekonał się, że minister-tajdak i złodziej jest poza zasięgiem sprawiedliwości. To przystojny, silny mężczyzna, który zrobił piorunujące wrażenie na barmanie, ale i ona na nim. Czy otwiera



Gusta i guściki

się przed nimi jakaś szansa? Barmanka prowadzi pokątny handel narkotykami, co go oburza. Sypia oto z przestępczynią. Oboje są spragnieni miłości. Także ów szofer, z którym przed dziesięciu laty poszła do łóżka. On tego nawet nie pamięta. Na pytanie, czy się znają, barmanka odpowiada - i to właśnie jest ten francuski wdzięk: „Słabo. Sypiamy ze sobą raz na dziesięć lat“. Jest jeszcze siostra pana Castella, której nowe mieszkanie (prezent od brata) dekoruje pani Castella, narzucając szwagierce swój koszmarny gust.

Właśnie: to jest film o guście. Gust definiuje człowieka i osadza go, niczym w dybach, w stosownej klatce społeczno-towarzystwej. Ale może mu także przynieść wyzwolenie. Pan Castella, biznesem, w kwestii gustu zawierzył żonie. Ale od chwili, gdy zapłakał w teatrze, zaczyna wspinać się, z mozołem, ku własnemu gustowi.

W panu Castella dokonuje się trzęsienie ziemi; czujemy jak jego wewnętrzna przestrzeń poszerza się: oto do jego krwiobiegu przedostaje się kultura. Pan Castella zgolił idiotyczne wąsy. I nikt tego nie zauważył! To znak, że kontakt z kulturą odbywa się na znacznych głębokościach, jest wewnętrzną przygodą człowieka.

Jednocześnie pan Castella cierpi, ponieważ jego uczucie do Clary nie jest odwzajemnione. A to uczucie jest także dowodem na to, że gust pana Castella wyrabia się. Clara czyni mu wymówki, że kupił abstrakcyjny obraz, aby się jej przypodobać! Nie, odpowiada pan Castella, kupilem, bo mi się podobał.. Clara nie nadąża za tempem przemiany, jaka dokonuje się w panu Castella. I nie jest tak, że prze-

POZA KADREM

mysłowiec porzuca swoją fabrykę, zostaje producentem, czyli zmienia skórę. Nie. To byłoby łatwe, łatwiej jest zmienić skórę, niż duszę. Ten trud podjął pan Castella. Podjął go także szofer pani Castella, odnalazł się w miłości do muzyki. Przegra ochroniarz, ponieważ nie potrafi wyjść z ram, w jakie niegdyś wtoczył swój świat i własne o nim mniemanie. Sama pozostaje barmanka, która chciała poprawić swoje życie, czyniąc zło. Zwycięża

siostra pana Castella, która pod nieobecność szwagierki, dekoratorki-tyrana, przerabia wnętrza mieszkania wedle własnego gustu. Przegrywa pani Castella, która nie potrafiła zaakceptować rodzącego się, bardziej wyrafinowanego smaku małżonka. Wygrywa swoją szansę na miłość Clara, która po pięknym występie na scenie w roli Heddy Gabler („Ten słynny humor norweski!“ - rzuca ktoś z kręgu Clary i wszystkich ten bon mot niesłychanie bawi, i tylko pan Castella nie wie, dlaczego to takie śmieszne; lecz to było u początku jego przemiany), okłaskiwana, szuka oczyma pana Castella: jest, przyjął jej zaproszenie, i dopiero jego okłaski są prawdziwą nagrodą za jej rzetelny trud artystyczny. Jego! Ponieważ jego gust jest wartością bezcenną: dopracował się go, nie rezygnując z siebie dotychczasowego.

Scenariusz filmu jest dziełem Agnes Jaoui i Jean Pierre'a Bacri. Ona jest jednocześnie odtwórczynią roli barmanki. On gra pana Castella. Co więcej: ona jest reżyserem filmu, i tylko sceny, w których ona gra, reżyserował on. W życiu prywatnym są partnerami. My ich nie znamy. Dla nas są nowi. Dwie silne indywidualności francuskiego kina. Ich wspólnym dziełem jest film prosty w formie, ale wewnętrznie bogaty i skomplikowany. Pogodny i żartobliwy, zarazem bardzo serio, bo idzie w nim nie tylko o życie człowieka, ale i o jego smak, czyli kulturę, czyli duszę. Ktoś pisze: dlaczego taki film nie powstał w Polsce? Może to niemożliwe. Może musi go poprzedzić cała historia kina francuskiego, z Marcelem Carne i Rene Clairem, Janem Cocteau i Jacquesem Tati, Francois Tuffautem i Claude Lelouchem. I całym zastępem francuskich magów. Plus jeden Amerykanin: Woody Allen. Ten dla Amerykanów trochę jednak zbyt europejski reżyser! Agnes Jaoui wyznaje, że przed przystąpieniem do zdjęć obejrzała raz jeszcze wszystkie po kolei filmy Woody Allena. I zrobiła film własny, lecz na jego miarę.

FELIKS NETZ



Foto: Józef Wróbel

Zagrabiony Pałac

AGNIESZKA
JASZKANIEC-
GRUSZKA

W „majestacie prawa”, nadużywając z ręcznie formalnych uchybień, można przy niegodziwych intencjach doprowadzić do bezprawnych w istocie decyzji, naruszających poczucie elementarnej sprawiedliwości i szacunek dla wartości zbiorowych. Jako oburzające społeczeństwo Śląska uznało przebiegłe zabiegi stołecznych działaczy reprezentujących Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Doprowadziły one do zawłaszczenia wielkiego majątku i wspólnego dobra jakim jest Pałac Młodzieży. I tego odczucia nic nie zmieni. Należy uczynić wszystko by odzyskać Pałac - także w majestacie prawa.

Od przeszło sześciu lat Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Dzieci z siedzibą w Warszawie dochodził swoich praw do sporej części gruntu, na którym stoi Pałac Młodzieży w Katowicach. Domagał się również przekazania istniejącej zabudowy. Podstawą do tak daleko wysuniętych żądań stał się akt darowizny dotyczący działki o powierzchni 9945 metrów kwadratowych, przekazanej 25 marca 1948 roku przez Państwową Radę Narodową Katowic poprzednikowi TPD - Robotniczemu Towarzystwu Przyjaciół Dzieci. W 1949 roku właśnie na tej działce położono kamień węgielny i wmurowano akt erekcyjny pod budowę, wówczas - Pałacu Dziecka.

Pałac nie powstał jednak ani z inicjatywy RTPD, ani tym bardziej z jego

funduszy. Koszty budowy prawie w całości poniosło społeczeństwo śląskie ofiarowując pieniądze na ten cel. Koordynatorem budowy został natomiast Społeczny Komitet Budowy Pałacu Dziecka. RTPD nie odegrało żadnej roli podczas powstawania Pałacu, praktycznie nie było też nigdy jego zarządcą. W 1951 roku Rada Ministrów podjęła uchwałę, potwierdzoną zarządzeniem Ministerstwa Oświaty, zobowiązującą Wydziały Oświaty PWRN do przejścia placówek wychowania pozaszkolnego od TPD i Związku Młodzieży Polskiej. Ustanowione prawo objęło również dopiero co wybudowany Pałac Młodzieży. Od samego początku swego istnienia placówka była więc pod auspicjami Skarbu Państwa, reprezentowanego najpierw przez Ku-

ratorium Oświaty w Katowicach, a od 1999 przez Prezydenta Miasta Katowic.

Przez pół wieku TPD nie interesowało się ani gruntem, a tym bardziej postawionym na nim Pałacem Młodzieży. Batalię o ten wyjątkowo atrakcyjny obiekt rozpoczęło dopiero w 1996 roku. Początkowo w pismach kierowanym do dyrektora Pałacu Młodzieży znalazły się zapewnienia, iż *dopóki wzniesiony budynek jest wykorzystywany na potrzeby dzieci i młodzieży, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, jako właściciel gruntu nie widzi powodów do wykorzystywania swego władztwa nad nieruchomością, gdyż jest on wykorzystywany zgodnie z celami statutowymi TPD.*

Wątpliwości TPD wzbudził jednak fakt wynajmowania części powierzchni Pałacu na działalność komercyjną. Zwrócono uwagę na istniejące od zawsze w budynku Pałacu mieszkania dla nauczycieli. Podważono także zasadność wynajmowania, w czasie nie kolidującym z zajęciami placówki, pomieszczeń na zajęcia lekcyjne Zespołu Szkół Społecznych i Policealnego Studium Zawodowego. Najwięcej kontrowersji wzbudził funkcjonujący tu sklep meblowy.

W kolejnym piśmie do dyrekcji Pałacu czytamy: *Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Dzieci dąży do odebrania swojej własności bezprawnie przejętej przez Skarb Państwa w 1951 roku - i dalej: oczywiście jest, kto jest właścicielem gruntu na którym stoi Pałac Młodzieży. Przypominamy, że od czasów rzymskich własność gruntu /jako pierwotna/ jest nierozłącznie związana z własnością budynków na tych gruntach posiadawionych. Należy także pamiętać, że wydana bez podstawy prawnej uchwała nr 571 Rady Ministrów /która dzisiaj nie może być traktowana jak akt prawa a jedynie jako akt władcy Państwa/, nakazała przejąć lokalnej administracji państwowej Pałac Młodzieży od Towarzystwa Przyjaciół Dzieci jako właściciela.*

Jak wynika z cytowanego dokumentu ZG TPD prawo rzymskie przyjmuje jako wszechobecne i wiecznie obowiązujące (choć Rzymianie Polską nigdy nie władali), a nie widzi uzasadnienia dla uznawania przepisów ustanowionych na jej terenie przed pięćdziesięciu laty. TPD nie bierze pod uwagę również faktu, że samo powstało w tym okresie, jak określa, „szczytowych represji stalinowskich”, powołane jako stowarzyszenie zarządzaniem podpisanym również przez ówczesnego Prezesa Rady Ministrów J. Cyrankiewicza.

W majestacie tak interpretowanego prawa TPD postawiło kategoryczne żądanie przekazania Pałacu Młodzieży w ręce jego prawnitego właściciela, to jest Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci bądź ustalenie warunków wykupienia przez Skarb Państwa Pałacu Młodzieży od Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. ZG TPD zgłosił również możliwość wystąpienia TPD na drogę sądo-

wą z żądaniem wydania mu bezprawnie wydartej własności, jednocześnie grożąc: *w przypadku odrzucenia naszej propozycji ugodowego rozwiązania sytuacji powstałej w minioniej epoce, rozważy możliwość żądania opłaty za bezprawne użytkowanie naszej własności.*

Na kolejnym spotkaniu, 7. października 1998 roku, sekretarz generalny TPD, Sławomir Izak, zgłosił prośbę, by sprawy nie kierować do sądu. Jednak w piśmie z dnia 16.10.1998 roku adresowanym do Kuratora Oświaty w Katowicach podpisanym przez tegoż samego Sławomira Izaka, czytamy: *z ostrożności wystąpiliśmy z powództwem win dykacyjnym do tutejszego Sądu.*

Okazało się, że mimo zapewnień ze strony ZG TPD o chęci polubownego załatwienia sporu, sprawa znalazła swój koniec w sądzie. Niestety wniosek o stwierdzenie nabycia Pałacu Młodzieży przez Gminę Katowice przez zasiedzenie został oddalony, ponieważ prawo cywilne w tym zakresie Skarbu Państwa nie dotyczy. Tym samym Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Warszawie uznany został za prawnitego właściciela katowickiego Pałacu. Odtąd nie ma już katowickiego Pałacu Młodzieży, pozostał po nim warszawski Pałac Młodzieży w Katowicach. Pytanie, na jak długo?

Jaki był, jaki (jeszcze) jest

3. grudnia 1951 roku dokonano uroczystego otwarcia największej w kraju placówki wychowania pozaszkolnego - Pałacu Młodzieży w Katowicach. W okresie swego powstania był on w systemie oświaty polskiej zjawiskiem zupełnie nowym. Stanowił eksperyment znacznie wyprzedzający ówczesne koncepcje pedagogiczne. Od początku działało tu 60 pracowników. Pałac przyciągał dobrą książką, wybranym filmem, dojrzałym dziełem sztuki, wartościowym repertuarem muzycznym i teatralnym. Szybko pozyskał uznanie społeczności śląskiej i stał się chlubą Katowic.

- 1. stycznia 1954 roku, po studiach polonistycznych w Uniwersytecie Poznańskim i krótkim epizodzie pracy w bibliotece zakładowej, „wylądowałam” w Pałacu Młodzieży - opowiada Józefa Rebeś, długoletnia kierowniczka pracowni humanistycznych, organizatorka katowickiego życia literackiego. - Był to najtrudniejszy okres naszych wojennych dziejów: schyłek stalinizmu. A Pałac jawił się jak bajka. Nie tylko dzieciom, także nam pracownikom. W Pałacu panowała specyficzna atmosfera: z jednej strony socjalistyczna dyscyplina, z drugiej niekontrolowany luz. Wkrótce Pałac stał się „oczkiem w głowie” państwowych i partyjnych władz. Wizytówką propagandową dla najznakomitszych gości z całego świata. A jako że pod latarnią jest najciemniej, mieliśmy dużo swobo-

dy w organizowaniu zajęć ekskluzywnych, jak na owe czasy; choćby klubów dziennikarskich, filmowych czy literackich.

Pałac był magicznym miejscem, które przyciągało swą niecodziennością. Był tak inny od dotychczasowych miejsc dziecięcych zabaw: brudnej, zniszczonej jeszcze wojną ulicy, hałd i bieda-zwłoków.

- Miałem swój pałac - mówi Feliks Netz, poeta, krytyk i tłumacz. - Wszystko w tym pałacu było moje, należało do mnie, mogłem tym dysponować w sposób, jaki uznawałem za właściwy. Moja była pływalnia i stół pingpongowy. Mój był klub literacki i pałacowa gazeta - najpierw „Nasze Życie”, potem „Żak”. Mój był teatr, czyli sala teatralna, zarazem kinowa, mój był Dyskusyjny Klub Filmowy „Kaczka”, moje były nie kończące się korytarze, po których można było spacerować jak po sopockim moście, rozmawiając o książkach i o dziejach, o filmach, o polityce i malarstwie, o sztukach Sartre’a i o Cybulskim. To było zaraz po projekcji „Popiołu i diamentu”: Maciek Chelmiński zszedł z ekranu i został z nami na następne dwie godziny. Był w ciemnych okularach i irchowej marynarce. Bił od niego blask sławy, to się czuło. Mogliśmy go mieć dla siebie, bo mieliśmy swój pałac. Pałac Młodzieży. Jeszcze raz go zobaczyliśmy w tej samej sali, ale już na scenie, w słynnym spektaklu Teatru Wybrzeża „Kapelusz pełen deszczu” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Oto czym był Pałac Młodzieży. Wszystkim. Władysław Broniewski, poeta-legenda, recytujący przez dwie bite godziny swoje wiersze - z pamięci! Ta bliskość, to wyjście z kartki podręcznika, to dotknięcie niemal fizyczne wielkiego poety... To dał mi mój Pałac. Pałac Młodzieży. Miałem siedemnaście, osiemnaście, od września roku 1956, przez dwa, trzy następne lata przychodziłem do Pałacu niemal codziennie. Niektóre lekcje astronomii profesor Oczko prowadził nie w szkole, lecz w Pałacu. Po zajęciach szkolnych szliśmy do Pałacu, wcale się nie umawiając. Wiedziałem, że w Pałacu Młodzieży spotkam się z Genem Zaczkiem i Heńkiem Wańkiem, że przyjdzie na pewno Jerzy Baduszek (zmarły syn Danuty Baduszkowej) i trochę od nas starszy Jurek Pitera, że na kolegium redakcyjnym naszego pisma „Żak” będzie Karol Madeya, i Bodzio Knichowiecki. Kto się nami zajmował? Wielu z tych świętych ludzi nie żyje: Edward Szymański i Maciej Kurkiewicz. Amatorski Klub Filmowy prowadził Edward Poloczek, zwany przez nas panem Ewaldem, Kto jeszcze? Pani Wanda Kniewska. Tak, to chyba pani Wanda wyluskała spośród bardzo wielu chętnych, kilkoro nas, tzw. „dziennikarzy”. To my, pod jej okiem robiliśmy pałacową gazetę. Drukowaliśmy w niej swoje wiersze i opowiadania. Trzebaż więcej?

Przez ponad pięćdziesiąt lat przewinęło się bardzo wielu pedagogów

o wielkim autorytecie. Bolesław Malak stworzył najlepszy dziecięcy i młodzieżowy teatr w Polsce, który dziś prowadzi Jerzy Polonński. Pracownia astronomiczna żyła tak długo, jak długo prowadził ją wspomniany już pan Oczko. Dziecięcy zespół „Kurtyнка” od początku swojego istnienia, aż po dzień dzisiejszy żyje dzięki niezmordowanej Zdzisławie Szwedowskiej. Nie sposób wymienić wszystkich. Pałac zawsze skupiał ludzi nietuzinkowych, którzy potrafili otworzyć przed wychowankami najpiękniejsze obszary swojej wiedzy. Przyciągał też znakomitych gości świata kultury i nauki. Gościł w nim Edmund Osmańczyk, Wojciech Żukrowski, Jan Szczepański, Olgierd Terlecki, Wilhelm Szewczyk. Zaproszenie do prowadzenia wykładów w Klubie Literackim przyjmowali, w różnych okresach, Kazimierz Wyka, Czesław Herbas, Zbigniew Jerzy Nowak, Jan Zaremba, Janusz Maciejewski, Tadeusz Bujnicki, Ireneusz Opacki, Leon Neuger, Stanisław Balbus, Wojciech Wyskiel, Halina Bursztyńska, Anna Węgrzyniak, Jan Malicki, Krzysztof Kłosiński.

- W latach 1970-1973 uczęszczałem do Klubu Literackiego, który prowadziła Zuzanna Rebeś i Barbara Krawczyńska. To było dla mnie coś bardzo ważnego - opowiada Maciej Szczawiński, dziennikarz Radia Katowice. - W krótkim czasie wytworzyła się tam elita, w dobrym tego słowa znaczeniu. Przyjeżdżali do nas najznamienitsi poeci i my też jeździliśmy do nich, do Krakowa i Warszawy. Przyjaciółmi Klubu byli Ernest Bryll, Michał Sprusiński, Jerzy Harasymowicz, Tadeusz Nowak, Tadeusz Śliwki.

Dawny Pałac Młodzieży to także sala teatralna z widownią dla 700 osób. Jeszcze w latach 80. służyła społeczności Śląska. Przyjeżdżały tu najznakomitsze teatry z całej Polski: Teatr „Ateneum” z Warszawy, „Skuszanka” z Nowej Huty, regularnie Teatr Stary z Krakowa. Wraz z nimi i czołowi aktorzy polskiej sceny m.in.: Jan Świdorski, Tadeusz Łomnicki, Andrzej Łapicki i wielu, wielu innych.

Do Pałacu Młodzieży przez ostatnie półwiecze trafiali młodzi mieszkańcy Katowic, których zainteresowania i aspiracje wykraczały poza ramy szkolnych programów.

- Do dziś pamiętam zapach paliwa z samolotów - mówi Roman Kalarus, artysta plastyk, profesor ASP w Katowicach, który kiedyś odwiedzał pracownię modelarstwa lotniczego. - Pamiętam też bardzo miłego pana, który prowadził tę pracownię, pana Tomaszewskiego. To były lata szkoły podstawowej. Potem poszedłem do liceum plastycznego, ale samoloty jednak nigdy nie przestały mnie interesować. Kocham je do dziś.

Tutaj rodziły (i rodzą) się pasje, które niejednokrotnie stawały (i stają) się pierwszym krokiem na zawodowej drodze odkryli Feliks Netz, Krzysztof Karwat, Maciej Szczawiński, Michał Ogórek, Magdalena Piekorz, Otylia Jędrzejczak.

- Od najmłodszych lat byłem związa-

na z Pałacem Młodzieży - opowiada reżyser Magdalena Piekorz. - Początkowo to był zespół „Kurtyнка”. Bardzo ciepło wspominam ten okres. Później były zajęcia w zespole teatralnym „Gart” prowadzonym przez Jerzego Polonńskiego. Z perspektywy czasu Pałac Młodzieży wydaje mi się kuźnią talentów. To był czas, który owocował bardzo konkretnymi działaniami. Odnosiliśmy znaczne sukcesy nie tylko na Śląsku, na Tyskich Spotkaniach Teatralnych, ale jeździliśmy ze spektaklami po całej Polsce. Byliśmy też na festiwalu w Lancaster w Anglii. W tym czasie podejmowaliśmy pierwsze próby aktorskie, śpiewacze, czy - jak w moim przypadku - reżyserskie. To dzięki tym zajęciom wielu z nas jest tym, kim jest. Pałac jest cudownym miejscem, w którym mogliśmy się ukształtować. Dziś gdy przychodzę do Pałacu, czuję się jak w domu. Tu zawsze jest ciepła domowa atmosfera.

Atmosfera i autorytet pedagogów czyniły Pałac miejscem magicznym, w którym można było odkryć swoją życiową drogę, bądź pasję.

- Pałacowi Młodzieży w Katowicach zawdzięczam to, kim jestem w życiu - mówi Michał Ogórek, znany publicysta.

- Początkowo chciałem zostać kolejarzem i moim największym marzeniem było dorwać się do olbrzymiego, wspianego modelu kolejki, który w Pałacu Młodzieży zajmował całą salę bodaj na drugim piętrze. Niestety, w sali tej nie wolno było przebywać, dlatego poszedłem do Klubu Literackiego, który znajdował się obok i był otwarty dla wszystkich, ponieważ nie było tam nic cenniejszego. W Klubie Literackim wszyscy pisali wiersze, więc zorientowałem się, że wierszy jest już dosyć i zacząłem uprawiać dziennikarstwo. Wiersze mogły być wprawdzie krótsze, a niektóre szczególnie nowoczesne nie musiały nawet przestrzegać reguł pisowni polskiej i zasad składni, czego żalowałem - ale za to autorzy musieli się ciągle tłumaczyć o co w nich chodzi. Pierwszy dziennikarski sukces w życiu odniosłem na wyjeździe: podczas wakacyjnego obozu Klubu Literackiego Pałacu Młodzieży, podczas którego poddałem myśl o zorganizowaniu konkursu na reportaż. Przez ostatnie pięć lat konkurs pracowni dziennikarskiej, prowadzonej przez panią Ewę Maj, nazywał się nawet konkursem na felieton im. Michała Ogórka; dzięki Pałacowi Młodzieży zostałem więc za życia klasykiem. Miał to jednak swoje uboczne skutki, ponieważ niektórzy laureaci wpadali na mój widok w konsternację, że patron konkursu jest jeszcze żywy. Tym bardziej nie mogę pogodzić się z myślą, że ja - wraz z tyloma innymi wychowankami - jeszcze jestem, a Pałacowi Młodzieży już nie będzie! Nie możemy do tego dopuścić!

Może go nie być?

Pałac Młodzieży skutecznie opierał się wszystkim zawirowaniom naszej historii. Z roku na rok poszerzał (i po-

szerza) swoją ofertę. Wkraczał (i wkracza) w coraz to nowe sfery działalności. Podążał (i podąża) za duchem czasów.

- Historyczne zasługi istnienia Pałacu są nie do przecenienia - mówi Kazimierz Kutz, reżyser, wicemarszałek Senatu. - Pałac był zbawiennym tygłem dla wielu młodych talentów, zwłaszcza tych związanych z Kulturą. Pod tym względem jego rola jeszcze wzrosła, bo dziś - w czasach upadku Kultury - warunki do ujawnienia szczególnych uzdolnień znalazły niewspółmiernie do społecznych potrzeb.

Trudno dziś sobie wyobrazić Katowice bez Pałacu Młodzieży, a jednak w obliczu „świętego prawa własności” takie zagrożenie stało się realne.

- Likwidacja Pałacu nie wchodzi w grę - zapewnia Krzysztof Koman, Skarbnik Zarządu Głównego TPD. - Bardzo nam zależy, na dalszym realizowaniu programu dla dzieci.

Miejscowi działacze TPD, nie byli na bieżąco informowani przez Zarząd Główny o przebiegu całej sprawy, choć są związani z tą ziemią i to na ich barki prawdopodobnie spadnie odpowiedzialność za Pałac Młodzieży. Niepełna znajomość faktów i świadomość jaką rolę Pałac odgrywa dla społeczności Śląska, nie przeszkadzają, by poprzeć równie bezwzględnie działania warszawskich zwierzchników.

- Takie jest prawo - mówi Marta Babral, prezes Zarządu Wojewódzkiego TPD w Katowicach i jednocześnie deklaruje - Jeżeli ktokolwiek chciałby zlikwidować Pałac Młodzieży, to ja też będę w Komitecie Obrony tej placówki.

W obliczu zaistniałych faktów kredyt zaufania dla TPD chyba jednak się wyczerpał. I nic w tym dziwnego. Na mocy zawartej umowy z dniem 1. lipca br. Pałac Młodzieży ma przejść pod zarząd TPD, miasto natomiast za symboliczną złotówkę rocznie będzie dzierżawiło pomieszczenia budynku na dalszą swoją działalność. Umowa najmu została zawarta na zaledwie 10 lat, z zapewnieniem jej przedłużenia na czas nieokreślony pod warunkiem prowadzenia przez Pałac działalności statutowej. Rodzi się jednak pytanie co ZG TPD uzna za działania zgodne ze statutem, a co nie. Sam bowiem ma problemy z interpretacją własnych wewnętrznych przepisów. Jedną z głównych przyczyn wszczęcia dochodzenia w sprawie swego rzekomego władztwa nad Pałacem Młodzieży było - jak uznał ZG TPD - stojące w sprzeczności z ich statutem wynajęcie pomieszczeń w godzinach nie kolidujących z zajęciami pozalekcyjnymi dwóm szkołom. W zawartej umowie znalazł się również paragraf: ZG TPD wstępuje w umowy najmu zawarte przez Skarb Państwa zgodnie z ich treścią na dzień podpisania niniejszej umowy. Dotyczy to zarówno mieszkań jak i lokali użytkowych, a także lokali wykorzystywanych na działalność statutową Pałacu Młodzieży, a w części wynajmowanych.

Obawy o los Pałacu stały się jeszcze silniejsze w obliczu innych faktów.

- *Władze miasta chciały, by w projekcie ugody znalazł się zapis o najmie Pałacu na 30. lat. TPD nie wyraziło na to zgody - mówi Michał Luty, wiceprezydent Katowic. - W ugodzie nie znalazł się też zapis o prawie pierwokupu Pałacu Młodzieży przez Skarb Państwa.*

Wcześniej jednak ZG TPD stawiał władzom miasta ultimatum: albo zwrócić mu nieruchomość albo ją wykupić. Jak więc rozumieć wycofanie się z tej propozycji?

Na wszelkie pytania odnośnie zawartej ugody Krzysztof Koman, skarbnik ZG TPD ma jedną odpowiedź:

- *Ugoda jest dwustronna, miasto ją zaakceptowało i podpisało.*

Zapomina jednak dodać, że władze TPD z warszawskim adresem, wykorzystując wszelkie luki prawne i zaniebdania w uregulowaniu własności gruntu postawiły władze Katowic w sytuacji bez wyjścia.

- *TPD praktycznie ugodę podyktoowało, a miasto było zmuszone ją przyjąć - mówi Jan Kulbicki, dyrektor Pałacu Młodzieży w Katowicach.*

W obliczu swoistej schizofrenii Zarządu Głównego TPD, wszelkie obawy są uzasadnione. By bronić bytu Pałacu Młodzieży powstał Społeczny Komitet Obrony Pałacu Młodzieży w Katowicach, który wystosował apel do wychowanków, rodziców i przyjaciół placówki o poparcie dla swoich działań. Odwołał się także do sumień członków Towarzystwa Przyjaciół Dzieci: *Zakładając Społeczny Komitet Obrony Pałacu Młodzieży, nie zamierzamy występować przeciwko świętemu prawu własności. Jednak ciągnięcie przez TPD korzyści z tak nabytej własności uważamy za niemoralne. Pałac Młodzieży w Katowicach musi wrócić do ludzi, którym służył przez 50 lat. Zwracamy się do członków i sympatyków Towarzystwa Przyjaciół Dzieci: nie pozwólcie, by śląskie dzieci utraciły możliwość zdobywania wiedzy i umiejętności oraz kształtowanie swoich zainteresowań artystycznych! Oddajcie lokalnej społeczności to, co faktycznie (nawet jeśli nie prawnie) do niej należy! Przyszłość młodego pokolenia Ślązaków nie może być zastawem dla realizacji celów, które z tą ziemią nie mają nic wspólnego! Na czele Komitetu stanął wicemarszałek senatu Kazimierz Kutz. W jego skład weszły dziesiątki znaczących postaci nauki i kultury związanych ze Śląskiem oraz wiele prywatnych osób. Pod apelem podpisało się dotychczas 12300 osób. Wszyscy bowiem, którzy znają Katowice i katowicki Pałac wiedzą, że na stałe wpisał się w historię naszego miasta.*

- *Katowice mają 137 lat - Michał Luty. - Ponad 50 lat istnienia Pałacu, to tradycja bardzo znacząca.*

Wartość Pałacu Młodzieży jest bezdyskusyjna. Oczywiście wydaje się potrzeba zachowania tej placówki dla kolejnych pokoleń naszego regionu.



Foto: Józef Wróbel

W pracowniach Pałacu zawsze jest tłoczno.

- *Katowiczanie mogą stracić - jeżeli tej placówki się nie odzyska - coś bardzo ważnego: miejsce, w którym młody człowiek mógł ujawnić swoje nieprzeciętne możliwości i zacząć drogę w konkurowaniu z najlepszymi na świecie - mówi Kazimierz Kutz. - Tu kształtowała się szeroko pojęta elita.*

My mieliśmy szansę. Dziś trzeba zadać sobie pytanie: czy szansę skorzystania ze świata Pałacowych pracowni dostaną też nasze dzieci i wnuki? Może to już ostatnie pokolenie, któremu Pałac uitorował życiową drogę?

- *Jeżeli Katowice stracą Pałac Młodzieży, to stracą też część siebie - zaznacza Magdalena Piekorz. - To jest placówka kulturalna, która decyduje o charakterze tego miasta. Strata Pałacu, to ogromna strata dla młodzieży. Nie ma drugiej takiej placówki, która na tak szeroką skalę prowadziłaby zajęcia dla młodzieży. Dziś w czasach dezorientacji i pośpiechu szczególnie takie miejsce jest potrzebne.*

Zawłaszczenie Pałacu przez ZG TPD pozbawia także Katowice możliwości ponownego uruchomienia drugiej sceny teatralnej, która wydaje się niezbędna w blisko 400-tysięcznym mieście.

- *To nie do pomyślenia, żeby miasto takie jak Katowice na przestrzeni od Gliwic po Sosnowiec miały zaledwie trzy sceny teatralnej, a w samych Katowicach była tylko jedna - mówi Kazimierz Kutz. - Katowice powinny mieć drugą scenę teatralną, a scena w Pałacu daje taką możliwość.*

Z końcem lat 80. tych rozpoczęto już remont teatru w Pałacu Młodzieży, który jednak z braku środków został przerwany. W 1996 roku miasto zadeklarowało przeznaczyć 10 mln złotych na pokrycie kosztów remontu. Warunkiem stworzenia sceny impresyjnej dla miasta było uregulowanie sytuacji prawnej placówki. W obliczu zawartej ugody, kiedy władze Katowic stały się jedynie najemcą pomieszczeń w Pała-

cu, oczywiste jest, że nie podejmą się żadnych inwestycji w nie swoim budynku.

Sprawa własności Pałacu nie jest jednak jeszcze przesądzona. Okazało się bowiem, że TPD nie jest jedynym właścicielem gruntu pod budynkiem Pałacu Młodzieży. Ok. 2000 metrów kwadratowych pod częścią sali gimnastycznej Pałacu należy do Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, zaś 120 m kwadratowych pod salą teatralną jest własnością skarbu państwa. Nikt nie wie jak to się stało, że miasto nie wiedziało o należącej do niego działce.

- *Miasto przez ostatnie lata prześpało całą sprawę - mówi Kazimierz Kutz. - Służby prawne prezydenta nie stanęły na wysokości zadania, zachowywały się biernie. W zaistniałej sytuacji możliwe jest obalenie zawartej ugody. Otwiera się więc nowa droga do odzyskania Pałacu. Bank jest gotowy odsprzedać swoją działkę miastu.*

Jeżeli dojdzie do zawarcia transakcji, Pałac Młodzieży będzie miał dwóch właścicieli: TPD i skarb państwa. Miasto będzie mogło wymóc na TPD korzystniejsze ustalenia, wciąż nie będzie jednak jedynym właścicielem budynku. Obecna sytuacja daje podstawę prawną do anulowania podpisanej ugody i podjęcia nowych kroków prawnych. Prawdopodobnie sprawa będzie musiała wrócić do sądu, do ponownego rozpatrzenia. Jeżeli mimo zaistniałych nowych faktów, wszelkie prawne zabiegi zawiodą Komitet Obrony Pałacu Młodzieży postanowił urządzić marsz protestacyjny i równocześnie doprowadzić do uznania Towarzystwa Przyjaciół Dzieci za organizację szkodliwą społecznie. Czy Katowice mają szansę odzyskać Pałac na wyłączną własność? Trzeba zrobić wszystko, by tak się stało. Pałac przez ponad pięćdziesiąt nieprzerwanie lat służył społeczności śląskiej i nadal w jej rękach powinien pozostać. ■

Metafizyka

LECH J. MAJEWSKI

30.

Wenecja to kamienna sieć zarzucona na studiującego mapę wędrowca. Zamiast przestrzeni ciągle labirynt skracających, uginających się ścian, a gdy przestrzeń pojawia się nagle, niespodziewanie, jest ogromna, olśniewająca blaskiem wody i fasad pałaców. Dla wielu Wenecja jest też potworem. Potworem, który wchłonie, zmiele i przeżuje każdą ilość turystów. Pękate waporetki żywią bezustannie nienasycony brzuch Piazza San Marco, który ma nawet wejście zwane *Bocca di Piazza*, czyli usta placu.

Gdy tylko urządziliśmy mieszkanie, zaczęliśmy włóczyć się po Wenecji dniem i nocą, bezustannie krążąc, gubiąc się i odnajdując drogę. Byłaś naprawdę szczęśliwa. Przytulałam cię i całowałam na mostach i w ciasnych uliczkach, przed wystawami sklepów i wewnątrz kościołów, i po raz pierwszy nie byłem skrępowany. Zazwyczaj ciążyły na mnie spojrzenia innych, bardziej wyimaginowane niż rzeczywiste druty kolczastego paraliżu, tym razem nie. Wiatr targał naszymi płaszczami, przechodnie wpadali na nas, a my tkwiliśmy szepceni w pocątku, między obojętnym tłumem.

Kochaliśmy się równie intensywnie i nie tylko w domu: raz było to w pawilonie niemieckim, gdy przez dziurę w ogrodzeniu dostaliśmy się na tereny opustoszałych ogrodów Biennale, innym razem, nocą, na przystanku *traghetto* nad *Canale Grande*. Właściwie robiliśmy to we trójkę: ty,

ja i Wenecja. Ona była z nami fizycznie obejmując nas, dostarczając dźwięków i zapachów młaszczących i słodkich, związanych z podniebieniem, smakowaniem i polykaniem.

Co się zaś tyczy pawilonu niemieckiego, to żartowałaś, że byliśmy kawałkiem Sztuki Ekshibicjonistycznej, który ucieszyłby zapewne niejednego krytyka. Usiłowałaś też dostać się do sąsiadującego pawilonu angielskiego, ale był dobrze zabezpieczony na zimę.

31.

Stan twojego zdrowia uległ zdecydowanej poprawie. Bóle gardła i uszu, duszność i dławienia znikły niemal zupełnie i z wolna nabierałaś pewności, że wracasz do zdrowia. Nie chciałaś jeszcze tego konsultować z lekarzami, by nie zapeszyć, ale promień nadziei rozświetlał

twoją twarz. Wciąż uśmiechałaś się, podśpiewywałaś pod nosem i robiłaś plany na przyszłość. Niepokoiły cię tylko częste telefony od rodziców. Twój ojciec nalegał, żebyś odwiedziła w miejscowym *Ospedale Civile* profesora Carrini, o którym słyszał same superlatywy, lecz wzdrygałaś się na samą myśl o szpitalu. Dopiero po kilkunastu dniach poddałaś się. Bardziej dla uspokojenia rodziców niż siebie.

Przeglądałam teraz taśmę opisaną jako „*Ospedale*”. Szukamy Carriniego, ale szpital jest ogromny, złożony z wielu budynków, starych i nowych, i błądzimy korytarzami dopóki starsza pielęgniarka nie wskazuje nam drogi. Jego gabinet jest na pierwszym piętrze starego klasztoru Dominikanów. Pukasz i wchodzisz, gestem nakazując bym czekał w korytarzu.

Obok drzwi gabinetu, we wnęce stoi figura świętego Dominika z psem trzymającym w zębach pochodnię. Kamienne płomienie lśnią, jakby dotykano ich często. Też to robię i nasłuchuję odgłosów za drzwiami. Nic nie słyszę. Grube dębowe drewno nie przepuszcza dźwięków. Nerwowo przechadzam się długim korytarzem, wpatrzony w barokowe sklepienie i docieram do ołtarza z mosiężnym krucyfiksem. Jedyną dekoracją są polne kwiaty usychające w odrapanym termosie.

Wychodzisz z gabinetu w towarzystwie doktora. Gestykulując zapamiętałe mówi coś, ściska mi rękę, uśmiecha się i prowadzi do ogrodu, prosto na fontannę z ogromną muszlą-kielichem. Patrzę na ciebie pytająco,

ale jesteś zajęta przysłuchiwaniem się monologowi Carriniego. Podnosi ręce ptasim ruchem i trzepocze łokciami, jakby zaraz miał wzbić się w powietrze. Jego sposób bycia, przesadne miny i gesty z *Commedia dell'arte* bardziej pasują do teatryku dla dzieci niż do szpitala, chociaż budzą zaufanie. Ot, szalony doktor przy pracy. Tak zabawny, że pacjent musi poczuć się lepiej.

Mijamy najnowsze skrzydło szpitala zanurzając się w ciepłym, jarzeniowym świetle. Jeszcze jeden ogród, galeria, ścieżka i wreszcie szerokie schody pawilonu *centro oncologico*, gdzie zostaje sam i spędzam resztę dnia w korytarzu poczekalni. Przypomina pokład transatlantyku, z pasażerami przechadzającymi się w szlafrokach tam i nazad, tam i nazad, bez końca.

32.

Carrini zbadal cię i pozwolił wyjść ze szpitala pod warunkiem, że będziesz stawiała się na cotygodniowe



Rys. Wojtek Łuka

konsultacje. Rozmawiał z twoim ojcem i uspokoił go, że twój stan nie jest taki zły. Relacjonowałaś mi to w korytarzu, po którym snuły się ogromne, dobrze odżywione szpitalne koty. Pochyliłaś się i pogłaskałaś jednego z nich, rudego i drobniejszego od innych, a on położył się na plecy i zaatakował cię łapą. Bawiąc się rozerwał twą ulubioną, błękitną sukienkę i skaleczył ci udo do krwi.

Przypominałem sobie tego kota wczoraj, gdy zaniósłem sukienkę na Hampstead Heath i siedziałem z nią na ławce, na której zwierzyłaś mi się ze swojej choroby. Moje palce natrafiły na strzęp rozerwanego materiału. Przez chwilę wahałem sukienkę, ale nie czułem już twojego zapachu. Świeże powietrze odpędziło drobiny ciebie przechowywane w sieci tkaniny. Tym łatwiej było mi rozstać się z nią. Łopatką saperską wykopałem niewielki dół pod krzakiem jałowca i wrzuciłem doń sukienkę. Zakopując ją nuciłem pod nosem jak ty, gdy włożyliśmy się po Wenecji.

Krążąc godzinami po tajemniczym mieście unikałsi my tylko Piazzale Roma, jedyne miejsce do którego dostęp mają samochody. Rosnący odgłos ich warkotu niszczył senny stan trwania, płynięcia labiryntem. Jakoś silniki wodne nie miały tego druzgocącego działania, pewnie dlatego, że tłumiła je woda. Pomyślałem, że dopiero w Wenecji widać jak potężna jest woda. Jak narzuca Wenecji formę. Jest metalem, ostrzem noża, nożycami krojczego, które ucinają domy i ulice w sposób bezwzględny i ostateczny. Woda dyktuje kształt i nie chce słyszeć o dodatkowym metrażu na ogród i garaż. Jak w Tao-te-King, tylko coś tak miękkiego i bezforemnego jak woda jest w stanie zachowywać się tak twardo, ujarzmiająco.

33.

— Jeżeli Włochy mają kształt buta na ludzkiej nodze, to Wenecja jest wilgotnym krocem — oświadczyłaś, gdy odzieliłem się z tobą myślami. — Nawet symbol Wenecji, lew Świętego Marka, zawsze stoi tylnymi łapami w wodzie...

Spacerowaliśmy w publicznych ogrodach obok naszego domu. Parkowa kawiarnia była otwarta, więc wybraliśmy stolik na świeżym powietrzu, przy nabrzeżu i zamówiliśmy taryfikę wina. Mrużąc oczy, rozleniwieni słońcem tkającym lagunę niemi światła przyglądaliśmy się niespiesznemu ruchowi łodzi i statków. Złota tkanina, raz po raz rozrywana grubami, zraszała się, lśniące blizny goły się, woda wchłaniała w siebie wszystko, nie pozostawiając śladu.

— Wenecja jest embrionem pływającym w brzuchu laguny — kontynuowałaś. — Jej wody płodowe są spokojne i odgraniczone od kapryśnego morza łożyskiem Lido. Widać to z samolotu. Płód Wenecji został poczęty ze związku ludzi z wodą, świadomości z nieświadomością, woli z potencją.

Podmuch wiatru zmarszczył gładką taflę. Rozprysła się jak potrząskane lustro. Skalisto-sine, ostre krawędzie fal rozcięły światło. Wiatr ucichł i płynne słońce na powrót przeniknęło wodę.

— Podróże wodą i obrazy w kościołach kołyszają mnie, „ukołyszują” — powiedziałaś rozmarzona. — Barwy, światło i luki form Carpaccia i Belliniego są stanem łaski. Oko śpiływa po nich łagodnie, jak łódź po wodach laguny. Dotknięta ciepłą, kojącą dłonią odczuwam błogość. Tak, teraz naprawdę jestem w raju.

Mówiąc spostrzegłaś coś, co sprawiło cię w zdumienie. Obróciłem się, lecz nic nie dojrzałem. Wskazałaś na ciemnozielony secesyjny pawilon. Na wpół widoczny napis oznajmiał nazwę kawiarni — „Paradiso”.

Dwie godziny później, spacerując wąskimi uliczkami zatrzymałaś się i zadarłaś głowę. Twój zachwyt wzbudziła męska koszuła o rękawach wzdętych wiatrem — ocierała się o halkę schnącą obok na sznurze. Wyglądało to jakby ktoś pociągał za sznurki, tak realistyczny był ów balet obejmowania się i dotykania w podmuchach chłodnego powietrza. Kilka metrów dalej stanęłaś jak wryta. Uliczka nazywała się *Calle del Paradiso*, spinał ją średniowieczny łuk Arco del Paradiso i prowadził na most Ponte del Paradiso.

34.

Początkowe ujęcia Tramontin Squero są mroczne i nieostre. Przez nieuwagę wyłączyłaś automatyczną przesło-

nę. Usiłujesz łapać ostrość, ale zadania nie ułatwia fakt, że w miniaturowej stocznii panuje półmrok. Kłęby dymu unoszą się z wiązki płonących wodorostów i dają niezwykle efekt — dwie gondole ustawione na drewnianych rusztowaniach wyglądają jak czarne półksiężycy spowite chmurami.

Słowo stocznia brzmi dumnie; patrzę na lichą szopę o trzech ścianach skleconych z cegły i desek, zapchaną ośmioma rodzajami drewna, które schnie przynajmniej rok, nim uzdatni się do budowy gondoli. W kącie senioru, prawie osiemdziesięcioletni Nedis Ramontin, w wyblakłym kombinie pamiętającym kolor błękitny, nagrzewa deskę w płomieniu wodorostów, a jego syn, dochodzący pięćdziesiątki Roberto ociosuje kawałek sosny stuletnią siekierą. Rozmawiają bez przerwy, a właściwie pokrzykują tym słynnym weneckim dialektem, niezrozumiałym dla nikogo, poza kundlem zwanym Lila, który wygrzewa się w słupie światła podtrzymującym dziurę w dachu. Z innych otworów, mniejszych, nici światła przeszywają dymy i kładą się ruchomymi cętkami na brudnym cemencie.

Znaleźliśmy się w tej budzie przy Rio della Avogaria, w ospalej parafii Ognissanti, dzięki Carlo Ramellemu, historykowi weneckiemu Museo Storico Navale. Zapewnił nas, że Nedis jest absolutnym mistrzem i za swój kunszt otrzymał tytuł Kawalera Republiki. Jego przodkowie osiągnęli mistrzostwo jeszcze w złotych czasach, gdy po wodach Wenecji pływało dziesięć tysięcy gondoli, a nie marne czterysta czasów dzisiejszych. Słyszac, że Nedis, razem z ojcem, budował gondole dla króla Włoch, Victora Emanuela III, wyobraziłem sobie luksusowy dok, z rodzaju tych, które znane są u nas w Portsmouth i Chichester, pachnący czystością, chromami, bielą i tylko okazjonalnym cieniem smaru na wyszorowanych deskach przystani. Tym bardziej, że Carlo podkreślał, że Nedis buduje trzy gondole rocznie, nie więcej, jest kapryśny, odmawia milionerom z Miami, a zamówienia ma już złożone do roku 2020. A tu takie zaskoczenie. Dok mistrza niezwyklej sztuki budowania gondoli, symbolu Wenecji, jest rozpadającą się okopconą budą.

Łapiesz ostrość w momencie, w którym ściskam szczytną i popękaną jak asfalt dłoń. Nedis uśmiecha się pobłażliwie i na dźwięk nazwiska Ramelli robi przyjazny gest. Klepie mnie po ramieniu i godzi się, bym mu się przyglądał, fotografował i rysował co chcę, pod warunkiem, że niczego w warsztacie nie przestawię. Ani profesor Hoxter, ani Carlo Ramelli nie mieli pojęcia czy za moje studia mam zapłacić, więc sugeruję to, ale widzę, że jest urażony. Z godnością i politowaniem patrzy na mnie i odpowiada oschle, z dumą: „No, sir, moja wiedza jest bezcenna”, ale ty już tego nie nagrywasz. Obiektyw kamery zwróciłaś w stronę wylotu szopy na kanał Avogaria.

Panoramujesz wzdłuż smukłej motorówki zacumowanej u nabrzeża i kierujesz kamerę lekko w górę na jedną z naprawianych gondoli, pośrodku której wyrasta drzewo jak u Boscha. Jesteś zafascynowana (obiektyw uparcie wpatruje się w obraz) i dopiero później odkrywasz, że drzewo jest stogiem schnących wodorostów zebranych na bagnach laguny, gdyż tylko tutejsze wodorosty, jak twierdzi Nedis, dają właściwy ogień.

35.

Ogień w mrocznych czeluściach został zdławiony. Jeszcze nigdy nie widziałem piekieł okrytych niemal w całości czernią. A piekło Boscha w Pałacu Dożów takie właśnie jest. Pożarte przez mrok. Nie filmujemy go, gdyż zabroniono nam wnieść kamerę, ale tkwimy w nim, gdyż tłum turystów popycha nas i potraça nie pozwalając na jakąkolwiek kontemplację. W sali Boscha bezustannie rozbrzmiewa słowo, jak zaklęcie odmieniane w różnych językach — *fantasia, grande fantasia*, krępy Brazylijczyk tłumaczy żonie, a ty obruszasz się i mówisz półgłosem: „Fantazja, jaka fantazja?! To nie jest fantazja, tylko rzeczywistość”.

Odwracasz się na pięcie i wspinasz po schodach, by znaleźć się w wąskim, zakręcającym przejściu. Prowadzi do Sali Wielkiej Rady, gdzie na ścianie eksploduje gigantycz-

ny *Raj* Jacopo i *Domenica Tintoretto*. Tu proporcje są odwrócone: ogrom posadzki sprawia, że jest wiele miejsca na przyglądanie się — tłok natomiast jest w raju; tysiące aniołów, proroków, męczenników i świętych unosi się na koncetycznych falach wokół centrum wybuchu, ognistego światła obrysowującego postacie Jezusa i Marii.

Wśród figur rozpoznajesz ukochaną córkę Jacopo, uskrzydloną Mariettę, która zmarła pomagając ojcu i bratu w malowaniu obrazu, a ja zauważam, że drzysz. Dotykam twojej dłoni. Jest z lodu. W potężnej, nie ogrzewanej sali panuje wilgotny chłód. Okrywam cię kurtką. Ścisk na płótnie denerwuje cię; za duży tu gwar, rwetes świętych i czekasz tylko, by powrócić przed Boscha. Jeszcze zadzieraszą głowę i wyrokujesz o wyższości olejów mineralnych używanych przez Veroneza w *Apoteozie Wenecji* na suficie nad olejami roślinnymi Tintoretta i już wracasz i nieruchomiejesz przed poliptykiem Boscha, którego środkowa część zaginęła. Obok dwóch skrzydeł z piekłem są dwa skrzydła raju: *Raj ziemski* i *Wstąpienie do raju niebieskiego* zwanego też *Empyrean*. I to ostatnie pochłania cię najbardziej.

Obserwujesz każdy, najmniejszy nawet detal z pieczołowitością godną astronoma. Jesteś tam, wśród aniołów unoszących się ku okrągłemu wlotowi świetlistego tunelu, który prowadzi przed oblicze Boga, bowiem Bóg jest tu światłem i nie zdradza go antropomorfia. Jak w opisach tych, którzy przeżyli śmierć kliniczną, aniołowie eskortują dusze zmarłych tunelem światła, bez bólu i bez lęku, a umierający mają okazję, by przyjrzeć się jeszcze swej zewnętrznej powłoce, nad którą pochylają się ze zdumieniem i rozpaczą ci, co zostali przy życiu.

W przeciwieństwie do Tintoretta i jego zgiefku hali targowej, tu panuje niebiański spokój. Promieniująca droga wiedzie wprost do źródła blasku. Ale nikt nie jest w stanie określić czym jest ów blask, który nie poraża, choć olśniewa, zaprasza swym ciepłem i przyciąga. Światło *Raju* Tintoretów ma coś ziemskiego, fizycznego, jak światło ogniska, święci muszą tłoczyć się, by ogrzać się w jego płomieniach, podczas gdy światło Boscha jest niematerialnym Iśnieniem. Życie po życiu staje się w nim podróżą do bram raju i ty, Beatrycze, tego słonecznego popołudnia, w środku października stanęłaś przed jego blaskiem i, pomimo lęku o chorujące gardło, zapragnęłaś śpiewać razem z aniołami.

Okrągły witraż w południowej nawie mieni się mozaiką kolorów. Filmuję go dyskretnie, trzymając kamerę na kolanach. W bazylice Świętego Marka trwa poranna msza, a ty śpiewasz czystym sopranem pieśń, której nie znam. Twój głos nagrywa się razem z obrazem i odtąd, kiedykolwiek go słucham (a sprawia mi nadzwyczajną przyjemność), widzę zawsze ów witraż i przypominam sobie nagle uświadomienie, że być może Bóg naprawdę jest światłem. I nie symbolicznym lub metafizycznym, a rzeczywistym, światłem, promieniowaniem, fotonami.

Z jasnego otworu witraża kamera przesuwa się na ciemniący otwór twoich ust: śpiewasz po raz ostatni i gdy zatrzymuję obraz przyglądam się mrocznemu owalowi, z którego dobywa się głos. Jeszcze w Londynie, w twoim mieszkaniu na Drury Lane, demonstrowałaś emisję szkolonego głosu. Można nim kierować w lewo, w prawo, w górę, w dół, do środka i na boki; zupełnie jak wiązką światła z latarki, a nawet bardziej, gdyż głos można zaginać i skręcać jak wstęgę, pod warunkiem, że ćwiczysz się go codziennie, otwierając i zamykając rezonatory w klatce piersiowej i pod czaszką. Potem wzięłaś mnie do Covent Garden na *Macbetha* Verdiego, gdzie po raz pierwszy mogłem docenić kunszt, który wcześniej wydawał mi się sztuczny, obcy i zmanierowany — prawdziwy kunszt śpiewu.

37.

Włączyłem kompakt z *Mszą za zmarłych* Charpentiera, której słuchaliśmy po powrocie z Bazyliki. I przypomniałem sobie, jak jedząc chleb z oliwkami kupionymi w piekarni przy Via Garibaldi, podziwialiśmy z okna smukłą linię weneckich motorówek. Pokryte orzechowym fornirem,

zwrotne i eleganckie, były równie dobrze „uszyte” jak mundury policjantów. W Wenecji bowiem, jak nigdzie indziej, widać, że stulecia obcowania z architekturą, proporcjami i kolorytem tego, co Platon nazywał Pięknem, wciąż przynosi owoce.

— Czy wiesz, co to jest piękno? — zapytałaś.

— Tak. Ty — odparłem bez namysłu.

Przymknęłaś oczy i powiedziałaś cicho, jak do siebie:

— Piękno jest kształtem, proporcją, dźwiękiem, poznany podczas innego życia... A teraz, tu na Ziemi, rozpoznajemy tylko fragmenty..., pewnie podobam ci się, bo rozpoznajesz we mnie rysy kogoś, z kim byłeś już wcześniej, w innym świecie. Platon nazywał to *anamnesis* — przypominaniem...

Czy rzeczywiście? Wciąż nie rozumiem, dlaczego pewne linie, luki, kąty i proporcje współpracują ze sobą, a inne nie? Dlaczego pewne dźwięki, tak misternie zbudowane przez Charpentiera czy Bacha tworzą harmonijne konstrukcje, o których Haendel mógł powiedzieć, że są „świętyniami zbudowanymi na drżących słupach powietrza”, a inne nie, jak większość muzyki współczesnej, która jest bolesną kakofonią?

Matematyka. Geometria. Muzyka. Piękno. Dzieje nauki i muzyki rozpoczynają się w tym samym punkcie ukrytym w cieniu Pitagorasa, dla którego muzyka była liczbą wyrażoną dźwiękiem — symfonią matematyki. Sekret języka proporcji, który studiowałem po nocach, spełniał tu podstawową rolę. Ale czemu? Kto go zaprojektował? Jaki Bóg podyktował go Naturze? I co w naszym mózgu odczytuje jego tajny kod tak, że patrzymy i słuchamy oniemiały?

W zatrzymanym obrazie video przyglądam się jak mrok twoich ust gasi światło witraża Bazyliki. Niczym Księżyc zaćmiewający Słońce. Światłość witraża i ciemność twoich ust. Słońce jasne i ciemne. Słońce i Księżyc. Rak zodiakalny wyznacza ich koniunkcję. Jest astrologicznym domem księżycy. A ty umarłaś na raka.

Poruszony analogiami gorączkowo przekopuję stos taśm nagranych dla Elmsa, aż znajduję tę, w której opisujesz fontannę Edenu w tryptyku Boscha. Zajmuje centralne miejsce ponad postacią Chrystusa i ma ten sam różowo-organiczny kolor co jego szaty. Okrągły dysk u podstawy fontanny jest symbolem Słońca, które w swoim centrum nosi przeciwieństwo — ciemny otwór znany w alchemii pod nazwą *sol niger* — Czarne Słońce. A owym cieniem Słońca, jego *umbra solis*, jest Księżyc, gdyż to on jest źródłem zaciemnienia. I wyraża wielką tajemnicę Persów, którzy wierzą, że ciemność jest kołyską światła. Pewnie dlatego na straży mrocznego otworu fontanny Słońca i Księżycy Bosch namalował sowę, ptaka nocy, bowiem umiejętność widzenia w ciemności jest symbolem wyjścia z niewiedzy — wyjaśniasz cichym głosem, a ja wędruję obiektywem za twoim palcem.

Fontanna wznosi się na żyznym wzgórzu-wyspie, pośrodku sadzawki z morską wodą. Z czarnej, pulchnej ziemi wystają probówki, rubiny, diamenty, ametysty i retorty — odpadki procesów alchemicznych zachodzących przed powstaniem fontanny — a ona sama, strzelista i delikatna, krucha i spiętrzona sinusoidalną ornamentyką, tryska czterema źródłami rzek, które rozplywają się, by dać życie, na cztery strony świata.

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że poszczególne elementy fontanny są pokryte rodzajem chityny i wyglądają jak wyrafinowana konstrukcja odnoży, wąsów i szczypiec raka lub kraba ustawionych na sztorc, jeden na drugim, z dużą pieczołowitością. Analizując dzieło Heinricha Khunratha z 1597 roku *Von hylealischen Chaos*, Jung opisuje jak ze słonej fontanny wyrasta koralowe drzewo Słońca i Księżycy w chitynowej skorupie raka, a ty przypominasz, że szóstego czerwca 1504 roku Słońce i Księżyc zepolily się w znaku Raka, w koniunkcji zwanej złotą. I mówisz, że w tym czasie Bosch był w Wenecji. Zresztą nie tylko on, Dürer i Leonardo także. I jeżeli tak, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że się spotkali. Fascynuje cię możliwość zebrania geniuszy malarstwa w mieście, w któ-

rym żyli i pracowali w tym samym czasie Mantegna i Bellini, Giorgione i Tycjan, Carpaccio i Lotto.

— Takie tajemnicze spotkanie jest wysoce prawdopodobne — mówisz rozmarzona.

— Nie znamy ich biografii dokładnie. Minęło pięćset lat obrosłych legendą i tajemnicą. Ale tajemnica ma swój język, a ja lubię go odczytywać z pozornego chaosu, z mrocznych symboli... Zresztą tajemnica osłania każdego: nigdy nie dowiem się wielu rzeczy o tobie, ani ty o mnie. Nawet gdybyśmy spowiadali się sobie codziennie, nic by to nie dało — jesteś przecież sekretem dla samych siebie.

39.

Dla ciebie tajemnica była wyzwaniem, posiadała swój język, a powolne jej odcyfrowywanie było źródłem trudnej do wytłumaczenia rozkoszy. Bosch fascynował cię, bo zawarł zaledwie w kilkunastu obrazach wielki leksykon owego języka. Czym dla ciebie był jego trudny, nieuchwytny i zagmatwany język symboli, tym dla mnie były prawa fizyki, a jeszcze bardziej wzory matematyczne — światem. Ty wierzyłaś, że Bosch stworzył mistyczny kod umożliwiający tajemniczonym przebywanie w raju na Ziemi i złamaniu tego kodu zdecydowałaś się poświęcić resztę życia, ja byłem (i wciąż jestem) przekonany, że Natura ukryła ów kod w prawach matematyki.

Fizyka była dla mnie tym, czym dla Boscha świat materii — światem sublunarnym, podlegającym bezustannym ograniczeniom, deformacjom i rozpadowi. Matematyka zaś to świat ducha, wyprawa w Kosmos, w Nieskończoność, do granic jaźni. Z początku studiowałem ciąg Fibonacciego, ów przedziwny postęp liczbowy odkryty przez Leonarda matematyki, dwunastowiecznego Leonarda z Pizy, gdzie kolejne liczby podlegają wzrostowi o sumę dwóch poprzednich: 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34, 55, 89, 144, etc. i którymi rządzą się zjawiska w naturze, jak chociażby kwiaty mające ilość płatków zgodną na ogół z liczbami ciągu. Później zainteresowałem się zagadnieniem symetrii tak niezbędnym w konstrukcji wszelkich środków transportu, w tym mojej specjalizacji — łodzi i okrętów. I dlatego uciekłem z życia w milczący ekran komputera. By podróżować po elektronicznym oceanie, który poddawał się mojej woli i nie był zależny od kogoś, kto mógłby mnie zranić i okaleczyć.

40.

Wylatują gromadnie z wnętrza góry, zakręcają i przefruwają przez okrągły otwór wydrążony w skale. Większość jest czarna, choć jest wśród nich kilka żółtych i białych. „Ptaki symbolizują śmierć, odlot duszy — mówisz do kamery. — W Babilonie dusze miały suknie z piór, u Homera dusze trzepocą skrzydłami, ale tu, u Boscha, powtórne przejście przez skalę oznacza powtórne rodziny i tak jak kobiety ze środkowej Anglii, które przechodzą przez kamienną bramę, by stać się brzemienne tak ptaki lecące przez skalny otwór są symbolem narodzenia się do świadomego, dojrzałego życia.”

Namalowane w górnym lewym rogu Edenu, ponad fontanną, tworzą wijący się orszak, do złudzenia przypominający podwojoną helisę DNA. Zatoczywszy dwanaście łuków nikną w oddali, by powrócić już w zmienionej postaci. Upierzenie większości stało się białe (jest wśród nich kilka czerwonych)

i wspólnie lądują w okrągłej dziurze dachu szałas. Kończąc wędrówkę życia wracają tam, skąd wyleciały, jako że szałas stoi w bezpośrednim sąsiedztwie góry.

W zagadkowym szałasie u kresu drogi odbywa się selekcja: ptaki białe i kilka czerwonych wychodzą na łakę, dziobiąc spokojnie ziarna nie opodal małej siedzącej na słoni, ptaki czarne zaś formują orszak pogrzebowy i ze skulonymi skrzydłami maszerują wprost do pękniętej skorupy jaja, nad którą czuwa większy i silniejszy od nich ptak. Przejście z czerni w biel znamionuje alchemiczne oczyszczenie, a spirala (tak jak lupina cytryny zwisająca z krawędzi stołu w holenderskich martwych naturach) jest symbolem nieskończoności. Bosch namalował wieczny cykl życia, w trakcie którego podejmujemy wybory i wewnętrznie wzrastamy, oczyszczamy się (jako że lot jest próbą, a jego zakręty dają możliwość wzrostu) lub też tkwimy w czerni naszych piór, niezmienni, niereformowalni, skazani na orszak śmierci i marsz do skorupy jaja zepsutego. Albowiem pęknięte jajo studiowane w *Occulta philosophia* Agrippy z Nettesheim, a także pęknięta łódź i skorupa rozbitego dzbanu oznaczają procesy rozkładu podlegające zgubnym wpływom Księżyca.

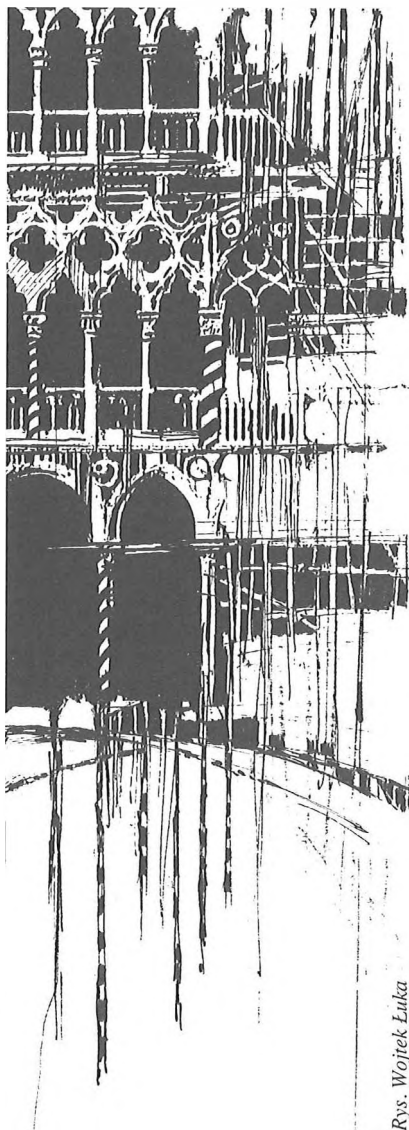
Cierpliwie tłumaczysz (rzekłbym „oprowadzasz” po obrazie Boscha) i wskazujesz na mężczyznę w piekle, stojącego na lirze i usiłującego balansować jajo na plecach. Próbuje jak kuglarz przetoczyć je w cyrkowej sztuczce na czubek głowy, gdyż jajo jest symbolem doskonałości i ten, kto potrafi nosić je na głowie, będzie zbawiony. Osiągnię stan równowagi ze światem symbolicznie zawartym w jaju, jak ów jeździec w centrum konnej kawalkady wokół sadzawki Venus, któremu sztuka ta się udała, i to w pełnym klusie, i może rozkoszować się pełnią wolności.

41.

Kamera drży potrząsana wybuchami śmiechu. Filmujesz mnie w łazience, jak nagi, skulony, usiłuję przetoczyć kolejne jajo przez plecy i udaje mi się dotrzeć aż do karku, ale niechybnie, gdy chociaż na ułamek sekundy podnoszę głowę, jajo spada i rozpryskuje się. Nakazałaś mi przejść przez próbę wyzwolenia się z Piekła, więc kupilem w supermarkecie dwa tuziny jaj i właśnie ostatnie z nich ląduję w zimnej jajecznicy na białych kafelkach posadzki.

Rozbiłem dwadzieścia cztery światy i również się śmieję twierdząc, że nie będę zbawiony, ale pocieszasz mnie, że każde pęknięte jajo jest miejscem powrotu do coraz nowej szansy oczyszczenia. Jak ci, którzy w górnej części Ogrodu wynurzają się z wody i wchodzą do wnętrza jaja nago.

Podchodzisz i zaczynasz mnie pieścić. Rozbieram cię. Odstawiam kamerę, wciąż włączoną, na krawędź wanny. Kładziemy się na śliskiej posadzce i nacieramy żółtkami i białkiem. Nasze ruchy są tak harmonijne, jakbyśmy płynęli powleczeni przezroczystą emulsją w brzuchu wieloryba. Kamera pokazuje fragmenty naszych ciał, błyszczące uda i pośladki. Ocierają się miarowo jak lśniące ryby nagle wyciągnięte z wody. przy dolnej krawędzi Ogrodu, na pierwszym planie, ręka głaszcze rybę odpoczywającą na łakę. A ryby to myśli wydobyte z nieświadomości. Ujawnione pragnienia.



Rys. Wojtek Łuka

Zbigniew Majchrowski należy do najwnikliwszych znawców poezji i teatru Tadeusza Różewicza. Przed dekadą jego znakomity esej „*Poezja jak otwarta rana*” (1993) przeniósł nas w nieznane dotąd rejony dorobku twórcy *Niepokoju*, teraz krytyk mierzy niżej - chce nas zapoznać głównie z biografią artystyczną Różewicza.

„Ta książka opowiada jedynie o rodzinach poety: jak wyrasta z dzieciństwa i młodości, jak dojrzewa wraz ze swoim pokoleniem i jednocześnie zdobywa odrębność, jak znajduje Mistrza i wybiera sobie tradycję, jak formuje swoją pisarską tożsamość, własny styl. Dzieje twórczości i dzieje lektury to już osobne historie” (s. 245).

Nabierze się jednak ten, kto do końca zaufa przytoczonym słowom. Majchrowski wprawdzie koncentruje się na biografii, nie jest jednak kronikarzem życia poety w ścisłym rozumieniu tego słowa. Ten gorset mu nie odpowiada, uciska go, krępuje ruchy. Dlatego biografia, jakkolwiek umieszczona w centrum rozważań, stanowi tutaj odskocznnię dla spraw innych, głównie interpretacyjnych.

Rzecz popularnie napisana nie musi być uproszczonym, na skróty poprowadzonym wykładem. Tutaj nie ma uproszczeń, nie ma drogi na skróty, choć zamiast poszerzonych eksplanacji są dawane podpowiedzi, przypiski, wskazówki, sugestie. Nie ma powodu, by na wybór takiej strategii krytycznej utyskiwać. *Różewicz* Zbigniewa Majchrowskiego ukazał się w popularnej serii Wydawnictwa Dolnośląskiego „A to Polska właśnie” i do reguł serii musiał się dostosować.

A jednak autor książki i te reguły obszedł. Pisząc swój biograficzny esej, wzbogacony rodzinnymi fotografiami, kopiami dokumentów, odbitkami rękopisów, okładkami książek, plakatami, reprodukcjami obrazów itd. - Majchrowski dążył do tego, by - śladem pisarza - zaprezentować czytelnikowi „biografię rozrzuconą”. „Auto-biografię rozrzuconą”, powiada krytyk, Różewicz stworzył „w wierszach i w opowiadaniach, w sobowótrowych rozmowach ze sobą samym w *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego*, w *Kartkach wydartych z dziennika* i nawet w starych reportażach *Kartki z Węgier*” (s. 245). Wystarczyło pójść tym śladem.

Najwięcej uwagi poświęca krytyk dzieciństwu, młodości i wchodzeniu w wiek dorosły Tadeusza Różewicza. Zapewne słusznie. Ten okres przez długie lata ukrywał się w cieniu analiz polonistycznych, mało kto go ekspozycjonował. Interpretatorów interesowała bardziej twórczość niż kontekst biograficzny. Tymczasem okazuje się, że bez znajomości owego kontekstu wiele znaczeń samego dzieła Różewicza umyka, a ono samo nie jest w pełni zrozumiane.

POWROTY

Biografia rozrzucona

„Przez twórczość Różewicza - pisze Zbigniew Majchrowski - płynie strumień niepokojów całego mijającego stulecia. Obok Czesława Miłosza jest on w poezji polskiej świadkiem koronnym XX wieku. Miłosz jednak spędził pół życia z dala od kraju - a to właśnie Różewicz czuwa nieprzerwanie jako poeta tego miejsca na ziemi. [...] Trzymając się na uboczu życia literackiego (a więc życia pozornego), Różewicz faktycznie znajdował się zawsze w epicentrum epoki, w istocie wyprzedzał czas, przepowiadał przyszłe wypadki” (s. 237).

Biografia prywatna, życie w kraju, lecz na uboczu wydarzeń oficjalnych, nie przeszkadza poecie - zdaniem krytyka - w nawiązywaniu kontaktu ze sztuką. Różewicz bacznie obserwuje świat, przeczuwa jego los, „opowiada się po widnej stronie świata”. „Należy - pisze Majchrowski - do poetów pracujących w świetle dziennym, poetów jasnej świadomości” (s. 209, 211).

Sugestie interpretacyjne ledwie, jakby mimochodem włączone w opowieść biograficzną są przenikliwe

i warte uwagi. Nie kolidują z życiem prawdziwym, lecz z niego wypływają. Zdaje się, że Zbigniew Majchrowski coraz chętniej ulega przekonaniu, iż bez zrozumienia faktów z życiorysu poety i jego otoczenia - niewiele zrozumimy z jego twórczości. Tłumaczenie tej pewności krytycznej zajęło by wiele miejsca. Nie jest pewne, że byłoby to tłumaczenie wiarygodne. Zamiast niego zatem dajmy dłuższy cytat, w którym autor Różewicza opisuje pokój poety:

„Różewiczowi obce są poetyckie misteria: »pokój, w którym tworzy się poezję to nieciekawý pokój. Książki. Trochę byle jakich mebli. Gazety. Jakieś drobiazgi« (*Pracownia*). Ten »nieciekawý pokój« w obecnym, wrocławskim mieszkaniu jest jasny i całkiem przestronny. »Trochę byle jakich mebli«, jeszcze z czasów gliwickich, to stylowe biurko i biblioteczka, wyraźnie przedwojenne (poniemieckie?) oraz z całkiem innej już parafii »nowoczesne« regały na książki. Przy łóżku stoliczek z miniaturowym radioodbiornikiem. Na biurku lampa naftowa, stosy książek, prasy i korespondencji, plik wizytówek z reprodukcjami dzieł sztuki, fotografie rodzinne, kasztany i żołędzie. »Jakieś drobiazgi«, głównie tak zwane pamiątki (w rodzaju puszek z napisem »Air de Paris«), tradycyjne słoniki »na szczęście«, ołowiany żołnierzyk. Na półkach z książkami stoi wazonikach kilka zasuszonych bukiecików wrzosu. Między książkami i bibelotami poutykane opakowania lekarstw. I jeszcze kasztany. Na ścianach wisi kilka niewielkich obrazów Jerzego Nowosielskiego oraz miniaturowy XVIII-wieczny »widoczek« ze sceną pasterską, nad łóżkiem fotografia matki i krucyfiks. Na bocznej ścianie biblioteczki - mały portret Mickiewicza oraz tablice ziół i minerałów. Gdzie nie spojrzeć, świat książek i świat natury są blisko siebie“ (s. 196-197, 200).

Świetnie powiedziane: „świat książek i świat natury są blisko siebie”. To przeświadczenie dominuje w książce Zbigniewa Majchrowskiego. Aż chciałoby się powiedzieć, że jest ono kluczem do zrozumienia całego pisarstwa Różewicza.

Rzecz została napisana pierwszorzędnie. Nie mam wątpliwości, że odtąd każdy, kto będzie chciał czegoś dowiedzieć się o Tadeuszu Różewiczu, właśnie od niej będzie zaczynał swoją lekturę. Tutaj przeczyta o poecie, jego najbliższych i miejscach, które naznaczył swoją obecnością. Przyjrzy się fotografiom, jakich nigdy by nie zobaczył. Wniknie w świat, jakiego nie zna.

Doprawdy, Zbigniew Majchrowski swoim „Różewiczem w obrazkach” sprawił nam wszystkim wielką przyjemność.

MARIAN KISIEL

KRYSTYNA ŁUKASIK

Tak naprawdę

Tak naprawdę
to Hamlet był kobietą
a mężczyznę udawał
bo tak było z pewnością
gdzieśby bowiem facet
potrafił tak tasować myśl
ciąć słowa
frymarzyć życiem

Tak naprawdę
to Hamlet był kobietą
a Ofelię podstawiał
by zmylić pogonię
w rzeczywistości wielce
miłował swego Horacego
jemu w pełni ufał
w nim szukał oparcia

Będąc córką
nie mógł znieść
preferowania przez królową
gacha

to znaczy ojczyma
dziewczyny zawsze bardziej
desperackie

niewiele ich wtedy
władalo sztyłem
stąd właśnie że nieliczne
przeszły do historii

Stroje Hamleta
były jakie były
bo ten dowcipniś
Szekspir lubił
wszystkich trefić
wątki plątać
inaczej ustawiać warty
i wskazówki zegarów

Tak naprawdę
to Hamlet był kobietą



Rys. Wojtek Łuka

Czary

Twierdzisz, że źle ci z sobą
zamień się więc ze mną.
Ty będziesz mną, ja tobą.
Stań tutaj, ja przejdę na twoje
miejsce.

Zamieniłeś cień na chłód.
Moje oczy chłoną twe
spojrzenie,
twoje usta wykrzywia
mój grymas,
twój gest ręki jest moim.
Weszłam na twe splątane
drogi,
tobą wstrząsnął dreszcz
mego zbitego lustra.
Zbierasz odłamki? Nie warto.
Czuję ciężar twoich trosk,
ty brzemień moich myśli.
Nie chcesz ich?

Musisz przyjąć.
Rozsnułeś smutek
przemijania,
poznaj ulotność chwil jasnych.
Oplotłeś mnie twym
rozdarcie
ale nie ciesz się,
musisz wziąć ze mnie strach,
widzisz, pobladłeś!

Ale teraz rozstrzygnie moneta,
jak reszka nie jesteś już sobą
jak orzeł wracamy na
swoje miejsca.
Dlaczego drży ci ręka?
Rzucaj!

Pasażerka z pociągu

kobietą podobną do ptaka
masz nastroszone spojrzenie
i luskowaty nos
na chwiejnej szyi
wpatrzona w swą brzydotę
odbierasz świat
z krogulczym uprzedzeniem
okopałaś swój teren
mocnymi nogami
i trwogą w palcach

tym gniazdom zapewne
liche gałęzie
spowite rozczarowaniem
zagrzebana w niewiarę
nie widzisz
że innym los
też nie wymościł
znakomitego siedliska.

z TADEUSZEM SIERNYM,
redaktorem naczelnym Wydawnictwa
Naukowego „Śląsk”, rozmawia EDWARD SZOPA



Foto: Józef Wróbel

- Rodowód tego dużego w przeszłości wydawnictwa, o bardzo szerokiej ofercie, był złożony. Trzeba pamiętać, że zaraz po wojnie w roku 1945 Katowice stały się ważnym ośrodkiem wydawniczym. Z wielu liczących się oficyn dominującą pozycję zdobyły ceniona, działająca jeszcze przed wojną Księgarnia św. Jacka, która wznowiła natychmiast działalność oraz AWiR (Agencja Wydawnicza i Reklamowa). W tym imponującym rozmachem, przedsiębiorczym wydawnictwie ukazała się głośna książka Edmunda Osmańczyka „Sprawy Polaków”. Na tej fali inicjatyw w tymże roku 1945, z inicjatywy przedstawicieli przemysłu ciężkiego zostały utworzone przy resortowych centralnych zarządach kopalń węgla kamiennego i hutnictwa także działy wydawnicze. W przyszłości wejdą w skład ekspozytury Państwowych Wydawnictw Technicznych utworzonej w roku 1950 w Katowicach pod kierownictwem Władysława Grysztsa. Cztery lata później na tej bazie powstaje Wydawnictwo Górniczo-Hutnicze, przy którym - dzięki staraniom środowiska literackiego, wyodrębniona została redakcja społeczno-naukowa, z Janem Pierzchałą na czele. Jej publikacje ukazują się już ze znakiem firmowym Wydawnictwa „Śląsk”, które po niespełna 3 latach usamodzielnia się.

- To już czasy po Październiku, odradzania się regionalnych centrów wydawniczych zlikwidowanych z nastaniem czasów stalinowskich.

- Katowice tych lat zaliczają się do ośrodków szczególnie aktywnych. Warto przypomnieć, że rodzące się w roku 1957 Wydawnictwo „Śląsk” było - po Wydawnictwie Literackim i „Znaku” w Krakowie oraz Ossolineum we Wrocławiu, jednym z pierwszych wydawnictw regionalnych. Dopiero później otwierają swoje oficyny Poznań, Łódź, Lublin i Gdańsk. Po Zbyszku Mikołajskim w roku 1960 dyrekturę „Śląska” obejmuje Jeremi Gliszczyński, wydawca zaradny i przedsiębiorczy. Za jego czasów Wydawnictwo „Śląsk” wchłania Wydawnictwo Górniczo-Hutnicze i poszerza swój profil o książki z tych ważnych dziedzin, tworząc specjalistyczne redakcje. Później, w połowie lat 80. utworzona zostaje „Książnica” Sp. z o.o., pierwsza tego typu oficyna w Polsce, powołana wspólnym staraniem Wydawnictwa „Śląsk”, PIW-u, Biblioteki Narodowej i Katowickich Zakładów Gra-

Stary i nowy „Śląsk”

- Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” utożsamiane jest często z dawnym Państwowym Przedsiębiorstwem Wydawnictwa „Śląsk”. Co łączy a co dzieli obie firmy?

- Łączy nas z byłym Wydawnictwem „Śląsk” wiele - tradycja edytorska, ten sam adres, te same numery telefonów, mocne związki z regionalnymi środowiskami naukowymi. Nie tyle dzieli, co odróżnia przede wszystkim wyodręb-

niony segment rynku czytelnictwa, który staramy się obsługiwać, technologia i organizacja oraz większe zainteresowanie czytelnikami uczącymi się, studiującymi, pracującymi naukowo, zarządzającymi przemysłem i gospodarką.

- „Śląsk” w swoim szczytowym okresie był zaliczany do większych wydawnictw, a w swej strukturze łączył dział literacko-społeczny z technicznym - górnym i hutniczym.

ficznych. W tamtych latach obok wydawnictwa „Śląsk” działa w Katowicach prężny Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej, swoje publikacje wydają Śląski Instytut Naukowy, Oddział PAN-u, Uniwersytet Śląski, SITG, GIG oraz inni okazjonalni wydawcy.

- „Śląskiem” nieprzerwanie kieruje Jeremi Gliszczyński, przez ile lat łącznie?

- Do nagłej śmierci w roku 1990. Kto wie, czy gdyby żył, nie okazałby się człowiekiem, któremu udałoby się przeprowadzić „Śląsk” przez zapasici pierwszych lat wolnego rynku. To był mender przedsiębiorczy i zręczny. W okresie swojej największej świetności, Wydawnictwo „Śląsk” publikowało 120 tytułów rocznie, zatrudniając blisko 100 pracowników. Firma była eksporterem nakładów książek do byłego ZSRR, NRD, importowaliśmy usługi z byłej Jugosławii, Czechosłowacji. „Śląsk” tamtych lat to wydawnictwo z bardzo szerokim profilem, publikujące: czasopisma, albumy, encyklopedie, leksykony, słowniki, podręczniki akademickie, instrukcje, monografie naukowe, prozę i poezję współczesną, przekłady z literatur obcych, literaturę dla dzieci i młodzieży, literaturę społeczno-polityczną, reprinty. W pamięci czytelników pozostaną popularne serie, m.in. biograficzna „Z medalionem”, Biblioteka Pisarzy Czeskich i Słowackich, w której ukazało się ponad 400 tytułów, Biblioteka Literatury Łużyckiej, Biblioteka Piśmiennictwa Śląskiego, Biblioteka Szarej Lilijki, Biblioteka Klasyki Młodzieżowej, Biblioteka im. Karola Miarki, cykl literatury popularno-naukowej zatytułowany: Człowiek-Przyroda-Technika, cykl s.f... Trudno nie przywołać zeszytów z przygodami Bolka i Lolka, serii Przygód Tomka Wilmowskiego pióra Alfreda Szklarskiego, wreszcie z zupełnie innego zakresu czteroksiąż Tadeusza Zielińskiego: *Świat antyczny*. Te książki się sprzedawały, pozwalały inwestować w debiuty poetyckie, edycję współczesnej prozy, serię ze „spinaczem”, publikacje o charakterze historycznym ukazujące dzieje regionu. Rozpowszechniono serie i cykle zatytułowane „Górnictwo”, *Zasady Projektowania Kopalń*, Bibliotekę Metalurgia, Bibliotekę Fizyki Metali.

- Jaką rolę spełniało wydawnictwo wobec miejscowego środowiska pisarskiego i naukowego?

- Jeśli spojrzeć z dzisiejszej perspektywy na tamte dokonania, to można z całą pewnością powiedzieć, że była to działalność promocyjna, sponsorska, rodzaj mecenatu, ale i także kreująca to środowisko. Lata dziewięćdziesiąte nie przyniosły, przynajmniej w gronie poetów i prozaików średniego pokolenia, nowych, ważkich edycji dzieł zachowanych przed cenzurą w szufladach, lub wydanych w drugim obiegu, można więc chyba uznać, że publikowane w „Śląsku” książki są reprezentatywnym zbiorem tekstów prezentującym możliwości i poziom artystyczny ówczesnego środowiska literackiego. Od połowy lat 80. do gospodarki polskiej wprowadzane były elementy rynkowe, jednym z pierwszych „uwolnionych” od cen urzędowych towarów był - papier. Później przyszła pora na usługi poligraficzne. Finansowanie edycji literatury pięknej, literatury naukowej było możliwe, ponieważ oficyna osiągała wystarczające przychody i zyski ze sprzedaży np. kolejnych tomów *Przygód Tomka pióra Alfreda Szklarskiego*, eksportu przekładów.

Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” nie kontynuuje tych form działalności nie może samodzielnie promować katowickiego środowiska literackiego. Brak takiej działalności nie ma żadnego znaczenia dla rynku książki. Ma jednak kardynalne i jednoznacznie negatywne skutki dla regionalnej kultury literackiej, zastanego obrazu Śląska pełnego stereotypów, a także modelu komunikacji literackiej.

Wypełnianej przez „stary Śląsk” funkcji nie zastąpią wydawnictwa efemeryczne, okazjonalne lub zwyczajnie przypadkowe. Jest zadaniem regionalnej polityki kulturalnej stworzenie warunków dla promocji środowisk twórczych, w tym także literackiego. Jestem przekonany, że jest możliwe - przy spełnieniu określonych warunków organizacyjnych, finansowych, technologicznych - stworzenie systemu promocji dorobku tego środowiska. Sami literaci, twórcy, wydawcy, księgarze, wreszcie bibliotekarze i animatorzy kultury - takiego systemu nie stworzą.

Dlatego należy z uznaniem powołać zapisany w „Strategii rozwoju województwa” postulat umocnienia roli stowarzyszeń twórczych. Mam nadzieję, że od deklaracji samorząd wojewódzki przejdzie do konkretyzacji tego hasła.

- W warunkach przełomu ustrojowego roku 1989 wiele wydawnictw utraciło swoją bezpieczną pozycję, niektóre jednak przetrwały. Czy „Śląsk” musiał upaść?

- Formalnie rzecz biorąc to wydawnictwo nie upadło, a zostało zgodnie ze stosownymi przepisami zlikwidowane. Likwidacja „Śląska” ma swe źródła w pospolitym braku wyobraźni, strachu przed nowym i nieznanym, niezależnych od przedsiębiorstwa, ale gwałtownych zmianach jakie zachodziły na rynku: wydawniczym, poligraficznym, księgarskim, dezyorganizacji systemu zarządzania firmą, w jej strukturze, składzie personalnym i sposobie funkcjonowania oficyny.

Wszystkie: duże, średnie i małe wydawnictwa przeżywały od końca lat 80. różne kłopoty. Wiele oficyn zniknęło z rynku, ale pojawiły się także nowe, prężne, doskonałe sobie radzące jak Wydawnictwo Dolnośląskie, czy u nas w Katowicach „Książnica” kierowana przez doświadczonego edytora Mariusza Morgę, przez długie lata cenionego redaktora „Śląska”. Dziś z kryzysu wyszły lub wydobywają się Czytelnik, PWN, PIW, Wydawnictwo Literackie.

Przetrwali Ci, którzy odważyli się być przewidujący, zdołali dostosować się do nowych warunków panujących na rynku. Niestety po śmierci dyrektora Jeremiego Gliszczyńskiego w Wydawnictwie „Śląsk” do głosu doszedł paraliżujący w obliczu koniecznych zmian strach przed utratą pracy, uniemożliwiający jakiegokolwiek zmiany, populizm Rady Pracowniczej i związkowców, myślenie rewindykacyjne zamiast twórczego i modernizującego. Był to także czas zmiany pokoleniowej: odchodziła grupa pracowników o najdłuższym stażu pracy. O utrzymanie swoich miejsc pracy walczyli z kolei pracownicy młodszy, ale przekonani o trwałości, niezmienności i skuteczności zastanych form organizacyjnych i finansowych. Nieszczęśliwym okazał się dokonany przez Radę Pracowniczą wybór nowego dyrektora, którym został młody poeta z Wrocławia Zbigniew W. Śmigieński; na te okoliczności nałożyły się jeszcze aspekty polityczne, brak zdecydowania w ówczesnym Urzędzie Wojewódzkim kierowanym przez Wojciecha Czecha. Nie istnieją żelazne prawa historii, zatem „Śląsk” nie musiał przestać istnieć, ale zawsze skutecznie

działają przymusy ekonomiczne, gdy zabrakło w kasie środków na bieżącą działalność, a długi rosły - zgłosiłem do sądu wniosek o ogłoszenie upadłości. Postępowanie to później zostało umorzone. Załoga rozstała się z firmą w sposób cywilizowany, wszyscy otrzymali przewidziane prawem, należne środki finansowe. Ostatnią książką opublikowaną pod szyldem Wydawnictwa „Śląsk” był: Ilustrowany Słownik Dziejów Śląska pióra Bogdana Snocha. Wyznaczony przez wojewodę likwidator zakończył swą pracę dopiero w roku 2000!

- W tym czasie funkcjonuje już powołana w 1992 roku przez Tadeusza Siernego Oficyna „Śląsk”, spółka z o.o., często utożsamiana i mylona z dawnym państwowym wydawnictwem, można rzec, iż powstała na jego gruzach?

- Istnieją związki a nawet poczucie dziedzictwa, skoro przez wiele lat byłem związany ze starym „Śląskiem” i jego zespołem. Ale to już nowa firma. Działające obecnie Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” scaliło utworzoną w roku 1992 oficynę oraz powołane z inicjatywy Leonarda Pluty Śląskie Wydawnictwo Techniczne. W jakiś sposób przypomina to nawet dawną fuzję Wydawnictwa „Śląsk” i Wydawnictwa Górniczo-Hutniczego. W ogóle w ostatnich latach mapa wydawnicza jest nader ruchoma: stale coś powstaje, przekształca się, rodzi i upada. Kto i co się ostatecznie - okaże czas. My trwamy i umacniamy swoją obecność. A to już 10 lat!

- Jaki jest w tej chwili ogólny profil oficyny Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”?

- Mówiąc najkrócej jest to nowoczesne, agresywnie działające na rynku wydawnictwo naukowe, ufundowane przez elitarny zespół udziałowców (Uniwersytet Śląski, Politechnika Śląska, Akademia Górniczo - Hutnicza, Akademia Ekonomiczna w Katowicach, Biblioteka Śląska, GIG i in.) wyróżniające się efektywną organizacją pracy redakcji, bardzo spolegliwym stosunkiem do autora, wielką atencją i szacunkiem dla czytelnika, swoistym sposobem finansowania kosztów produkcji książki, nowatorskimi technikami organizacji promocji książki. Funkcjonujemy w nowym otoczeniu prawnym, ostrej rywalizacji z konkurującymi z nami innymi przedsiębiorstwami, wreszcie w cieniu nieznanego do niedawna

internetu i ... rozbudowanej sfery usług kserograficznych.

- Jakie książki są wydawane obecnie i w oparciu o jakie środki?

- Blisko 30% naszych planów tytułowych zajmują książki reprezentujące nauki o kulturze i literaturze, 26% to dzieła z zakresu nauk społecznych, 13% nauk technicznych, 6% nauk pedagogicznych, 5% nauk medycznych, 5% czasopisma naukowe, 15% to książki reprezentujące różnorodne dyscypliny naukowe, lub rodzaje tekstów np. literaturę piękną.

Tradycyjnie z zainteresowaniem przyglądamy się kulturze naszych południowych sąsiadów. Eposy bułgarskie, aproksymaty południowosłowiańskie, leksykon literatur zachodniosłowiańskich, gramatyka konfrontatywna języków słowiańskich to przykłady zainteresowań naszych autorów. Prof. Piotr Fast kieruje redakcją kwartalnika „Przegląd Rusycystyczny”, redaguje także kilkunastotomową serię prac teoretycznoliterackich poświęconych problemom teorii i praktyki translacji. Publikowane w „Śląsku” prace świetnego grona, średniego i młodego pokolenia badaczy literatury i kultury - lista nazwisk jest bardzo długa - dokumentują bogactwo metod badawczych, obszarów penetracji naukowej współczesnej śląskiej humanistyki. Mimo, że nieliczne ilościowo, ale jakże istotne dla współczesnej kultury są edycje tytułów literatury pięknej: wiersze Tadeusza Kijonki, Floriana Śmieji, proza Bolesława Lubosza, Wilhelma Szewczyka, Feliksa Netza, klasyczne teksty Jaronia, Lompy, Gołby.

„Śląsk” jest wydawcą monumentalnej serii prac poświęconych pomocy społecznej, polityce społecznej zatytułowanej „Biblioteka Pracownika Socjalnego”, liczącej już dziś blisko 50 tytułów. Profesor Radziejewicz-Winnicki kieruje redakcją kwartalnika *Auxilium Sociale*, jedynego czasopisma naukowego zajmującego się wsparciem społecznym. Monografie socjologiczne pióra profesor Kazimierzy Wódcz, profesora Marka Szczepańskiego, profesora Janusza Sztumskiego to obraz przemian i zachodzących procesów społecznych. Współpraca z pedagogami owocuje cyklem książek o polskiej szkole i najważniejszych zagadnieniach współczesnej pedagogiki. Prace filozoficzne publikują w „Śląsku” profesorowie: Józef Bańka, Czesław Głombik,

Janusz Czerny. Nauki medyczne reprezentowane są przez prace zbiorowe pod redakcją świetnych, wybitnych klinicystów, profesorów: Stanisława Wosia, Zygmunta Antoszewskiego, Janusza Skalskiego, Bolesława Gwoździa.

Tradycyjny dla „Śląska” obszar literatury technicznej reprezentują w większości pierwsze wydania monografii napisane przez profesorów: A. Lisowskiego, A. Strumińskiego, A. Bębna, W. Bartelmusa, W. Blaschkego, A. Klicha, S. Szpetkowskiego.

Osobne miejsce w planach tytułowych zajmują czasopisma naukowe. Konsekwentnie wprowadzamy je na rynek dzięki współpracy z profesorem Jackiem Wodzem, redaktorem kwartalnika *Regiony Polski*, profesorem Wojciechem Kalagą - redaktorem naczelnym czasopisma teoretycznoliterackiego pt.: *Er(r)go*. Swoistym ewenementem jest rocznik *Rzeki* redagowany przez ostatnie 10 lat przez Jerzego Kultuniaka, pozyskujący najlepsze pióra naukowe w Polsce, ukazujący w interdyscyplinarny sposób związki ludzkiej historii, kultury i cywilizacji z twórcami przyrody jakimi są rzeki - i na odwrót.

Nie sposób wymienić wszystkich obszarów zainteresowań, w ciągu dziesięciu lat istnienia oficyny od lutego 1992 roku wydaliśmy blisko 500 tytułów, publikując w latach gorszych 40 tytułów, w lepszych 70.

- Ile wydawnictwo zatrudnia osób, czy są wśród nich redaktorzy z poprzedniej firmy.

- Wydawnictwo tworzy bardzo zharmonizowany zespół młodych, dobrze wykształconych pracowników. Troje z nas pracowało kiedyś w „starym” Śląsku, łącznie zatrudniamy 8 osób; współpracujący z nami: Marek J. Piwko, grafik także zdobywał doświadczenie w dawnym Śląsku; nasza korektorka Laura Ryndak przeczytała chyba wszystkie książki w starym i nowym „Śląsku”, Alina Goździk zajmująca się literaturą techniczną, kiedyś kierowała działem wydawniczym w GIG-u. Współpracujemy z blisko siedemdziesięcioma osobami oraz wieloma drukarniami w całej Polsce, księgarniami, hurtownikami, recenzentami.

- Czy w programie wydawniczym istnieje tematyka śląska - chodzi tu przede wszystkim o literaturę współczesną i historycznoliteracką.

- Jestem przeciwny pojmowaniu „tematyki śląskiej” jako serwitutu

wobec miejsca przebywania i posadowienia. Mam głębokie przekonanie, że dla tożsamości i przyszłości naszego regionu niezwykle ważne są: książki publikowane np. przez kardiochirurga profesora S. Wosia, artystę grafika Tadeusza Siarę, historyka profesora J. Walczaka, traktaty filozoficzne profesora Józefa Bańki, głębokie analizy historycznoliterackie profesora Jana Malickiego, czy kulturowe profesor Ewy Kosowskiej, analizy społeczne profesor Kazimierzy Wóźniaka i Lucyny Frąckiewicz, prace językoznawcze profesor Olgi Wołoszkiej i wielu, wielu innych. Tworzą one bowiem obraz Śląska prawdziwy i perspektywiczny. Z niechęcią patrzę na odgrzewane przez pana senatora Kazimierza Kutza antagonizmy śląsko-zagłębiowskie, czy pozorne spory o ideał „prawdziwego Ślązaka”. Chciałbym, by nasz czytelnik pojmował odrębność regionalną - tak przecież ważną w przyszlętej, zjednoczonej Europie - nie tylko jako skutki zróżnicowanych losów historycznych i odmienną strojów, potraw i gwar, ale przede wszystkim by swoją tożsamość opierał na: identyfikacji ze współczesnym mu dorobkiem kulturowym, tworzonym przez jego rodaków wkładem cywilizacyjnym, tolerancji, innowacyjności, racjonalności, spolegliwości.

Zadaniem mojego wydawnictwa jest publikowanie dzieł tych autorów i takich twórców, którzy mobilizują naszych czytelników do upartego dążenia do wyrwania się z okowów „globalizacji”, syndromu „włóczęgi” w globalnym świecie, jak chce to zjawisko nazywać profesor Bauman, do wyzwolenia - na ile jest to możliwe - od zagrożeń jakie rodzi współczesność. Jeśli zatem pojawiają się takie teksty, chętnie je opublikujemy jako signum tożsamości współczesnego Śląska.

Myślę, że dowody na takie myślenie możemy także odnaleźć np. w pięknym albumie Wojciecha Janoty, Jerzego Moskala pt.: *KATO-WICE - Bogucice, Załęże... et nova villa*.

- Co składa się na to, że nasz region nie jest bezpiecznym rynkiem wydawniczym i nie powstają tu nowe przebojowe wydawnictwa?

- Żeby założyć „nowe przebojowe wydawnictwo” trzeba mieć koncepcję merytoryczną i kilka milionów złotych do wydania. Wbrew pozorom nasz region jest wdzierczym rynkiem czytelników,

czyż, działają tutaj z powodzeniem wszystkie większe hurtownie książki, ale z coraz większym trudem. Społeczeństwo jest biedne, biblioteki źle zaopatrzone w nowości, nie istnieje system informacji o książce, oferta tytułowa w księgarniach chociaż bogata często jest przypadkowa, chaotyczna, edukacja dla kultury coraz bardziej powierzchowna. Ceny książek rosną, nakłady maleją, rentowność edycji jeśli w ogóle jest dodatnia to minimalnie. Sądzę, że bez skoordynowanych działań samych twórców, animatorów kultury, bibliotekarzy, wydawców, księgarzy, nauczycieli, ludzi odpowiedzialnych za politykę kulturalną w samorządach - nic się nie zmieni.

Ale to jest osobny wielki temat.

- Co jest obecnie najwrażliwszym miejscem na rynku książki?

- Postępujący zanik nawyku czytania czegokolwiek, dominacja oglądania nad czytaniem, spóstrzeganie nad patrzeniem, refleksu nad refleksją. Szerzy się wtórny analfabetyzm, postępuje proces obniżania kompetencji czytelników. Zaprzepaściliśmy skarb, który nazywał się głodem książki i jest to wina wszystkich, którzy cokolwiek mają wspólnego z książką. Jeśli nie zostaną podjęte szeroko zakrojone działania na rzecz książki, przedmiot ten w przyszłości stanie się elitarnym bibelotem, dostępnym percepcji 5-10% społeczeństwa.

- Jak wygląda sytuacja z edukacją edytorską?

- Złe. Dziś prawie każdemu kto ma w zasięgu ręki komputer wydaje się, że może publikować książki. Dowolny edytor przecież „sam” nam wydrukuje tekst - w efekcie na rynku możemy znaleźć książki bez karty tytułowej, teksty opublikowane chyba dla osób pracujących za lupą, bez marginesów. Szacunek dla pracy korektora, dorobku polskiej typografii, norm branżowych, tradycji polskiej grafiki książkowej, intrologistyki - nie istnieje. Brak profesjonalnej, obiektywnej krytyki, recenzentów także z tej sfery ma fatalne skutki dla czytelników i kultury edytorskiej. W Polsce ukazują się wiele pięknych książek, niestety znacznie więcej publikuje się książek ze złamaniem zasad i podstawowych reguł sztuki wydawniczej. Próbuje ratować sytuację Polskie Towarzystwo Wydawców Książek, Uniwersytet Warszawski, Politechnika Warszawska, PIK. Są to jednak działa-

nia doraźne, być może za kilka lat rynek wyruguje partaczy, a księgarze i bibliotekarze przyjmować i sprzedawać będą tylko przyzwoicie wydane książki...

- Czy Prezes Tadeusz Sierny ma poczucie bezpieczeństwa firmy, którą kieruje?

- Zapewne jeszcze przez długie lata ludzie komunikować się będą ze sobą za pomocą tekstów pisanych i czytanych. Zmieniać się będą nośniki i technologie ich produkcji. Z papieru offsetowego pewno przejdziemy na jakąś formę papieru światłoczułego, upowszechni się internet, CD. Ale zapis i komunikacja tekstowa pozostaną. W tym znaczeniu można mówić, że firma jest bezpieczna, ma perspektywę bezpiecznego rozwoju i modernizacji. Jeśli nasz region i Polska będzie krajem o ustabilizowanym tempie rozwoju to także wzmocni nasze poczucie bezpieczeństwa.

Najbardziej niebezpieczne są gwałtowne wahnięcia ekonomiczne, spadek koniunktury, zubożenie społeczeństwa, zmiany przepisów prawnych, ograniczenia w dostępie do środków pomocy publicznej, gwałtowne ruchy cen za usługi i surowce - te okoliczności czynią naszą funkcjonowanie niepewnym i bardzo frustrującym.

Zawsze znajdziemy potencjalnych czytelników naszych książek, ale czy owi czytelnicy będą mogli je kupić za rozsądną cenę i czy stać nas będzie na sfinansowanie kosztów produkcji - to podstawowe obszary niepewności i troski!

- Czy w takim razie czuje się wydawcą spełnionym - jeśli nie to czego mu trzeba aby miał poczucie pełnej satysfakcji?

- Przede mną i moim zespołem jeszcze wiele wspaniałych zadań edytorskich, jest wiele encyklopedii, leksykonów, słowników i monografii do wydania. Marzy mi się, że kiedyś stereotyp Ślązaka zbudowany będzie na głębokim przekonaniu o utrwalonych w ludziach tej ziemi takich cechach jak: wysokie kompetencje zawodowe, profesjonalizm, wielojęzyczność, pracowitość, innowacyjność, pogoda ducha oparta na zdrowiu i klarownych hierarchiach wartości etycznych, wreszcie zasobność finansowa. Jeśli taki „banalny” stereotyp zdołamy kiedyś zbudować także przy pomocy naszych książek, autorów i czytelników - może wówczas uznaję, że nam się udało.

Biały atrament

co ty robisz, naga
w moim śnie? coraz więcej
krwi przybywa w słonym
chcę

co ty słyszysz, mokra
w mej pustyni?
błękitnieją twoje sutki
nie z tej ziemi

ziemia? kurczy się i ścieka
lepką kroplą
przez nasz nagle wspólny język
nam ucieka

spod nóg, w ślepym tańcu
zanurzonych
czas się topi czas się miesza
świata strony

siostro, branko wyobraźni cudna
odlatują znowu lata nieobjęte
pestki wspomnień na przystanku tym
wypluwam
przez sen piszę białym głodu
atramentem

Fraszka

Przez całe życie
Jak smagnięcie gałązką
Nie do zagojenia

Zwykle o zmierzchu
Twoje ciało pachnie

Jestem pewien: wilgotne płatki dotyku
Gdzieś tu jeszcze
Świecą

Ujarzmić wstecz twoje ciało
liszki włochate
pod prąd

Który umarł
Znowu cień rzuca chłopiec
Piłka wieczna w wiecznym
Locie

Twoje ciało śni się biało
Ćma

Rys. Wojtek Łuka



Dotyk
Zawsze młoda woda
Jak

Smagnięcie gałązką z łez

★ ★ ★

którzy piszą listy wiecznym piórem zimy
łatwo odkryją ścieżkę w zaspach oraz innych

nocy nagłych i chyba w gęście nie najlepszym
sztuczkach tak do przebicia łatwych piórem
wiecznym

które jest, choć ze śniegu — napisze —
wierzymy
list do białej i czarnej mieszkanki tej zimy

★ ★ ★

Nie

Zmierzch łagodny wieczór śliski, ty
Tak szukałem jakbym spadał

Sny

Potem wabi znowu gwiazda, lepka
gwiazda imię twoje gubi

Ścieka

Wtedy widzę: miękki zaciek, szron
Masz na nogach mokrą chmurę

Skąd?

Chmura słona obietnica, śpiewa
Coraz trudniej się dogadać

Senna

Bo ty śpisz jakbyś płynęła wspaniale
Tego życia zmyłonego
Tego życia nie mojego

Lat

Bo ty jesteś z innej pory, w śnie?
Tak szukałem jakbym mówił

Nie

★ ★ ★

miłość
pierwsza
pionowa

nie śpi nie stoi
idzie

pod dom na ostatnich nogach

miłość patrzy na dom i milczy
jak rozpacz

jest już jego strych
i piwnica

przez żyły brudnej wody
przez lata przez sen przez mgłę
patrzy
na mur z czarnymi ustami
z pięknym piaskiem w czarnych ustach

tam jest nic

ale którejś nocy dobrej
którejś nocy mądrej
widzi

jak ciągle tam mieszkasz

której nie ma
poza przepaścią

Wspomnienie

Biały ojciec, ze snu pędzący
Siwosz, aż tu się zablakał
W synowski cień, i cały w fugach
Legend swych — przestrasza

Później — coraz mniejszy już
Tak i kalikant cienkiej pasji
Stróż
Ani koń ani brody siwość
Krzepka

Ot, gwiazda z dmuchawca
Umarła o poranku

Wiersz, który zawsze bałem się napisać

Wiersz, który zawsze bałem się napisać
Chyba nie dotyczył bardziej mnie
Niż ciebie

Lakmus nocy, tamto okno, chwile
jasnowidzenia
Żadna z tych rzeczy nie towarzyszyła myślom
O nim

Prędzej nudna pewność porannych
przebudzeń
Z głową w pół odrąbaną toporem snu
Z głową jednak na karku przebudzenia

— o, jakże tu wątpię w bufona formy
zziajaną spiralę znaków —

niepewność i wstyd rozkładają ręce
gdy usiłuję opowiedzieć wierszem
o wierszu, który zawsze
bałem się napisać

więc rośnie
to mądre rozpięcie między nami
a nim

którego napisać nie wolno

Tłusty obłok

Durch mein Leben zittert ohne Klage,
Ohne Seufzer ein tiefdunkles Weh.
R.M. Rilke

Zdumiewając się nad sobą, jednak
Nad sobą się nie zatrzymując, w przeciągu
Słów siwiejący zwolna jeszcze polak
A przecież pod niebo wynosząc brak
Radości życia oraz porządną poezję, gdy
Dorzecznie prosi — zostań
Synku pośród pytań bólu głowy, zatem nie
skacz
ESeMes-a ode mnie doczytaj doprawdy
Nie w pionie
nasza odległość świeci, już
Raczej cięższe znosić gotów — śpiewaj
aż w gardle krew błysnie —
Jakiś hymn albo chociaż wulgarną piosnkę
Sławiąc kobiet i ziemi

Tłusty obłok

MACIEJ M. SZCZAWIŃSKI



Katowice, róg Pocztovej i Dworcowej

Miasto przez dziewiętnastowiecznych dziennikarzy-entuzjastów przyrównywane do ruchliwego ośrodka w rodzaju kanadyjskiego Klondyke - pod koniec lat 30. ubiegłego stulecia nadal nie tworzyło rozległej metropolii. Wszędzie można było bez trudu dojść pieszo. Jedyna miejska linia tramwajowa łączyła centrum z Parkiem Kościuszki. Pozostałe tramwaje kursowały na linii wschód - zachód między Bogucicami a Załężem i miały charakter przelotowy. Od północy, z ulicy Zamkowej, podjeżdżał do rynku wagon tramwaju wąskotorowego. Sam rynek był niewielki. Dopiero po wojnie, w wyniku spalania i zburzenia szeregu kamienic średnie-wiecznych przez - nie natrafiające zresztą na opór Niemców - oddziały sowieckie przestrzeń miasta zwiększyła się nienaturalnie.

Po przeprowadzce z sennej, zielonej Pszczyny, gdzie mój Ojciec był dyrektorem tamtejszego gimnazjum, zamieszkaliśmy w Katowicach przy ulicy Juliusza Ligoń. „Patrz! Pan Ligoń idzie do radia” - mówiła czasem Matka, pokazując przez okno naszego parterowego mieszkania postawnego mężczyznę w pilśniowym kapeluszu, o mięsistym, czerwonym nosie. My-

A potem przyszła wojna

LESZEK
DZIĘGIEL

ślałem sobie, że to ciekawe mieszkać przy ulicy, której patron przechadza się pod oknami. W rzeczywistości był to naturalnie Stanisław Ligoń, wnuk dziewiętnastowiecznego działacza śląskiego. Radio katowickie, skąd poprzez głośniki dobiegał miarowy, piskliwy dźwięk młota parowego, mieściło się o kilkanaście kamienic dalej. Ojciec mój, dr Władysław Dzięgiel,

z zawodu historyk, po uzyskaniu stanowiska wizytatora szkół średnich dla mieszkających na Śląsku Niemców nie porzucił dawnej współpracy z rozgłośnią. Nadal wygłaszał popularne odczyty z dziejów polskości tego regionu. W parę lat później miał za to zginąć w niemieckim obozie Hamburg-Neuengamme. Teraz codziennie szybkim krokiem zmierzał do popielatego gma-

chu Sejmu Śląskiego, gdzie podziw mój wzbudzała winda, z kręcącym mosiężną korbą windziarzem. Przez chwilę poważnie rozważałem ewentualność zostania w przyszłości tak odpowiedzialną personą. Ostatecznie jednak zdecydowałem o bardziej atrakcyjnym zawodzie: kierowcy wielkiego autobusu. Perspektywa fotela za kierownicą żółtawej maszyny, z wysuniętą do przodu, jak paszcza potwora, maską była jeszcze bardziej fascynująca. Nawet od kariery afrykańskiego łowcy dzikiego zwierza, jaką proponował obejrany w towarzystwie rodziców film „Kły i pazury”.

Katowice, już co prawda przez dziewiętnastowiecznych dziennikarzy entuzjastów przyrównywane do ruchliwego ośrodka w rodzaju kanadyjskiego Klondyke - pod koniec lat 30. ubiegłego stulecia - nadal nie tworzyły rozległej metropolii. Wszędzie można było bez trudu dojść pieszo. Jedyna miejska linia tramwajowa łączyła centrum z Parkiem Kościuszki, zawracając spod remizy. Pozostałe tramwaje kursowały na linii wschód - zachód, między Bogucicami a Załęczem i miały charakter przelotowy. Od północy, z ulicy Zamkowej, podjeżdżał do rynku wagon tramwaju wąskotorowego. Sam rynek był niewielki. Dopiero po wojnie, w wyniku spalania i zburzenia szeregu kamienic śródmiejskich przez, nie natrafiające zresztą na opór Niemców, oddziały sowieckie, przestrzeń w środku miasta powiększyła się nienaturalnie.

Pod przecinającymi w poprzek miasto torami kolejowymi wiodły mroczne, wykładane kafelkami tunele. Radykalnej przebudowie uległy dopiero wiele lat po wojnie. Przypominam sobie, że jeszcze w późnych latach 40. spieszący się przechodnie wpadali na siebie w mroku.

W roku 1938 rzadko zabierano mnie do centrum. Chyba, że rodzice postanowili odwiedzić jedną z dwu popularnych kawiarni, „Astorię” na rogu ulicy Mariackiej lub bardziej kameralną, „U Otta”, naprzeciw teatru Wyspańskiego. Klientom, przebywającym tam w towarzystwie dzieci wypożyczano całe stosy książeczek ilustrowanych. Siedząc spokojnie przy stoliku i wertując kolorowe obrazki z przygodami Myszkki Miki, Kaczora Donalda i Koziołka Matołka nie przeszkadzałem nikomu.

MODA

Tłum przechodniów, jaki zapamiętał z katowickiej ulicy siedmioletni chłopiec wyróżniał się pewnymi szczegółami, cha-

rakterystycznymi dla tamtej epoki. Panowie z reguły nosili, bez względu na porę dnia i roku, kapelusze. Pod marynarkę nawet najuboższych obowiązywała kamizelka. Stopy, obute w płytke, wyglansowane trzewiki osłaniali dodatkowo popielatymi getrami. Starsi wiekiem, w czasie mrozów zimowych, wkładali na uszy pocieszne, aksamitne klapki, zamocowane na elastycznym, metalowym pasku. Całość przypominała słuchawki radiowe. Na wycieczki i letnie spacery ubierano się w baniaste pumpy, wzorzyste skarpety - niekiedy - półbuty, z wywinętymi, ozdobnymi językami, tak zwane „tyrolki”. Jednak w miarę narastania napięcia politycznego między Polską a hitlerowskimi Niemcami noszenie tych ostatnich zaczynało być w nienajlepszym tonie. Modny był też pulower i lekki, płócienny kaszkiet.

Panie zimą powszechnie stroiły się w rozmaitego rodzaju futra, lub ciepłe płaszcze z sutym lisem. Nieszczęsny zwierz, z woli kuśnierza, otulał szyję właścicielki, zębami wpijając się we własne podogonie. Dłonie chroniła przed chłodem niejednokrotnie futrzana mufka. Na wyjątkowe mrozy wkładano na nogi filcowe „Kapce”, krzyk mody z międzynarodowych zawodów FIS w Zakopanem, gdzie jak zwykle na trasach brakowało śniegu. Ondulowane głowy z reguły zdobił nieduży kapelusik. Turbany z chustek miały przyjść z Niemiec dopiero w czasie wojny. Pamiętam, że w ciepłych porach roku panie gustowały w lekkich, kwiecistych sukniach. Na letnisku chętnie nosiły serdaczki i kierpce, stanowiące sentymentalną parafrazę stroju górali podhalańskich lub Hucułów.

Nas ubierano wedle ówczesnej, raczej podkasanej mody dziecięcej. Zimą i latem obowiązywały krótkie porciąta. Na chłody i słoty nosiło się znienawidzone długie pończochy na podwiązki, zwane „patenkami”. Kuse płaszczyki nie chroniły przed dokuczliwym chłodem. Dopiero w siarczysty ziąb ubierano mnie w wełniane rajtuzy i krępujący ruchy kożuszek, haftowany w zakopiańskie wzory. O długich spodniach dla chłopców w moim wieku, a tym bardziej dla dziewczynek, nie było mowy.

Zdarzało się również, że urządzało się wyprawę po obuwie, do mojego ulubionego sklepu „Stabil”, u zbiegu ulic Pierackiego i Jana. Przy zakupie bucików dziecięcych mały klient dostawał w prezencie od firmy kolorową piłeczkę. Właściwy rozmiar dobierano, wkładając obutą stopę do rodzaju aparatu rentgenowskiego, ustawionego w kącie sklepu.

Przez odpowiedni wziernik obserwowano, czy but nie jest za ciasny. Nigdy już potem, po wojnie nie słyshałem o podobnych praktykach, które dziś zjeżyć mogą włos niejednego terapeuty.

KATOWICKIE KAMIENCE

Kunegunda liczy, liczy, ile okien w kamienicy?

Dużo, dużo pęka głowa - kamienica trzypiętrowa!

Ten płomyczkowy wierszyk dość trafnie mógłby charakteryzować także wysokość starego centrum przedwojennych Katowic. Zabudowa ulic Trzeciego Maja i Warszawskiej składała się z ciężkich, parukondygnacyjnych zaledwie budynków. Elewacje utrzymane były w pompacyjnym, eklektycznym stylu późnej epoki cesarstwa Hohenzollernów. Czerniejące od unoszącego się w powietrzu pyłu węglowego kariatydy i tytani, z coraz większym trudem zdawali się dźwigać ogromne balkony. Betonowe kwiatony i amfory o zmroku, w świetle ulicznych lamp łukowych, wydawały mi się królestwem z groźnej bajki. Szczególnie w gmachach biur i banków, o zmierzchu wytrzeszczających czarne oczodoły okien.

Przedmiotem prawdziwej fascynacji był najwyższy w mieście gmach - drapacz chmur, na rogu ulic Wandy i Żwirki i Wigury. Nie danym mi było dotrzeć na dach kolosa. Byłem jednak dumny, że mieszkam w mieście, gdzie stoi już taka potężna budowla jak w Nowym Jorku, o którym czytano mi w „Przygodach Koziołka Matołka”! Fascynowały mnie kopalnie i górnicy. Pamiętam jak najbliżsi odbierali dramatyczne słuchowisko „Inżynier Szeruda”, nadawane przez rozgłośnie katowicką. Opowiadania o bezrobotnych górnikach, kopiących węgiel w „biedaszybach” wzbudziły we mnie podziw i chęć wykopania sobie w przyszłości „własnej” kopalni.... W ogóle udzielał mi się entuzjazm dorosłych, pasjonujących się przemysłem, szkłem, aluminium, dywanami kominami i „śpiewem syren fabrycznych”. Ten ostatni słyshałem codziennie, podobnie jak dźwięk klaksonów samochodowych, zwiastujących pojawienie się pod oknami kolejnego autobusu. Patrząc przez okno stałem się entuzjastycznym widzem ulicznego teatru motoryzacyjnego. Już wkrótce znalazłem wszystkie marki samochodowe z lat 30., jakie dziś figurują tylko w podręcznikach historii motoryzacji. Nadal łatwiej potrafię

narysować sylwetkę samochodu o kanciastych kształtach, z kufrem i kołem zapasowym z tyłu, oraz zwieńczonym rzeźbą anioła lub nimfy korkiem chłodnicy, niż formy aerodynamicznych maszyn, już wtedy zresztą pojawiających się także na katowickich ulicach.

Co rano do studniowatego podwórka, na które wychodziły okna naszej sypialni i kuchni wjeżdżał samochód-śmieciarka, pochłaniając zawartość śmierzących kotami kubłów. Przez cały dzień defilowali tędy uliczni handlarze starzyny, wędrowni naprawiacze garbków blaszanych i kamionkowych, szlifierze noży, lub żebrzący grajkowie i śpiewacy. Po drugiej stronie ulicy wznosiła się niewielka fabryczka z nieczynnymi - ku mojemu niezadowoleniu - kominami. Rozebrano je dopiero w latach 90. Dalej horyzont zamykała sylwetka wznoszonej katedry. Dopiero w parę dziesiątków lat później przykryła ją przemyślnie obniżona kopuła.

SZKOLNE ZDJĘCIE

W jesieni 1938 r. poszedłem do pierwszej klasy prywatnej szkoły im. Adama Mickiewicza. Druga tego typu szkoła, im. Juliusza Słowackiego, istniała w górnej części ulicy Kościuszki. Nasza znajdowała się przy tej samej ulicy Ligoń, w jednej z kamienic pomiędzy Wita Stwosza i Kościuszki. Naprzeciw, w czarnym, niskim biurowcu ulokowała się firma prowadząca sprawy szkół górniczych, gdzie pracę znalazła moja ciotka, magister praw. Szkoła starała się zapewnić dzieciom opiekę i staranne wykształcenie, zgodnie z ówczesnymi wymogami edukacyjnymi. Fartuszeki, dwa typy pantofli, stoliki z krzesłkami zamiast tradycyjnych ławek, wycieczki do muzeum i siedziby straży pożarnej, kolorowe liczniki, obsadki do bezkulowych piór, gwarantujące jakoby czytelny charakter pisma, rytmika itd. Mankamentem był brak przestrzeni na przerwach. Czasami tylko wypusz-

czano nas na ciasne, zamknięte dookoła murami podwórze, gdzie spontaniczny wrzask dzieciarni był trudny do zniesienia. Ale szkoła cieszyła się popularnością wśród tych rodziców, którzy mogli sobie pozwolić na opłaty czesnego i mieszkali w pobliżu. Już wówczas perspektywa wędrujących skrzyżowaniami ulic małców była zморą dorosłych, mimo stosunkowo leniwego ruchu samochodowego.

Tułaczkę wojenną i powojenną przetrwało zdjęcie zbiorowe, wykonane naszej klasie przed 63 laty. Połowę uczniów i uczennic stanowili Żydzi. Przychodził do nich na lekcje religii zażywny, brodaty rabin, gromadząc swoich podopiecznych w gabinecie przyrodniczym, pośród wypchanych ptaków i zakonserwowanych w spirytusie gadów. Rodzice dzieci żydowskich należeli do elity finansowej. Niewiele mieli wspólnego z setkami tysięcy tradycyjnych mieszkańców wyznania mojżeszowego, żyjących na polskiej prowincji i w ubogich, wielkomiejskich dzielnicach. Mimo, że wyglądem i sposobem bycia niczym nie odbiegali od reszty ówczesnej społeczności katowickich zamożnych klas średnich, obawiam się, że co najmniej w większości ani oni, ani ich dzieci wojny nie przeżyli. Zburzonej przez Niemców synagogi, stojącej przy ulicy Mickiewicza, nie odbudowano nigdy. W budynku wzniesionym na jej miejscu po wojnie przez szereg lat mieściła się redakcja „Trybuny Robotniczej”.

Uczniowie-katolicy pobierali naukę religii od wychowawczyni. Jedyną w klasie protestantkę, córkę bardzo zamożnych rodziców, którzy przysyłali po nią samochód z szoferem, uczył dochodzący do szkoły, specjalnie dla niej, pastor. Nasze koleżanki szkolne nosiły granatowe berety, wkładane od czoła, z metalowym wizerunkiem Wieszcza. Chłopcy mieli granatowe, aksamitne rogatywki, z takim samym emblematem. W roku 1940, w zajętym przez Sowieców Lwowie, początkowo nosiłem do szkoły dawną czapkę z Katowic, póki nie zabroniły mi tego nauczycielki, wietrząc w tym polską prowokację polityczną...

CENTRUM MIASTA

Katowice tuż przed wojną były w gruncie rzeczy miastem o wiele mniej zanieczyszczonym, mimo, że miejscowy przemysł ulokował się tu od pokoleń na dobre. Stare, zasiedziałe huty i kopalnie emitowały jednak trujące wyziewy, co odczuwały od dziesiątków lat robotnicze osady usytuowane w ich

Graf. Bolesław Kiernicki



Stary katowicki dworzec

po bliziu. Centrum natomiast przeznaczone było od początku uzyskania praw miejskich dla celów administracyjnych i usługowych. Jednak pompatyczne kamienice, ze swoimi przepastnymi bramami były nie raz tylko ozdobną fasadą. Za nimi, w drugim szeregu ciągnęły się dość ponure i prymitywne oficyny z czerwonej cegły, wokół brudnych podwórek ze śmietnikami i szeregami komórek. Jako dziecko rzadko miałem okazję stykać się z tymi enklawami śródmieścia. Po wojnie mnóstwo z nich poszło pod młotek, przy okazji budowy nowego dworca kolejowego.

Dawny dworzec, solidny, szary, z dwoma halami o ozdobnych elewacjach budził szacunek i kojarzył się zarazem z radosnym podnieceniem podróżniczym. Niewielkie bilety z twardej, grubej tektury okazywały się przed wejściem na perony, by potem jeszcze raz wręczyć je konduktorowi uzbrojonemu w lśniącego szczypce. Zapach dymu, piwa i papierosów mieszał się z okrzykami sprzedawców zachwalających słodycze i sapaniem lokomotyw. Bagażowi, dziś już wymarły gatunek profesjonalny, odziani w okragłe czapki z metalowym napisem podbiegali do wysiadających pasażerów, oferując swe usługi. Stąd w zimowe niedziele, o bladym świetle, Rodzice ruszali wraz z gromadą katowickich narciarzy do Zwardonia. A od wiosny do jesieni jechało się na wycieczki w Beskid Śląski i Żywiecki. Okropnym kontrastem był dla mnie widok dworca katowickiego w lecie 1945. W obu halach koczowały bezładnie na swoim dobytku dziesiątki rodzin repatriantów...

Na północ od ulicy Warszawskiej, tam, gdzie dziś stoją budynki Uniwersytetu Śląskiego, opodal brudnego cieku Rawy znajdował się przed wojną miniaturowy ogród zoologiczny. Śmierdziało w tej okolicy i w powietrzu unosił się jakiś rudawy pył. Współczułem zamkniętym tu zwierzętom. Natomiast jezdnią w bezpośrednim sąsiedztwie teatru im. Wyspiańskiego wzbudziła we mnie podziw precyzyjnie ułożoną kostkę z drewna. Wyobraziłem sobie, że to jakaś pozostałość po bardzo odległych epokach. Śródmieście imponowało też neonami, zainstalowanymi rzecz jasna na ówczesną skalę. Ale gdy po powrocie do Katowic w lecie 1945 stwierdziłem, że reklamy świetlne zgasły na dobre i na długo, miasto wydało mi się jeszcze bardziej smutne a epoka, w którą wkraczaliśmy posepną.

Ulica Juliusza Ligonja znajduje się w południowej części miasta, gdzie w okresie międzywojennym, w cieniu słynnego „drapacza” powstawa-

ły budowle w duchu geometrycznego corbussizmu. Nigdy nie mieszkalem w tych komfortowych blokach, które po wojnie zostały zresztą zasiedlone, co najmniej w części, przez lokatorów żyjących z władzą w bardzo bliskiej symbiozie.

PARK KOŚCIUSZKI

Z końcem lat 30. blisko stamtąd było do całkiem przyjemnych terenów spacerowych. Dopiero w okresie powojennym, szczególnie poczynając od schyłku lat 50. enklawy te zaczęły kurczyć się w przerażającym tempie. Ustępowały nie tylko nowoczesnym osiedlom, co zdezastowanym i zdegradowanym przez przemysł obszarom wysypisk. Wcześniej, już niebawem, powyżej ulic Poniatowskiego i Lisieckiego, trakt ulicy Kościuszki zmieniał się w rodzaj spacerowej alejki, wysadzonej młodymi drzewkami. Pędziła po nim dzieciarnia na hulajnogach i rowerkach. A dalej, w prawo od remizy tramwajowej i pawilonu Targów Wschodnich otwierał się Park Kościuszki. Nie oddzielał go od reszty miasta wąwóz ruchliwej szosy, zbudowanej jak wiemy stosunkowo niedawno.

Park był miejscem starannie pielęgowanym. Posiadał dwie pełne kwiatów enklawy ogrodowe, których zresztą nie cierpiałem, gdyż w lecie panował w nich czasem nieznośny upał. Wołałem cieniste partie, gdzie znajdowały się huśtawki itp. W górnych partiach parku, w paru zagrodach trzymano sarny i jelenie. Po wojnie podobno padły ofiarą głodnych czerwonoarmistów. W gąszczach krył się wielki, drewniany spichlerz zabytkowy, sprowadzony z jednej z górnośląskich wiosek jako załazek skansen. Spłonął, podpalony przez wandalów pod koniec lat 60. Nie pamiętam, czy już wówczas sprowadzono z innej wsi drewniany kościółek św. Michała, który stoi tam do dziś i służy okolicznym mieszkańcom, a zwłaszcza górnikom z kopalni „Wujek”. Fakt ten w latach 60. spędzał sen z oczu katowickim ideologom z wojewódzkiego Wydziału Kultury. Z bezpośrednim sąsiedztwem kościółka łączy się dziś jakaś ponura plotka o znajdujących się w głębi wzgórza, wykopanych w czasie okupacji przez Niemców korytarzach i ukrytych tam ludzkich kościach.

W lewo od parku, po drugiej stronie wiodącej na południe szosy rozciągały się nieużytki, znajdował się niewielki cmentarzyk wojskowy z czasów I wojny światowej i cegielnia. W niewielkich bajorkach, zarosłych rżesą, kumkały żaby. Opodal, na niedużym wówczas, lecz czyn-

nym lotnisku od czasu do czasu hucały silniki pasażerskich Fokkerów. Bitą drogą (późniejszą Aleją Zgrzebnika) dochodziło się do lasów Muchowca. Tam wśród wrzósów zbieraliśmy brusznice, których nie pokrywała jeszcze wtedy sina warstwa trujących opadów przemysłowych. Pamiętam, że na skraju ulokowała się jakaś hałaśliwa restauracja. Orkiestra różnła cygańsko-węgierskie melodie, przy wórze potężnego bębna. Ojciec, wyraźnie zde gustowany, omijał ją starannie.

W PRZEDEDNIU WOJNY

Na polanie, u wejścia do Parku Kościuszki, wzniesiono wieżę spadochronową. Na niej młodzi śmiało ćwiczyli się w podniebnym rzemiośle. To miejsce w rzeczywistości coraz szybciej stawało się symbolem narastającej, wojennej grozy, którą zaczynali odczuwać nawet tacy jak ja, pierwszoklasiści. Pamiętam ulgę, z jaką nasza poczciwa nauczycielka oznajmiła nam, że nie będzie wojny... z Czechami o Zaolzie. Ale codziennie ulicą Ligonja zaczął maszerować patrol piechurów z bagnietami na karabinach. Ich żółte, świeżo wyfasowane saperki stuknęły o bruk. Czasem pod oknami defilowało też wojsko. Umajone kwiatami ciężkie karabiny maszynowe, pomalowane w ochronne plamy polskie fiaty w wersji nieznanym mi dotychczas bezdrzwiowych łazików. W katedrze podczas nabożeństwa proboszcz tłumaczył, że żądany przez Hitlera „korytarz” to stryczek na szyję Polski... Z głośnika archaicznego radioodbiornika, jakim uparczywie posługiwał się Ojciec, rezygnując z zakupu nowoczesnej, charczącej „superheterodyny”, co rano słysząc było dziarski marsz lotników. Na afiszach pojawiły się fotografie ciężkich bombowców polskich „Łoś” z charakterystycznym, przeszkłonym dziobem kadłuba, z którego sterczały karabiny maszynowe. Marzyłem, ażeby kiedyś zobaczyć „Łosia” na niebie.

Podczas obchodów świąt państwowych na placu przed gmachem Sejmu Śląskiego, obok weteranów powstań stali hallerczycy, w swoich błękitnych mundurach „poilu”, z czasów I wojny światowej. Na wiosnę 1939 poszedłem z ojcem do „Rialta” na krzepiący serca film „Francja czuwa”. Betonowo-stalowe wieże Linii Maginota, uzbrojone w działa o monstrualnym kalibrze gwarantowały szybkie zwycięstwo w coraz bardziej nieuchronnej wojnie. Na koniec projekcji odegrała Marsylianekę. Tłum widzów wysłuchał jej na stojąco, w milczeniu pełnym szacunku dla potężnego sojusznika...

- Kim pan jest: kompozytorem, teoretykiem muzyki, krytykiem?

- Powiedzmy po prostu, że sztukmistrzem z Katowic, podwójnie dyplomowanym: u Bolesława Szabelskiego i Adolfa Dygacza, uparcie i cokolwiek aleatorycznie tasującym swe role artystyczne i społeczne wcielenia. Składałem dźwięki i słowa, teorię chciałbym pojmować jako estetyczną kontemplację. Mówię o sobie, że jestem metamuzykiem, metakompozytorem. Powinny świadczyć o tym również niedawne prawykonania, a było ich sporo i idą następne. Nie darmo bohaterami moich większych form parateatralnych bywają kompozytorzy: Istvan Szentmichalyi (z Witkacego) i Adrian Leverkühn, nieprzypadkowo mam w tece bardzo wiele pieśni, wśród nich „An die Musik” i komponowałem do wierszy Karola Szymanowskiego, a także do słów Beethovena, co nie oznacza, że jestem tradycjonalistą i jakimś postmodernistą.

- Jaki wpływ miał i ma Ryszard Gabrys na kształt śląskiej kultury muzycznej?

- Skoro nie rozpoczęła pani tej kwestii słówkiem „czy”, pozostaje pytanie o skalę, a tu jestem bezradny. Oczywiście, ani myślałem, ani marzyłem o „wpływie”, trochę zapewne i kompozytorskim, skoro zająłem miejsce, do którego nikt inny zdawał się tutaj nie kwapić i uprawiam zagonny odrębny, chociażby wówczas, gdy stylizuję źródła ludowe, sonorystykę trombit i rogów pasterskich, głos białego, autentycznych nagrań - folkloru nie „podebranego”, ale wyniesionego z domu! - w sposób nie mający odpowiednika bodaj i w Polsce. Nie są to wcale jakieś „eksperymenty”. O wyniku estetycznym można dyskutować, kierunek jest jedyny. Pochlebę też sobie, że powstało za moim („regionalisty”) impulsem parę nieprovincialnych kompozycji cudzych. Ziarno do ziarnka, najmielsze zaś są te w ludziach zatrudnionych u podstaw, kiedyś studentów, od których tak wiele nauczyłem się Śląska i innych małych ojczyzn. Troszeczkę i za naszą sprawą poprawił się środowiskowy smak muzyczny, gust repertuarowy w chórach. Czymś równoprawnym, nikomu już nie strasznym, stała się na koncertach radykalna muzyka dzisiejsza! Byłem u zarania buńczucznych wtedy Śląskich Trybun Kompozytorów, ustanawiałem je. Przyjaźń artystyczna z Zespołem „Camerata Silesia” i nie tylko z tą formacją - oto następne moje „wpływy” zwrotnie sprzężone. Starałem się tylko otwierać muzyczne wyobraźnie, uzmysławiać kulturowe konteksty, ośmielać do niekonwencjonalnych wyborów estetycznych, wszczynać promocję, zwłaszcza tego, co nowe i odkrywcze lub na odwrót: starośląskie, a zapoznane... Piękne to były po-

Sztukmistrz z Katowic

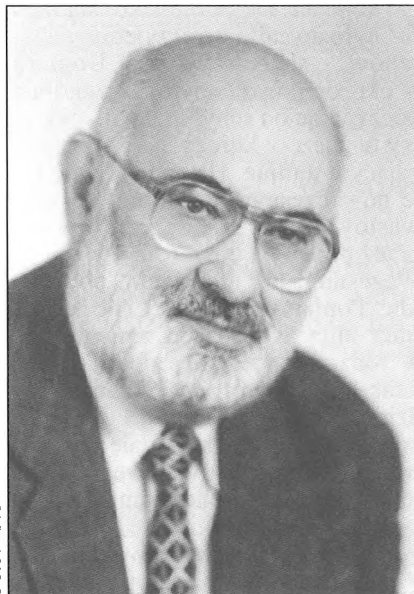


Foto: ARC

z RYSZARDEM
GABRYSIEM
rozmawia
MAGDALENA DZIADEK

dróże, posadziliśmy niemalże zagajnik drzew owocowych...

- W tekstach dotyczących śląskiej szkoły kompozytorskiej najczęściej eksponowane są związki pokoleń kompozytorów z tradycją. Nie pada, co prawda, bezpośrednio termin „konserwatyzm”, czy „akademizm”, można jednak dojść do wniosku na podstawie tych ujęć, że awangarda nie była i nie jest tu dzieckiem szczególnie dopieszczanym. Czy pan, apologeta i przedstawiciel kierunku awangardowego, widzi dla siebie miejsce w historii muzyki śląskiej?

- Ono samo mnie poszuka do kalejdoskopowego obrazu całości i choćby po to będę potrzebny. Co innego przetrwać potem w wyborze z historycznej miazgi zdarzeń i faktów artystycznych, rzutować, stać się tradycją, co daj, Panie Boże. Wspomnianą „szkołę”, która nie jest przecież zjawiskiem constans, próbowałem dobrych kilka lat temu obejść w wykładzie inauguracyjnym w katowickiej Akademii Muzycznej, toteż wypada mi jeszcze kiedyś do tamtych kwestii powrócić, chociaż orzech twardy. Czuję się zo-

bligowany najpierw tym, że to chyba ja na forum oficjalnym zastosowałem wówczas i starałem się jako pierwszy gruntować ów termin, dalej zaś ze względu na przemiany w owej „szkole”, a także naokół i jakby pewien w niej ubytek, o ile w ogóle nie jest fantasmagorią środowiskową i tylko ja trwam zaklęty w wirtualnym „kręgu”? „Szkoła”, jak ją rozumiem, musiałaby być odpowiednio spoistym fenomenem estetycznym, silnym na zewnątrz poprzez dwa przede wszystkim odróżniki: następne w i e l k i e dzieła i przemożny dla innych rys nowatorskiej, ergo: awangardowej swoistości. Inaczej będzie tylko stowarzyszenie, inny sens i wartość estetyczno-historyczna.

- W pańskich pismach i działaniach często powraca problem tradycji. Kocha pan swoje korzenie?

- Dzięki nim odradzałem się twórczo i w perypetiach życiowych. Składałem im nawet dosłowne hołdy, jak to jest w organowych utworach „Tema senza variazioni” (kłaniam się tu cieszyńskiemu Janom-kompozytorom: Gawłowski i Stwiertni), czy „Diario”, gdzie wkleiłem nawet strukturę z kościelnego „Choralnika” Pawła Pustówki, mego dziadka. Najnowszy dowód miłości zawarłem w „Kalendarzu Goleśzowskim 2002”, bogato i świetnie wydany przez moją wieś rodzinną, w szkicu „Gędzba domowa”. Bywa, że swoje śląsko-cieszyńskie źródła awangardyzuję, jakże by inaczej. Mit cesarsko-wiedeński, powiew etosu Europy Środkowej, to wciąż jakoś i we mnie żyje, a było zawsze w naszym domu, jak u wielu innych rodzin w tamtych stronach. Dochowuję zarazem wierności korzeniom, które sam sobie dawno temu wybrałem: ... Ives, Cage, Szymanowski, Regamey, Grotowski, Bunuel - to tylko migawka z owego indeksu.

- Przez wiele lat wytrwale promował pan twórczość dwóch wybitnych twórców śląskich: Romana Bergera i Witolda Szalonka. Nie udało się jednak panu przekonać o wartości ich dorobku krajowych decydentów. W źródłach encyklopedycznych można przeczytać o tym, że twórcy ci zostali odkryci przez Warszawę czy Kraków, gdzieś po 1989 roku. O czym to świadczy?

- Może o moim słabym zmyśle argumentacji? A serio: nie chodziło mi oczywiście o tych wspaniałych muzyków i intelektualistów, moich, czym się chlubię, Przyjaciół, gdyż oni mocno stoją na swoim, lecz o nas, o region nieprovincialny, o równowagę dla konserwatyizmu, akademizmu, wszelakich populizmów w życiu koncertowym i intelektualnym środowiska. I tyle. Pociąg z Szalonkiem, Bergerem, im podobnymi, i tak prawie już dojeżdża, trochę tylko spóźniony. A tymczasem omalże zapomniano o Bolesławie Szabelskim. O czym to

świadczy? Co należało-
by zrobić i kto zacznie?

- Pańska „Radiowa
Trybuna Kompozyto-
rów” zesłała z anteny
katowickiej Rozgłośni
po emisji „D.P's Five
Goulsh Dreams” Szal-
lonka. Od lipca ubie-
głego roku milczy w ra-
diu pański czwartkowy
dwutygodnik „w stro-
nę muzyki nowej”...

- Moje „elitarny” cy-
kle, a było ich dziesięć,
zrazu współ ze Stani-
ławem Jarekim, moim
„mistrzem anteny”, co
jakiś czas mutowały.
Ufam, że po pauzie ge-
neralnej wrócimy i te-
raz, gdyż przesądziło nie
meritum, lecz budżet.
Radio wieczorne to
wspaniałe medium dla
nas. Wątek kompozytor-
ski staram się plasować
tymczasem we wtorko-
wych Wieczorach Mu-
zycznych przyjaznego
nam bardzo Henryka
Cierpiotła. Niemniej
ważnie od audycji (oby
w korzystniejszym cza-
sie antenowym) byłoby
wznowienie muzycz-
nych rejestracji archi-
walnych - i tu wiele
obiecuję sobie po otwar-
ciu, już niedługo, nowo-
cześnie wyposażonego
studia koncertowo-na-
graniowego.

- Czy czuje się pan
doceniony? Nie docze-
kał się pan przecież wielkich hono-
rów, nigdy nie został pan Słazakiem
Roku, czy Honorowym Obywate-
lem?

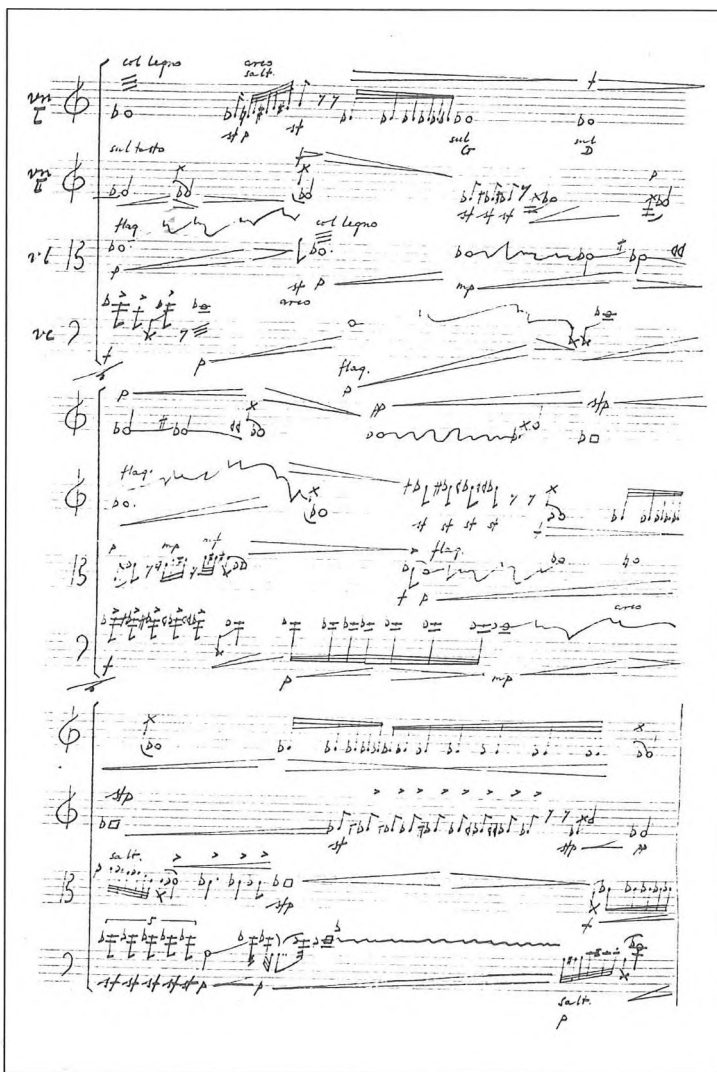
- Widnieję w Księdze Zasłużonych
dla Wisły i także Cieszyna, mam ra-
diową statuetkę-nagrodę im. Stanisła-
wa Ligonja, laury śląskiego śpiewac-
stwa - wszystko ze szczerego serca.
Wystarczy!

- Tworzył pan od podstaw, a póź-
niej przez wiele lat zawiadywał In-
stitutem Wychowania Muzycznego
cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Ślą-
skiego. Z autentycznym zapalem
oddawał się pan dawniej pracy pe-
dagogicznej w Cieszynie i w kato-
wickiej w Akademii Muzycznej.
Półtorej setki prac magisterskich
obronionych pod pańską opieką,

- ... więcej, oczywiście w obu
Uczelniach...

- i tysiące poprawionych zadań
z kontrapunktu, instrumentacji,
kompozycji... To coś panu dało, czy
zabrało?

- Niebywale energetyzowało, cho-
ciaż kurczyło pole na muzykę wła-
sną. Powrót do Cieszyna, gdzie uczy-



Fragment kompozytorskiej partytury Ryszarda Gabryśia.

łem się w szkole muzycznej na Zam-
ku i maturowałem w „Osuchow-
skim” potraktowałem jako szansę
i było istotnie coś wspaniale roman-
tycznego w komponowaniu
nowego kierunku uniwersyteckiego!
- a zarazem powinność. Tym więcej,
że Cieszyn to również rodzinne
gniazdo „moich” Pustówków, Matki,
a na Bobrku, kędy i Filia uniwersy-
tecka stoi, mamy nadal kawałek pola.
To był przełom w moim życiu
i u wielu, których pociągnąłem za so-
bą. Co do pedagogiki - może i ona
być twórczością.

- Rzadko się zdarza w rodzinach
muzycznych, by syn brał po ojcu nie
tylko zawód, ale i preferencje este-
tyczne. W pańskim przypadku tak
jest: Aleksander odziedziczył po Pa-
nu bezkompromisowość w dążeniu
do odkrywania wciąż bogatych za-
sobów NOWEGO w muzyce. Jest
pan autorytetem dla syna?

- Zapytamy go, gdy przyjedzie z Ba-
zylei, gdzie kończy trzeci rok studiów
podyplomowych. To nadzwyczaj fa-
scynująca dla nas obu, ale i delikatna
sytuacja. Przychodzą na myśl Górec-

cy, Lasoniowie, Krza-
nowscy... O tym, jak
bardzo odlegli jesteśmy
z Olkiem w technice
i poszukiwaniach
warsztatowych, za-
świadczyć mogłoby
najdobitniej porówna-
nie moich „Ścieżek be-
skidzkich” na taśmie
i śpiewaka obrzędowe-
go z „Folklorietą” zre-
alizowaną przez Alek-
sandra w Studiu Kom-
puterowym, a ostatnio
wyróżnioną na 43. Kon-
kursie Młodych Kom-
pozytorów im. Tade-
usza Bairda (on startuje
w konkursach, ja nie).
Wyznajemy jednak po-
dobną rzeczywistość es-
tetyczną i równie ostro
grają nam w utworach
temperamenty. Oczywi-
ście jest zatem, że to
Aleksander jako prawy-
konawca dał koncerto-
we i nagraniowe para-
dygmaty moim kontra-
basowym „Aleksandry-
nom”, czy akcji parate-
atralnej „An die Freu-
de”, teraz zaś czai się do
„Sinfonietty koncertują-
cej”, którą mu szykuję.
Całkowicie suwerenny
w muzycznych decy-
zjach, zaufał mi i ufa
nadal. Jest to bezwarun-
kowo wzajemne. Może
to nasz wspólny, domo-
wo-pedagogiczny suk-
ces, bo i ja wciąż uczę
się od niego...

- Jaką przyszłość ma pedagogika
muzyczna?

- Niejasną, choćby z uwagi na losy
absolwentów. A także poziom kultury
muzycznej i sposobu wartościowania
sztuki wysokiej w Polsce, na przytę-
pienie autorytetów, mizerięłożonych
sum. Et caetera. Wierzę w pedagogikę
autorską, indywidualistyczną, w cha-
ryzmatyków, jeśli zechcą przyjść.
Również w niesfetysyzowane, jesz-
cze wyższej generacji multimedia,
w kreatywność jako obowiązek, w in-
ne, niż teraz socjorelacje proarty-
styczne; może wymusi je metafizycz-
na „ars futuristica”?

- A jaką przyszłość ma muzyka?

- Nie powiem. Na tę ślizgawkę na-
klonili dziś się nie dam. Albo inaczej:
zaczniemy od tego pytania dialog na-
stępny, gdy minie - już niebawem! -
faza muzycznej międzyepoki i trans-
formacji. Zapraszam do naszego „go-
łębnika” przy katowickiej Dworskiej,
widać stąd zawsze dużo i daleko.

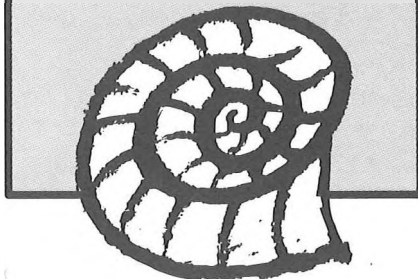
- Dziękuję za rozmowę, o zaprosze-
niu przypomnę.

Odradza się w Polsce tradycyjna kultura łowiecka. Powracają piękne ceremoniału i zwyczaje naszych przodków. Tradycyjne odprawy myśliwskie, pokoty, msze hubertowskie, śluby i pogrzeby myśliwskie, fanfary i sygnały łowieckie, stary język łowiecki, sokolnictwo - znajdują miejsca w naszej kniei.

Sokolnictwo to bardzo stara forma łowiectwa polegająca na układaniu pewnych gatunków ptaków drapieżnych do polowania. Już ponad 4 tys. lat temu w Chinach i Japonii znana była sztuka łowów z ptakami łowczymi. Sokolnictwo cieszyło się uznaniem również w starożytnych Indiach, Persji i Arabii. W Polsce sokolnictwo ma tradycje sięgające kultur prastłowiańskich i największą popularnością cieszyło się na kresach wschodnich Rzeczypospolitej. W bezpośrednich kontaktach z ludami tureckimi i tatarskimi nasi sokolnicy (ptasznicy) doskonalili swoje umiejętności. Sokolnictwo stało się ulubionym rodzajem polowania panujących i zamożnych warstw społecznych. Do miłośników sokolnictwa należeli niemal wszyscy polscy królowie. Największym miłośnikiem ptasznictwa był król polski Stefan Batory. Posiadał w swojej ptaszarni 300 ptaków - co było swoistym europejskim rekordem i równocześnie odznaką zamożności monarchy. Największy rozwój sokolnictwa przypada na wiek XV i XVI. W XIX w. nastąpił regres sokolnictwa spowodowany rozwojem broni palnej i zmniejszeniem się populacji wielu gatunków ptaków drapieżnych. W niektórych krajach stały się one tak rzadkie, że zostały objęte ścisłą ochroną gatunkową (np. w Polsce m.in.: sokół wędrowny, orzeł przedni i bielik). Największymi ptakami używanymi do polowań były orły przednie i bieliki, które łowiły większe ptactwo wodne: kaczki, gęsi i łabędzie, także zające, sarny oraz małe antylopy, lisy i wilki. W Polsce używano do łowów głównie sokołów szlachetnych, do których zaliczano: białozora, sokoła wędrownego i raroga. Osobne grupy stanowiły „sokoliki”, tj. drzemlik, kobuz, pustułka, z pośród jastrzębi: gołębiarz i krogulec oraz orły.

Odradzające się obecnie sokolnictwo będące elitarną pasją podlega ścisłej kontroli władz i służb ochrony przyrody. Dzisiaj sokolnicy zajmują się bardziej hodowlą i restytucją sokołów niż polowaniami. Jeszcze dziesięć lat temu polskich sokolników policzyć można było na palcach jednej ręki, dzisiaj liczebność ptaszników sięga tysiąca osób. Każdy z nich, który układa ptaki do polowań powinien posiadać uprawnienie

EKOLOGIA



Sokolnictwo

nia selekcionera w Polskim Związku Łowieckim. Realizowany przez polskich sokolników „program restytucji sokoła wędrownego” w znacznej mierze przyczynił się do powrotu tego pięknego i szlachetnego ptaka na nasze niebo. Wiele młodych piskląt pochodzących z hodowli sokolników wypuszczono już w Polsce na wolność. Przyjęto również zasadę, że jeśli układany młody drapieżnik nie przyswoi sobie zasad posłuszeństwa w ciągu 2 miesięcy, to takiego ptaka należy wypuścić na wolność.

Każdego ptaka kandydata na łowczego trzeba przysposobić do polowania. Ptaki drapieżne zdobywano przez wybieranie z gniazd już opierzonych piskląt lub chwytanie w pułapki ptaków dorosłych. Obecnie, zgodnie z zasadami ochrony przyrody zawartymi w Konwencji Waszyngtońskiej, wykorzystuje się wyłącznie ptaki z zamkniętych hodowli woljerowych. Ptak łowczy powinien mieć do dyspozycji przytulną wolierę, która rekompensować powinna mu utraconą wolność. Układanie kandydata do sokolnictwa rozpoczynało się od przywiązania do nóg ptaka rzemiennych pęt, które były przytwierdzone do odpowiedniego stojaka, tzw. berła. Ptak z czasem przyzwyczajał się do tej formy bytowania i oswajał się. Wszystkie pozytywne zachowania były nagradzane kawałkiem mięsa. Zasadniczy etap nauki polegał na przyuczeniu ptaka, by przylatywał na dany sygnał lub

na tzw. wabia, siadał na skórzanej rękawicy, na której przygotowany był pokarm, i pozwalał na założenie na głowę skózanego kaptura. Ostatnim etapem szkolenia było tzw. „napuszczanie” polegające na wypuszczaniu ptaka, po zdjęciu kaptura, na tzw. łupież, czyli wypchane zwierzę lub ofiarę „osłabioną”. Kulminujący etap nauki polegał na nauczaniu ptaka oddawania zdobyczy. Dzisiaj rasowy ptasznik stara się ograniczać stres, jaki może przeżyć jego ptak. Unika zatem zgielku i zbiorowisk ludzkich. Tradycyjny sprzęt do sokolnictwa, m.in. berła inkrustowane kamieniami szlachetnymi (turkusami), jak i kaptury wyszywane złotymi nitkami należą do znamienitych dzieł sztuki wschodniej, które podziwiać można w zbiorach sztuki na Wawelu.

W Polsce prężnie działa Krajowy Klub Sokolników i Ochrony Ptaków Drapieżnych - „Gniazdo Sokolników” skupiający wszystkich miłośników łowów z ptakami drapieżnymi. Siedzibą Klubu stała się Stacja Badawcza Polskiego Związku Łowieckiego w Czepiniu, zaś jednym z ośrodków szkoleniowych - Technikum Leśne w Tucholi. Najważniejszą imprezą organizowaną corocznie przez sokolników są „Łowy z sokołami”. Do głównych zadań Ośrodka należy: leczenie, rehabilitacja oraz hodowla ptaków drapieżnych, głównie rzędów: sokołów (*Falconiformes*), jastrzębiowych (*Accipitriformes*) oraz sów (*Strigiformes*), w celu przywracania ich przyrodzie. Metody i ćwiczenia stosowane w sokolnictwie wykorzystywane są w rehabilitacji i hodowli niektórych gatunków ptaków drapieżnych. Ośrodek prowadzi również badania naukowe dotyczące restytucji, rehabilitacji porażkowej, metod rozrodu, metabolizmu i bioenergetyki ptaków drapieżnych.

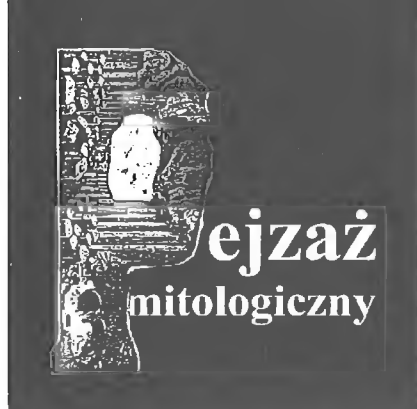
Pozwólmy rozwijać się tej wspólnie odradzającej się pasji, która dzisiaj jest bardziej sportem - hobby, sprzyjającym środowisku, niż łowiectwem ptasim. Dla sokolnictwa potrzebne są duże naturalne otwarte przestrzenie „szerokie pola” niezabudowane liniami energetycznymi, bez kominów i stodół. Nie mamy ich niestety w naszym województwie śląskim - więc przywróćmy je dla naszych wnuków i ptaków drapieżnych. 1 września tego roku warto wybrać się na uroczystości Polskiego Związku Łowieckiego Okręgu Śląskiego do Pszczyny na pola pod zamkiem, tam odbędzie się również pokaz sokolnictwa.

JAN RZYMELKA

Bylem niedawno na pogrzebie człowieka, który odchodził z tego padolu w sposób budzący protest. Przejmowała mrozem szybko postępująca erozja funkcji ciała, a zwłaszcza władz umysłu, objawy niełatwe do zaakceptowania nawet przez bezpośrednio nie zaangażowanego obserwatora. Wysiedzialem potem obowiązkową godzinę, mocno zresztą rozciągniętą w czasie, na skromnej stympie (dla wygody urządzonej w małej restauracji w rodzinnej miejscowości zmarłego). Atmosfera przyjęcia była raczej swobodna, gadano o de tereni, o śp. prawie nic, albo i nic. Na żadnym obliczu nie dostrzegłem specjalnej powagi, poza twarzą młodszej z córek, mieszkającej za granicą, na Zachodzie, która po zimowych feriach, od lat spędzanych obligatoryjnie w domu, wyjechała „do siebie” na kilka godzin przed śmiercią ojca i następnego dnia natychmiast wróciła z powrotem.

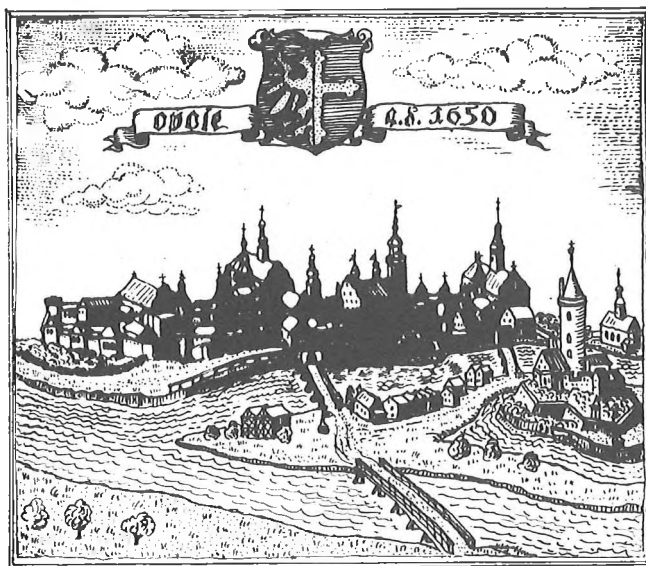
Gdy śp., choć już od lat na emeryturze, był jeszcze sprawny, zajmował się badaniem drzewa genealogicznego swego rodu, bardzo też interesowała Go historia stron rodzinnych (miał sporą bibliotekę i równie spory zapas wiedzy o dziejach tej ziemi). Przed tuzinem może lat pilotował mnie po tej swojej małej ojczyźnie i pokazywał godne pamięci budowle i malownicze miejsca. Między innymi dwór, w którym „na lonie” zaprzyjaźnionej rodziny szlacheckiej Artur Grottger tworzył swój sławny ongiś cykl „Polonia”. Mógł powstać film o tym bardzo ciekawym, mało komu znanym epizodzie artystycznym, który miał miejsce pół godziny drogi samochodem od Katowic, ale zaczynały się właśnie nowe wremia w kulturze i nikt nie był zainteresowany. W latach wstępnej edukacji niżej podpisanego reprodukcje tego cyklu wisiły w komiksowym ciągu na korytarzu i klatce schodowej zbudowanej jeszcze w pierwszej połowie XIX w. laurahuckiej szkoły. W żadnym z licznych, odwiedzanych ostatnio przybytków oświaty takich godnych polecenia poglądowych lekcji *amor patriae* już nie widziałem. W księgarniach zresztą też nie. „Grottger”, oglądane wtedy przeze mnie zachłannie, wręcz z nabożeństwem, jak stacje Drogi Krzyżowej w parafialnym kościele, zostawiły już na zawsze ślad w mojej pamięci i chyba wywarły spory wpływ na wyobraźnię.

Nie wiem, drogą jakiej kontaminacji (choć przypuszczam, że po tropach tego samego protestu przeciw przekłętemu prawu zapomnienia) pomyślałem wtedy o Halinie Żmij, nieodżałowanej pierwszej „szefowej” biura „Śląska”, która dwa lata temu, o tym czasie, również odeszła do wieczności. Córka przedwojennego burmistrza Pszczyny, nb. srodze w czasie „szwedzkiego potopu” doświadczonej, nie bacząc na historyczne zaszczości, darzyła Szwedów i Szwecję wielką estymą (była aktyw-



Szwedzkie niezwykłości

ANTONI HALOR



nym członkiem Towarzystwa Polsko-Szwedzkiego) i jak o tym wtedy pisałem, zawdzięczam jej nie jedno „szwedzkie znalezisko”. Jeśli pozwolicie, chciałbym w drugą rocznicę śmierci Pani Halinie ofiarować in memoriam jeszcze kilka „szwedzkich” stronic, zwłaszcza że uważni czytelnicy „naszej łączki” z pewnością domyślają się, iż oglądanego przez nas wtedy z mitycznej perspektywy pojęcia: „Szwedzi na Górnym Śląsku”, nie byłem w stanie omówić inaczej niż pobieżnie. Tymczasem stare kalendarze przechowywały na swoich, pożytkłych dziś jak najdosłowniej stronach nie tylko zapisane przez dawnych kronikarzy (a od XIX w. również folklorystów) podania o kopcach, szanach i stojących na ich miejscu kaplicach czy krzyżach przydrożnych z czasów wojny 30-letniej, zwanych pospół szwedzkimi. W pamięci ludu z pobytem wojowników z północy wiązało się wiele jeszcze innych świadectw, dowodzących ich nader żywej na Górnym Śląsku działalności. Bardzo często, o dziwo, wcale nie destrukcyjnej.

Dzięki Szwedom powstać miało np. kilka kościołów. I tak we Włodzieninie kościół św. Mikołaja został podobno zbudowany obok wielkiego obozu wojennego armii szwedzkiej. Ponieważ żołnierze używali go do swoich nabożeństw, ustna tradycja nazwała go „szwedzkim”. Także cudem zachowany po ostatniej wojnie niewielki kościółek, stojący niedaleko fary głubczyckiej, miał być wzniesiony przez wojska generała Torstensona (faktycznie istniał już pod koniec XV w.). Ściślejszy związek z wojowniczymi Skandynawami miała za to stojąca nie opodal kościółka „szwedzka” lipa. Posadzili ją, gdy opuszczali Głubczyce. Nie dotrwała, niestety, do naszych dni.

Cały szereg podań opowiada o skarbach i dzwonach ukrytych przed żądnymi łupów potomkami wikingów. Mieszkańcy bogatej Centawy tak dobrze schowali swój piękny i potężny dzwon, że po zakończeniu wojny nie było we wsi już nikogo, kto pamiętałby miejsce ukrycia. Został po upływie wielu lat wykryty przez świnie. W podobny sposób odnaleziono „szwedzki” dzwon z Nieborowic. Także największy z dzwonów opactwa w Jemielnicy koło Strzelca Opolskich jest „szwedzkiej proveniencji”. Otóż mieszczenie strzelcecy nie tylko przeszli na stronę Szwedów, ale, o zgrozo, klasztor klujący w oczy swym bogactwem wskazali im jako miejsce warte złupienia. Gdy odeszli, skruszeni rajcy miejscy, choć srogo już ukarani przez cesarza, ufundowali na znak pokuty nowy dzwon dla klasztoru.

Ze szwedzkim „potopem” wiązano różne miracula (jak choćby znane podanie o cudownym uratowaniu Gliwic przez MB Częstochowską). Gdy armia szwedzka podeszła pod Opole, zatrzymała się nie opodal klasztoru w Czarnowasach i tamtejszego drewnianego, laskami słynącego kościółka św. Anny. W trakcie działań wojennych spłonęła cała wieś i zabudowania klasztorne. Ocalał tylko kościół św. Anny. Podobno Matka NMP otoczyła świątynkę tak gęstą mgłą, że nikt nie mógł jej zobaczyć. Nyse manskfeldczy, Sasi i Szwedzi zajmowali dwa razy, w r. 1632 i 1642, za każdym razem nakładając na miasto ogromne haracze, które na długie lata zniszczyły je gospodarczo. Reszty dokonały zaraz, jak ta w 1636, która pociągnęła za sobą 9000 ofiar. 24 lipca 1643 r., czyli w wigilię św. Jakuba, tuż przed pośpieszną ewakuacją miasta przez okupujące biskupią stolicę oddziały szwedzkie, widziano jak Apostoł galopuje na białym koniu przez jej ulice. Odchodząc, Szwedzi „podpalili miasto, bramy i baszty, jednak nagle spadł ulewny deszcz i ugasił pożar miasta”. Dla mieszkańców nie ulegało wątpliwości, że cudowne ocalenie zawdzięczał swemu patronowi. Cud uwieczniono na olbrzymim obrazie zawieszonym w katedrze.

Śląski salon

TOMASZ M.
GŁOGOWSKI



W środku: Katarzyna Wencel

Bractwo Myśli Bratniej Związku Górnośląskiego - szczególnie to i wiele mówiąca nazwa niezwykle gromadzi ludzi.

„Bractwo” to statutowa struktura Związku Górnośląskiego zrzeszająca członków nie według miejsca zamieszkania - jak Koła, a na przykład wspólnoty zawodowej, podobnych zainteresowań, czy też poczucia potrzeby bycia, działania razem. Bractwo Myśli Bratniej powstało jesienią 1994 roku. Autorem wyjątkowo trafnej nazwy był Paweł Wieczorek, pierwszym tymczasowym prezesem Jan Rzymelka. W listopadzie 1994 roku prezesem Bractwa została dr Katarzyna Wencel, do dzisiejszego dnia przewodząca Bractwu, będąca jego „motorem napędowym”. W skład Zarządu wchodzi ponadto: Michał Lubina, Henryk Ad-

ler, Janusz Moczulski, Andrzej Dawidowski, Wojciech Krzyżak i Danuta Balas.

„Pozioma struktura inteligentów”

Do Bractwa przylgnęła (skądinąd raczej nobilitująca, niż mogąca przynosić ujme) etykieta inteligentkiej struktury Związku Górnośląskiego. W wydanej w kwietniu 1997 roku (z okazji Kongresu Związku Górnośląskiego) „Jednodniówce” Bractwa Jan Rzymelka następująco pisał o genezie jego założenia: *Bractwo po-*

wstało z chęci powrotu do korzeni Związku. Rozwijając tę myśl należy dodać - chęci do szczerej, nieskrępowanej dyskusji, do kształcących towarzyskich spotkań (również z tymi, którzy myślą inaczej), kreujących braterskie przyjaźnie. Do obalania mitów o Górnoślązakach, do pozytywnego zaistnienia Związku w świadomości potocznej, do bycia razem. Niezwiązany z Bractwem formalnie, choć zaprzyjaźniony i sympatyzujący z jego poczynaniami Michał Smolorz pisał wprost: Jak wnioskowałem z moich obserwacji, BMB powstało jako swoista formuła „salonu odrzuconych” w chwili, gdy cały ruch regionalny zaczął wyraźnie przybierać antyinteligentki charakter. Zawieszano zatem forum dyskusyjne, spełniające rolę „struktury poziomej” w chwili, gdy zaczęliśmy dość lekomyślnie rozpraszać swoje wartościowe elity, pozbawiając się na długi czas intelektualnego zaczynu.

Dzisiaj Katarzyna Wencel potwierdza, że Bractwo powstawało w momencie, kiedy można było odnieść wrażenie, iż Związek Górnośląski nadmiernie ewoluuje w stronę folklorystyczną, mniejszą wagę przykładając do intelektualnej refleksji; także w czasie, gdy wiele osób w Związku odnosiło wrażenie „odsunięcia na boczny tor”. Nie uznaje jednak za zasadne nadmierne roztrząsanie spraw sprzed kilku lat. Podkreśla, że Bractwo powstało z myślą stworzenia salonu dyskusyjnego, podobnego do takich jakie funkcjonowały w śląskich domach mieszczańskich w okresie międzywojennym.

I właśnie taki salon udało się Katarzynie Wencel i Bractwu stworzyć. Co kilka tygodni zlokalizowane w centrum Katowic, przestronne mieszkanie pani prezes wypełnia się ludźmi, którzy mają ochotę spotkać się razem, wysłuchać innych, dyskutować. Konsekwencja działania Bractwa warta jest podkreślenia - na przestrzeni siedmiu lat odbyło się około pięćdziesięciu spotkań dyskusyjnych, w których każdorazowo uczestniczyło około 60-70 osób. Jest to tym bardziej godne podziwu, iż członkowie Bractwa (których obecnie jest czterdziestu dwóch), to osoby, które generalnie nie mogą narzekać na brak obowiązków zawodowych. Lista członków, jak i przyjaciół czy stałych bywalców wzbudzać może podziw: ludzie kultury, nauki, adwokaci, dyrektorzy, posłowie, artyści, lekarze, profesorowie, prezydenci miast. Znajdują czas, aby przybyć na spotkanie, dyskutować, czasami wspólnie poszukiwać rozwiązania różnych problemów. Katarzyna We-

ncel podkreśla, że nie byłoby to możliwe bez autentycznego poczucia braterstwa wewnątrz Bractwa, faktu, że osoby te najzwyczajniej w świecie lubią się, a jednocześnie wyznają zasadę, iż nie można żyć jedynie pracą i odczuwają potrzebę ciągłego ubogacania się. A to, że w salonach dyskusyjnych Bractwa biorą udział osoby mające spory wpływ na kreowanie rzeczywistości, nadaje tym spotkaniom jeszcze większego znaczenia.

W początkowym okresie działalności Bractwa obszerne relacje z wielu „debat” nadawała katowicka telewizja regionalna. Programy te spotykały się z dużym odzewem, zaspokajały zapotrzebowanie na tematykę śląską, „naszą”, ale jednocześnie prezentującą należyty poziom intelektualny.

O nas na głos

Szeroki jest wachlarz zagadnień poruszanych podczas spotkań Bractwa - sztuka, historia, literatura, sprawy społeczne. Pierwsze spotkanie poświęcono prezentacji śląskiego numeru „NaGłosu”, bardzo wiele późniejszych koncentrowało się wokół tożsamości górnośląskiej, przeróżnych jej aspektów.

Zdecydowanie największe zainteresowanie wzbudziło spotkanie z rodziną Wojciecha Korfatego - jego synową Eugenią i wnukami Feliksem i Marią Rupp. Pamiętam dobrze to duszne, parne popołudnie w przepelnionym ponad miarę (ponad sto osób) salonie Katarzyny Wencel. Zebrani z wielką uwagą słuchali opowieści synowej wielkiego śląskiego przywódcy, pełnej poruszających fragmentów. Na zawsze zapadła mi w pamięci przejmująca cisza towarzysząca przytoczeniu rozmowy z lekarzem, który dokonał sekcji zwłok Wojciecha Korfatego i jednoznacznie wskazał na ślady działania arszeniku.

Wymienić warto też spotkanie z profesorem Andrzejem Zollem, dotyczące deklaracji „Edukacja dla rozwoju”, rozmowy poświęcone „Deklaracji o usprawiedliwieniu”, podpisanej przez przedstawicieli Kościołów katolickiego i protestanckich, dyskusję na temat listu pasterskiego arcybiskupa Damiana Zimonia na temat bezrobocia, czy też kilka spotkań z udziałem rektorów Uniwersytetu Śląskiego, Politechniki Śląskiej, Akademii Ekonomicznej oraz Akademii Muzycznej w Katowicach.

Bardzo ważne spotkanie odbyło się w trakcie debaty na temat podziału administracyjnego kraju - przez Bractwo zaproszony został wówczas marszałek Sejmiku Samorządowego Województwa Opol-

skiego. Była to chyba jedyna próba szerszego zaprezentowania racji zwolenników utworzenia dużego województwa górnośląskiego. Uczestniczące wówczas w dyskusji strony - „katowicka” i „opolska” nie znalazły niestety wspólnego języka, być może nie było takiej woli. Wielka szkoda, że tak się stało, należy również wyrazić żal, że Bractwo było osamotnione w próbach prowadzenia dialogu z Opolanami. W styczniu 2002 roku, podczas zorganizowanego w Opolu „Górnośląskiego Okrągłego Stołu” także wielu przedstawicieli Opola wypowiadało opinie, które cztery lata wcześniej usłyszeć można było na spotkaniu Bractwa Myśli Bratniej (np. o celowej manipulacji Górnoślązakami mającej uniemożliwić utworzenie dużego, silnego województwa górnośląskiego). Jak się okazuje Bractwo wyprzedziło co najmniej o krok innych. Zresztą nie tylko ten jeden raz.

Było tak chociażby podczas dyskusji na temat III powstania śląskiego, do której zaproszono Dietmara Brehmera, profesora Franciszka Marka oraz Józefa Musioła - doskonałego znawcę problematyki prawnej działań powstańczych. Jak nietrudno zauważyć, są to osoby różniące się w spojrzeniu na ten rozdział śląskiej historii, ale do Bractwa nigdy nie obawiano się zapraszać osób o innych poglądach.

Spory w rodzinie

Często też wyprzedzano w swoich działaniach nie tylko władze Związku Górnośląskiego, ale i w zasadzie wszelkie śląskie gremia. Tak było zwłaszcza w roku 1996. Wówczas na ufundowanej przez Bractwo tablicy pomyślu Jerzego Dolinkiewicza (umieszczonej w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach, poświęconej 3 maja tegoż roku przez arcybiskupa Damiana Zimonia), przeczytać można było: „PAMIĘCI WSZYSTKICH OFIAR III POWSTANIA ŚLĄSKIEGO 2/3 V 1921 - 5 VII 1921 w 75. ROCZNICĘ TAMTYCH WYDARZEŃ TABLICĘ TĘ POŚWIĘCONO”. Określenie „wszystkim ofiarom” wywołało emocje (okazuje się, że wywołuje wciąż, nawet wewnątrz Związku Górnośląskiego!).

W jednolitości Bractwa autor tego tekstu - Michał Lubina wyjaśniał m.in.: *w pewnym sensie ofiarami walk były też matki daremnie czekające na powrót synów, narzeczone na swych wybrańców, dzieci na ojców. (...) Ofiary to również te osoby, które doznały rys i pęknięć charakterów, nienawidzące, nie potrafiące przebaczać.*

Tablica w katedrze Chrystusa Króla to nie jedyny przykład wyjścia Bractwa „na zewnątrz”. Dzięki Bractwu w Katedrze zawisa również VIII Stacja Drogi Krzyżowej, w kościele Garnizonowym w Katowicach tablica poświęcona pamięci księdza biskupa polowego WP Józefa Gawliny, a w Bibliotece Śląskiej popiersie Wojciecha Korfatego zapoczątkowujące galerię zasłużonych Górnoślązaków. Przy tej ostatniej okazji zorganizowano również konferencję naukową i wydano reprint pierwszego numeru „Polonii”. Warto też odnotować inne wydawnictwa Bractwa: *Zbiór piosenek ludowych na Górnym Śląsku* i broszurę poświęconą pamięci pierwszego wojewody śląskiego Józefa Rymera.

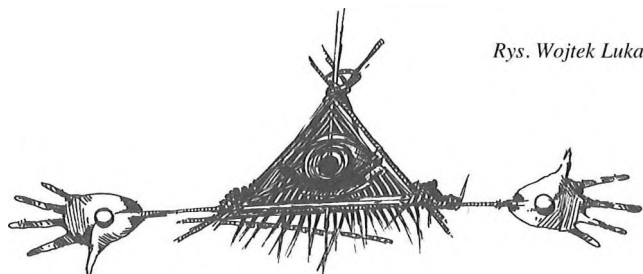
Niektóre ze swoich imprez Bractwo organizuje poza swoją siedzibą (czyli mieszkaniem pani prezes) - np. w siedzibie głównej Zarządu Górnośląskiego. W okolicach 6 XII członkowie Bractwa i jego sympatycy zbierają się na spotkanie ze Świętym Mikołajem - dotychczas jako miejsce tych spotkań wybierali chorzowski Skansen, Bibliotekę Śląską, Teatr Śląski, Planetarium i Muzeum Chleba w Radzionkowie. Bractwo współorganizuje również obchody Dnia Dziecka w ogrodach Kurii Katowickiej i Kolędowanie Ekumeniczne w Bazylice Ojców Franciszkanów w Panewnikach. W poszukiwaniu wartych poznania miejsc i ludzi dociera do różnych zakątków Górnego Śląska (w tym również do jego opawskiej części) - w ubiegłym roku do Łędzin, do pierwszej w Polsce firmy profesjonalnie zajmującej się przesadzaniem drzew.

Pomysłów na dalszą działalność Bractwa nie brakuje. W bieżącym roku przypadają rocznice, które warto są odnotowania - 80 przyłączenia części Górnego Śląska do Polski i pierwszego posiedzenia Sejmu Śląskiego. Bractwo chciałoby również poszerzyć swą działalność wydawniczą - myśli się o tomie prezentującym jego działalność, zawierającym również inne teksty, zredagowanym przez Bernarda Szczecha. Jak podkreśla Katarzyna Wencel, sporo zależy będzie od czasu, sił, energii i chęci paru osób, które nadają ton działalności grupy. Jak każda tego rodzaju struktura opiera się ona na pracy kilku osób, Bractwo miewa więc okresy większej lub mniejszej aktywności. Na jego działalność, proponowaną przez niego intelektualną refleksję, zapotrzebowanie jest spore - Katarzyna Wencel często spotyka się z pytaniami o termin kolejnego spotkania. Te zaś na pewno będą się nadal odbywać.

ANGELUS SILESIUS

RYMY DUCHOWE

w przekładach
TADEUSZA SŁAWKA



Rys. Wojtek Luka

I.7 Człowiek musi ponad Boga dążyć

Gdzież kres mej podróży? gdzie moja ni twoja noga
Nie stanie. Gdzież cel jest, gdzie mnie moja wiedzie droga?
Tam, gdzie pustka jeno. Cóż człowiek winien więc czynić?
Z Bogiem ponad Boga dążyć przez życia pustynię.

I.11 Bóg jest we mnie, a ja w nim

Bóg jest we mnie ogniem, jam zaś w nim jest lśnieniem:
Czy przeto nie jesteśmy tym samym istnieniem?

I.12 Człowiek musi siebie przekroczyć

Gdy czasu i miejsca brzegi człowieku przekroczysz,
W jednym oka mgnieniu, wieczność wonczas zoczysz.

I.13 Człowiek jest wiecznością

Sam jestem wiecznością, gdy czas zostawię za sobą,
Jam w Bogu, Bóg we mnie, jedną jesteśmy osobą.

I.15 Bóg-ponad-Bogiem

Co człowiek rzekł o Bogu tak widzi mi się małym,
Bóg—ponad-Bogiem mym życiem, blaskiem doskonałym.

I.19 Milczenie duszy głębokie

Szczęśliwy, kto wyszedł z pragnień i wiedzy zagrody,
Bóg (wierz mi), nie jest wszak dawcą kary ni nagrody.

I.22 Powierzenie siebie

Gdy Bogu siebie niechasz, tak On do ciebie przylgnie,
Że z trosk i niepokojów bez trudu cię wydzwignie.

I.24 Nie bądź, nie pragnij

Gdy wciąż jesteś czymś, nienawidzisz, kochasz, albo
wiesz,
Posłuchaj, wciąż jeszcze pod wielkim ciężarem się gniesz.

I.37 Niepokój z siebie się bierze

Jak koło jesteś, które maszyna Nic w ruch wprawia,
Każe ci z siebie wybiegać, spokoju pozbawia.

I.39 Niedoskonałe powierzenie się

Kto w piekle żyjąc, wciąż myśli o nim, nie o niebie,
Ten jeszcze Najwyższemu nie zawierzył siebie.

I.99 Gdy Bogu się niecham wszystko ma wartość

Bogu się zawierzam: cierpienie z jego woli
Radością jest, jak śmiech, gdy człeka nic nie boli.

I.164 Bóg widzi człowieka okiem zawierzenia

Mocniejszym niż anioł, co okiem widzi Boga:
Wszak ja w świętym spokoju Boga zostawić mogę.

I.165 Gdzie mądrość chętnie przebywa

Mądrość tam chętnie mieszka, gdzie dzieci jej żyją:
Dlaczego? Sama bowiem małą jest dzieciną.

I.179 Boża krynica

Skoro Bóg jest rzeką, co płynie przez me siedliska,
Muszę być źródłem, z którego strumień ten tryska.

I.185 Miejsce jest jeno w tobie

Nie ty jesteś w miejscu, miejsce w tobie się mości!
Precz je wygnasz z siebie, wieczność w tobie zagości.

I.189 Człowiek, który udziału czas

Czas jest twoim dziełem! Zmysły, to tryby zegara.
Niepokój pohamujesz, czas zniknie niczym mara.

I.226 Babel

Tyś wieżę Babel, gdy z własnej nie wychyniesz sieni,
Na zawsze już zostaniesz w diabelskiej tej domenie.

I.289 Bez dlaczego

Róża nie zna dlaczego: kwitnie, gdy przyjdzie pora,
Nie zważa ni na siebie, ni na to, co dokoła.

II.166 Zło nie istnieje

Gdy cię człowieku obmył swą krwią Baranek Boży,
Złym do szczytu przenigdy stać już się nie możesz.

III.11 Bóg przeczłowieczy

Porzucił Boskości wino Bóg, pił mleko człowieczej rzeczy:
Jak więc nie mógł przeto na wskroś się nie przeczłowieczyć?

III.47 Nagrobek św. Franciszka

Serafin tu leży: jak kamień w grobu komorze
Płomień, co nieba sięga tak uwięzić może?

III.77 Złota moneta

Jak głupi jest ten mąż, co w skarbach widzi Boga,
Gdy wie, że skarbem jest jego dusza uboga.

III.117 Opoka najważniejsza

Odrzucasz opokę, szukając sekretu złota,
A w opoce dobro, zdrowie, mądrości istota.

III.118 W tobie jest kamień mędrców

Wstąp w siebie, tam kamień mędrców odnaleźć się staraj,
Nie znajdziesz go wszak, człowiecze, w cudzoziemskich
krajach.

III.119 Opoka czyni dzieło warte wieczności
Kamień mędrców to złoto, co ze światem przeminie,
Głaz węgielny gmach dźwiga, co z wiecznością nie zginie.

III.144 Jutrenka i dusza
Jak piękna jest jutrenka, piękniejsza jednak dusza,
Gdy piekła ciała mroki boski promień rozkrusza.

III.228 Oczy duszy
Dwoje oczu ma dusza: jednym czas percypuje,
Drugie wprost ku wieczności niezmiennie się kieruje.

IV.67 Marta i Maria
Krząta się Marta i biega, aby obsłużyć Pana,
W spokoju Maria siedzi, i tym sposobem sama
Najlepszą część wybiera: panem żywi swą duszę
Wiedząc, że przedtem On już nią pożywić się musiał.

V.1 Do Jednego wszystko wraca
Z Jednego wszystko wyszło i do Jednego wróci,
Nigdy się nie podwoi, w mnogości się nie skłóci.

V.2 Jak liczby z jedności, tak stworzenie z Boga
Z Jedności wszystkie liczby dobyły się bezwiednie,
Także i byty wszelkie z Boga wyrosły Jedni.

V.3 Bóg jest w rzeczach wszystkich, niczym jedność w liczbach
Jak w każdej osobnej liczbie widać cień Jedności
Tak Bóg, Wieczysta Jedność, we wszystkich rzeczach
gości.

V.4 Nic bez Jedności się nie osto
Tak jak bez Jedności, liczby się wszak nie ogarnie,
Tak bez Boga, Jedności, stworzenie zginie marnie.

V.10 Pałac Boga
Bóg jest dla siebie tronem, niebo jest mu komnatą,
Podworcem jest mu raj, ziemia stajnią łada jaką.

V.31 Jaźń i jej zanik
Jaźń jest wrogiem Boga, a zanik jej to dlań cnota.
Gdy trwa, jaźń jest brudem, znika — cenniejsza od złota.

V.12 Czujne oko widzi
Światło doskonałości, kto też nocą zoczy?
Serce, co nie zasypia, serce, co ma oczy.

V.41 Im więcej wiedzy, tym mniej rozumienia
Lepiej poznajesz Boga, więc lepiej, człeczce, wiesz,
Tym mniej możesz wyrazić, czym On na prawdę jest.

V.50 Bóg nie jest cnotliwy
Bóg nie jest cnotliwy; cnota się zeń wylania
Jak ze słońca promień lub z oceanu fala.

V.70 Niewiele człękowi do szczęścia trzeba
Łatwo jest, mówi Bóg, wyleczyć duszy złości,
Potrzebny jeden lek — ziele cierpliwości.

V.112 Nie wszystko dobre, co dobre
Nie wszystko dobro jest dobrem, pomylić się łatwo:
Brak oleju miłości — złe lampą daje światło.

V.126 Jaźń gdy umiera, Bóg w siłę wzbiera
Im bardziej moja jaźń we mnie czeźnie i umiera,
Tym bardziej głos Pańskiej mocy we mnie w siłę wzbiera.

V.129 Wewnętrzne nie potrzebuje zewnętrznego
Wewnątrz kto zwróci wzrok swój, słuch i dotyk,
Ten słyszy niesłyszane, widzi w mrokach nocy.

V.136 Mądrymu wszystko jedną ma wartość
W ciszy i pokoju mędrzec pędzi swe lata,
Gdy nie on sam, to Bóg dyktuje losy świata.

V.248 Potrójny sen
Trojaki sen nas morzy: grzesznik śpiew w mrokach grobu,
Strudzony śpi na łące, ten, który kocha — w Bogu.

V.271 Bóg jest, gdyś nie jest człowiekiem
Gdyś wyrzekł się już siebie, gdyś już nie jest człowiekiem,
Człowiekiem Bóg się stanie, ciężary twe poniesie.

V.302 To, co najszybsze
Miłość jest najszybsza: może się sama z siebie
W jednym mgnieniu oka znaleźć w najwyższym niebie.

V.315 Umniejszenie wznosi
Mój Chryste, wielki będzie, kto siebie sam umniejszy,
Tym bardziej cię szanuję, im widzisz się podlejszym.

V.330 Kiedy człek słyszy głos Boga
Kiedy o Bogu myślisz, głos Jego w sobie słyszysz:
Przemawia w tobie stale, gdy milcząc żyjesz w ciszy.

V.338 Wieczność im dłuższa, tym bardziej niedostępna
Im dłużej fale Wieczności korab duszy orze,
Tym odleglejsze brzegi, tym rozleglejsze morze.

V.343 Duchowy chorał
Bóg jest organistą, my zaś organów chorałem,
Duch Boży dmie w miechy, siłę dźwiękom nadaje.

V.364 Ten, komu dzieła są spoczynieniem
Mądry, który sam siebie pozostawił daleko,
Ten biegnąc spoczywa, działa, kiedy myśli cieką.

V.365 Człowiek jest larwą
Człowiek, któremu żądza, jak gnój bydłu, jest rajem,
To ledwie larwa człeka, nie jest, lecz być się zdaje.

VI.103 Obladowanemu nie wiedzie się dobrze
Ciężary szyper wrzuca w toń, gdy burza statkiem miota:
Obladowany złotem chcesz niebios przekroczyć wrota?

VI.121 Życia ni śmierci nie pragnąć
Ochotnie gdy nie umrzesz, żywota odrzucisz dary!
Życie ci wszak dane jeno dzięki śmierci ofiary.

VI.173 W morzu każda kropla jest morzem
Wszystko morzem w morzu, każda kropelka mała!
Spójrz, czy w Bogu dusza bogiem się już nie stała?

VI.181 Sąd mędrca i głupiego
Głupcowi worek złota dasz i mniema, że bogaty;
Mędrzec zaś będzie biedny, władając całym światem.

VI.190 Poza Bogiem wszystko niczym
Komu Bóg wszystkim zawsze jest, temu jest wszystko niczym!
Wszystkiego nie widzisz w Bogu, w niczym żyjesz
zwodniczym.

VI.241 Człek mądry nie umiera

Mędrzec nie umiera! On już wszak umarł przecie,
Umarł dla wszystkiego, co Bogiem nie jest w świecie.

VI.250 Co jest szczęściem

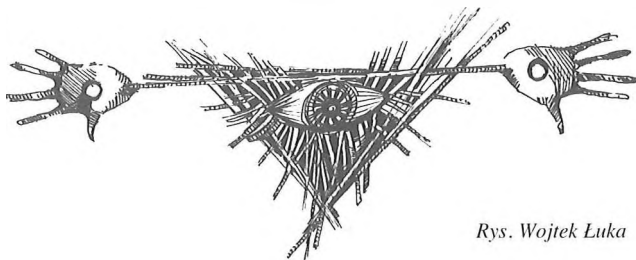
Szczęściem przecież nie jest w dóbr plawić się obfitości,
Lecz cnót wszelkich wiele w duszy hołubić mądrości.

VI.251 Dziwak

Piachem są poglądy i głupiec na nich dom wznosi!
Wznosisz gmach na poglądach, czemu mądrym się głosisz?

VI.263 Na koniec

Druhu mój, dość rymów! gdyś wierszy jednak niesyty,
Sam stań się pismem, skrzepnij w kryształ bytu.



Rys. Wojtek Luka

OD TŁUMACZA

JOHANNES SCHEFFLER, ur. 1624, ochrzczony u św. Elżbiety we Wrocławiu 25 grudnia, syn Stanisława Schefflera ur. w Krakowie w 1562 roku, zamieszkałego w Borwiczach, który przeniósł się do Wrocławia w 1618 roku i ożenił się ze znacznie młodszą Marią Magdaleną Henneman, córką doktora dworskiego Johanna Hennemana. Angelus miał brata Christiana i siostrę Marię Magdalene.

Kształcił się najpierw w liceum Elżbiety we Wrocławiu, a potem z rekomendacji jej rektora Eliasa Majora oraz nauczyciela retoryki Christopha Koelera w uniwersytetach w Strassburgu, Leydzie, Padwie, gdzie uzyskał doktorat z medycyny i filozofii w lipcu 1648 roku.

W listopadzie 1649 został osobistym lekarzem i radcą ks. Sylwiusa Nimroda von Wirttemberg w Oławie; tam zaprzyjaźnił się z wyznawcą i biografem Boehmego Abrahamem von Frankenberg. Znajomość z Danielem Czepko von Reigersfeld i Johannem Teodorem von Tschesch dała mu możliwość poznania pism Walentyna Weigela, Taulera, Mistra Eckharta. Po śmierci Frankenberga konflikt z Christopherem Freytagiem w efekcie prowadzi do aktu konwersji na katolicyzm dokonanego w kościele św. Macieja we Wrocławiu w 1653 roku. Johannes przyjął imię Angelusa (autor mowy pogrzebowej, jezuita Daniel Schwartz powie, że „już w młodości zwany był przez bliskich aniołem”; częśćka „Silesius” przywołuje Śląsk, ale pewnie trwa w niej także pamięć pojęcia „Elysium”).

Scheffler związany z kontrreformacją zostaje lekarzem cesarza Ferdynanda III w Wiedniu, a 1657 roku wydaje 5 tomów „Rymów duchowych”; zajmuje się także pracą na rzecz biednych. W 1661 roku zostaje księdzem w Nysie, w 1664 współpracuje z generalnym wikariuszem Śląska Sebastianem von Rostock, pisując antyreformacyjne pamflety i pisma.

W 1668 roku ukazują się w miejscowości Glatz drugie wydanie Rymów duchowych, noszące już tytuł „Cherubinischer Wandersman” (reedycja w Głogowie w 1676). Lektura tejże poezji dała asumpt Martinowi Heideggerowi do spostrzeżenia, iż „nasuwa się myśl, że największa ostrość i głębia myśli przypada w udziale prowadzawemu i wielkiemu mistycyzmowi”.

Johannes Scheffler zmarł 9 lipca 1677 roku we Wrocławiu i pochowany jest tamże w kościele św. Macieja.

1. Widzimy świat z punktu i momentu, w których jesteśmy - to oczywiste. I jedynie z tego miejsca i czasu możemy świat pojąć, jeśli słowo „pojąć” jest tu w ogóle na miejscu i na czasie. A ponieważ jestem teologiem, dlatego teologiczny punkt widzenia i interpretacji towarzyszył mojemu odczytaniu „Drugiej przestrzeni”. Z tego też powodu jest rzeczą naturalną, iż „Traktat teologiczny” to dla mnie kwintesencja Miłoszowego tomu i głównie na niej skupiłem (w czasie lektury) i skupię (w poniższym tekście) uwagę.

Ale zacznijmy od wiersza o niezwykłym natężeniu intymności i piękna.

2. 22 lipca 2001 roku, w niespełna miesiąc po 90. urodzinach, Miłosz napisał nieduży (20 białych wersów) wiersz pt. „Oczy”. Rozpoczyna się od zdań, które nie dziwią w dziesiątej dekadzie życia Autora (nie ma co udawać, że nie jesteśmy pewni jego tożsamości z podmiotem lirycznym): „Szanowne moje oczy, nie najlepiej z wami. / Dostaję od was rysunek nie ostry, / A jeżeli kolor, to przymglony.”

Więc może dlatego: „Takiego traktatu młody człowiek nie napisze”?

Bo „Oczy” - po opisach dawnych, „wzrokowych” rozkoszy, po wyrażeniu zgody na powolne oddalanie się „od jarmarku świata” - kończą się taką oto, „esencjalnie eschatologiczną”, frazą: „Bez oczu, zapatrzoney w jeden jasny punkt, / Który rozszerza się i mnie ogarnia”.

Więc może właśnie dlatego młody nie napisze? Bo młode oko zbyt mocno przykuwa młodego człowieka do rysunków wyrazistych, kolorów soczystych? I niemożliwe jest jeszcze wówczas zapatrzenie „w jeden jasny punkt”, który wtedy tylko rozszerza się i patrzącego ogarnia, kiedy się go widzi „bez oczu” i towarzyszącej im nieuchronnie „pożądliwości” (por. Pierwszy List św. Jana, rozdział 2, wiersz 16)?

Z zapatrzenia sędziwego mędrca w ów „jeden jasny punkt” powstał „Traktat teologiczny”, bez wątpienia. Kiedy Miłosz miał 36 lat był zdolny rozprawiać traktatowo o moralności. Kiedy miał 45 lat dojrzał do traktatowej dysputy o poezji. Ale do „Traktatu teologicznego” potrzeba było kolejnych 45. lat... Teologia - na tym poziomie i o takiej głębi - możliwa jest widać jedynie w kenozie pozbawienia: u kresu bogatego w ból życia, po wielu doświadczeniach, w cierpieniu starości, w nieostrym rysunku, w przymglonych kolorach.

I chociaż rozumiem w tym kontekście, że „takiego traktatu młody człowiek nie napisze”, to jednak, ufam, że może on („młody człowiek”) przynajmniej pisać o „Traktacie teologicznym”. Choć moja młodość - jak każda - jest okrutnie względna... Mam 48 lat i z porównania z biografią Miłosza wynika, że dostępne są mi już rozważania o moralności i poezji, ale do teologii droga długa jeszcze...

Ale usprawiedliwia mnie, mam nadzieję, fakt, że noszę (czasem, podczas wyjątkowych uniwersyteckich uroczystości) fioletową togę Wydziału Teologii KUL, czyli, że pierwsze ma szansę być u mnie pierwsze, a pisze Mistrz wyraźnie: „Dlaczego teologia? Bo pierwsze ma być pierwsze. / A tym jest pojęcie prawdy (...)”.

A poza tym ton „Traktatu...” akurat licuje z barwą mojej szaty i mojego myślenia, dlatego przepraszam Mistrza („Przepraszam, wielebni teologowie, za ton nie licujący / z fioletem waszej togi”) są mi niepotrzebne.

3. Dla uważnych czytelników Miłoszowego dzieła „Traktat teologiczny” nie jest zaskoczeniem i wnosi - w sumie - niewiele nowego. Proszę mnie dobrze zrozumieć: uważam, że jest to tekst fenomenalny, godny głębokiego namysłu i najwyższego szacunku choćby jedynie (ale nie tylko dlatego!) z powodu intencji „Poety, którego ochrzczono”: „Pomyślał, że kiedyś musi napi-

sać traktat / teologiczny, żeby okupić swój grzech / samolubnej pychy”.

Ale jestem autorem książki pt. „Problem teologicznego wymiaru dzieła literackiego Czesława Miłosza. Teologia literatury”, w której na 463 stronicach robię to właśnie, co wyraża jej tytuł: tropię teologiczne treści i intuicje obecne *explicit* i *implicit* „od

zawsze” w poezji, eseistyce i dwóch powieściach Noblisty. Jestem też autorem tekstu, który ukazał się w sierpniowej „Więzi” (2001), a który poświęcony recenzijnemu omówieniu książki Łukasza Tischnera („Sekrety manichejskich trucizn. Miłosz wobec zła”) nosi tytuł - uwaga, uwaga! - „Poezja jako traktat teologiczny”... Przeczytałem też (prawie) wszystko, co napisał Miłosz, i bardzo wiele z tego, co napisano o nim.

I w tym kontekście twierdzę, że „Traktat...” jest repetycją wcześniejszych tez „teologii literackiej” Miłosza. Prawda że repetycją genialną formalnie, poetycko zgęszczoną (kłania się niemieckie *Dichtung*) i fantastycznie trafiającą w nasz czas - początek trzeciego tysiąclecia, punkt (epokę?), który jest w głębokim sensie kacem po moralnej orgii tamtego stulecia. Wszystkie te teologiczne toposy już były: małoortodoksyjny Mickiewicz, masonskie szyfry, owe Swedenborgi sławne i szeroko dyskutowane w latach 80-tych (może Jakub Boehme jest względnie nowy, ale problem znany czytelnikom Miłoszowego dzieła), Dzień Zaduszny jako fenomen polskiej religijności, Ewa jako delegatka Natury, Księga Hioba, podejrzliwość wobec darwinizmu a wcześniej natury, która jest *devorans et devorata*, *kabala*, *manicheizm* i *grzech pierworodny*, cudowny chrystocentryzm wywiedziony z antropocentrycznego współczucia Boga i znajdujący swój punkt kulminacyjny w proczłowieczej „słabości Galilejczyka” (dla mnie punkt słoneczny, centralny, najgenialniejszy z genialnych Miłoszowego słowa; por. cz. 14. „Traktatu...”!), kocia postawa wobec teologii (lubię cię bardzo, ale nie dam się pogłaskać; jestem bowiem raczej manichejczyk, a przymiotnik „ortodoksyjny” byłby dla mnie nieco kłopotliwy), antynacjonalistyczna awersja, dzieciństwo rozumiane jako prąźródło wszelkich tematów teologicznych dorosłości, inklinacje buddyjskie (od czasów „kalifornijskich” obecne regularnie w wierszach zwłaszcza), zachwyt istnieniem i egzystencjalna gorycz przemieszczane w proporcjach znamienych dla arcydzieła...

4. Wydaje mi się, że nie było do tej pory w Miłoszowej twórczości jedynie dwóch wyraźnych akcentów „Traktatu teologicznego”. A przynajmniej w obecnym tu stężeniu jawią się one jako nowe. Pierwszym jest - w moim przekonaniu - refleksja, by tak rzec, teologicznomoralna. Cytat z „Traktatu...” dla tzw. „pełnej jasności”: „(...) Piekło artystów, / To znaczy ludzi, którzy doskonałość dzieła / Stawiali wyżej niż swoje obowiązki małżonków, ojców, / Braci i współobywateli.”

Kontynuując wątek „pełnej jasności”: Miłosz zawsze podejrzewał poezję (i sztukę w ogóle) o moralną dwuznaczność („literat” zamiast ratować życie bliźniego, robi notatki, wykorzystując niepowtarzalną, graniczną

Ks. JERZY SZYMIK

Tętno zachwytu

O „Drugiej przestrzeni” Czesława Miłosza

sytuację). Mógłbym podać w tym miejscu kilkanaście odniesień (przypisów) do Miłoszowych źródeł tego poglądu... Ale po raz pierwszy określił aż tak jednoznacznie „piekielną pokusę” obecną w absolutyzacji estetyki (*Schoenheit ueber alles...*). Nieżył to kamyk do ogródka tych, którzy np. w Krystianie Wojaczku („nie sądz-

cie...” - pamiętam i nie sądzę) chcieliby widzieć podstawowe światło i wzorzec dla przyszłości polskiej poezji.

Drugim akcentem nowym jest cz. 23. utworu („Piękna Pani”) poświęcona objawieniom maryjnym w Lourdes i Fatimie. Tych 25. wersetów jest aktem niesłychanej odwagi i pozwolić sobie mógł na to tylko Miłosz, 90-letni Noblista, którego pozycji nic już nie zachwieje. Każdy inny poeta naraziłby się na ostracyzm (w najlepszym wypadku) krytyki. Ostatnich pięć wersetów „Traktatu...” pozostaje dla mnie głębokim świadectwem pokory Autora, a także kolejnym znakiem, że dzieło Miłosza jest arcydziełem wznoszącym się „ponad”: „Moja obecność tutaj [w Lourdes - przyp. J.Sz.] była zamacona / Obowiązkiem poety, który nie powinien / Schlebiać ludowym wyobrażeniom, / Ale pragnie pozostać wierny Twojej niedocieczonej intencji / Ukazywania się dzieciom w Lourdes i Fatima”.

Owo „pragnienie pozostania wiernym” jest aktem najwyższej odwagi w nieliczeniu się z grymasami „znawców” („hm... starzeje nam się Miłosz, coś zdewociał...”). Ale też pisząc o „zamaćeniu”, Mistrz mówi swoje - nie schlebiając nikomu. Nie trzeba i nie wolno tego dalej komentować.

Są też w „Traktacie...” miejsca choć nie nowe, to na pewno wybitne.

Na przykład wersety, w których mowa o tym, w jaki sposób poezja „daje świadectwo prawdzie”: „(...) I właśnie poezja / swoim zachowaniem przerażonego ptaka / tłukącego się o przezroczystą szybę, poświadcza, / że nie umiemy żyć w fantasmagorii.”

Albo genialna glossa do wieloletnich poszukiwań językowo-gatunkowej „formy bardziej pojemnej”: „Musi być miejsce środkowe, między abstrakcją / i zdziecinieniem, żeby można było rozmawiać / poważnie o rzeczach naprawdę poważnych.”

5. Świat wyszedł z opresji dwudziestego wieku mimo wszystko cało (fasyzm i komunizm, miejmy nadzieję, dogorywają), ale człowiek z przełomu tysiącleci jest okrutnie poturbowany, trafiony w najczulszy punkt, kaleki. Zrobiły swoje bezbożne i niehumanitarne ideologie, Auschwitz i Kołyma, holocaust, dwie wielkie wojny, setki pomniejszych, krew i śmierć... Wrażliwość religijna tego, który „jednak i jakoś” ocalał została silnie naznaczona manichejską skazą, czyli istic gnostyczną podejrzliwością wobec tradycji chrześcijańskiego obrazu Boga. Miłosz jest poetą o słuchu doskonałym, artystą z uchem przyłożonym stale do ziemi i jako czuły sejsmograf wszystkich tąpnięć naszej ziemi i naszego czasu, tak ów dygot wyraża w „Księdzu Sewerynie”: „Nie rozumiem dlaczego tak być musiało, / Żeby Syn Boga umierał na krzyżu. / Nie odpowiedział nikt na to pytanie. / Jakże to mogę wytłumaczyć Kasi? / Gdzieś

wyczytała, że Majestat Stwórcy / Doznał zniewagi, która żąda krwi. / Jak to? W złośliwych szatach i koronie / Spozą obłoku przyglądał się kaźni? / Mówię jej: Tajemnica Odkupienia. / A Kasia, że nie życzy sobie być zbawiona / Za cenę tortur człowieka niewinnego”.

I tu widać szczelinę (jak głęboką? Nie wiem...) między teologią Miłosa a teologią której się uczę i której uczę. Ta druga bowiem teologia (katolicka, współczesna) słyszy rozmowę Księdza Seweryna z Kasią, „współ-czuje” z nimi i odpowiada na pytanie z wiersza. Odpowiada tak, jak od dwudziestu wieków robiła to wrażliwa na Boga i człowieka, dobra teologia: z pokorą, doksologicznie, sięgając najgłębszych warstw **teologii**, która jest niczym innym jak **teo-dramatem**, a dla człowieka i wszelkiego stworzenia **wspaniałością** Dobrej Nowiny. Powiedzmy to samo prościej: teologia katolicka odpowiada, że Ojciec w żadnym wypadku nie żąda tortur Syna, ani też Stwórca nie przygląda się obojętnie „spozą obłoku” kaźni stworzenia. Krew Syna nie została na krzyżu wylana po to, by uśmierzyć znieważonego Ojca, ale dla nas. Objawiła ona Miłość zranioną do krwi, do śmierci - Miłość Boskich zaiste rozmiarów, gotową na Wszystko... Prawdą o Bogu jest Jego bezgraniczna miłość a nie bezgraniczne okrucieństwo.

6. O gnostycko-manichejskich tendencjach w myśli Miłosa nigdy nie byłem dobrego zdania. Rozumiem i szanuję ich początki, ponieważ biorą się one ze współczucia i z nieprzejętej wrażliwości na cierpienie swoje i cudze. „Nie z frywolności (...), ale z bólu serdecznego, patrząc na okropność świata” - czytałem, wiem, szanuję, pamiętam. Ale jestem głęboko przekonany - jako chrześcijanin, chrześcijański teolog i człowiek, którego cierpienie nie omija - że gnoza i manicheizm to ślepe zaułki. Że to prowadzi jedynie do spekulacji, czyli złudnej ulgi, czyli donikąd. Bo jest gnoza nieprawdą, a nieprawda nigdy nie wyzwala (por. J 8,32). Myślenia o gnozie uczę się od Jana Pawła II, który uprawianie gnozy nazwał taką postawą „ducha, która w imię głębokiego poznania Boga ostatecznie odrzuca Jego Słowo, zastępując je tym, co jest wymysłem samego człowieka”. Absolutnie nie twierdzę, że dzieło Miłosa „odrzuca (...) Słowo”! Ale hermetycy, Różany Krzyż, Boehme, prometejski Mickiewicz, „Swedenborgi” i „wiedza tajemna wielu stuleci” to fałszywy trop. Tym zajmują się współcześnie na swój sposób Perez-Reverte i Coelho oraz rzesze ponowoczesnych filozofów, z którymi przecież Miłosz nie ma i nie chce mieć zbyt wiele wspólnego. „Punkt genialny” dzieła Mistrza jest bowiem zawieszony znacznie wyżej.

No i słynne Miłoszowe „unde malum?”, a w „Traktacie...”: „co zaszło w łonie / Bóstwa przed tym błyskiem, czyli jak pojawiło się Tak / i Nie, dobro i zło”... W tej dziedzinie proponuję lekcję w szkole Kardynała Ratzingera. Tekst świeży, wydany właśnie w „Znaku”, doskonale korespondujący z dużymi partiami „Traktatu...” Pyta oto Peter Seewald: „Czy nie jest możliwe, by w samym Bogu istniała również jakaś otchłań? Jakaś ciemna strona - zgodnie ze słowami poety: ‘dwie dusze, ach! Mieszkają w moim łonie’?” I odpowiada Ratzinger (wytłuszczenia moje, JSz): „Pytanie to stale pojawiało się w historii religii, również w tak zwanych nurtach gnostycznych chrześcijaństwa. Kwestie te na swój sposób wznowił Carl Gustav Jung, który pytał, czy ostateczna rzeczywistość nie musi jednak mieć dwu stron. I czy Bóg nie jest jednocześnie demonem? Czy źródło zła nie leży już w samym Bogu? Skoro zło istnieje, to czy nie jest czymś, co pochodzi od Boga? Chrystus, by tak powiedzieć, obezwładnił to pytanie, w którego horyzoncie świat rzeczywiście staje się czymś przerażającym, ponieważ i Bóg staje się czymś przerażającym.

Obezwładnił, umierając za nas, czym pokazał, jak ogromna jest miłość Boga. Dlatego Jan Apostoł może powiedzieć w swym liście: ‘Nie ma w Nim żadnej ciemności’ - to znaczy w Bogu - ciemność ma inne źródło, natomiast na Boga możemy się całkowicie zdać; demoniczność, zło nie mają w Nim zakorzenienia, dlatego ostateczny stan, gdy Bóg będzie wszystkim we wszystkich, rzeczywiście będzie wyzwoleniem od udręki zła. (...) skąd w takim razie pochodzi zło, jeśli jego źródłem nie jest Bóg? (...) Odpowiedź chrześcijaństwa i Biblii brzmi: zło pochodzi z wolności. W tym sensie zło nie jest jeszcze jednym owocem stworzenia, nie jest czymś rzeczywistym, czymś, co by istniało samo w sobie, lecz ze swej istoty pozostaje negacją, która pożera owoc stworzenia. (...) Zło nie jest czymś odrębnym, bytującym, lecz stanowi negację. Wkraczając w zło, opuszczam przestrzeń pozytywnego rozwijania bytu i wybieram pasożytniczy stan pożerania i negowania bytu”.

7. W „Drugiej przestrzeni” problemów, za które bierze się poezja - wiele, a wszystkie na wysokości niebotycznej (teologiczna aluzyjność tego ostatniego słowa zamierzona, rzecz jasna). Mnie jednak najbardziej wzruszają frazy, których zapierającą dech słodycz Miłosz ćwiczy od czterdziestu mniej więcej lat. Na przykład te, wybrane z trzech wierszy:

„Chwile z wczoraj i sprzed wieków: cios miecza,
malowanie rzęs
przed lustrem z wygładzonego metalu,
śmiertelny strzał
z muszkietu, zderzenie karaweli z rafą mieszkają
w nas i czekają
na dopełnienie (...) chwila zachwytu
pręgą słońca na ścianie, trelem wilgi, twarzą, irysem,
tomikiem wierszy, człowiekiem trwa i powraca w blasku.
(...)
Wysokie tarasy nad jasnością morza.
Pierwsi w hotelu zesłiśmy na ranne śniadanie.
Daleko, wzduż linii horyzontu, manewrują okręty”.

Jeśli poezja ocala, to tak właśnie: w zachwyceniu. Choćby występował on przemieszany z trwogą wobec „tego”. „W obliczu świętości życia i człowieka, w obliczu cudów wszechświata zachwyt jest jedyną adekwatną postawą” - pisał Jan Paweł II w „Liście do artystów” w dn. 4 kwietnia 1999 roku.

8. „Traktat teologiczny” na niespotykaną przed nim skalę rozjaśnia to, co wydaje się być dziś największą zasługą Miłosa wobec polskiej literatury. Pod jego batutą bowiem poezja w dużej mierze wyleczyła się ze swojej pierwotnej choroby narcyzmu: szaleństwa, które egotycznie kontemplowało własne rozpacz i pożerało własny ogon. Miłosz doprowadził do tego, że poezja nowoczesna stała się miejscem rozmowy istotnej. Aż tak istotnej, że jest ona w stanie w pierwszym roku trzeciego tysiąclecia unieść ciężar „Traktatu teologicznego”.

Teologia otrzymuje w ten sposób nowe rejestry języka dla wyrażenia swoich treści. Poezja odzyskuje stary, wielki (największy!) temat... Wielka to więc dla mnie radość. Jako teolog - jestem bezgranicznie wdzięczny. Jako poeta - mam się od kogo i z czego uczyć.

A jestem przecież jak my wszyscy, jak Mistrz: „jednego dnia wierzę, drugiego nie wierzę./ Ale jest mi dobrze w modlącym się tłumie.” Wiec proszę razem z ewangelicznym ojcem epileptyka: Wierzę, zaradź memu niedowiarstwu!” (Mk 9,24).

I pulsuje we mnie „tętno zachwytu”.



W tym roku
werdykt jury
nieco zaskoczył
katowicką
publiczność.
Po raz pierwszy
zwyciężył
spektakl
telewizyjny,
choć do konkursu
stały tylko
dwie realizacje
Teatru TV.
Może to i dobrze,
bo tym samym
wskazano,
że tę formę sztuki
trzeba wspierać
i bronić.

Następcy Swinarskiego

KRZYSZTOF
KARWAT

Już po raz piąty

Wojtek Smarzowski chyba też nie liczył, że znajdzie się w kręgu faworytów V Festiwalu Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje”, tym bardziej że wśród jurorów nie było artystów, których jednoznacznie kojarzylibyśmy tylko z Teatrem TV. Z takiego rozwoju wypadków — rzecz jasna, poza laureatem — szczególnie zadowolony wydawał się być Kazimierz Kutz, co-rocny dyrektor artystyczny „Interpretacji”, a także prawdziwy gospodarz katowickiego festiwalu. Obiecał nawet, że wykorzysta swą senatorsko-marszałkowską pozycję i wesprze Smarzowskiego w jego staraniach o pełny debiut fabularny. Bo też ten interesujący operator i reżyser swą przyszłość raczej wiąże z telewizją i filmem, a nie teatrem.

Wstrząs i wzruszenie

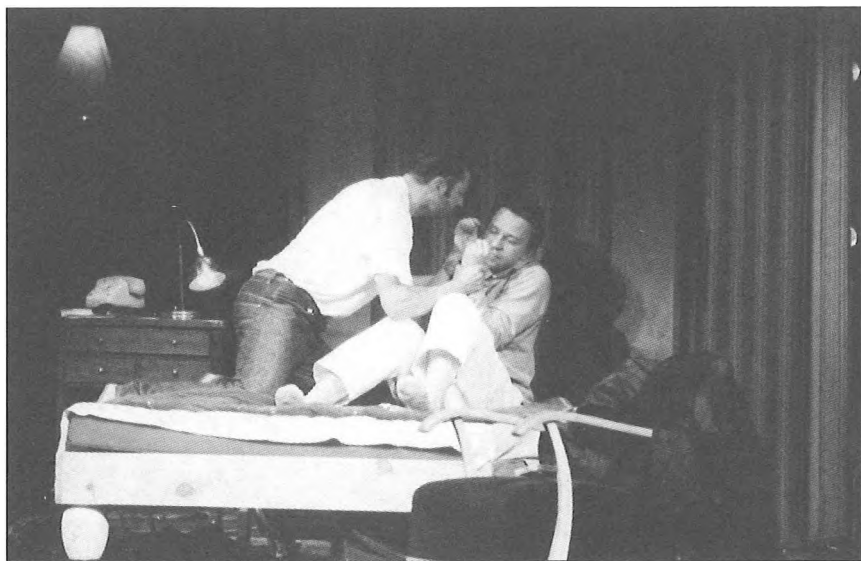
Kuracja, będąca adaptacją powieści Jacka Głębskiego pod tym samym tytułem, jest zrobiona środkami telewizyjno-filmowymi, a nie teatralnymi. Nawet w scenach kameralnych, gdy oglądamy głównego bohatera (w tej roli bardzo dobry Bartek Topa) zamkniętego w niewielkich celach szpitala psychiatrycznego, dużą rolę odgrywa ekspresjonistyczne kadrowanie, wzmacniane powtórzeniami ułamków ujęć, a także niespodziewanym rozdzieleniem sekwencji realnych i quasi-wizyjnych. Niekiedy nie mamy pewności, czy jeszcze uczestniczymy w linearnej narracji, czy może już wnikamy w psychikę młodego lekarza, który zapragnął lepiej poznać świat schizofreników, dobrowolnie zamykając się w szpitalu psychiatrycznym. Rzecz w tym, że o jego decyzji wie tylko dwóch ludzi, z których jeden niebawem umrze a drugi wyjedzie do USA. Doktor Majer w momencie, gdy rozwój wypadków wy-

mnąć się nie tylko spod jego kontroli, nie będzie mógł liczyć nawet na pomoc żony. Wpada w pułapkę, a my, widzowie, zrazu nie wiemy, czy jeszcze symuluje chorobę, czy już może, okrutnie pacyfikowany przez sanitariszy i lekarzy, wpada w obłęd. To dobry, wstrząsający spektakl (może jednak film telewizyjny?), który niechybnie przypomni nam o klasykach gatunku, choćby o *Locie nad kukłczym gniazdem*. W *Kuracji* też bowiem chodzi o stworzenie paraboli ludzkiego losu i zrelatywizowanie takich pojęć jak „choroba” czy „zdrowie”, a nie tylko o sfotografowanie świata, do którego my, „normalni”, dostępu nie mamy.

Dziennikarzom, krytykom i recenzentom akredytowanym przy katowickim festiwalu najbardziej podobał się *Wujaszek Wania* Antoniego Czechowa w reżyserii Jacka Orłowskiego. W Katowicach z konieczności łódzki spektakl nieco sztucznie „ukameralizowano”, sadzając publiczność

na niewygodnych krzesłach bezpośrednio na scenie. Być może, był to zabieg niezbędny, choć w recepcji tego widowiska trochę przeszkadzał. Orłowskiemu udało się jednak osiągnąć prawdziwie Czechowowski, choć wypreparowany z kontekstu społeczno-historycznego, nastrój widowiska, które rozgrywa się jakby w przedsionku labiryntu pokoi, z wyjątkiem „czwartą ścianą”, z wielkim stołem jako centralnym punktem, wyłaniającym się spośród gry nocnych cieni i mrocznych — także w sensie psychologicznym — półtonów.

Zwłaszcza pierwsza część spektaklu (choć nie można też zapomnieć o pięknym, niespiesznie rozegranym finale!) pozostawiła duże wrażenie. *Wujaszek Wania* (Bronisław Wrocławski) okazuje się być człowiekiem, który nie zasługuje na wzgardę i poniżającą godność litość. Wcale nie jest podstarzałym nieudacznikiem; on tylko, by tak powiedzieć, źle rozłożył swe uczucia i ambicje, zapominając,



Publiczności najbardziej podobały się *Bezłtenowce* Ingmara Villgista w reżyserii Łukasza Kosa.

Utrzymano dotychczasowe zasady kwalifikacji spektakli konkursowych. Tym razem do Katowic zaproszono pięciu reżyserów teatralnych i dwóch telewizyjnych, których staż pracy nie przekracza 15 lat.

Nie zmieniły się również zasady pracy jury. Każdy juror miał do dyspozycji jeden głos, warty 10 tys. złotych. Największa ilość głosów decydowała o przyznaniu honorowego Lauru Konrada. W tym roku zwyciężył Wojtek Smorzowski, reżyser telewizyjnej *Kuracji*, będącej adaptacją powieści Jacka Głębskiego. Na ten spektakl wskazało trzech jurorów: Gustaw Holoubek, Franciszek Starowieyski i Adam Hanuszkiewicz.

Anna Augustynowicz najwyżej oceniła pracę Piotra Cieplaka (*Król Lear* Williama Szekspira z Teatru Powszechnego w Warszawie), Jan Englert - Łukasza Kosa (*Beztłenowce* Ingmara Villqista z Teatru Nowego w Łodzi), Jan Kanty Pawluśkiewicz - Andrzeja Bubienia (*Wilki i owce* Aleksandra Ostrowskiego z Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu).

Publiczność wskazała na Łukasza Kosa (10 tys. złotych od marszałka województwa śląskiego). Po raz pierwszy typowali także dziennikarze. Honorowy dyplom otrzymał Jacek Orłowski (*Wujaszek Wania* Antoniego Czechowa z Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi).

Stawkę reżyserów uzupełniali: Monika Pęcikiewicz (*Leworęczna kobieta* Petera Handkego z Teatru Polskiego we Wrocławiu) oraz Dariusz Kuciewicz (*Gwiazdy i los człowieka* Macieja Pisiuka w Teatrze TV).

że życie może mu się rozplątać między palcami. Kiedy więc próbuje zastrzelić Sjeriebrakowa (Maciej Małek), to targa nim prawdziwa i głęboka wściekłość, wtedy jeszcze z niewielką domieszką goryczy. Kiedy zaś poczuje, że przegrał, to właściwie milknie, staje się nieobecny, przylepia się do jakichś rachunków i domowych papierów, by przestać myśleć, może czuć, by poddać się terapeutycznej rutynie codzienności.

Także Astrow (Dariusz Siatkowski) nie jest żalonym pijackiem, który ucieka w nierealne marzenia czy mrzonki. To idealista, mężczyzna z klasą, skłonny do wielkich uczuć, ale także masochistycznych gestów. Kiedy już wie, że Helena (Urszula Gryczewska) odrzuci jego miłość, nie oszczędzi jej, choć wymuszona i „zagrana” przez niego scena pożegnania i przerwane go pocałunku ugodzi zapewne także w jego serce.

Jacek Orłowski świetnie poradził sobie z problemem czasu, być może — najważniejszą kategorią w sztukach Czechowa. Pozwala wybrzmieć

poszczególnym scenom, nie boi się niebezpieczeństwa dłużej, nie boi się ciszy, przerywanej pobrzękiwaniami gitary czy dochodzącymi z zewnątrz odgłosami natury. A upływ czasu boli bohaterów, bo oni wiedzą, że trzeba zacisnąć zęby i udawać, że nic się złego nie stało (świetna rola młodziutkiej Anny Sarny jako Sonii). Słowem — łódzki *Wujaszek Wania* ściska za gardło i wzrusza.

Przeigrani faworyci?

Pprzed konkursem można było przyjmować zakłady, że z Laurem Konrada wyjedzie z Katowic Piotr Cieplak, który już dwukrotnie otarł się o główną nagrodę, zawsze gorąco na Śląsku oklaskiwany. Tym razem jego szanse wydawały się tym większe, że w tytułowej roli w *Królu Learze* Williama Szekspira obsadził Zbigniewa Zapasiewicza. O tej roli zaś mówiło i pisało się, że jest prawdziwą kreacją. No, i rzeczywiście Zapasiewicz potwierdził swą wielką kla-

sę aktorską, wykorzystując wszystkie atuty przekładu Stanisława Barańczaka, który zabrzmiał świetnie, bo współcześnie. Także współczesny kostium aktorów nie mógł być odczytany jako fanaberia reżysera czy scenografa, a raczej jako próba zdjęcia dramatu Szekspira z koturnów tradycji.

A jednak czegoś w tym skądinąd klarownym i stylistycznie czystym spektaklu zabrakło. Może inscenizacyjnego rozmachu, z którego, zresztą zupełnie świadomie, reżyser zrezygnował? A może uczucia bohaterów, a zwłaszcza motywy, którymi się kierują, okazały się za „literackie”? To tylko żądza władzy i pieniędzy kazały córkom Leara tak bardzo go upokorzyć i w konsekwencji zniszczyć? Zbyt to wszystko oczywiste, a może odwrotnie — niejasne? Może więc nie jest to dramat prawdziwie ludzki, a tylko wypreparowany i sprowadzony do konfliktu postaw, które „zawsze i wszędzie” będą wobec siebie antagonistyczne? Inna rzecz, że chciałoby, aby cały polski teatr, z taką pasją podchodził do klasyki, szukając języka emocji, zrozumiałego dla dzisiejszego widza. Cieplakowi tej pasji, a i odwagi, nie brakuje.

Na przedfestiwalowej giełdzie wysoko również oceniano szanse najmłodszego w gronie reżyserów Łukasza Kosa. Cykl jednoaktówek *Beztłenowce* Ingmara Villqista, grany już w różnych miejscach w Polsce i w różnych zestawieniach, dawał nadzieję na dobre przedstawienie. I rzeczywiście, powstał niezły spektakl, który reżyser wywiódł z samodzielnie ułożonego scenariusza. Wymieszał wątki, narrację kilkakrotnie przerwał, by dopiero później do niej powrócić, sugerując tym samym, że przynajmniej niektórzy bohaterowie powtarzają się, tyle tylko, że widzimy ich w innych sytuacjach. Ale to tylko jedna z możliwych interpretacji.

Chyba jednak nie należy „na siłę” doszukiwać się w tym scenariuszu fabularnej logiki i ciągu przyczynowo-skutkowego. To tylko różne warianty prawdopodobnych losów ludzkich, naznaczonych bezsłownym cierpieniem, zadawanych sobie przez bliźnich (por. rolę Mężczyzny Mariusza Saniternika z jednoaktówki *Cynkweiss*). Kos wykorzystał podstawowe walory teatralnego pisarstwa Villqista, tj. umiejętność utrzymania widza w stanie napięcia, wynikającego, by tak powiedzieć, z sytuacji nagłego wtargnięcia w sam środek czyjegoś życia. Zawsze musi upłynąć przynajmniej kilka chwil, zanim uchwycimy relacje łączące poszczególnych bohaterów. Łódzki spektakl dobrze został na scenie rozrysowany i niezły zagrany. Zapewne jednak nie poruszy widzów, których przekracza-



Najwyższe noty krytyków i dziennikarzy uzyskał *Wujaszek Wania* Antoniego Czechowa w reżyserii Jacka Orłowskiego.

jąca tabu tematyka sztuk Villgista (homoseksualizm, AIDS, dewiacje rodzinne) drażni i odpycha.

Pod dyktando mistrzów

Jakoś tak się składa, że Teatr im. Jana Kochanowskiego z Opola dość łatwo zdobywa sobie sympatię komisji kwalifikującej spektakle do katowickiego konkursu. W tym roku został zaproszony już po raz trzeci. Nawiasem mówiąc, pozostałe sceny śląskie czy zagłębiowskie tego zaszczytu dostąpiły dotąd tylko raz. Inna rzecz, że regulamin jest precyzyjny, a Opole, mimo zmieniających się dyrekcji, chętnie stawia na młodych.

Tym razem przyjechał Andrzej Bubiń z *Wilkami i owcami* Aleksandra Ostrowskiego. Nie od rzeczy będzie dodać, że reżyser ten kształcił się w Rosji i utrzymuje teatralne kontakty z Sankt Petersburgiem. Nie dziwi więc jego reperturowy wybór i aktywny, by tak rzec, stosunek do rosyjskiej klasyki. Być może jednak, dla dobra tego spektaklu należało jeszcze radykalniej przyciąć tekst Ostrowskiego, zwłaszcza w jego pierwszej części. Spektakl bowiem jest nużący, mimo śmiałych reżysersko-choreograficznych prób wyrwania się z okopów realizmu.

Potem jest już lepiej. Satyryczny ton odbija się świetnie skomponowanych i bardzo dobrze zagranych scenach amatorów (Małgorzata Szczerbowska jako Głafira i Andrzej Czerbnik jako Łyniajew); nie mamy już wtedy wątpliwości, że symboliczne owce stają się wilkami i w zasadzie cały ten kupiecko-arystokratyczny świat nastawiony jest na pożeranie swych ofiar, kierując się — powiedzielibyśmy dziś — bezgranicznym konsumpcjonizmem, szantażem i łapówką.

Kłękę poniósł Teatr Polski z Wrocławia. W tak wyrównanej stawce reżyserów i spektakli, jaka objawiła się w tym roku w Katowicach, adaptacja *Leworęcznej kobiety* Petera Handkego w interpretacji debutantki Moniki Pęcikiewicz wypadła blado. Właściwie tylko finał (pijackie przyjęcie u Marianny granej przez Ewę Skibińską) ożywił scenę. To stanowczo za mało, by pokazać jeszcze jedną wersję losu współczesnej Briget Jones — osamotnionej, bo już żyjącej bez męża, próbującej bezskutecznie zapęłnić pustkę, jaka tworzy się wokół i w niej samej. Pęcikiewicz nie poradziła sobie z układaniem amorficznych scen i zdarzeń w zborną całość. Pauzy, zawieszenia, wyciszenia, niespodziewane głosy z „offu” niby przypominały reżyserskie pismo Krystiana Lupy, lecz w rzeczywistości — były tylko ich nieudanymi imitacjami.

Cóż, każdego roku zdarza się podczas „Interpretacji” jedno przedsta-

Po raz pierwszy Laur Konrada otrzymał reżyser telewizyjny. 39-letni Wojtek Smarzowski zrealizował dotąd tylko dwa spektakle telewizyjne: *Małżowinę i Kurację*. Wcześniej był współscenarzystą filmu fabularnego Bogusława Lindy *Sezon na leszczą*. Zrealizował również kilka dokumentów, reportaży oraz teledysków.

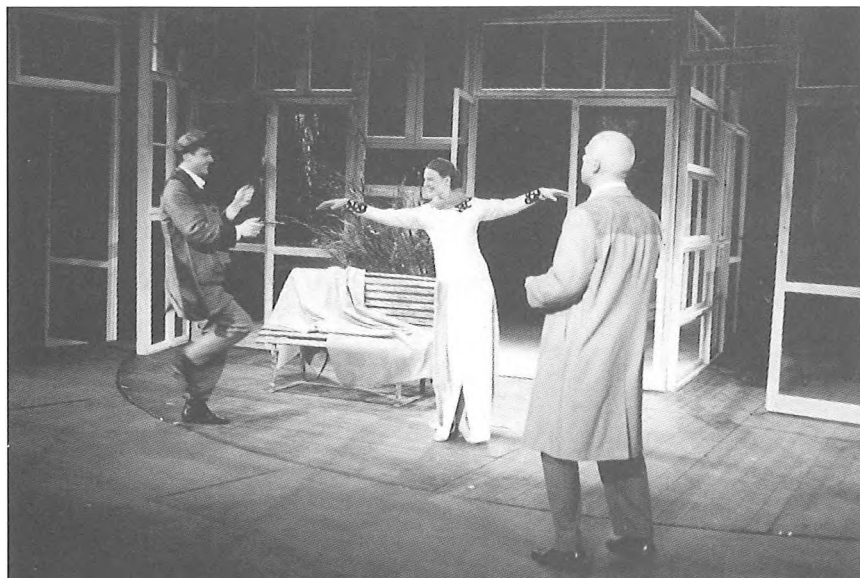
Studiował polonistykę i filmoznawstwo (nieukończony) na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest absolwentem Wydziału Operatorskiego i Realizacji Telewizyjnej w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi.

Zwyczajem poprzednich lat festiwal otwierał i zamykał tzw. spektakl mistrzowski. W tym roku były to: *Damy i huzary* Aleksandra Fredry w reżyserii Kazimierza Kutza (Narodowy Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie) oraz *Sen pluskwy* Tadeusza Słobodzianka w reżyserii Kazimierza Dejmka (Teatr Nowy w Łodzi).

Ponadto w ramach pokazów telewizyjnych widzowie zgromadzeni w auli Uniwersytetu Śląskiego zobaczyli: *Misia Kolabo* Piotra Kokocińskiego w reżyserii Ryszarda Bugajskiego, *Pieniądże innych ludzi* Jerry'ego Sternera w reżyserii Macieja Englerta oraz *Balladę o Zakaczwaniu* Macieja Kowalewskiego, Krzysztofa Kopki i Jacka Głomba w reżyserii Waldemara Krzystka.

wienie zdecydowanie słabsze od pozostałych. Nic to jednak nie znaczy, bo o kształcie tych konfrontacji decyduje całość, w tym także tzw. przedstawienia mistrzowskie. Tu pomyłek nie ma. I w tym roku także nie było. Mijają więc kolejne lata, a formuła programowa i koncepcyjna

„Interpretacji” nie starzeje się i nie zużywa. Mamy zatem nadzieję, że samorząd Katowic będzie chciał ten festiwal utrzymać. Festiwal, i tym razem bez żadnych wpadek, zręcznie przez Estradę Śląską przeprowadzony.



Andrzej Bubiń wyreżyserował w Opolu „Wilki i owce” Aleksandra Ostrowskiego.



Monika Pęcikiewicz nie utrzymała ciężaru adaptacji prozy Petera Handkego „Leworęczna kobieta”.

Kapłan i historiozof

KATARZYNA
TAŁUĆ



O ks. EMILU SZRAMKU

Z dziejami każdego państwa czy regionu związani są ludzie, którzy przez potomnych, a nierzadko już przez im współczesnych, zostali uznani za wybitne i wyjątkowe osobistości. Osoby te wywierały wpływ na oblicze własnego środowiska, a przez to kształtowały wizerunek całego regionu. Historia Śląska, obejmująca burzliwy okres przemian ekonomicznych, społecznych, politycznych na przełomie XIX i XX w., odnotowuje wiele nazwisk działaczy, twórców, bez pracy których losy ziem śląskich potoczyłyby się zupełnie inaczej. W tym gronie na szczególną uwagę zasługują ks. dr Emil Szramek. Autorzy biogramów poświęconych temu kapłanowi nazywają go działaczem

plebiscytowym, oświatowym, wybitnym naukowcem, budowniczym Katedry w Katowicach, kolekcjonerem dzieł sztuki, bibliofilem. Określenia te świadczą o różnorodnych zainteresowaniach, pasjach Szramka, o silnym zaangażowaniu się księdza we wszelkie inicjatywy, mające na celu przede wszystkim wzmocnienie więzi łączących Śląsk z innymi dzielnicami Polski. We wspomnieniach osób, które znały Szramka wielokrotnie pojawiają się wzmianki o przywiązaniu kapłana do książek. Ich treść wzbogacała wiadomości, poszerzała horyzonty myślowe, a nawet wpływała na ukształtowanie osobistych przekonań i poglądów katowickiego naukowca.

Z polską książką przyszły badacz śląskiego regionalizmu literackiego zetknął się już w rodzinnej miejscowości - w Tworkowie. Proboszcz tamtejszej parafii ks. Józef Gregor wpoił młodemu chłopcu szacunek dla ojczystego języka i dzieł w nim pisanych. Znajomość tekstów polskich autorów Szramek pogłębiał w trakcie nauki w gimnazjum i podczas studiów teologicznych na Uniwersytecie Wrocławskim. Należy jednak podkreślić, że doskonałą orientację, zwłaszcza w polskiej literaturze pięknej, zawdzięczał tylko własnej determinacji i indywidualnej pracy. Program nauczania nie przewidywał bowiem zapoznawania uczniów z dorobkiem literackim najśłynniejszych polskich pisarzy. We Wrocławiu nie mógł uczestniczyć w wykładach poświęconych kulturalnemu dorobkowi narodu polskiego, gdyż właśnie w 1907 r. (rok rozpoczęcia przez Szramka studiów we Wrocławiu) zaprzestala swojej działalności Katedra Języków i Literatur Słowiańskich prof. Władysława Nehringa. Hasła „umiłowania słowiańszczyzny” propagowane także przez poprzedników Nehringa - Jana Samuela Bandtkiego, Wojciecha Cybulskiego, Jana Ewangelistę Purkyniego - nadal jednak przyświecały pracy, szczególnie samokształceniowej, studentów polskiego pochodzenia. Rozmowy, dyskusje prowadzone przez Polaków uczących się na wrocławskiej uczelni, a którym przysłuchiwał się Szramek, miały niebagatelny wpływ na ostateczne uformowanie osobowości przyszłego, śląskiego kapłana.

Po uzyskaniu 22 czerwca 1911 r. święceń z rąk kardynała Jerzego Koppa, Szramek wrócił w rodzinne strony. Będąc wikarym w kolejnych parafiach, dał się poznać jako w pełni uświadomiony Polak, poczuwający się do obowiązku walki o prawa polskiej ludności na Śląsku. Angażował się w pracę różnych towarzystw, których celem było przede wszystkim podniesienie poziomu wiedzy mieszkańców regionu śląskiego. Razem z ks. Aleksandrem Skowrońskim w 1917 r. przystąpił do organizowania Towarzystwa Oświaty na Śląsku im. św. Jacka. Wkrótce potem objął opieką organ wydawniczy Towarzystwa - „Głosy znad Odry”. Artykuły Szramka drukowane na łamach tego pisma są współcześnie prawdziwą kopalnią wiadomości o lekturach i czytelnich upodobaniach kapłana. Ten pierwszy okres działalności (do chwili utworzenia województwa śląskiego), w którym wszystkie wysiłki związane były z podtrzymywaniem u polskich Ślązaków poczucia przynależności do narodu polskiego, zaowocował popularnymi publikacjami realizującymi cele propagando-

we. Prace wydane w latach 1914 - 1922, przeważnie biograficzne, przypominały losy wybitnych Ślązaków, np. ks. Norberta Bonczyka, ks. Konstantego Damrota, Juliusza Ligonia, Józefa Lompy i jednocześnie dostarczały czytelnikom wzorców godnych naśladowania.

Po przyłączeniu części ziem śląskich do niepodległej Polski, ks. Szramek brał aktywny udział w tworzeniu struktury życia kulturalnego Śląska. Był prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, redagował „Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku”, pracował w Radzie Muzeum Śląskiego, był przewodniczącym Regionalnego Komitetu *Polskiego słownika biograficznego*, członkiem Komitetu *Słownika geograficznego*, wziął udział w tworzeniu Instytutu Śląskiego. Na łamach „Roczników” publikuje swoje najważniejsze rozprawy biograficzne o ks. Janie Kapicy i ks. Aleksandrze Skowrońskim. One razem z książką pt. *Śląsk jako problem socjologiczny* stanowią zapis oryginalnej historiozofii katowickiego kapłana. Historiozofii będącej rezultatem badań, obserwacji, przemyśleń oraz lektur książek, jakie towarzyszyły Szramkowi od najmłodszych lat.

Rozprawa *Śląsk jako problem...* wydana w 1934 r. zajmuje wyjątkowe miejsce zarówno w dorobku naukowym badacza, jak i w całym międzywojennym piśmiennictwie o charakterze naukowym i popularnonaukowym, podejmującym zagadnienia społeczno - kulturalne regionu śląskiego. Bardzo interesująco, ze względu na czytelnicze upodobania Szramka, przedstawia się rozdział pt. *Misja Śląska*, w którym autor starał się wyznaczyć Śląskowi zadania w nowej ojczyźnie.

W swojej historiozofii Szramek wyjątkowe miejsce zapewnił mieszkańcom ziemi śląskiej. Ich postawa miała służyć jako przykład do naśladowania dla wszystkich i to w różnych dziedzinach życia, od gospodarki aż po sferę religijności i moralności. W rozważaniach zawartych w książce nawiązywał do cieszących się w pewnych okresach czasu dużą popularnością poglądów społecznych, systemów filozoficznych oraz programów literackich. Jego myślom przyświecały młodopolskie wizje narodu i przyszłej ojczyzny, mające swoje źródło w romantycznym mesjanizmie. Dla śląskiego badacza najistotniejsze były tezy Artura Górskiego udowadniające konieczność realizowania rodzimych wzorców, szczególnie w obrębie kultury, w tym i literatury. Nie przypadkiem więc na kartach *Śląska jako problemu...* pojawiło się nazwisko Adama Mickiewicza, którego legendę w Młodej Polsce stworzył właśnie Górski. Fascynacja twórczością po-

ety nie nosiła jednak śladów lektury śląskiego czytelnika ludowego. Badacz bowiem, podobnie jak neoromantycy, świadomie sięgnął do tekstów z tzw. mistycznego okresu twórczości Mickiewicza. One też utwierdziły Szramka w postanowieniu krzewienia odwiecznych obyczajów, zasad, których korzenie sięgały najstarszego i najświetniejszego okresu w dziejach ziem śląskich. Śląski badacz, podobnie jak Mickiewicz w swoich koncepcjach mesjanistycznych, duże znaczenie w odnowie społeczeństwa polskiego przypisywał czynnikowi moralnemu. Polski wieszcz uzależnił jednak rezultat misji narodu polskiego od osiągniętego przez niego poziomu moralnego. Szramek natomiast, wyznaczając podobne zadanie polskim Ślązacom, uważał, że wysoki poziom moralności jest ich cechą przyrodzoną. Przeświadczenie to powstało z kolei pod wpływem pism filozoficznych Augusta Cieszkowskiego, zwłaszcza dzieła *Ojciec nasz*, oraz *Psałmów przeszłości* i *Przedświutu* Zygmunta Krasińskiego. Utwory Krasińskiego dostarczały księdzu z Katowic nie tylko niezbitych dowodów na poparcie tezy o kierowaniu się w postępowaniu zasadami wypływającymi z chrześcijańskiej miłości. Mniej istotny był dla Szramka arcyzm twórczości Krasińskiego. Śląski biograf uważał romantycznego poetę za absolutnego mistrza słowa.

Szramek nie przejmował bezkrytycznie neoromantycznych poglądów lecz przystosowywał je do aktualnej sytuacji. Współcześnie Przewodnikiem, wytyczającym drogę do świetlanej przyszłości, miał być Ślązak. Oczywiście swoje zadanie powinien realizować w oparciu o zasady pokojowej koegzystencji w myśl słów Mickiewicza: „Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury, / Kto wyrwał z siebie żądko, rogi i pazury”.

Katowicki kapłan potwierdzenia w swoich sądów poszukiwał w filozofii chrześcijańskiej św. Augustyna, ale również w traktacie pt. *Szlakiem duszy polskiej* Stanisława Przybyszewskiego. Podobnie jak młodo-polski krytyk był przekonany, że kultura umysłowa ludów słowiańskich wyrosła z „najgłębszej, najgorętszej, Chrystusowej kultury serca”. Szramek z koncepcji, myśli zawartych w dziełach innych autorów nie korzystał w sposób mechaniczny, bezmyślny. Świadczy o tym zrezygnowanie z przywoływania w pracy fragmentów tekstów Juliusza Słowackiego - duchowego opiekuna neoromantyzmu. Powodów tej decyzji jest przynajmniej kilka. Z pewnością jeden z nich wynikał z przyjęcia koncepcji Górskiego o „naśladowaniu” Mickiewicza, którego zresztą dorobek literacki cieszył się na Śląsku dużą popu-

larnością. Można także przypuszczać, że do teorii pokojowego przewodnictwa, opierającej się na zasadach chrześcijańskich, teksty Słowackiego nie przystawały ze względu na swoją silną, rewolucyjną wymowę. Wreszcie mogli zadecydować po prostu osobiste upodobania czytelnicze.

Szramek własne sądy potrafił w umiejętny sposób łączyć z poglądami innych autorów. Wystarczy jako ilustrację zacytować fragment z rozprawy: „Śląsk jest »starą Polską« i »młodą Polską« en miniature. Jak przez kilka wieków był czołem kultury polskiej, tak obecnie jest punktem, około którego nowa Polska się krystalizuje, nie tylko gospodarczo, przyjmując teraz z konieczności jedynie możliwą strukturę rolniczo - przemysłową, ale także religijnie i moralnie przez kardynała - prymasa, Ślązaka. Jeżeli dziś Polska stoi na baczność, ma »na zachód oczy, nie na wschód, na zachód oczy, skąd nasz ród!«”. Cytat ów to kwintesencja historiozofii Szramka oraz przykład twórczego wykorzystania lektur. Z wydanej przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie w 1933 r. *Historii Śląska od najdawniejszych czasów do roku 1400* badacz zaczerpnął myśl o cywilizacyjnym przedownictwie regionu w średniowieczu. Zygmunt Wojciechowski - autor rozdziału pt. *Ustrój polityczny na Śląsku* - udowodnił, że przez Śląsk do reszty Polski we wzmiankowanym okresie przedostawały się wszelkie nowinki ekonomiczne, polityczne, społeczne i co najważniejsze kulturalne. Podkreślił, nawiązując do rozważań zawartych w *Pamiętniku mego życia* Teodora Tyca, że z całą pewnością „kultura Śląska w wiekach XII - XIV była czołem kultury polskiej”. Wywody Wojciechowskiego Szramek uzupełnił ustaleniami Witolda Taszyckiego, który z kolei nazwał Śląsk kolebką najstarszych zabytków piśmiennictwa polskiego: *Księgi henrykowskiej* oraz *Psałterza floriańskiego*. Ostatnie zdanie przytoczonego fragmentu nawiązuje do poematu Jana Nowaka pt. *Pieśń nad Odrą*, mającego rekompensować brak utworu o Śląsku w *Pieśni o ziemi naszej* Wincentego Pola. Szczególnie interesująca jest tutaj aluzja do Roty Marii Konopnickiej, utworu cieszącego się na Śląsku ogromną popularnością.

W *Śląsku jako problemie...* obecne są bezpośrednie nawiązywania oraz aluzje nie tylko do literackiej spuścizny wielkich, polskich romantyków, ale również do autorów późniejszych, także współczesnych samemu badaczowi. Obszerny fragment *Ziemi Elżbiety* Poli Gojawiczyńskiej posłużył Szramkowi za ilustrację trudnej sytuacji ekonomicznej na Śląsku. Należy jednak zaznaczyć, że literacką kre-

ację Ślązaków w tekście Gojawiczyńskiej ostro skrytykował. Nie zgadzał się z charakterystyką mieszkańców tego regionu: „ludzi całkiem pierwotnych i ciemnych, i głupich”. Bez zastrzeżeń natomiast akceptował twórczość rodzimych, w tym i ludowych pisarzy, w której ludność śląską ukazano jako nieugiętych Polaków, obrońców wiary przodków. Dlatego tekst naukowej rozprawy przeplatany jest fragmentami utworów Norberta Bonczyka, Konstantego Damrota, Andrzeja Chmurnego, Jana Nikodemara Jaronia, Jana Nowaka, Jana Kubiśza, Jana Przybyły. Szramek dał się poznać jako znakomity znawca rodzimej twórczości ludowej i zarazem jej propagator. Zdawał sobie sprawę z artystycznych niedociągnięć tekstów ludowej poezji. Uważał jednak, że tak jak cały naród polski powinien znać *Pana Tadeusza*, tak każda społeczność regionalna winna zapoznać się z tekstami autorstwa rodzimych pisarzy.

Pola Gojawiczyńska nie była jedyną autorką z grona uznanych twórców wspomnianą w *Śląsku jako problemie*.... Z cyklu obrazów historycznych Zofii Kossak - Szczuckiej, Szramek zapożyczył określenie - Nieznany kraj - na nazwę ziemi śląskiej. Obszerny fragment odczytu Kossak z 1932 r. posłużył natomiast autorowi za egzemplifikację jego własnych wywodów na temat osobowości mieszkańców Śląska. W pełni zgadzał się ze słowami pisarki, że: „Wytrwałość jest może cechą najbardziej charakterystyczną w psychice śląskiej. Głęboka, szczerza religijność. Jako zaś proste uzupełnienie tych zalet, silne życie rodzinne, przywiązanie do starego obyczaju. Brak Ślązakom gładkości, wdzięku, umiejętnego prześlizgiwania się po powierzchni życia, ale nie tymi zaletami buduje się państwa, je-no tamtą twardziłą, z której czyni dźwięczną lepiej od słów”.

Szramek ubolewał, że artyści, pisarze nie interesują się regionem śląskim, nie widzą jego wyjątkowości, nie tworzą dzieł mu poświęconych. Sam wielokrotnie mówił o pięknie krajobrazu śląskiego. Traktował pejzaż jako tekst kultury, co w badaniach śląskoznawczych było nowatorstwem. Przeciwstawiał nowoczesność, postęp cywilizacyjny mający wyraz w rozrastających się fabrykach, kopalniach tajemniczości gór i beskidzkich lasów. Podobnego spojrzenia na krajobraz ziemi śląskiej Szramek szukał w poezji Norberta Bonczyka, Józefa Eichendorffa oraz w powieściach Gustawa Morcinka i w kazaniach ks. Jana Kapicy.

Opinie katowickiego badacza o przeczytanych książkach świadczą, że miał do nich osobisty stosunek. Zwłaszcza literatura piękna nie była dla niego tylko i wyłącznie źródłem informacji, ale tekstem dostarczają-

cym niezapomnianych, głębokich przeżyć i wzruszeń. Pod tym względem najwyższej cenił polską poezję. Cytował wiersze Adama Asnyka, Marii Konopnickiej, Teofila Lenartowicza, Lucjana Rydla, Władysława Syrokomli. Ulubionymi poetami byli natomiast wielu romantycy: Krasiński, Mickiewicz, Słowacki. W ich twórczości upatrywał istoty piękna ojczystego języka. Pisał o niej: „Weźmy Mickiewicza i otworzymy go gdzie bądź, a wszędzie spotkamy setki precudnych obrazów, pełnych rodzimej prostoty i właśnie dlatego tak uroczych. Zajrzyjmy do Słowackiego, do Krasińskiego lub do któregośkolwiek z pisarzy późniejszych i nam współczesnych, a przekonamy się naocznie, ile oroku i wdzięku mieści w sobie nasza ukochana mowa ojczysta [...]”.

W parze z umiłowaniem dorobku literackiego wieszczów szła jego doskonała znajomość. W tekstach romantyków, interpretowanych z pozycji filozofa, poszukiwał wskazówek, pouczeń przydatnych późniejszym pokoleniom. Utwory poetyckie, prozatorskie autorów jemu współczesnych często traktował jako analogię własnych wizji i idei.

Lektury ks. Szramka nie ograniczały się tylko do literatury pięknej. Podejmowane przez niego w licznych rozprawach i artykułach zagadnienia historyczne, językoznawcze czy socjologiczne wymagały określonego zasobu wiedzy z tych dziedzin. Uzyskiwał ją m. in. na drodze rozległych i szczegółowych studiów. Wystarczy ponownie przejrzeć *Śląsk jako problem*..., aby natknąć się na tytuły książek i rozpraw naukowych, z których badacz korzystał. Cytował m. in. pracę pt. *Studium antagonizmu do obcych polskiego socjologa Floriana Znanieckiego*. Wśród lektur śląskiego autora obecna jest także książka ekonomisty, profesora Uniwersytetu Lwowskiego Stanisława Grabskiego pt. *Państwo Narodowe*, podejmująca problem współlistnienia różnych narodów w jednym organizmie państwowym; rozprawa Alfreda Szczepańskiego *Przynależność gospodarcza Górnego Śląska* zamieszczona w zbiorowej pracy pt. *Górny Śląsk* z 1933 r.; prace austriackiego historyka polskiego pochodzenia Józefa Strzygowskiego udowadniające wyjątkowe znaczenie Wschodu dla rozwoju całej sztuki i kultury europejskiej; mowy biskupa śląskiego a później kardynała Augusta Hlonda przepełnione umiłowaniem Kościoła, narodu polskiego i ojczyzny. Z rozpraw historycznoliterackich, krytycznoliterackich i językoznawczych, oprócz tekstów Pawła Musioła, Wincentego Ogrodzińskiego, Alojzego Targa, które dotyczyły śląskiego regionalizmu literackiego, warto wymienić *Historię literatury*

polskiej Michała Wiszniewskiego oraz rozprawy Aleksandra Brücknera, Kazimierza Nitscha i Witolda Taszyckiego.

Redaktor „Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku” żył i pracował w regionie, który określił jako nierozzerwalny węzeł kilku narodów i ich kultur. Jedyną możliwością pokojowej koegzystencji, zwłaszcza narodu polskiego i niemieckiego, upatrywał we wzajemnym poszanowaniu obyczajów oraz tradycji. Sam niejednokrotnie wypowiadał się na temat współżycia Polaków i Niemców na Śląsku. Uchodził za znawcę tej problematyki. Jego wiedza, wynikająca z wnikliwej i trafnej obserwacji ówczesnej sytuacji, poparta była rzetelną znajomością piśmiennictwa niemieckiego. Szramek cenił przede wszystkim prace publicysty Ernsta Laslowskiego, a szczególnie jego rozważania o „duszy” górnośląskiej. Uważnie czytał artykuły ks. Eryka Przywary. Natomiast pojęcie „narodownika” w odniesieniu do Śląska, zaczerpnął z publikacji sławisty, historyka i archiwisty Ezechiela Ziviera oraz z prac historyka literatury Józefa Nadlera. Śląski autor znał również prace historyków: Jana Gottlieba Schummela, Colmara Grünhagena; filozofa - Oswalda Spenglera; ekonomisty - Wernera Sombarta; pedagoga - Fryderyka Wilhelma Foestera; teologa - ks. Paula Nieborowskiego. Katowicki kapłan doskonale orientował się także w niemieckiej literaturze pięknej. Interpretował poezję Alfonsa Hayduka, podkreślając przede wszystkim miłość do ojczystej ziemi, jaka przebiegała ze strof poety, a fragmenty powieści *Ostwind* wybitnego prozaika Augusta Scholtisa posłużyły badaczowi za ilustrację specyficznego śląskiego indyferentyzmu narodowego.

Książka ks. Szramkowi towarzyszyła przez całe życie. Nawet w obozach koncentracyjnych (w Dachau, w Mauthausen) jeżeli tylko mógł, czytał książki. Jego kazania z tego tragicznego okresu często nawiązywały do literatury. Był przekonany - co urasta do rangi symbolu - że przyszłe losy Polski są zapisane w przepowiedniach Wernyhory. Ks. Szramek nie doczekał wolności. Zginął w Dachau 13 stycznia 1942 r. W 1999 r. został włączony w poczet błogosławionych.

Współcześnie o wyjątkowej roli, jaką odegrała w życiu kapłana książka czy w ogóle słowo drukowane, świadczą także tablica pamiątkowa umieszczona w Kościele Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Katowicach. Jednym z czterech symboli widniejących na owej tablicy, jakże trafnie oddających sens życia księdza, jest właśnie książka i kaganek.



W dniu o magicznej, palindromicznej (identycznej przy czytaniu wstecz) dacie - 20 02 2002 w Instytucie Języka Polskiego Uniwersytetu Śląskiego odbyła się niecodzienna uroczystość jubileuszu pięćdziesięciolecia pracy naukowej i osiemdziesiątej rocznicy urodzin Profesor Ireny Bajerowej. Uroczystość zgromadziła przedstawicieli środowisk naukowych z całej Polski, którzy przybyli do Katowic powodowani uznaniem dla dorobku naukowego Pani Profesor i szacunkiem dla niej jako człowieka, osoby niezwykłej, godnej naśladowania, choć do naśladowania niełatwej. Przy okazji jubileuszu warto przypomnieć sylwetkę Jubilatki.

Oto ponad 50 lat temu młoda absolwentka najstarszego polskiego uniwersytetu, pochodząca z dobrego domu w starej stolicy Polski, córka sławnego profesora Zenona Klemensiewicza decyduje się podjąć pracę na Śląsku. Rozpoczyna pracę w raczkującym ledwie Zakładzie Języka Polskiego WSP w Katowicach. Nie przeczuwa zapewne, że zwiąże się ze Śląskiem na całe swe życie zawodowe.

Od tamtego czasu minęło ponad pół wieku, zmieniła się Polska, wielokrotnie zmieniały się szyldy - WSP, UŚ; Zakład Języka Polskiego, Katedra Języka Polskiego, Instytut Języka Polskiego i adresy (te w sposób dość symptomatyczny): Wita Stwosza, 1 Maja, Wita Stwosza, Bieruta, Sejmu Śląskiego. Nawet nazwa miasta uległa na chwilę naciskom politycznym, a Pani Profesor ciągle „robiła swoje”. Czy to pod dachem dawnego seminarium duchownego, czy komitetu partii prowadziła swoje badania nad rozwojem języka polskiego. Przez pół wieku kursowała na trasie Kraków - Katowice z regularnością przewyższającą standardy PKP. Pozostając krakowianką, stała się nasza. Można powiedzieć metaforycznie, że tak jak Uniwersytet Śląski powstał dzięki „mariażowi” z UJ-em, tak językoznawstwo polonistyczne w Katowicach ukształtowała „unia personalna” z Profesor Bajerową.

Jej krakowskość miała duże znaczenie w kształtowaniu śląskiego środowiska językoznawczego. Od początku nie byliśmy ośrodkiem prowincjonalnym. Słaby na początku kadrowo zakład mógł dzięki zabiegom Profesor Bajerowej liczyć na naukowe wsparcie uczonych - przyjaciół z Krakowa. W indeksach studentów z lat 50. i 60. znajdziemy wpisy profesoro-



HUMANIŚCI
NA ŚLĄSKU

Profesor Irena Bajerowa

ów: Stanisława Jodłowskiego, Zofii Kurzowej, Marii Honowskiej, Krystyny Pisarkowej, Alfreda Zaręby. Profesor Walery Pisarek na spółkę z gzęgźółką i jakimiś innymi zwierzętami „ortograficznymi” wtajemniczał tutejszych studentów w arkana polskiej ortografii na długo przed tym, jak wymyślono *Dyktando* i tytuły mistrza ortografii.

Dziś, patrząc wstecz na to pięćdziesięciolecie pracy Profesor Bajerowej, skłonni jesteśmy użyć słowa misja. Spełniła w środowisku śląskim ważną humanistyczną misję: zbudowała od podstaw ośrodki badawczy, przygotowała następców, wykształciła kilka pokoleń nauczycieli - polonistów, wielu Jej uczniów jest wśród dziennikarzy.

Prof. Irena Bajerowa decydująco wpłynęła na kształt katowickiego językoznawstwa polonistycznego. Bliskie Jej zagadnienia historycznojęzykowe znalazły się w centrum

zainteresowań Jej uczniów i następców. Jest uczoną, która niewątpliwie najwięcej wniosła do dorobku historii języka w ostatnim półwieczu, w jednym z listów gratulacyjnych (W.R. Rzepki z UAM) czytamy: *my wszyscy, zajmujący się historią języka polskiego, jesteśmy w pewnym sensie Jej uczniami*. Istotnie nie można być nawet adeptem językoznawstwa, nie znając prac Profesor Bajerowej. Tu wspomnę o kilku najważniejszych.

Jej monografia *Kształtowanie się polskiego języka literackiego w XVIII wieku* (Wrocław 1964) nie tylko dała wszechstronny obraz języka XVIII wieku, ale także, a może przede wszystkim, stała się wzorem metodologicznym dla wielu późniejszych prac historycznojęzykowych.

Profesor Bajerowa postawiła sobie za cel ukazanie ewolucji polskiego języka **ogólnego**. W odróżnieniu od wcześniejszych badaczy skupiła się nie na opisie języka wybitnych autorów, lecz poszukiwała abstrakcyjnego, przeciętnego języka ówczesnych Polaków, słusznie sądząc, że dopiero na tle obrazu globalnego dobrze widać cechy idiolektów (języków osobniczych). Łatwiej jednak scharakteryzować język jednego pisarza, znacznie trudniej odtworzyć abstrakcyjny język przeciętny. To wymagało ogromnych ekscerpacji, tak by materiał uwzględniał zróżnicowanie regionalne polszczyzny. Aby zobiektywizować wnioski, Bajerowa analizuje dane ilościowe w precyzyjnie określonych przedziałach czasowych. To pozwala Jej wskazać kierunki rozwoju: rozszerzanie się innowacji i tendencje regresywne oraz ocenić skalę procesów unifikacyjnych. Monografia ta stanowi prawdziwy przełom w metodologii badań historycznojęzykowych, stała się wzorem dla późniejszych prac z tego zakresu.

Obserwując zmiany, szuka Bajerowa **praw rozwoju języka**. Obserwuje stałe ścieranie się dwóch przeciwstawnych tendencji: tendencji do wyrazistości i tendencji do ułatwienia. Zasadniczym motorem zmian w rozwoju języka jest według Bajerowej dążenie do optymalizacji. Język dąży do stanu optymalnego, ale stan ten jest nieosiągalny, bo zmieniają się warunki funkcjonowania języka. Optymalność to nie stan, lecz proces.

Warto podkreślić, że Bajerowa zmienia tradycyjną metodę opisu wydobywając przyczyny zmian i eksponuje jako najważniejszy czynnik cel. Język zmienia się dla-

czegoś, ale przede wszystkim po coś. Dobrym przykładem zastosowania metodologii celowościowej, jest objaśnienie zaniku w polszczyźnie ogólnej samogłosek pochylonych (takich, jakie mamy w gwarowych formach *śnieg, kowół*). Samogłoski pochylone zginęły, bo były mało wyraziste, ale też po to, żeby system samogłoskowy był prostszy.

Wiekowi XIX poświęciła Bajerowa 3 tomy monografii *Polski język ogólny XIX wieku. Stan i ewolucja* (Katowice 1986, 1992, 1999). Żaden inny okres rozwoju języka nie ma tak wnikliwego, tak obszernego i wszechstronnego opisu. I znów metodologicznie jest to dzieło nowatorskie. Zdaniem Bajerowej podstawowym czynnikiem stymulującym zmiany jest w tym okresie tendencja do normalizacji. Na wszystkich poziomach języka obserwuje się napięcia między normą teoretyczną a normą praktyczną, zwycięża tendencja do podporządkowania się normalizacji. To prowadzi do integracji językowej, szczególnie ważnej w ówczesnej skomplikowanej sytuacji politycznej Polski.

W swych badaniach Irena Bajerowa wyzyskuje dorobek metodologiczny innych dyscyplin humanistycznych, zwłaszcza historii i socjologii. Odwołanie się do prawidłowości w przebiegu procesów społecznych stwierdzanych przez socjologię, pozwoliło Jej decydująco wpłynąć na przebieg dyskusji o pochodzeniu polskiego języka literackiego. Przypomnę tu, że dyskusja ta przez ponad sto lat gromadziła po dwóch stronach barykady zwolenników wielkopolskiego i małopolskiego stanowiska. Każda ze stron podnosiła dziesiątki argumentów podważanych przez przeciwników i szanse na wypracowanie ostatecznego stanowiska



Prof. Irena Bajerowa

IRENA BAJEROWA urodziła się 13 marca 1921 roku w Krakowie, jako córka wybitnego językoznawcy Zenona Klemensiewicza. Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1938 - 1939 i 1943 - 1948, w pewnym okresie jako koleżanka Karola Wojtyły. Podczas wojny działała w Armii Krajowej i została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Po wojnie krótko pracowała jako asystentka na UJ, następnie podjęła pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach, najpierw jako zastępca profesora, później jako kierownik Zakładu Języka Polskiego. Związana z Uniwersytetem Śląskim od początku jego istnienia przez kilka dziesięcioleci kierowała Zakładem Historii Języka Polskiego, pełniła funkcję zastępcy dyrektora Instytutu Filologii Polskiej, w roku 1981 w wyniku pierwszych wyborów władz uczelni została prorektorem UŚ. Z funkcji tej odsunięto Ją w czasie stanu wojennego. Reprezentowała środowisko językoznawcze w wielu ogólnopolskich organizacjach naukowych: była prezesem Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, a po 1990 roku działała w Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego i Komitecie Badań Naukowych.

Doktorat uzyskała w 1950 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim, habilitowała się w roku 1963 na Uniwersytecie Wrocławskim na podstawie monografii *Kształtowanie się polskiego języka literackiego w XVIII wieku*, w 1974 roku mianowana została profesorem nadzwyczajnym, a w 1988 profesorem zwyczajnym.

Dorobek naukowy prof. Ireny Bajerowej obejmuje ponad 150 publikacji, tworzących kilka nurtów tematycznych. Najdonioślejsze badania dotyczą historii języka polskiego, zwłaszcza okresów nie cieszących się wcześniej zainteresowaniem językoznawców, XVIII i XIX wieku. Ważne są studia objaśniające przyczyny zaniku samogłosek pochylonych oraz propozycje odnowienia metodologii badań historycznojęzykowych wyzyskaniem dorobku nauk humanistycznych, zwłaszcza historii i socjologii. Zainteresowania naukowe Profesor Bajerowej obejmują także zagadnienia kultury języka (najwięcej uwagi poświęciła poprawności terminologii technicznej), a w ostatnim czasie problematykę języka religijnego.

Profesor Irena Bajerowa jest świetnym wykładawcą, potrafi zainteresować nie tylko specjalistów, wielką wagę przywiązuje do popularyzacji wiedzy o języku, w najróżniejszych środowiskach skutecznie budzi zainteresowanie dla niekoniernie trudnej gramatyki.

wydawały się nikłe, bo każdy obstawał przy swoim. Tymczasem Bajerowa zwróciła uwagę, że rozwój języka jako jeden z procesów społecznych podlega ich prawom. Wśród procesów społecznych zaś najczęstszym jest adaptacja, czyli wzajemne dostosowanie się w procesie tworzenia nowej jakości. Nie musiało zatem być tak, że to jeden z dialektów dał początek polszczyźnie ogólnej, mogło być tak, i zapewne było, że różne dialekty miały swój udział w kształtowaniu się nowej odmiany prestiżowej, wprowadzając do niej najlepsze swe cechy.

Profesor Bajerowa jest indywidualistką, ma zwyczaj pracować sama, nawet na etapie prac najprostszych nie korzystała nigdy z pomocy współpracowników. Dlatego warto zwrócić uwagę na jedyną publikację, która powstała jako rezultat pracy kierowanego przez nią zespołu. Jest to monografia *Język polski czasu drugiej wojny światowej* (Warszawa 1996). Tego czasu nie obejmuje *Historia języka polskiego* Zenona Klemensiewicza, a okres to szczególnie dla losów języka polskiego, te kilka lat wojennych (chwila w perspektywie dziejów języka) przyniosło głębokie zmiany w warunkach funkcjonowania polszczyzny. Język polski znalazł się w sytuacji zagrożenia. Kultura i język polski przetrwały, ale uległy poważnym zmianom. Praca przynosi wnikliwy opis sytuacji języka polskiego na różnych terenach Polski przedwrześniowej i poza jej granicami, charakteryzuje nacisk obcego żywiołu, pozostawiający skutki przede wszystkim w warstwie leksykalnej i jakości perswazji językowej.

W ostatnim dziesięcioleciu wzmacnia się w nurcie badań Pani Profesor rola refleksji na językiem religijnym. Zdaniem Bajerowej soborowy postu-

lat *aggiornamento* zmienił styl dyskursu w Kościele, wypierając resztki stylu trydenckiego trwającego w polskiej tradycji katechetycznej niemal do końca XX wieku, uczynił go bliższym naszym czasom, lepiej dostosowanym do warunków życia i psychiki człowieka z przełomu wieków. Nowy styl przybliżył się do języka potocznego, ukształtował model partnerskich relacji nadawczo-odbiorczych, wprowadził metaforykę wydobywającą przede wszystkim pozytywne aspekty życia chrześcijanina. Kilka wystąpień poświęciła językowi polskiemu w środowisku Ormian. Po 1980 roku obserwuje się swoisty „renesans” zainteresowań Ormianami. Są oni dla językoznawcy interesujący jako społeczność pograniczna, żyjąca na styku kultur, utrzymująca odrębność kulturową mimo asymilacji językowej. Jest to dla Profesora Bajerowej może zwrot ku korzeniom, skoro wspomina o prawdopodobnym ormiańskim pochodzeniu Prof. Zenona Klemensiewicza.

Słusznie, choć często zbyt późno, Profesor Bajerowa doświadczyła uznania i wyróżnień. Przy pomnę najważniejsze - odnowienie po 50 latach doktoratu na Uniwersytecie Jagiellońskim, odznaczenie *Lux ex Silesia* (światło ze Śląska), przyznane przez Kapitułę przed przewodnictwem Księdza Arcybiskupa Damiana Zimonia, dwa tomy studiów dedykowane Jej przez uczniów i współpracowników, w 30- i 40-lecie pracy naukowej. Z okazji złotego jubileuszu przygotowano książkę pamiątkową *Prace językoznawcze 26. Studia historycznojęzykowe* zawierającą studia najwybitniejszych historyków języka z wszystkich ośrodków akademickich w Polsce.

Jubileusz skłonił Profesora Bajerową do refleksji. Mówiła, że historyk jest w sposób oczywisty „zanurzony w czasie”, a ona z powodu swej pracy na Śląsku była dodatkowo „zanurzona w przestrzeni”. Obie okoliczności uważa za ze wszech miar szczęśliwe.

Profesor Irena Bajerowa jest osobą w pełni aktywną naukowo, wyklada, publikuje. Jej dorobek naukowy jest imponujący (150 pozycji) i stale się pomnaża. Nie pora jeszcze na jego podsumowanie. Los jest dla Niej łaskawy - właśnie przeszedł do historii wiek XX, ma więc nowy przedmiot badań i podobno istotnie zamierza się zajmować przemianami dwudziestowiecznej polszczyzny.

OLGA WOLIŃSKA

Święto zanurzone w czasie

IRENA
BAJEROWA

Jak ja rozumiem istotę jubileuszu? Każdy jubileusz jest świętem jakby zanurzonym w czasie. Istotą, sensem jubileuszu jest czas. A jubilat to ktoś poddany czasowi. Jestem więc poddana czasowi, ale nie chcę być przez ten czas pokonana, chcę go wyzyskać. Sytuacja jest trudna, bo te lata, którym jestem poddana, ciężą, bardzo ciężą... Co więc w zamian?

W zamian czas ofiarowuje mi coś bardzo ciekawego, zwłaszcza dla badacza historii - ofiarowuje mi perspektywę. Otwiera mi się długa perspektywa dziejów kraju, języka, rodziny, nauki, środowiska... To wspaniały dar czasu!

I jeśli z takiej perspektywy spojrzę na tę książkę, to zobaczę ją zupełnie inaczej - nie tylko jako zbiór artykułów, ale jako symbol tych wszystkich pojedynczych spotkań z każdym z autorów, tych naszych rozmów, dyskusji, czasem miłych pochwał, czasem cennych krytyk, czasem kontaktów tylko przez korespondencję czy prace naukowe - jednym słowem symbol tego wszystkiego, co od autorów otrzymałam w ciągu lat naszej wspólnej pracy językoznawczej. A zatem jest to okazja, by podziękować nie tylko za te artykuły, ale za wszystko, czym mnie Państwo obdarzyliście od początku naszej znajomości.

Ale skoro mówimy o perspektywie, to już wciągamy w dyskurs drugi (po czasie) parametr życia ludzkiego - miejsce, przestrzeń. Jaką przestrzeń widać w tej mojej perspektywie?

Urodziłam się w przestrzeni krakowskiej. Ale katowicka przestrzeń wtargnęła już do moich dzieciennych lat, bo ojciec mój co tydzień we czwartek wyjeżdżał do Katowic na wykłady. Więc te Katowice były wciąż niejako obecne w moim Krakowie, chyba od początku mojej przestrzennej świadomości.

W 1955 r. sama wkroczyłam w tę przestrzeń, która przez jakiś czas była sosnowiecka i znów katowicka (wśród 7 przeprowadzek). I mój czas biegł dziesiątki lat w tej przestrzeni, która w pewnym sensie była ważniejsza od krakowskiej, bo tu się koncentrowało moje życie zawodowe, tu pracując, zdobywałam stopnie, tytuły i stanowiska, tu opanowy-

wałam dydaktykę różnych przedmiotów.

I perspektywa tej przestrzeni pokazuje mi wzrastanie tego środowiska. To jest naprawdę wzruszające, gdy widzę, jak czteroosobowa grupka jednego doktora i trzech magistrów stopniowo powiększa się, przyciąga i wchłania inne osobowości, różnicuje się, wreszcie dzieli i dochodzi do rozmiarów przeszło stuosobowego instytutu. Podobnie rozrastają się bliskie nam instytuty, jak Instytut Literatury, jak Katedra Dydaktyki. Ukazują się całkiem nowe kierunki, jak filologie obce.

To ogromna radość i satysfakcja, że mogłam i mogę dowiadywać się o kolejnych doktoratach, habilitacjach, profesurach, że widzę jak rodzą się nowe pomysły, jak realizują ciekawe przedsięwzięcia, jak pokazują się wartościowe publikacje.

Z głęboką wdzięcznością myślę o tych, którzy ten Instytut tworzyli, pochwytawszy od pierwszych kierowników - prof. Janiny Żlebowej i prof. Stanisława Jodłowskiego. Myślę o tak wielu, którzy tylko przewinęli się przez nasze środowisko, ale i oni trwałe ślady zostawili. Myślę o tych, których na zawsze pożegnaliśmy - wspomniani pierwsi kierownicy, dr Aniela Przybycin, prof. Alina Kowska, której tak mi tu dziś brak.

Ta przestrzeń była i jest dla mnie przyjazna i bliska. A czas tych wspólnych lat rysuje mi się jako czas dobry, czas twórczej współpracy, a nawet przyjaźni. I jeśli na prawie pół wieku znalazłam oparcie w tutejszej społeczności, to widocznie są w niej jakieś wartości, które przyciągają, które dają ufność, siłę i zachętę do pracy. Więc tak jak w krakowskiej przestrzeni tę siłę dawała mi Alma Mater, tak tu krzepiła mnie - i krzepi nadal - Alma Societas. Za co tej społeczności dzisiaj dziękuję i życzę, by nadal była tą siłą wspierającą i inspirującą dla wszystkich, którzy swój los z nią zechcą związać, by w perspektywie XXI wieku kroczyła na czele placówek uniwersyteckich, świetnie służąc polskiej nauce i nauczaniu. VIVAT - CRESCAT - FLOREAT!

Już w maju, gdy 180 tysięcy gorliwych rachmistrzów i 33 tysiące osób zatrudnionych w 3 tysiącach biur spisowych zda ankiety do opracowania 2,5 tysiąca statystykom, będziemy wreszcie mieli pełną jasność ilu obywateli liczy nasz kraj, w tym świadomych faktu kim są, gdzie żyją, za co oraz jak długo. Pozwoli to wyjaśnić wiele zasadniczych wątpliwości dotyczących różnych sfer życia mieszkańców III RP, w tym także w miarę precyzyjnie ustalić ilu spośród nich można uznać za niewątpliwych fanów Adama Małysza. A mamy tu akurat do czynienia z wyjątkową zgodnością postaw i stanowisk. Jeśli więc wyłączyć z całej populacji osoby cierpiące na nieodwracalną amnezję, chroniczną śpiączkę, postępującą schizofrenię, niedorozwój umysłowy i manię prześladowczą a także nieświadomych jeszcze innych funkcji życiowych niemowlaków zajętych wyłącznie ssaniem piersi, wszyscy pozostali mieszkańcy naszej ojczyzny są dziś do tego stopnia zafascynowani fenomenem skoczka narciarskiego z Wisły, że wykazują — choć w różnym nasileniu — objawy niewątpliwiej Małyszomanii, która tym różni się od typowych epidemii, że nie zna wyjątków.

Kwestia podstawowa tego masowego zjawiska dotyczy fenomenu eksplozji bezprzykładnego kultu jednostki, skoro z dnia na dzień wykreowany został bohater wyrażający stłumione aspiracje społeczeństwa w stanie głębokiej zapaści i niewiary we własne siły. Lecz herosem nie okazał się ktoś o widocznych ponadludzkich cechach. Wręcz przeciwnie — ten skromny, niepozorny, skrępowany nagłym rozgłosem skoczek narciarski z Wisły, ujmujący łagodnym uśmiechem i dyskrecją, jest krańcowym przeciwieństwem wyobrażenia bohatera narodowego, którym nagle stał się i odtąd być nim musi.

A zaczęło się od wlotu i nagłego załamania a potem odbicia z głębokiego dna. Gdy 18-letni Adam Małysz 19 marca 1996 roku wygrał niespodziewanie konkurs na dużej skoczni w Holmenkollen a w roku następnym dwa konkursy w Sapporo i Hakubie i wydawało się, że po latach wreszcie Polak wdarł się do elity skoczków świata pomiędzy Niemców, Finów, Austriaków, Japończyków i Norwegów. Lecz większych sukcesów już potem nie było a kryzys formy wydawał się być stanem trwałym, toteż zdesperowany Małysz, z zawodu dekarz, już zamyslał odłożyć narty i wrócić do wyuczonego zawodu na dachy. I kiedy mało kto jeszcze wierzył w metamorfozę Małysza - ten 4 stycznia 2002 roku wygrał najpierw konkurs w Innsbrucku, następnie w Bischofshofen, potem dwa pod rząd w Harachovie demolując wręcz konkurentów, wciąż z tym łagodnym uśmiechem miłego chłopca. Dwukrotnie zwycięzca Pucharu Świata w latach poprzednich, Martin Schmitt, znany też jako „Air Martin”

A.M. tabletki super

i „Messer-Schmitt” wpadł w korkociąg i nie mógł odzyskać impetu. Funaki i Widhölzl, Goldberger i Ahonen... Wszyscy przyćmieni naraz przez kruchego na oko wiślanina.

W niewiele dni cała Polska zamieniła się w zwarty obóz fanów i fanatyków Małysza, a skoki narciarskie pochłonięły wszystkich. Nawet stuletnie staruszki i prapradziadkowie w jakichś tam Zakalcach, czy Niewiedzach, stali się ekspertami w tej dziedzinie. Pewne pojęcia całkowicie dotąd obce w życiu niemieckich Polaków, a dotyczące techniki skoków oraz poszczególnych faz lotu od najazdu, odbicia aż po lądowanie popisowym telemarkiem, zostały przyswojone przez wszystkich w mig — podobnie jak nazwy skoczni w Trondheim, Falun, Obersdorfie, Willigen, Nagano, Neustadt, Willach... i to przez ludzi, którzy nie wyruszyli w życie poza granice gminy.

Małysz, Małysz, Małysz... Jeden jedyny Małysz — i około 38 mln., coraz bardziej fanatycznych rodaków utożsamiających się z pogromcą Martina Schmitta i coraz bardziej degradowanymi liderami innych nacji. Ten układ ujęty w liczbach a wyrażający się stosunkiem jak 1:38 000 000 ukazuje jednak i stan patologicznych wręcz dysproporcji, skoro jest Małysz, tylko Małysz i długo, długo nic. Dla oberwańców z dawnych PGR-ów, dla całkowicie zbędnych ponad 3 miliony bezrobotnych, ludzi zdegradowanych a skazanych na pokorną służbę obcemu kapitałowi, żyjących pod presją utraty pracy, eksmisji z mieszkania, eliminacji z praw do zasiłku, a także dla zbędnych w ojczyźnie geniuszy i demonów bezużytecznego intelektu, dla nich wszystkich stał się naraz ów drobny chłopak z Wisły symbolem życiowego rewanżu i kompensacji. Niech świat patrzy jak jeden z naszych dokłada reszcie i to jak... Bo Polak potrafi, i to sam wzięty z siebie jak nasz Adaś z Wisły, sławny z orlich lotów.

Każdy jego sukces stawał się odtąd zwycięstwem wszystkich rodaków, każdy pogrom rywali — świadectwem duchowej i fizycznej mocy tego wyśknionego od lat chłopaka z ludu, który przyszedł i przywrócił wiarę w to miejsce na ziemi „skąd nasz ród”... To prawda, padają fabryki, giną kopalnie, ledwo ziąpi stocznie a polską jest już tylko rodzima bieda, ale jak za to skacze nasz Adaś Małysz. I co z tego że inni mają lotniskowce, bomby jądrowe,

wszechmocne technologie i zautomatyzowane wszystko, skoro nie mają Adasia Małysza, który wygrywa na obu półkulach. Stał się też w ciągu niewielu dni magicznym środkiem na wszystkie dolegliwości — rzec można: supertabletka A.M.!..., jedyna choć niepodzielna, której starczy dla wszystkich, byle tylko wygrywał. Odnotowano wnet także cudowne wyzdrowienia. Ktoś gdzieś wyrwał gromnicę i ruszył przed telewizor o własnych siłach. Ktoś inny po skoku, zdaje się w Kuopio, odrzucił kule i pognął na piwo. A faktów podobnych jest bez liku.

W sytuacji absolutnego idola i około 38 mln. niezłomnych wyznawców, nie licząc Polonusów na emigracji, Małyszomania stała się wnet chorobą narodową, choć o różnym nasileniu objawów, od stanu łagodnej adoracji po ostre napady wojowniczego zaślepienia. Rychło też ruszyło śladem kolejnych konkursów, od skoczni do skoczni, tysiące nawiedzonych rodaków, w tym zwarte rotty fanatycznych wyznawców włączających się pod flagami narodowymi czynnie do akcji. Gdy przed rokiem bezpośrednim rywalem Adasia z Wisły był Martin Schmitt, spotkał się w czeskim Harachovie z taką presją wrogości, że miękł przed progiem. Z kolei rok później wrogiem nr 1 stał się Sven Hannavald, zwycięzca wszystkich konkursów w Turnieju Czterech Skoczni, natomiast Schmitta spotkały niespodziewane wiaty.

Doszło w końcu do paranoicznej sytuacji, że sam Adam Małysz stał się ofiarą Małyszomanii i był zmuszony uśmierzać ataki wrogości wobec znieuawidzonego konkurenta zamiast koncentrować się na skokach, co deprymowało go już na wstępie. To, że w tej sytuacji zdobył po raz drugi z rzędu Puchar Świata jest osiągnięciem wyjątkowym. A przecież, jak to Polakowi, nie zawsze dopisywało mu szczęście. Gdyby w Salt Lake City, kiedy to na średniej skoczni oddał w pierwszej kolejce najdłuższy skok, nie trafił fatalnie w wyrwę po upadku Kasai, mógł być i złoty medal.

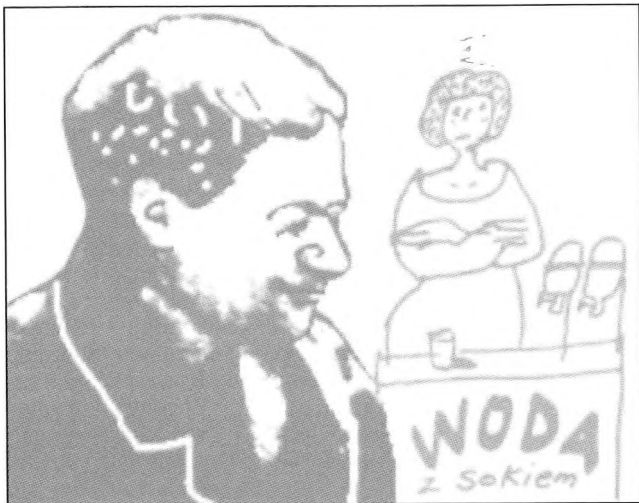
Małyszomania, jeśli wykluczyć stały krańcowe objawiające się zacięłą agresją, może być jednak zjawiskiem krzepiącym, skoro możliwe jest to co realnie nie ma uzasadnienia: jeden jedyny Małysz i 38 mln. fanów. Reprezentant kraju, w którym ostały się już tylko 4 skocznie i jest niespełna stu zawodników, zdobywa dwukrotnie Puchar Świata, nie licząc dwu olimpijskich medali oraz innych prestiżowych tytułów. I jak te fakty zestawzić chociażby z potęgą materialną i organizacyjną Niemiec, gdzie skoczków narciarskich są tysiące, na sport ten wydaje się 30 mln. euro rocznie i powstał cały związek z nim przemysł. W tej sytuacji jest Adam Małysz skazany na demonstracyjne pokazy przewagi ducha nad materią. A wygrywać musi, by krzepić rodaków i dowieść, że wiara czyni cuda.

SKORPION



PODKOPKI

HENRYK BZDOK



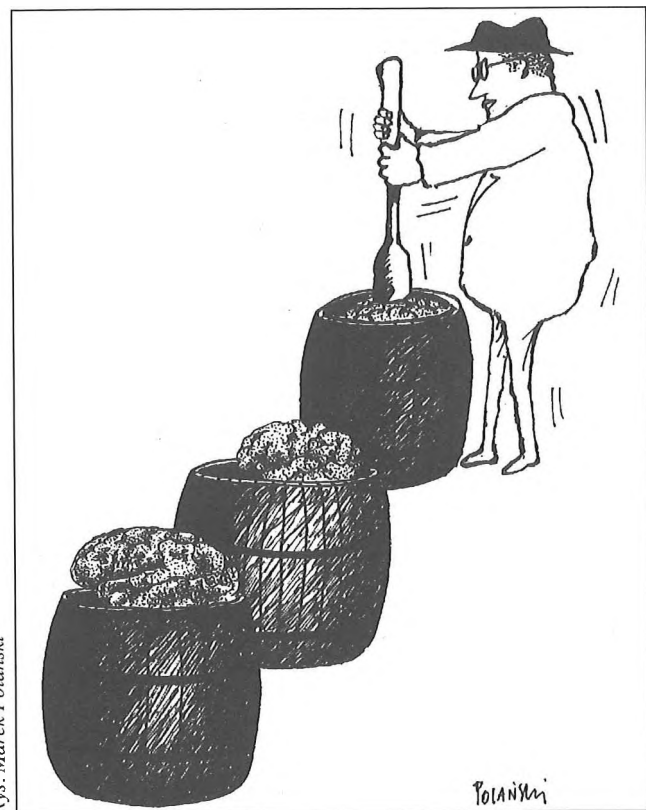
Eugeniesz Rzeżucha grafik i jeden z czołowych satyryków śląskich był częstym gościem w „Domu Prasy” jak nazywano zielone pudło szpecące katowicki rynek a gdzie mieściły się redakcje pism, z którymi współpracował. Był to czas kiedy latem na ulicach królowały „saturatory”, urządzenia wytwarzające z kranówki smakowitą wodę z bąbelkami, którą serwowano z sokiem malinowym jakimś tam jeszcze jak i bez soku. Jeden z nich stał przed powyższym budynkiem a Genio czasem korzystał z niego gasząc ulubione pragnienie.

Któregoś dnia przyparło sprzedawczynię i musiała pobiec z potrzebą. Panie Eugeniuszu - rzekła, przypilnuj mi Pan saturatora, zaraz wracam...

Stoi Genio a tu podchodzi klient.

- Wodę bez soku proszę.

- Proszę bardzo - rzekł Rzeżucha ale bez jakiego. Bez cytrynowego czy też woli Pan bez malinowego?



Rys. Marek Polarski

1. Odsiaduję — po przystępnych cenach — wyroki za posłów RP. Odsiadka powyżej półtora roku wymaga specjalnej klauzuli. Wyżywienie — z najlepszej restauracji w mieście odsiadki — na koszt posła. W przypadku odsiadki powyżej trzech lat — raz na miesiąc spotkanie z żoną posła w „pokoju intymnym”. Wcześniejsze dostarczenie fotografii żony posła — zbyteczne.

tzw. Elektorat

2. Mnie na posadzie nie zależy, bo takowej nie posiadam. Każdy polityk, który odczuwa niepohamowaną potrzebę poklepania asystentki po dupci, może mnie wynająć na całą dobę. Może być na czas całej kadencji. W grę wchodzi wyjazdy zagraniczne. Mam wprawę w klepaniu, bo od dziesięciu lat klepię biedę od rana do wieczora.

Patriota

3. Nauczam języka ciała (lingua di corpo). Wejście od tyłu. Hasło. Roma. Odpowiedź: Amor.

Lingwista

Ogłoszenia zebrał EFEN



O duszy i o władzy

SÁNDOR MÁRAI

Palącym pytaniem każdego dawnego filozofa było: „Co jest we władzy każdego człowieka?” I wszyscy odpowiadali jednogłośnie: „Tylko dusza”.

To najstarsza, ba, jedyna prawda, której sens człowiek poznał i uznał za bezwarunkowo prawdziwy. Czas, doświadczenie, odczuwanie i zaduma nie odmieniły tej prawdy. Tylko nasza dusza jest w naszym władaniu, nic innego. Lecz jest to władza nieograniczona. Nikt nie może nam pomóc, nikt nie może nam odebrać władzy sprawowanej nad naszą duszą, nie ma takiego tyrana, nie ma takiego systemu społecznego, prawa naturalnego, które mogłoby nam przeszkodzić, iżbyśmy byli wolni w naszej duszy. Jest to wolność bezwzględna. I stosując miarę tej wolności, każda inna wolność, jaką może nam dać społeczeństwo, władza i pieniądź, jest ułamkowa i względna.

Z „Księgi ziół”
tłum. FELIKS NETZ

Wystawy wiodły czas jakiś żywot odrębny. Rzeźby Hermanna Koziola prezentowano w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach, później w Galerii Kronika w Bytomiu. Pokazano, obok fotografii i szkiców, kilkadziesiąt małych brył w brązie - zarówno form oryginalnych, jak miniaturowych replik rzeźb tworzonych dla kościołów lub zamawianych jako realizacje plenerowe. Kilkadziesiąt obrazów Witolda Pałki, z różnych twórczych etapów, zawieszono w Muzeum Śląskim w Katowicach. Obie ekspozycje, od połowy marca do końca maja 2002 roku, udostępniono publiczności w Oberschlesisches Landesmuseum w niemieckim Ratingen. Patronat nad wspólną prezentacją Koziola i Pałki, opatrzoną hasłem „Forma i kolor”, objął metropolita katowicki arcybiskup Damian Zimoń.

Wspólna wystawa. Powaga artystycznych jubileuszy - półwiecza pracy rzeźbiarskiej lub malarskiej. Tylko jakie naprawdę mogą zachodzić związki między formą a kolorem, obrazem a rzeźbą? Na pewno uhonorowano wybitnych artystów. Na pewno wykorzystano okazję, by wypromować Koziola, praktycznie nieznanego w Polsce, a urodzonego w 1926 roku w Bytomiu i w tam, w Miejskim Gimnazjum Realnym, poznającego pierwsze tajniki szkicowania, malowania i modelowania. Na pewno na interesującą uznano konfrontację jego prac z twórczością Pałki, dwa lata młodszego, urodzonego w Dąbrówce Małej. Z korzeni niewiele jednak musi wynikać. Koziol, powołany w 1943 roku do wojska, na Górny Śląsk nie powrócił i nic nie wiadomo, by krainie dzieciństwa poświęcił któreś ze swych dzieł. Za gorliwego piewę Śląska nikt nie uzna też Pałki, choć po studiach w Krakowie osiadł w Katowicach i znaki lokalne, chociażby w pejzażach, malowanych od okazji do okazji, na jego płótnach odnajdziemy.

Niewątpliwa jest obecność w twórczości obydwu artystów motywów sakralnych, pokazywany dorobek projektów rzeźbiarskich czy malarskich realizowanych w kościołach. Tak Koziol, jak i Pałka potrafili przeobrazić tradycyjną z litery chrześcijańska ikonografię w głęboko współczesną, intrygującą metaforę. Zarówno też przestrzenne formy Koziola, jak i olejne obrazy Pałki pragną być syntezą takiego plastycznego świata, w którym wywoływać przedmiot znaczy pokazywać go jako realny i rzeczywisty.

„Podstawowa zasada twórczości Hermanna Koziola - pisze w katalogu Peter Mrass - brzmi przedmiotowo pracować - abstrakcyjnie myśleć”. Dla (...) Koziola główne znaczenie ma forma ludzkiego torsu. Tak powstają prawzory plastyczne w glinie,

modele małych brązów, z których niektóre były wzorem plastycznym dla dużych obiektów. Dla Witolda Pałki kolor posiada nadrzędne artystyczne i magiczne znaczenie, czytymi kolorami buduje obraz, ale jego obrazy są również przedmiotowe. Te dwa światy artystycznej wyobraźni - urzeczywistnione w rzeźbach (...) Koziola i na obrazach (...) Pałki - tworzą naszą wystawę. Podmiotem tej sztuki człowiek, jego kształt materialny, jak i duchowy oraz otoczenie, w którym żyje”.

Wspólnota formy i koloru

Namalowane w 1969 roku „Wnętrze” Pałki jest właściwie wyłącznie studium kolorów, na przemian ciepłych i chłodnych, sprawiedliwie dzielonych na płaszczyzny, z umiarem dopuszczających do siebie światło. To „Wnętrze” otwarto na skojarzenia czysto estetyczne, na abstrakcyjną elegancję. Nie ma śladu żadnej pozamalarskiej narracji. Świat rzeczywisty jest nieobecny. Tak silnie, tak wyraźnie, że domyślamy się przyczyn jego nieobecności. Wnętrze jest słowem - kluczem otwierającym obrazy Pałki. W sztucznym wnętrzu, w kawiarni, na widowni teatru lub jego scenie, w sali balowej, obowiązują sztuczne reguły, konwencjonalne gesty. Ludzie wdziewają kostiumy. Pozy i kolory podglądają się wzajemnie, wchodzą w jakąś udawaną, umowną zażyłość. Wszystko jest tak intensywne i barwne, że nieprawdziwe. Innego życia, innej impresji nie będzie.

Bohaterów „Dwóch rybaków”, malej rzeźby w brązie Koziola, połączył wysiłek, jakieś niepotrzebne, daremne znużenie. Na zawsze zniechęceni nad siecią, nad wielkim, nie na ich miarę naczyniu. „Kobieta w lustrze”, wykuta w brązie i mosiądzu, przeliczyła się ze swą urodą. Chciała stanąć w lustrze, ale z trudem potrafi podnieść dwa ciężące ku ziemi warkocze. Inna mała rzeźba - „Charon”. Na dwóch biegunach łodzi, jak na brzegach oderwanej od naczynia skorupy, przysiadły skulone, niepewne figurynki. Ich człowieczeństwo wyrzeźbiono z jednej łuski. Innego człowieczeństwa, innej impresji nie będzie.

Gasnąca ekspresja Ukrzyżowanego, wyrzeźbionego przez Koziola dla kościoła św. Jana Nepomucena w Eberbach, wydaje się być ulepiona nie z brązu, ale ciemnego wosku. Chrystusa wyrwano z jednej, ciężkiej grudy, z jednego kłębaka bólu, ale tak naprawdę cała prawda o cierpieniu jest wyciszona, dyskretna. „Dzień ostatni” Pałki, ze swą sekwencją krzyży na tle horyzontu barwy atramentu, z tłumem płaczków, jest tak naprawdę tylko ikoną, obrazem, przedmiotem do oglądania - tak jak przypowieść jest najpierw rzędem znaków, z sensem ułożonych liter. „Pietà”, stworzona przez Koziola dla „Miejsca Pamięci” w Warmbrunn, przypomina kowadełko. Zwłoki Chrystusa opadły na kolana Matki, na wykutą w brązie kołyskę. Nie gest zastęga, ale dźwięki. W centrum tryptyku Pałki „Kiedy ranne wstają zorze”, Matka Boska z Dzieciątkiem - ciepła, naiwna i łagodna. Czarna plama we wnętrzu ogrodu. Z lewej strony tryptyku ptaki, z prawej ryby. Zamknięto klatkę wyobraźni, uszczelniono akwarium nastroju. Oczekiwanie zatrzymało się na krawędzi oczekiwania.

„Anioł Zmartwychwstania” Koziola głosi jakąś lotną, rozbijającą obojętność przestrzeni, nowinę. Dłonie wyrzeźbionych w brązie „Jana Chrzciciela” i „Proroka” są jak wielkie, zmęczone wiosła - zacerpnęły naglej ciszy, znieruchomiały w drodze. „Apokalipsa”, tryptyk Pałki, jest właściwie pogodny, wydaje się nas prowadzić nie na sąd, ale na ogłoszony z polecenia Boga festyn. Nagle zastanawiamy się nad tym, czy nie wyrzeźbiono lub nie namalowano wyłącznie zachwyty nad rzeczami ostatecznymi. Gotowi jesteśmy uwierzyć, że świat, który rodzi się w kolorach, wolny jest od goryczy czy bólu. Prawie ulegamy złudzeniu, że była, która z uporem broni się przed deformacją, jest nieugięta i monumentalna.

To nieprawda. Im bardziej malarzskie są dekoracje na Golgocie, im piękniej wyrzeźbione cierpienie Chrystusa, tym silniej odczuwamy niepokój. Jak gdyby opuszczono kurtynę, a dalej, w zasięgu naszego wewnętrznego wzroku, toczył się dramat. Na rysunkowych szkicach do „Golgoty” Koziola twarz Zbawiciela przypomina odłamek węgla. Czy można zajrzeć do wnętrza bryły? Czy można spojrzeć w głąb symbolu? Bohaterka obrazu Pałki patrzy w zagruntowane żółtą farbą okno. Na innym płótnie, kelner chyli się w ukłonie przed kimś nieobecnym. Na gdzieś indziej namalowanym spacerze mijają się damy i panowie, mijają się jak kolorowe cienie. Wnętrza ludzkie pełne są zasłon. Malowanie jest tylko ich podglądaniem. I przeżywaniem.

RYSZARD JASNORZEWSKI



Witold Pałka *Orkiestra smyczkowa*, olej 2001



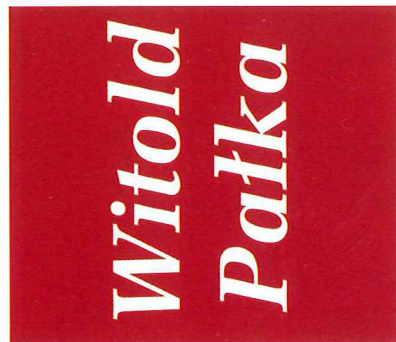
Witold Pałka *Pejzaż z młynem*, olej 2001



Witold Pałka *Uczta*, olej 2001



Witold Pałka *Wnętrze kawiarni*, olej 2001

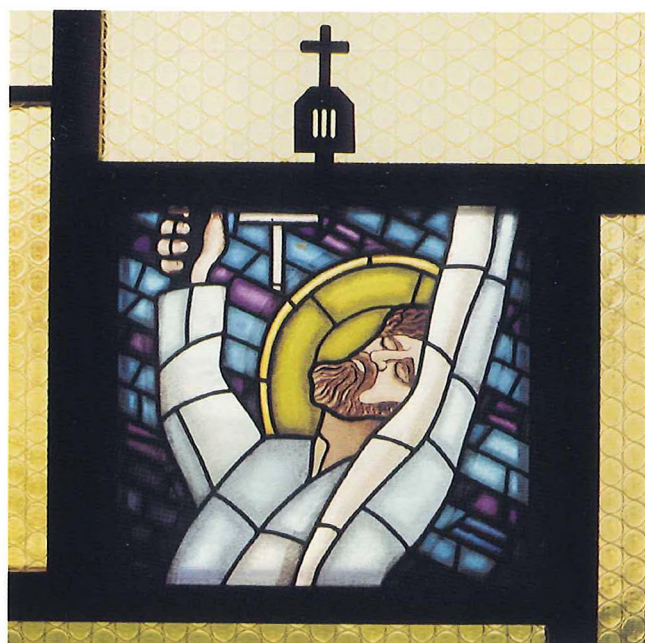
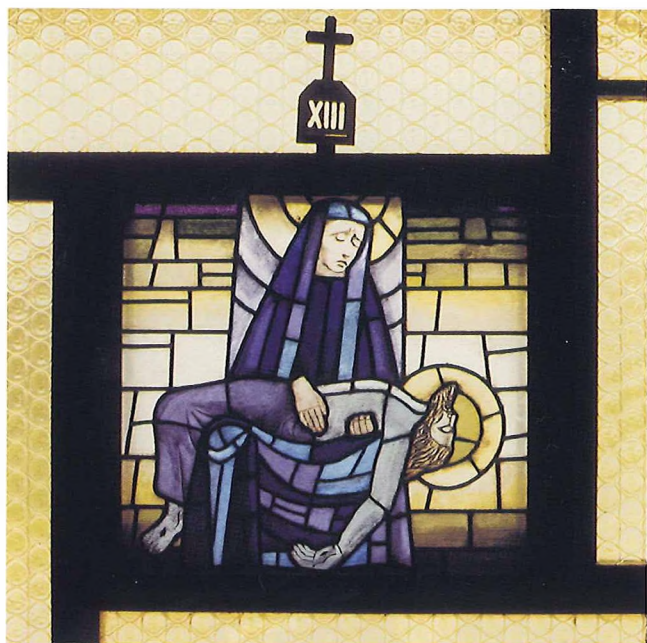


Hermann Koziol *„Anioł Zmartwychwstania”*, brąz 1980

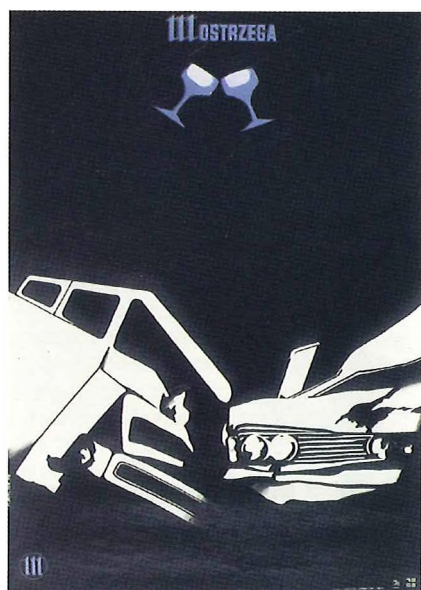


Hermann Koziol *Św. Michał*, brąz i wapień 1982

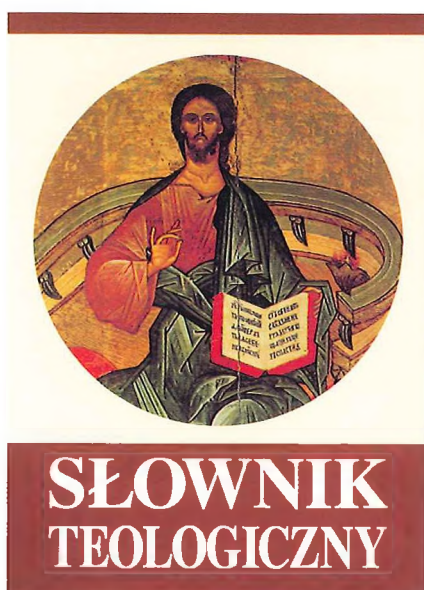
**Hermann
Koziół**



Droga krzyżowa w kościele w Rybniku-Nowinach, witraż



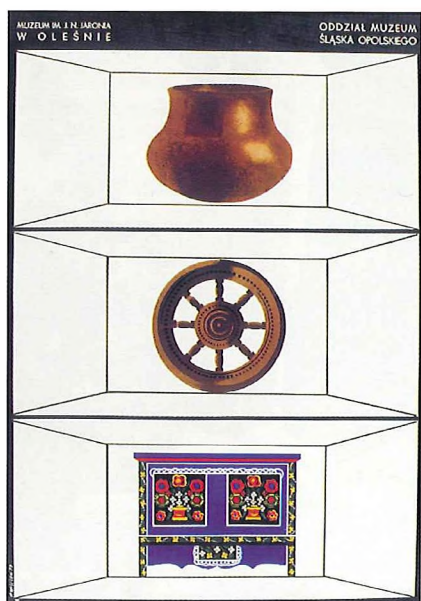
TTT ostrzega, plakat



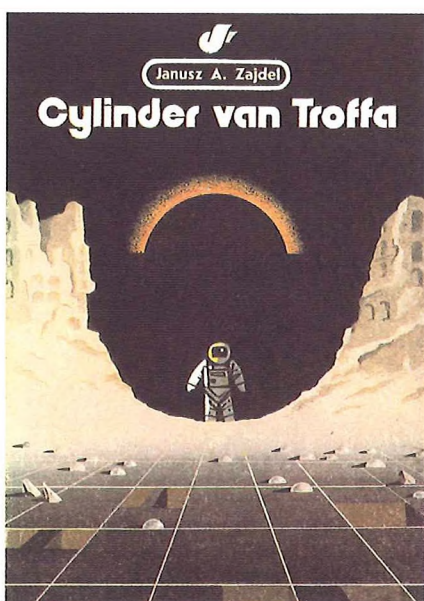
Słownik Teologiczny, okładka



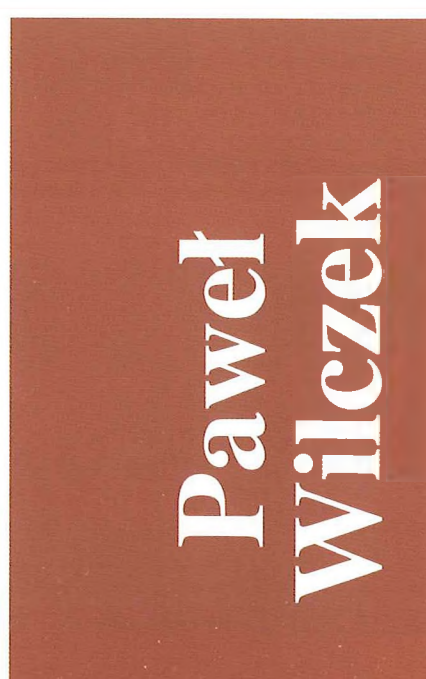
Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne, okładka



Muzeum im. J. N. Jaronia, plakat



Cylinder van Troffa, okładka



Czy istnieje coś takiego, jak śląska szkoła plakatu? Paweł Wilczek chwilę zastanawia się. - Takie było hasło wystawy, przygotowanej w 1999 roku w Biurze Wystaw Artystycznych w Katowicach. Uczestniczyłem w tej ekspozycji. Jej hasła użyto jednak chyba okazjnie, nie wiem, kto je wymyślił. Na pewno można natomiast mówić o grupie twórców, o środowisku plakacistów mających wspólne, akademickie korzenie. Jeżeli jest jakaś szkoła plakatu, to po prostu - polska. Twórczość katowickich grafików jest po prostu jej fragmentem.

Paweł Wilczek urodził się w 1930 roku w Chorzowie. Dwie klasy szkoły powszechnej zdążył jeszcze ukończyć przed wojną. - *Od dziecka coś tam rysowałem, szkicowałem, próbowałem pastelami. W rodzinie nie było tradycji artystycznych, ale Ryszard Paszek, brat mamy, amatorsko malował. Brał nawet lekcje u studentki akademii. Pamiętam jego całkiem ładne kopie różnych mistrzów. Po maturze zebrałem swoje prace, złożyłem je w teczkę i zawiozłem do katowickiej filii wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Przyjęto mnie.*

Oddział wrocławskiej PWSSP działał od 1947 roku. Wśród studentów trzeciego już rocznika znaleźli się obok Pawła Wilczka m.in. Bertold Kusza, Tadeusz Grabowski, Zenon Moskwa i Jerzy Moskal. - *Moim starszym kolegą był wtedy m.in. Waldemar Świerzy. Szkołą kierował profesor Aleksander Rak. Kształcono nas dobrze. Wszelchstronne poznałem rysunek, malarstwo, od II roku rzeźbę. Plakatu uczył, w pracowni przy ul. Dyrekcyjnej 10, profesor Józef Mroszczak. Świetny grafik i dobry pedagog. Uczelnia dała podstawy - wycucie koloru, zasady kompozycji, a profesor Mroszczak potrafił nas nauczyć tego, co najważniejsze w plakacie - skrótu myślowego.*

W 1952 roku katowicką szkołę włączono - jako II Wydział Grafiki Propagandowej - w struktury Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Paweł Wilczek obronił dyplom w 1954 roku. Pracownią Grafiki Użytkowej kierował już wtedy Bogusław Górecki. Mimo jawnie na owe czasy deklarowanego zaangażowania przekazu plastycznego w polityczną doraźność, wybrał plakat kulturalny. - *Z trzech plakatów dyplomowych jeden poświęciłem Zespołowi Pieśni i Tańca „Śląsk”, pozostałe były filmowe. Za plakat do filmu „Paloma” dostałem wyróżnienie. Po studiach było trudno o zamówienia. Praktycznie byliśmy bezrobotni. Sytuacja plakacistów poprawiła się dopiero po 1956 roku. Wtedy powołano w Katowicach oddział Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego. Zaczęliśmy dostawać zlecenia.*

Paweł Wilczek nie kryje, że wiele zamówień dotyczyło plakatów przypominających o kalendarzu świąt politycznych. W maju można było liczyć na projekt plakatu na Święto Pracy, w lipcu zleciodawcy oczekiwali upamiętnienia rocznicy ogłoszenia Manifestu PKWN, w październiku przychodził czas plastycznej refleksji nad



Paweł Wilczek

Paloma i odczynniki

Revolucją Październikową. - *Potrzebowa- no też plakatów dla zakładów pracy, za- zwyczaj napominających, typu „Noś oku- lary ochronne” czy „Przestrzegaj BHP”. Nie było zleceń dla konkretnego autora. Klient zamawiał w WAG-u właściwie na- wet nie plakat, ale temat, nad którym póź- niej pracowało dwóch, trzech plastyków. Jeżeli komisja w wydawnictwie zaaprobo- wała projekt, to wysyłała go do głównego zleciodawcy, a on albo pomyśl akcepto- wał, albo czasem nie. Na wywiązanie się z zamówienia był często jedynie tydzień. Twierdzi, że bez wewnętrznych dylematów wybrał żywot plastyka użytkowego. - Do- stawało się zamówienie i robiło - mówi krótko. Nie ograniczył się do plakatu. W 1956 roku, diecezja katowicka na po- wrót została wydawcą „Gościa Niedzielne- go”, po trzech latach redagowania pisma przez PAX. - *Ktoś zaprotegował mnie no- wemu naczelnemu, ks. Józefowi Gaworo- wi. Współpracowałem z „Gościem Nie- dzielnym”, jako ilustrator, do początku lat osiemdziesiątych. Po śmierci ks. Gawora przez kilka lat rysowałem dla „Małego Gościa Niedzielnego”. Zaczęły pojawiać się także zamówienia na okładki książek. Najpierw z Wydawnictwa Artystyczno- Graficznego (przekształconego z czasem w Krajową Agencję Wydawniczą), a póź- niej z księgami św. Jacka. - Nie pamiętam, czy odrzucono któryś z moich projektów. Z redaktorem dogadywałem się szybko. W samym projektowaniu szczególnych ograniczeń nie było. Gorzej było z możli- wościami ówczesnej poligrafii. Zawsze przykro, kiedy przygotowuje się projekt, który kiepsko wychodzi w druku.**

Praktycznie nie zgromadził żadnej do- kumentacji swych prac. Znajduje na pół- kach kilka książek z odłaskami swojego autorstwa, dwa katalogi wystaw plakatu, w których uczestniczył, z koperty wyjmu- je kilka slajdów z reprodukowanych gdzieś prac. Pytam o nagrody. - *Byłem*

laureatem kilku ogólnopolskich i wielu regionalnych konkursów na plakat. Do- stałem także nagrodę im. Tadeusza Tre- powskiego. Sięga po odręcznie pisaną kartkę, by dopowiedzieć, że ten prestiżo- wy laur otrzymał już w 1957 roku, po kil- ku zaledwie latach samodzielnej pracy za- wodowej. Dla porządku dodaje, że wysta- wiał, od pierwszej ekspozycji w 1965 ro- ku, na Ogólnopolskich Biennale Plakatu w Katowicach. Cztery lata wcześniej, jako jeden z dziesięciu plakacistów ze Śląska, uczestniczył w warszawskiej retrospekty- wie „Polskie Dzieło Plastyczne w XV-le- ciu PRL”. Już później, kiedy sam doczy- tam notkę biograficzną Pawła Wilczka, dowiem się, że jego plakaty znajdują się w zbiorach Muzeum Plakatu w Wilano- wie.

Nie czyni żadnych podsumowań do- robku, nie chce wartościować. Z pewnym wahaniem przyznaje, że jest autorem nie tylko plakatów czy okładek książek, ale również witraży, siedemnastu stacji Drogi Krzyżowej dla kościoła w Rybniku-Nowinach. Z trudem nama- wiam Pawła Wilczka, by wskazał plakat, który uważa za szczególnie udany. Praca, reprodukowana w albumie „Śląska Szkoła Plakatu”, jest zwiastunem... Wystawy Odc- zynników Chemicznych. Jakiś wzór, symbole atomów - ostre, jak lusterka te- atralnych reflektorów, plamy bieli i błęki- tu, precyzyjnie rozłożone na kurtynie ko- lorów ciemnego atramentu. - *Spełnia swoje zadanie. Może ktoś powie, że autor się nie wysilił, wybrał najprostsze rozwiązanie, ale plakat nie może być gadatliwy.*

„Ja byłem znany, ale moi koledzy w Ka- towicach żyli jak kreżusi, urządzali jakieś gabinety bhp w hutach czy kopalniach, stawiali plansze na każdą okazję (...)”, twierdzi Waldemar Świerzy, w wywia- dzie udzielonym w 1983 roku. - *Byłem zawsze wolnym strzelcem. Dzięki temu swo- bodnie mogłem dysponować swoim cza- sem, ale musiałem o zamówienia zabie- gać. Miałem stałe zlecenia, ale obowiązuj- ąca w WAG-u stawka za plakat - 1800 złotych - nie była oszalałająca. Ani z plakatu, ani z grafiki książkowej wyżej by się nie dało. Z Pracowni Sztuki Pla- stycznej, agendy Ministerstwa Kultury i Sztuki, dostawało się różne zlecenia a to na aranżację wystawy kwiatów, a to olim- piady gołębi pocztowych. Swego czasu wykonałem mozaiki w budynku dyrekcji Zakładów Urządzeń Technicznych „Zgo- da” w Świętochłowicach. Plakat to była sprawa ambicji. Chciałem przy nim pozo- stać po studiach i pozostałem. Pracowało się jednak na zamówienie. A ono było ta- kie, jakie było. Kiedyś, wspólnie z nieżyją- cym już Bertoldem Kuszką, myśleliśmy o współpracy z Filmem Polskim. Nie było nas jednak stać na to, by na własny koszt zawięzać projekty do Warszawy, a później raz jeszcze jechać ponownie, by poznać werdykt komisji artystycznej.*

PREZENTACJE

Centrum Scenografii Polskiej Muzeum Śląskiego, 40-032 Katowice, pl. Sejmu Śląskiego 2 tel.: (32) 2515714, 2515167.

Idea utworzenia Muzeum Scenografii została zainicjowana przez prof. Zenobiusza Strzeleckiego, wybitnego scenografa, a jednocześnie teoretyka i historyka scenografii. Miał on zawsze świadomość, że bez utworzenia stałej placówki, która gromadziłaby obiekty i dokumentację scenograficzną nie może być mowy o jej opracowaniu naukowym, o rozwoju wiedzy o tej dziedzinie sztuki i jej propagowaniu.

Formalnie Centrum powołane zostało w lipcu 1991 roku jako oddział Muzeum Śląskiego w Katowicach, a w marcu 1993 roku mogło zainaugurować działalność. Centrum Scenografii Polskiej nie ma odpowiednika w muzealnictwie polskim. Wedle zamysłu placówka ta miała realizować równoległe działania o charakterze muzealnym, wystawienniczym, kreacyjnym, dokumentacyjnym. Stąd nazwa Centrum - jako synonim miejsca, które skupi najcenniejsze dokonania i wiedzę o dorobku scenografów w dziedzinie teatru, teatru plastyka, poszukiwań parateatralnych, a w przyszłości - filmu animowanego i teatru telewizyj.

Główne nurty działalności Centrum to: kolekcjonerski, dokumentacyjny, wystawienniczy i kreacyjny, a ostatnio również edukacyjny. W ciągu siedmiu lat od momentu zainicjowania idei Centrum Scenografii Polskiej zgromadziło w swoich zbiorach ponad 10.000 projektów dekoracji i kostiumów, obiektów scenicznych, makiet i kukieł najwybitniejszych polskich scenografów. W 85% zbiory Centrum stanowią dary artystów, ich spadkobierców i teatrów. Przygotowanych zostało 35 wystaw najwybitniejszych twórców polskiej plastyki teatralnej, zrealizowanych w różnych obiektach na terenie Katowic, a także we Wrocławiu, Krakowie, Toruniu i Londynie. Zbiory Centrum Scenografii prezentowane były na 23 wystawach organizowanych w kraju, a także poza granicami kraju - w muzeach Brukseli, Pragi i Budapesztu.

(opr. tog)

LEKSYKON WIEDZY O REGIONIE

Arkadiusz BOŻEK (Arka Bożek) (1898-1954) - działacz narodowy i polityczny, uczestnik powstań śląskich. Urodził się w Markowicach koło Raciborza. W czasie I wojny światowej walczył w szeregach armii niemieckiej, w roku 1919 wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, brał czynny udział w powstaniach śląskich, w roku 1920 był członkiem Górnośląskiej Komisji Mieszanej. Od jego po-



wstania był działaczem Związku Polaków w Niemczech (w latach 1928-38 wiceprezesem I Dzielnicy); w okresie narastania terroru hitlerowskiego nieustannie występował w obronie ludności polskiej Opolszczyzny (z tego czasu pochodzi broszura *Co chłopca boli na Śląsku i Po 15 lipca 1937*). W latach 1927-1933 był soltysem Markowic, pełnił również funkcje posła do Sejmu prowincjonalnego w Opolu i powiatowego w Raciborzu. Zagrożony aresztowaniem w maju 1939 roku wyjechał do Polski, w czasie II wojny światowej przebywał na emigracji w Wielkiej Brytanii (był członkiem Rady Narodowej w Londynie). W 1945 roku został wicewojewodą śląsko-dąbrowskim (kierował akcją osadniczą na Opolszczyźnie) i posem; był działaczem PSL, a później ZSL. Odsunięty przez władze komunistyczne od działalności publicznej zmarł otoczony złą sławą milczenia. Pośmiertnie ukazały się jego *Pamiętniki*. (tog)

Stanisław HADYNA (1920-1999) - kompozytor, dyrygent, pisarz. Urodził się na Zaolziu, studiował w Instytucie Muzycznym Konserwatorium Śląskiego w Cieszynie, a po roku 1945 u Ludomira Różyckiego. W 1952 roku założył Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, którym kierował w latach 1953-1969 i od roku 1990 aż do swojej śmierci. Skomponował m. in. około dwustu pieśni dla „Śląska”, dwa koncerty fortepianowe, poemat symfoniczno-baletowy *Wiosna*, utwory skrzypcowe. Był również autorem dramatów, powieści (m. in. *Niezatarte ślady* - z życia Chopina), esejów. (tog)

Z WYDAWNICTW

Obóz pracy w Świętochłowicach. Scenariusze lekcji. Teki Edukacyjne IPN, Biuro Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach, Katowice 2001.

„Przez wiele lat Obóz Pracy w Świętochłowicach-Zgodzie żył jedynie w pamięci więzionych oraz ich rodzin, którzy z obawy przed represjami nie ujawniali prawdy o tym, jak traktowano rdzennych mieszkańców Górnego Śląska w pierwszych latach Polski Ludowej” - można przeczytać w eseju otwierającym wydawnictwo przygotowane przez Biuro Edukacji Publicznej katowickiego Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Jest ono pierwszą częścią planowanej serii materiałów edukacyj-

nych *Obozy pracy na Górnym Śląsku po II wojnie światowej*. Proponowany nauczycielom pakiet (oprócz broszury zawierającej, wydanych z wielką starannością, kilkanaście kolorowych wykresów, reprodukcji listów i prasowych artykułów, jak również dyskiety z częścią materiałów) stanowić może doskonałą pomoc do przybliżenia tego jednego z najbardziej ponurych epizodów górnośląskiej historii, jakim były obozy dla Ślązaków i Niemców utworzone po II wojnie światowej. Zaprezentowane przez autorów cztery scenariusze realizowane być mogą na lekcjach historii, wiedzy o społeczeństwie, historii regionalnej lub godzinie wychowawczej; mogą również wzbogacać np. lekcje poświęcone tematyce łagrowej, problemom wolności jednostki itp. Osią przewodnią każdego scenariusza jest zaprezentowanie realiów świętochłowickiego obozu, każdorazowo jednak nacisk kładziony jest na inny aspekt - stosunki polsko-niemieckie po II wojnie światowej na Górnym Śląsku, problem volkslisty i powojennych rozrachunków, postawienie moralnego pytania „Czy ofiara ma prawo do odwetu?”.

Większość materiałów przygotowana z myślą o wykorzystaniu na lekcjach to źródła historyczne. Szczególnie poruszają niepublikowane dotąd relacje byłych więźniów Obozu Pracy w Świętochłowicach i listy ich krewnych z prośbami o zwolnienie z obozu. Kontrastują z nimi akty prawne, którymi komunistyczne władze regulować chciały kwestie narodowościowe na Górnym Śląsku i wystąpienia ówczesnego wojewody generała Aleksandra Zawadzkiego oraz wycinki z artykułów prasowych tych czasów. Jako komentarz służą współczesne wypowiedzi historyków i publicystów; zaś pozytywny obraz aktualnych stosunków polsko-niemieckich pokazują: pamiętne orędzie biskupów polskich z roku 1965 i polsko-niemiecki traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy z roku 1991.

Publikacja katowickiego Oddziału IPN-u może być doskonałą pomocą dla nauczycieli w każdej szkole. (tog)

Patronowie katowickich ulic. Redakcja naukowa Urszula Rzewiczok. Muzeum Historii Katowic, Katowice 1997.

W tym interesującym wydawnictwie Muzeum Historii Katowic, którego tytuł jednoznacznie informuje o zawartości, oprócz życiorysów postaci, które zapisały się trwale w historii Europy i Polski, zamieszczono również (często, co czyni wydawnictwo szczególnie cennym, po raz pierwszy) biogramy osób zasłużonych dla rozwoju regionu, czy też lokalnej, katowickiej społeczności. Jako ciekawostkę można podać, iż życiorysów kilku patronów ulic nie udało się autorom odtworzyć. (tog)

Rodzina Strachwitz von Gross-Zauche und Camminetz należy do najstarszych śląskich rodów. Ich nazwisko pochodzi od Strachowic na Dolnym Śląsku (dziś dzielnica Wrocławia), tytuł baronów związany jest z Suchą Wielką (niem. Gross-Zauche) koło Trzebnicy, tytuł hrabiowski natomiast z Kamieńcem (niem. Camminetz) na Górnym Śląsku. Nie tylko nazwiskiem, ale i historią rodzina ta związana jest z ziemią nad Odrą.

Najstarszego z rodu Wojsława Strachowic wspomniano w dokumencie z 1285 roku, dosyć długo musieli jednak oni czekać na pierwsze zaszczyty.

Baronowie z Suhej Wielkiej

W czasie wojny trzydziestoletniej - w 1630 roku - cesarz Ferdynand II Habsburg nadał w Ratyźbonie braciom Krzysztofowi i Maksymilianowi tytuł baronów cesarstwa (niem. Reichsfreiherr) von Strachwitz und Gross-Zauche. Krzysztof był radcą cesarskim oraz prałatem i kanonikiem we Wrocławiu, Maksymilian natomiast radcą biskupa wrocławskiego. Obaj zmarli bez męskich potomków, jednak w kolejnych stuleciach inni członkowie rodu stopniowo także zaczęli używać tytułu baronów.

W XVIII wieku najbardziej znanymi byli Jan Maurycy i jego krewniak Karol Józef. Jan Maurycy urodził się zimą 1721 roku w Cieszkowie na Dolnym Śląsku. W wieku 19 lat rozpoczął studia teologiczne w Collegium Germanicum w Rzymie. Ukończył je w 1744 roku uzyskując tytuł doktora teologii oraz święcenia kapłańskie. Po powrocie na Śląsk najpierw został proboszczem w Namysłowie i Paczkowie, a w 1748 roku jako kanonik zasiadł w kapitule wrocławskiej. W 1761 roku uzyskał tytularne biskupstwo Tyberiadu oraz został biskupem-sufraganiem przy biskupie wrocławskim Filipie Gothardzie Schaff-gotschu. Dwa lata później został mianowany generalnym wikariuszem. Po wygnaniu biskupa Filipa Gotharda do Austrii, w 1766 roku został wikariuszem apostolskim diecezji wrocławskiej (dla części pozostałej w granicach pruskich). Podczas swoich rządów dał się poznać jako wielki promotor rozwoju szkolnictwa na Śląsku. Dbał także o własny majątek - w latach 1777-1779 zakupił Kielczów i Prusowice koło Trzebnicy). Tuż przed śmiercią uczynił z nich fideikomis i przepisał go swym krewnym z linii baronów von Starchwitz. Biskup Jan Maurycy zmarł w styczniu 1781 roku we Wrocławiu.

Baronowie von Starchwitz - najstarsza linia rodu - posiadali biskupi fideikomis aż do czasów II wojny światowej. Ten okres obszedł się dosyć okrutnie z ich rodziną. Na początku - jeszcze we wrześniu 1939 roku - zmarł prawie 70-letni baron Maurycy. Jego młodszy syn Kurt zginął pod



Ślascy magnaci

koniec wojny w styczniu 1945 roku w czasie walk na froncie zachodnim w Belgii. Miesiąc później w czasie nalotu na Żagań zginęła baronowa Dora, wdowa po baronie Maurycem. W czasie ucieczki zimą 1945 roku całą rodziną musiała opiekować się baronowa Elżbieta. Jej mąż - najstarszy syn i spadkobierca barona Maurycego, także o imieniu Maurycy, zmarł w rosyjskim łagrze w grudniu 1953 roku.

Gdy próbowali powrócić do swych stron rodzinnych zawrócono ich na granicy. Przenieśli się do Bawarii i Westfalii. Baron Wolfram doszedł do wysokich stanowisk w zachodniemieckiej armii. Pytany o śląskie korzenie odpowiadał: „...moje posiadłości nadal znajdują się na Śląsku i jestem w każdej chwili gotów tam wrócić, by pracować dla dobra tego kraju. Wszystko jedno, czy mieszkają tam dzisiaj Polacy, czy Niemcy”.

Hrabia na Kamieńcu

Postać nie mniej sławną w XVIII wieku był młodszy krewniak biskupa, Karol Józef. Urodził się w marcu 1724 roku w Sadowie koło Lublińca. W czasie wojen śląskich stanął po stronie króla pruskiego Fryderyka II Wielkiego, później z jego polecenia został starostą nowo utworzonego powiatu toszecko-gliwickiego. Wiosną 1750 roku kupił pałac w Kamieńcu wraz z okolicznymi ziemiami (dziś gmina Zbroslawice). Niedługo potem dokupił także Księży Las i Ziemięci-ce. Swą główną rezydencją uczynił pałac w Kamieńcu wybudowany na początku XVIII wieku przez Löwencrona.

Król pruski docenił zasługi Karola dla monarchii pruskiej. Latem 1798 roku wywyższył go do godności pruskiego hrabiego (niem. Graf) Strachwitz von Gross-Zauche und Camminetz. Zmarł latem 1810 roku.

Majątek odziedziczył młodszy syn Karol Maria. Jego potomkowie postanowili rozbudować swą główną rezydencję. W 1873 i 1910 przebudowa-

wano pałac w stylu neobarokowym, od północnego-wschodu dobudowano kaplicę. Stojącą obok tzw. „Mysia Wieżę” zaadaptowano jako romantyczną ruinę. Po 1945 Jan-Karol-Maria, podobnie jak i inni ślascy arystokraci, musiał wszystko zostawić. Po wojnie osiadł w Niemczech Zachodnich.

Spadkobiercy Świętego Jacka

Kamieniec odziedziczył Karol Maria. Jego starszy brat, Ernest Joachim posiadał już po swojej teściowej hrabianie Antoni Sedlnitzky-Odrawąż Kamień Śląski wraz z tamtejszym zamkiem i okolicznymi dobrami. W 1811 roku dokupił m.in. Izbicko (koło Strzelec Wielkich).

Kamień Śląski związany był - i jest - z rodziną Odrowążów i Świętymi Jackiem, Czesławem i Bronisławą. W 1778 roku baron Karol Ludwik Jacek von Larisch odnowił zamkową kaplicę. Jej opiekunami był zakon dominikański. Poświęcenia dokonał krewny barona, Jan Maurycy von Strachwitz, biskup-sufragan wrocławski.

Od czasów hrabiego Ernesta Joachima każdorazowy właściciel zamku w Kamieniu miał na imię Jacek. Jacek (II) był protektorem wielkich uroczystości w 1857 roku z okazji 600-lecia śmierci św. Jacka. Wśród polskich i niemieckich pielgrzymów było 44 kapłanów, którzy wysłuchali ponad dwa tysiące spowiedzi. Jacek (IV) w 1894 roku był natomiast protektorem uroczystości 300-lecia kanonizacji św. Jacka. W Kamieniu Śląskim zebrały się wielkie tłumy. Na transparentach po polsku i niemiecku wypisano najważniejsze wydarzenia z życia świętego. Hrabia Jacek (IV) zmarł w czasie II wojny światowej - jako ostatni - w rodzinnym zamku w Kamieniu Śląskich.

Po wojnie urządzono tam Dom Dziecka. W latach 50-tych niedaleko rozbudowano lotnisko i zamek został zamieniony w obiekt wojskowy. W 1973 roku wybuchł pożar, który praktycznie wszystko zniszczył. W 1990 roku ruiny kupiła kuria biskupia w Opolu. Dzięki pomocy sponsorów i Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej w ciągu czterech lat zamek odzyskał dawną świetność.

Epilog

Dziś Strachwitzów trudno by szukać na Śląsku. Byli wśród nich i inni, np. kuzynowie monarchów, dyplomaci, poeta, dziennikarze. Śladów po nich pozostało sporo. Niestety niewiele o tym wiemy - my - dzisiejsi mieszkańcy Śląska.

Zanim na scenę wyjdzie Chochol (Jerzy Dziedzic), bo to on nas zaprosi na weselne przyjęcie, uwagę widza przyciąga pusta, wyłożona jedynie surowymi podłogowymi deskami scena, zamknięta jednolitym ekranem, zmieniającym w zależności od potrzeby kolory. Za chwilę pojawi się wielobarwny korowód postaci. Znać? To posłuchajcie. Znać? To oglądajcie. Dotrą do was strzępy dialogów, wśród których rozpoznacie te, które weszły niemal do potocznego języka Polaków, stając się narodowymi zaklęciami-liczmanami. Ten układ, rodem z ludowego misterium, powtórzony zostanie w finale przedstawienia.

To pomysł ciekawy, przejrzysty, otwarty na współczesne interpretacje, mimo że sosnowieckie *Wesele* na szczęście nie próbuje Wyspiańskiego poprawiać ani niczego mu dopisywać. Owe strzępy dialogu są tu tylko urywanymi monologami. I dlatego odarte są z głębszych sensów. I dlatego pozbawione są już mocy sprawczej. Także nadziei. Chyba już tylko jakiś masochistyczny rytuał każe nam brać udział w tym misterium, skoro zdarzenia niejako z góry napiętnowane zostały swoistym fatalizmem. Nie wierzymy więc ani przez chwilę w to, by te dwie społeczności, wiejska i miejska, mogły się zjednoczyć, mogły coś wspólnie zrobić. Bo i co? W sosnowieckim spektaklu owe próby przemienienia słów w działanie wyglądają zgoła żałośnie. Czepiec (Piotr Zawadzki) to raptus i pijak, więc nawet nie bardzo wie, o co mu chodzi i do jakiej bitki, przeciwko komu, znowu się rwie. Gospodarz (Wojciech Leśniak) zaś to lekko zbłądowany mieszcuch, który przebrał się za chłopą, więc nie dziwota, że nie pamięta, kto też go tej nocy nawiedził i do czego namawiał. „Coś”, „ktoś”, „gdzieś”, „po coś”... Jakież to żałosne. Toż to prawdziwa szopka z przebierańcami, którzy wyleźli z zakamarków naszej zbiorowej pamięci, wyglądając przy tym jakby wyjęto ich z jakiegoś etnograficznego skansenu. Są na swój sposób piękni i pięknie się „narodowo bałamuca”.

Wesele w interpretacji Bogdana Cioska jawi się jako literacki archetyp polskości i związanych z nią odwiecznych niemocy, kompleksów i zahamowań. Ta wizja jest w nas, tkwi głęboko w naszej świadomości i podświadomości, a skoro tak, to rodzajowość poszczególnych scen dramatu Wyspiańskiego siłą rzeczy musi usunąć się na plan dalszy. Weselna chata niby jest „rozśpiewana”, ale nastroszy, jaki w niej panuje oraz realizm scen i postaci, zostały jakby zduszone. Cóż, jakąś cenę za taką interpretację Wyspiańskiego trzeba było zapłacić. Pierwszy atak jest więc tylko serią „migawek”, luźno z sobą powiąza-

Foto: ARC Teatru Zagłębia



Agnieszka Radaszkiewicz (Panna Młoda)
i Grzegorz Widery (Poeta)

Klisze narodowej pamięci

nych, puentowanych dobitnie, bez troski o rzeczywisty (realistyczny) wymiar słów czy gestów. To świadomy zabieg na naszej pamięci, która o szczegóły już nie pyta, poddając się tylko naturalnemu biegowi wypadków, które muszą doprowadzić do marnego, fatalistycznego końca. Momenty kulminacyjne poszczególnych scen wzmocnione zostaną muzyką. Niemal jak w filmie, dla wydobycia napięcia i emocji. Klisze narodowej pamięci wyostrajają się wtedy. Nic jednak i nikt nie jest w stanie odwrócić kolejnych zdarzeń. Nie ma na to nawet cienia nadziei.

Sosnowieckie *Wesele* dobrze zostało zagrane. Właściwie nie ma ról słabych i nie ma obsadowych pomyłek. Nie przeszkadza nawet to, że wszystkie zjawy zagrał jeden aktor, ten sam, który w ciemnym uniformie pokazał się jako Chochol. Jerzy Dziedzic poradził sobie z tak trudnym zadaniem. Zdołał wyrazić różnicować postacie, mimo że wspierających atrybutów do ręki nie dostał. Czasem tylko jakiś element kostiumu został zamieniony czy dodany. Zresztą musiał sam się uporać. Sceny widmowe zostały zagrane z pasją i ekspresją. Pozostanie w pamięci choćby tylko walca Jakuba Szeli z Dziadem (Ryszard Zaorski). Inna rzecz, że owe sceny

nadrealne nie zostały zbyt wyraziście wydzielone z całości struktury spektaklu. Pewnie tak musiało się stać, skoro sosnowieckie *Wesele* nie wyeksponowało realistyczno-obyczajowego tła dramatu Wyspiańskiego.

Podobała się Panna Młoda (Agnieszka Radaszkiewicz). Dziewczę świeża, czasem nawet wręcz nieporadna. Już chyba nie tylko bućki miała przyciasne. Niekiedy niepewna swych ruchów, koślawia, jednak po raz pierwszy tak okazały strój przyszło jej wdziawać, więc momentami czuje się trochę nieswojo. A Pan Młody (Artur Świąś)? Też bardzo dobry. Jakiś taki jaśniejący, roześmiany, pełny wigoru i szczerej naiwności. Wyróżniłbym też, poza wcześniej wymienionymi, pracę aktorską Zbigniewa Leraczyka (Dziennikarz), Grzegorza Widery (Poeta), Andrzeja Śleziaka (Nos) i Racheli (Barbara Lubos-Świąś), choć Racheli jest jakby w tym przedstawieniu „za mało” i jałko nie ona uruchamia „poetyczną” atmosferę weselnej nocy.

Do najwyrazistszych i najżywszych scen zaliczyć należy tę z Księdzem (Adam Kopciuszewski), Żydem (Jerzy Gniewkowski) i Czepcem. Ten ostatni, choć taki skory do bitki i targów sąsiedzkich, w obliczu bezkompromisowych targów Księdza i Żyda o pieniądze, w pewnym momencie głupieje, bo już nie wie, kto kogo oszukuje i kto jest czym dłużnikiem. „Płać, płać” – poganiamy go Ksiądz, a jego głos staje się niemalże kategoryczny, co wywołuje na widowni zrozumiałe uśmiechy. Ta scena dobitnie pokazuje, że owych linii podziału, które tę pozornie spójną gromadę dzielą, jest znacznie więcej niż można by przypuszczać. I są to podziały bardzo wyraźne, nie do pokonania. Nie mamy więc wątpliwości, że to tylko piękna szopka, gra uteatralnionych pozorów, cepeliowska zabawa, która musi skrywać zupełnie inną i wcale nie tak kolorową rzeczywistość.

Wesele jest przedstawieniem udanym, ale jednak nie porywającym. Intelktualnie precyzyjne, aktorsko i inscenizacyjnie dobre, pozostaje emocjonalnie chłodne. Może zabrakło, zwłaszcza w pierwszym akcie, atmosfery szaleńczej zabawy? Może ten cień narodowego fatalizmu zbyttno usztywnił scenę? Może za mało roboty zostawiono dla choreografa?

KRZYSZTOF KARWAT

Stanisław Wyspiański: *Wesele*. Reżyseria: Bogdan Ciosek. Scenografia: Ryszard Meliwa. Ruch sceniczny: Przemysław Śliwa. Muzyka: Paweł Moszumański. Premiera 16 lutego 2002 roku w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu.

Ciężko się trzeba natrudzić, by osiągnąć wrażenie lekkości, rozbawienia i wyrafinowanego komizmu a już doprowadzenie do wybuchu śmiechu w miejscach z góry przewidzianych jest zawsze prawdziwą sztuką. Jeśli więc teatry nie mają na ogół większych kłopotów z pozyskaniem reżysera do dramatu, czy tragedii, o mistrzów w formach gdzie liczy się niezawodne poczucie humoru, zmysł zabawy i błyskotliwy styl, zawsze było trudno. Jest tedy sukcesem Teatru Śląskiego już sam fakt pozyskania do realizacji „Żołnierza królowej Madagaskaru” tej miary realizatora co Tadeusz Bradecki, który okazał się majstrem i w tym gatunku przyrządzając sztukę według niezawodnej recepty z czasów gdy nie gardzili farsą i wodewilem czołowi reżyserzy polskiego teatru.

„Żołnierz królowej Madagaskaru” ma dwie metryki urodzenia. Stara farsa Stanisława Dobrzańskiego pojawiła się po raz pierwszy na lwowskiej scenie w 1879 roku (to od tego czasu ożywa, dla wielu niejasne, zabawne zawołanie: Bój się Boga, Mazurkiewicz). W roku 1936 wziął ją na warsztat Julian Tuwim, miłośnik literackich staroci i obyczajowych osobliwości. Autor zjadliwych wersetów o „strasznych mieszczańskich”, co to „widzą wszystko oddzielnie”, dostrzegł w osobie prowincjonalnego mecenasa z Radomia, którego przypadek rzucił za kulisy dość rozwiązłego teatru, ale i do garderoby lubieżnej Kamilli, wcale nośną intrygę. Tuwim jednak do tego stopnia przetworzył i rozbudował pierwotny tekst, że ostał się właściwie sam pomysł i zarys zabawnej akcji. Kiedy jeszcze doszły piosenki i numery muzyczne przy współpracy Tadeusza Sygietyńskiego, z farsy zrobił się barwny wodewil stwarzający okazję do aktorskich popisów.

Rzecz w tym by z całą prostodusznością i pobłażliwością wykorzystać perypetie zapiekłego bigota Mazurkiewicza, który co najwyżej może zostać przedstawiony jako zabawny przypadek świętoszka ulegającego w końcu pokusom. A więc studium infantylnej perwersji z mocnym przymrużeniem oka, skoro dochodzi jedynie do aktu gotowości nie bez grzesznej drzazżki. I tą frywolną krechą - Mazurkiewicz, bój się Boga! - jest poprowadzony przez pułapki stolicy i męskiej uległości pocieszny mecenas z Radomia.

Katowickie przedstawienie jest przyrządzone smakowicie, ma dobre tempo, szereg świetnych scen i ról, choć zostało skomponowane w dekoracjach raczej skromnych, zapewne ze względu na panujące w teatrach rygory finansowe co widać dziś gdzie się nie ruszyć. Autorka scenografii Urszula Kenar, zaprojektowała z werwą i humorem przede wszystkim scenę na dworcu w Radomiu, skąd w podniosłej atmosferze prowincjonalnej celebry wyrusza pociąg właśnie co uruchomioną koleją żelazną do Warszawy. Zamaszysta sylwetka parowozu, jak wyjęta z kreskówki, wprowadza nastrój staroświeckiej epoki. Na tym tle rozgrywa się napuszczona scena pożegnania rozgorączkowanego mecenasa, udającego



Anna Kadulska w roli Kamilli.

Foto: Tomasz Zakrzewski

Lilia i diva

TEATR

się do Warszawy, którego odprowadza, strażnika cnot i moralności, nadęty orszak miejskich notabli z koszem białych lilii. Przekazana na drogę „lilia radomska” będzie mu towarzyszyła przez kolejne sceny, lecz jej moc okaże się zbyt słaba gdy do akcji wkroczy ponętna Kamilla w prowokacyjnym dessous.

Początek spektaklu jest skrojony z werwą i stanowi pyszną ekspozycję pełnej qui pro quo przezabawnej akcji. W obrazach następnych zmiany miejsc są zaznaczone umownie. Salon sygnalizuje jedynie ozdobna sofa na której rozsiadły się trzy przekomiczne, świetnie skonstruowane damy: Bogumiła Murzyńska (Pani Mącka), Maria Stokowska (Pani Lamiecka) i Krystyna Wiśniewska (zaczynająca w Asnyku - egzaltowana Panna Sabina), która rękę i cnotę gotowa jest ofiarować owdowiałemu mecenasowi, lecz co okazja do oświadczeń pojawia się kolejna przeszkoda za sprawą Kazia, niesforemego syna mecenasa w indiańskim piórpuszu. Także teatr ogródkowy, scenki od kulis i pokój w hoteliku są ograniczone do niezbędnych detali, co powoduje pewien niedostatek rodzajowego tła; czego jednak nie podpowiada wystrój sceny, wnoszą świetne kostiumy, charakteryzujące kim kto jest, jaką rolę spełni, więc kogo gra i zagra.

Tadeusz Bradecki zadbał bowiem z wielką starannością by każda postać miała uchwytne cechy i spotęgowane rysy. Postawił na aktorstwo: soczyste, nie wolne od kontrastów, karykaturalnych przejawów i miejscami i szarży, choć w kontrolowanych granicach. I trzeba przyznać, że trud reżysera okazał się nader owocny w tej blażej w końcu sztuce. Wielu aktorów ujawniło szeroką skalę nie zawsze dotąd rozpozna-

nych możliwości. To najmocniejsza strona spektaklu: aktorski popis.

I zawierzył Bradecki Tuwimowi, który wypełnił ramy starej farsy tekstem zabawnym prowokującym do dezynwoltury i komicznych spięć. Przedni humor sytuacyjny i językowy pełen błyskotliwych zwrotów i pure nonsensownych skojarzeń autora „Balu w operze” nadal bawi i śmieszy po upływie ponad 60. lat. Tu i tam, szczególnie w dialogach można było dokonać jeszcze skrótów. Inna rzecz iż Tuwim, mistrz kabaretowych form, absurdalnych skojarzeń i spiężeń paradoksu miał trudności z doprowadzeniem sztuki do efektownego finału, raz po raz uwiedziony przez nowe pomysły i dygresje. Lecz co miało się stać ostatecznie się stało, bo i czym prowincjonalny cudak mógł zaimponować Kamilli, która jest tutaj divą w wielkim rewiewym stylu - a jak przewrotnie wabi by odtrącić!

Te dwie role - Kamilli, którą kreuje Anna Kadulska i prześmieszny Mazurkiewicz w wykonaniu Wiesława Ślawika wybijają się zdecydowanie na czoło. Bo też od klasy aktorskiej tych ról zależy w znacznym stopniu sukces przedstawienia. Wiesław Ślawik jest Mazurkiewiczem wybornym: wyposażony w charakterystyczne odruchy, z głową w zabawnych loczkach, z filuternym wąsikiem i wylupiającym wzrokiem oszłomionego prowincjusza, jest pociesznym safandulą. I cóż, że z nieodłączną „lilią radomską” jako atrybutem niezłomych zasad moralnych usiłuje stłumić erotyczne pokusy wystawiony na coraz cięższe próby. W końcu w sytuacji tété a tété wypuszcza lilię z rozdygotanej prawicy. W tym wypadku jest jednak całkowicie bezbronny ale i wytłumaczony, wystarczy zresztą zobaczyć Annę Kadulską, która jest nie tyle szansonistką z letniego teatryku, lecz efektowną divą z szampańskiej rewii (ale to już sprawą tzw. warunków). Śpiewa przy tym jak prawdziwa gwiazda estrady a jak porusza się w wachlarzu strusich piór!

Co postać w tym spektaklu - to z pokazowego tableau charakterystycznych typów i figur sportretowanych przepysznie, bo także role dalszego planu są wyraziste i sugestywne. Wiele wniosła w rytm i urodę spektaklu Anna Majer (ruch sceniczny). Ma swoje walory muzyka w aranżacji Andrzeja Marko. Nieco gorzej jednak z formą wokalną aktorów, ale to już nie tyle sprawa przygotowania, co możliwości głosowych i dyspozycji intonacyjnych. Na szczęście głosy głównych wykonawców nie zawiodą. Ta przygotowana na karnawał pozycja bawi i urzeka urodą staroświeckich scen spod dobrze przymrużonego oka Tadeusza Bradeckiego, który nie udziwniał niczego na siłę a przede wszystkim nie aktualizował, lecz przygotował kawał dobrego teatru stawiając na aktorstwo. Publiczność bawi się świetnie a myślę, że rozlega się i oczyszczający, terapeutyczny śmiech, skoro obłuda jest wieczna i ma swoje rozpoznawalne maski bez względu na kostium.

TADEUSZ KIJONKA

W 2001 roku Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach i Regionalne Towarzystwo Polsko-Niemieckie ogłosiły konkurs dla młodzieży szkolnej pod hasłem „Historie rodzin na Górnym Śląsku”. Nadesłano ponad 400 prac. Najciekawsze pomieściła antologia, wydana nakładem Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej. Jak podkreśla we wstępie Krzysztof Karwat, jeden z jurorów, sukces konkursu był zasługą nieżyjącego już Stanisława Bieniasza, przewodniczącego jury, który „(...) odwiedził wiele szkół (...) zdołał pozyskać do idei konkursu nie tylko młodzież, ale również - pośrednio rodziców i nauczycieli”.

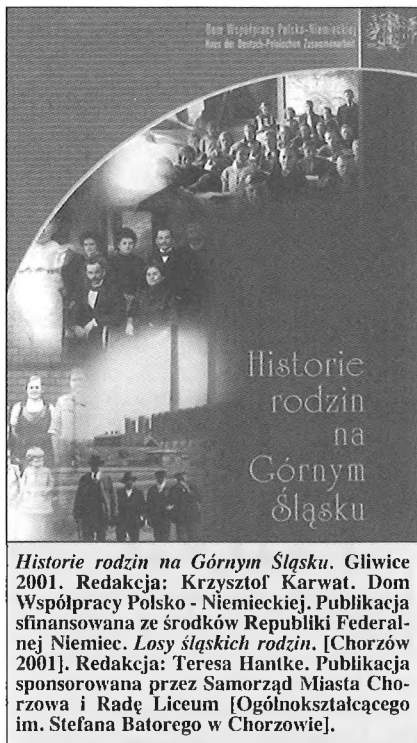
W zredagowanej przez Karwata antologii opublikowano prace siedmiu laureatów nagród i jednego wyróżnionego. Swoistym aneksem do tej książki stały się „Losy śląskich rodzin”, zbiór prac dziesięciu uczniów Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Batorego w Chorzowie. Wszyscy, za wyjątkiem jednego, byli w chwili wydania publikacji uczniami II klasy dziennikarskiej. Jak informuje we wstępie Teresa Hantke, polonistka i wychowawczyni klasy, osiem z ogłoszonych tekstów powstało na konkurs gliwicki, przynosząc Marcie Ciesielskiej jedną z głównych nagród. Niestety, nie dowiemy się, które prace powstały niezależnie od konkursu. Za edytorską niedoróbkę należy także uznać - i to w wypadku obydwu książek - rezygnację z notek biograficznych autorów.

Osiemnastu młodych autorów (Marta Ciesielska jest obecna w obydwu antologiach), osiemnaście spojrzeń na śląski rodowód. Jeżeli uznać reportaż za nie tylko sprawozdanie z rzeczywistych faktów, ale ich swobodne, dopuszczające chwytły stosowne dla prozy artystycznej, komponowanie, to większość prac takie kryteria spełnia. Bywa, że wypowiedź ma strukturę wywiadu (jak w „Mojej rozmowie z ojcem” Natalii Neldner z Zabrze), ale i wówczas faktografię pogłębia stylizacja literacka: „[Dziadkowie] Z płonącego miasta wyszli w tym, co mieli na sobie”; „(...) po całym piekle powstania uśmiechnął się do nich los”, „Ogromnie lubiłem przyglądać się, jak [pani Wilhelmina] rozpalała w piecu, z wielką wprawą łupiąc na podpałkę cieniutki patyczki”.

Fabula reportażu - zgodnie z formułą Krzysztofa Kąkollewskiego - „(...) nie powstaje w umyśle autora, tworzą ją same zdarzenia układające się w coś zbliżonego do opowieści”. Kąkollewski nazywa to „samoopowiadaniem się”. Historie rodzin okazały się właśnie takim „samoopowiadaniem się”, gotowym „samoreportażem”. Przy tym zazwyczaj zarówno portretem, jak i - powtarzając tytuł nagrodzonego w konkursie reportażu Marty Ciesielskiej - autopretertem. Żaden z takich autopreterów nie powstałby, gdyby nie rodzice i (znacznie częściej) dziadkowie. „Bardzo często wypytuję (...) [mamę i bab-

Regionalistyka

Los zbiorowy



Historie rodzin na Górnym Śląsku. Gliwice 2001. Redakcja: Krzysztof Karwat. Dom Współpracy Polsko - Niemieckiej. Publikacja sfinansowana ze środków Republiki Federalnej Niemiec. Losy śląskich rodzin. [Chorzów 2001]. Redakcja: Teresa Hantke. Publikacja sponzorowana przez Samorząd Miasta Chorzowa i Radę Liceum [Ogólnokształcącego im. Stefana Batorego w Chorzowie].

cię) o szczegóły z dzieciństwa - wyznała Marta Ciesielska - okropnie lubię te opowiadania. (...) Gdy przyszedł czas na napisanie pracy, pozbierałam wszystko razem, trochę jeszcze pomęczyłam rodzinę, ponaciągałam ją na więcej wspomnień...“ Tarnogórzanin Jacek Olender, inny z laureatów, już w pierwszym zdaniu rodzinnej kroniki („Splątane korzenie”) napisze: „Mój dziadek Kornel Olender namówił mnie do udziału w konkursie”. Zatem kogoś bliskiego wysłuchano, „naciągnięto” na opowieści. Usłyszaną, często słyszaną wielokrotnie, historię spisano. Zaakceptowaliśmy ją, gdyż wiemy, że bohaterowie nie są tworem fantazji. Nie mamy wątpliwości, że żyli lub żyją naprawdę. Odsłonili się przed dziećmi czy wnukami do końca, niejednokrotnie podsumowali całe swoje życie.

Autorami trzech najwyżej ocenionych przez jurorów konkursu reportaży są Katarzyna Ciesielska (Świętochłowice), Marta Ciesielska (Chorzów) - dziewcząt nie łączy żadne pokrewieństwo - i Arkadiusz Ćwik (Zabrze). Z jakiejś historii najpierw zwierzyli się inni, a później zwierzyło się samemu. „Przeglądałam stare fotografie - pisze Arkadiusz Ćwik - których kolor przypomina spadające liście drzew. Jest jesień (...) chętnie słucham opowieści swojej babci, która choć żwawo snuje swoje dzieje, wydaje się być coraz słabsza”. Ze wspomnień po-

wierzonych Katarzynie Ciesielskiej „(...) wylania się prababcia o wdzięcznym imieniu Anna, wysoka, ciemnowłosa kobieta przy kości, w długiej sukni i z wysoko podniesioną głową”. Prababcia Marty Ciesielskiej „Przez przeszło 16 lat chodziła w swoich pięknych [śląskich] strojach, potem zaczęła ubierać się miastowo. Wszystkie fatalaszki rozdała. Zostawiła sobie tylko swoją wypawę...”

Być zakorzenionym, umieć opowiedzieć swój rodowód, to mieć poczucie ciągłości. „Nasze rodowe gniazdo - pisze Aleksander Łysko z Bierunia, wyróżniony za pracę „Czy udźwignę to dziedzictwo?” - nie zmieniło swego położenia prawdopodobnie (...) od czasu lokacji, na pewno zaś od XVIII wieku”. Historia rodziny Marty Ciesielskiej „(...) wiąże się z (...) domem przy ul. Karpackiej 42. Wszystko się zmieniało: ludzie, czasy, państwa, ustroje... Tylko ten dom trwa nieprzerwanie od stu pięćdziesięciu lat. I będzie trwać nadal”.

Każda z opowieści rodzinnych jest po trochu kroniką, po trochu legendą. „Historia mojej rodziny brzmi (...) nieprawdopodobnie”, pisze Arkadiusz Ćwik. Losy przodków Pawła Barteli, jednego z autorów antologii „Batorego”, mają „coś z baśni”. Czasem, jak w relacji Jacka Olendra, dzieje rodziny splatają się z dziejami Śląska: „[Prapradziadek Józef Gallus] podjął pracę w drukarni Katolika (...) Gdy redaktorzy Karol Miarka, ks. Radziejewski i nauczyciel Jasik siedzieli w więzieniach (...) za dnia składał gazetę, którą w nocy redagował”. Czasem, jak w reportażu wyróżnionego w konkursie bytomianina Michała Jurczyńskiego, zamiast spisaną kronikę pozwala spisać los, który inaczej zapadłby w niepamięć: „[Brat dziadka] walczył z czymś, może nie powinienem pytać o te sprawy. On milczy”. W końcu przemówi. Przemówią nie tylko ludzie, ale pamiątki i fotografie. I każdy nagrobek zdolny będzie coś powiedzieć. „Na marmurowej tablicy” grobu babci Jadwigi Paszkowskiej z Gliwic „napis głosił *Urodzona we Lwowie*”.

Wiele odrębnych biografii uogólniło los zbiorowy Ślązaków. Los, który wyróżnia podwójne zakorzenienie, rzadziej wybierane, a częściej narzucone przez historię. To właściwie nawet nie historia, a karuzela. Raz jest się obywatelom polskim, a raz niemieckim, ze szkoły polskiej trafia się do niemieckiej, z Wehrmachtu do armii Andersa, wraca z robót przymusowych na Śląsk lub pozostaje w Niemczech. Młodzi autorzy nagle zrozumieli, że jest taka historia, która ich bliskim była zadana często wbrew nim. Mimowolnie, do końca. Wiedzą już więcej. Wiedzą już wszystko. Katarzyna Ciesielska pisze: „(...) Jestem pewna, że pozostanę tu na zawsze, bo tu są moje korzenie. Tu spoczywają prochy moich przodków. Byli Ślązakami. I ja jestem Ślązacczą”.

RYSZARD JASNORZEWSKI

W wielkim świecie obowiązuje zasada pokazywania ludzi z najlepszej strony. Przestrzega się również właściwego spożytkowywania talentów, kompetencji, umiejętności. Na tej zasadzie renomowane restauracje zatrudniają świetnych kucharzy, uznane domy mody - oryginalnych projektantów, czołowe filharmonie i stacje telewizyjne - przygotowanych do swego zawodu „słowiarzy”, czyli ludzi, którzy objaśniają muzykę słuchaczom. Są to zwykle profesorerowie uniwersytetów, autorzy wybitnych książek o muzyce, którzy myślą twórczo i potrafią inspirować odbiorców. W historii zachodniego „słowiartstwa” koncertowego oraz telewizyjnego odznaczyło się także kilkoro muzyków, którzy potrafili ukazywać muzykę „od kuchni” - fachowo i przystępnie, a przede wszystkim byli fantastycznymi gawędziarzami. Znamy te nazwiska: Leonard Bernstein, Artur Rubinstein, Doda Conrad...

Przewinęło się też gawędziarzy wielu w naszej telewizji: Waldorff, Cegiella, Michalski, no i oczywiście złotousty Boguś. Kilka lat temu cykl bardzo dobrych audycji „umuzyczniających” dla młodzieży zrealizował dla telewizji poznańskiej Krzesimir Dębski, wszechstronny muzyk i niezły showman.

Tropem Dębskiego podążyła telewizja katowicka, przygotowując cykl pouczająco-zabawnych (w zamiarze) audycji o muzyce z udziałem NOSPR, Jerzego Maksymiuka, piosenkarki Reni Jusis, Janusza Olejniczaka i grupki licealistów udających żywiolowo reagującą publiczność za pomocą wypróbowanego środka, jakim są dograne osobno śmiechy i brawa. W lutym ogólnopolska Dwójka wyemitowała trzy odcinki pilotujące serię. Efekt, niestety, żeży włosy na głowie ludziom nawet najbardziej łagodnym i tolerancyjnym (jak ja). Pomijam nieudolną stronę widowiskową, niezborną narrację, bijący w oczy fałsz wystudiowanej niby-spontaniczności i bzdurne pomysły reżyserskie (jak choćby ten, kiedy Reni Jusis udaje, że potrafi dyrygować orkiestrą równie dobrze, jak Maksymiuk: „znienacka” przejmując od niego batutę, a orkiestra niczego nie zauważa. Wniosek: po co orkiestrze dyrygent?).

Najsmutniejsze, że bohaterowie programu, świetni muzycy, zostali w nim pokazani od najgorszej strony. Maksymiuk jest doskonałym, charyzmatycznym dyrygentem, a jedną z jego większych zalet jest (dość często spotykana zresztą w jego profesji) umiejętność porozumienia się z orkiestrą prawie bez słów. Tej umiejętności nie da się jednak wykorzystać do budowania dialogu z telewizyjną widow-

nią. Żalność brała, kiedy słuchało się bezradnych prób artysty usiłującego „coś” opowiedzieć w cyklu audycji, zatytułowanych, jak na ironię „Muzyczne maksymy Maksymiuka”. Urywane zdania rozpoczynały i kadencjonowały bolesne stęki. Narracja przerażała się w surrealistyczną sekwencję niepowiązanych sensów, każda niemal myśl prowadziła na manowce. W tle niepokoił obraz beczynnych, nudzących się NOSPROwiczów (bo większość kwestii dyrygent ilustrował głosem lub na fortepianie).

Dębski - muzyk uniwersalny

S koro padło nazwisko Krzesimira Dębskiego, warto odnotować jego udany występ z orkiestrą Filharmonii Śląskiej (1 lutego). Dębski jest jednym z nielicznych twórców polskich, którzy mają odwagę działać na pograniczu tzw. muzyki poważnej i rozrywkowej. Kwestia: jak to się robi, pojawia się we wszystkich wywiadach z artystą, który tłumaczy zwykle, że muzyka jest jedna - dobra, albo zła. Wielu kolegów po fachu ma Dębskiemu za złe, że z zyskiem sprzedaje swoją łatwość pisania szlagierów. Chciałoby się powiedzieć: to piszcie je też, ale wiadomo, że nie jest to takie proste. Wielu kompozytorów poważnych próbowało „wejść” w piosenkarsstwo, na ogół z marnym skutkiem (vide Lutosławski). Akademicka edukacja kompozytorska jest bowiem specyficzną tresurą ucha. Po to, by zostać kompozytorem współczesnym, trzeba zapomnieć o muzyce, która „wpada do ucha”, w myśl przewijającej się w całej teorii i praktyce dwudziestowiecznej idei mówiącej o tym, że „podstawową harmonią, jaką odczuwamy dzisiaj, jest dysonans, nigdy trójdźwięk” (Halm, *Harmonielehre*). Dębski „czuje” trójdźwięk. Widocznie nie był dobrym studentem kompozycji. Na katowickim koncercie zaprezentował się od strony „poważnej” *Koncertem klarnetowym*, zaś od strony „rozrywkowej” swoimi niezbyt wyrafinowanymi, ale melodyjnymi i żywiolowymi przebojami filmowymi.

Kiedy urodził się Chopin?

W przeddzień kolejnej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina (21 lutego) w Domu Kultury na Koszutce wystąpiła z recitalem utworów mistrza, który zorganizowała instytucja „Silesia”, Tatiana Szebanowa, niegdyś laureatka warszawskiego konkursu chopinowskiego, matka cudownego młodzieńca Stasia Drzewieckie-

go, którego błyskotliwa kariera jest po części jej dziełem (pedagogicznym na pewno). Krucha Rosjanka odegrała z werwą i zapalem m. in. *Barkarolę*, garść walców, *Balladę g-moll i Poloneza fis-moll*, udowadniając, że jest nadal w świetnej formie, dysponuje siłą, giętkością palców i ogromnym żarem wewnętrznym.

Ostatnio nieoczekiwanie odżyła kwestia: kiedy urodził się Chopin? Narodowa dyskusja na ten temat odbyła się w roku 1892. Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, postanowiło wówczas uczcić hucznie 83 rocznicę urodzin Mistrza (liczoną po staremu - od 1 marca 1809 roku). Zorganizowano uroczystą akademię, wygłoszono przemówienia, umajono biust twórcy, po czym świeżo upieczone koła uczonych w pismach chopinologicznych wystąpiły z nową koncepcją Ważnej Daty. Zawstydzone Towarzystwo powtórnie obeszło 83 rocznicę urodzin Chopina 22 lutego 1893 roku. Potem rachunku już nie korygowano, aż do momentu, gdy w atmosferze uroczystości związanych ze 150. rocznicą śmierci artysty narodziła się w kręgu chopinologów gwałtowna chęć dokonania spektakularnej korekty choćby jednego szczegółu życiorysu wieszca. Po raz kolejny zatem stanęła na wokandzie sprawa Daty. Są zwolennicy i przeciwnicy powrotu do odrzuconej niegdyś koncepcji - jest ich dość, by już czwarty rok zapełniać łamy poczytnego „Ruchu Muzycznego” rozważaniami na temat kondycji i urody dziecięcia, które niegdyś przyniesiono do parafii w Brochowie, by włączyć je do grona dzieci Kościoła.

Sto lat franciszkanów w Panewnikach

Wiadomo natomiast dokładnie, kiedy przybyli do Katowic franciszkanie, jak budowali swoją piękną bazylikę i jak wtapiali się w miejscowe życie wielkimi i drobnymi pracami. Zakon św. Franciszka nie jest tak zasłużony dla muzyki, jak benedyktyni, czy jezuitci, rozumiałe jednak, że jubileusz bractwisków z Panewnik czcimy piękniej jak umiemy - koncertami. Ich seria, zaplanowana na cały rok (również przez niewyczerpaną w pomysłach „Silesię”) rozpoczęła się w styczniu. W koncercie lutowym wystąpił Julian Gembalski z recitalem obejmującym dzieła organowe kompozytorów polskich: A. Freyera, St. Moniuszki, W. Zelenkiego i M. Surzyńskiego. Godna podziwu jest wytrwałość Gembalskiego w odkrywaniu i promowaniu zapomnianych rozdziałów polskiej twórczości. Odegrane utwory pozwalały się co prawda domyśleć, że twórczość organowa nie była nigdy pierwszorzędą dziedziną zainteresowania rodzimych kompozytorów, ale przecież - istniała.

MAGDALENA DZIADEK

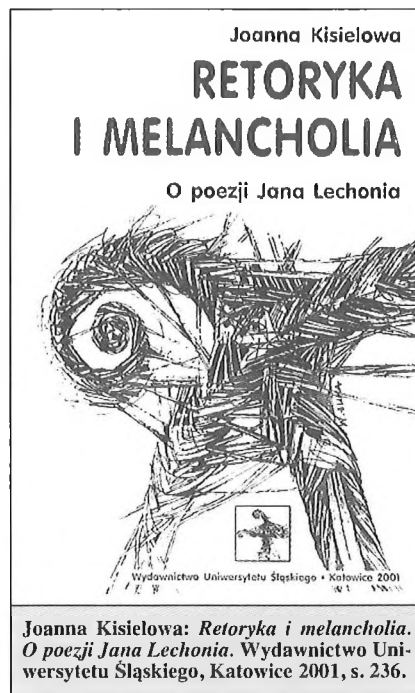
Książka Joanny Kisielowej o poezji Jana Lechonia kusi swoją oryginalnością, łączy w sobie dwa porządki: retoryczne ukształtowanie struktury wierszy i melancholijne odczuwanie świata. Badaczka jako pierwsza w literaturze uznała je za „filary poetyckiego idiomu Lechonia”. Dwudzielnosc ujęcia problematyki współgra z zamierzonym przez autorkę podziałem liryki Lechonia na dwie strony: jasną i ciemną. Pierwsza - odnajduje kontakt z czytelnikiem, wskazuje na panowanie języka nad spadkiem przeszłości, druga - jest intymną sferą poszukiwania własnej tożsamości.

Autorka szczegółowo wyjaśnia związki poezji Lechonia z klasycznym dyskursem retorycznym, a także w ciekawy sposób wskazuje na szacunek twórcy do tradycji, na jego powściągliwość języka i wstydlivość emocji. Wyodrębnia zarazem w wierszach różne figury retoryczne. Odwołując się do zagadnień retoryki, unika definiowania „sztucznych” pojęć z tego zakresu. Skupienie się na istocie poezji, poszukiwanie jej prawdziwego wizerunku staje się przez to rozpoznawalnym rysem tej pracy.

Joanna Kisielowa prześledziła całość dorobku poety, poczynając od tekstów młodzieńczych, na utworach emigracyjnych kończąc. Zręcznie usytuowała twórczość Lechonia w trzech tradycjach: modernistycznej, pozytywistycznej i romantycznej. W tekście pojawia się wiele interesujących intertekstualnych nawiązań. Z pasją autorka wskazuje na literackie inspiracje, na przykład na młodopolskich patronów jego debiutu. Trafnie analizuje funkcję wpisanych w wiersze romantycznych mitów osobowych, jawnych i zawoalowanych symboli. Swoje tezy bogato ilustruje cytatai z dzienników Jana Lechonia, a także z tekstów innych badaczy.

Dla potwierdzenia własnych tez autorka wykorzystuje wiedzę z zakresu psychologii, socjologii, filozofii, historii idei. Interesujące fragmenty pracy dotyczą młodzieńczych wierszy Lechonia, przez wielu już zapomnianych, które odegrały istotną rolę w kształtowaniu się artystycznego światopoglądu poety, pozwoliły wskazać na ewolucję jego twórczości i stałe doskonalenie warsztatu. Dobrze, że Kisielowa zwróciła uwagę na podwójną graniczność debiutu twórcy i jej konsekwencje - poeta wszedł bowiem do literatury wieku XX naznaczony dziewiętnastowiecznym dziedzictwem.

Badaczka bardzo swobodnie potrafi przechodzić od syntetycznego ujęcia do analizy poszczególnych tekstów. Równie łatwo „zmienia kody”, pod różnym kątem ukazuje wybrany motyw. Dobrze zadomowiona wśród przeróżnych znaków kultury, wskazuje na grę poety z konwencjami, mitami. Omawiane utwory zawsze posia-



Joanna Kisielowa: *Retoryka i melancholia. O poezji Jana Lechonia*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2001, s. 236.

Monografia Lechonia

dają w pracy bogato zilustrowany, szerszy kontekst interpretacyjny. Kluczowe analityczne wywodzą się często z krytyki fantazmatycznej, poetyki doświadczeń wewnętrznych, krytyki dramatycznej i mitograficznej. Często autorka sięga po przykładowe interpretacje tekstów, które stają się samodzielnymi rozdziałami. Tak się dzieje na przykład w wypadku wierszy *Spotkanie* i *Toast* - istotnych dla całej twórczości Jana Lechonia i pokazujących zupełnie odmienne oblicza poetyckie ich autora („*Spotkanie* - to oderwanie się od ziemi, [...] lekkość marzenia, *Toast* - ciężki wiersz o uwięzieniu w ziemskim losie [...] i o mądrości płynącej ze zgody na nieuchronność takiego losu”).

Spore fragmenty książki poświęcone są także postaci Jana Lechonia. Studia nad dziennikami poety i wspomnieniami mu poświęconymi przyniosły następujące spostrzeżenie: „Wizerunek Jana Lechonia utrwalał się we wspomnieniach przyjaciół rzadko bywa obrazem człowieka z krwi i kości. Zapamiętany poeta sprawia wrażenie literackiego bohatera, który sprawniej porusza się w świecie wyobraźni i literatury, niż stąpa po twardym gruncie. [...] Nieustanna autokreacja w życiu i twórczości kryje w sobie w istocie dramat człowieka zmagającego się z formą własnego dzieła i egzystencji. Teatralizacja i wszechobecna poza budują fasadę zagrożoną

destrukcją osobowości, są szukaniem punktów oparcia, rozpaczliwym chwytniem się pozornych w gruncie rzeczy fundamentów, pragnieniem trwałości i wyrazistości. [...] Melancholia niesie z sobą zagrożenie dla doświadczonego jej podmiotu, grozi destrukcją osobowości, pod znakiem zapytania stawia tożsamość człowieka. [...] Lechonia zapamiętano jako człowieka o dwóch twarzach. Za dnia towarzyszył mu śmiech, noc była domoną przejmującego smutku”.

W książce panuje wewnętrzny ład, kluczowe myśli splatają się ze sobą w harmonijny sposób i uzupełniają. Autorka napisała: „Porządek wielkiej sztuki [...] jest porządkiem hierarchii i trwałości, patosu i uwznioślenia, opanowania i dystansu. Szansa ocalenia tkwi jedynie w wyższym porządku artystycznym”.

Badaczka nie tylko pokazuje, jak Jan Lechoń styka się z Tajemnicą. Sama także wprowadza czytelnika w poszczególne kręgi wtajemniczenia. Fragment po fragmencie odstawiają się przed nami zasłony, scenariusze istnienia. Joanna Kisielowa odkrywa przed czytelnikiem „retoryczne maski” poezji Lechonia. W swych interpretacjach pozostawia jednak miejsce na czytelnicze przemyślenia, z łatwością przechodzi od magii słowa do czaru przemilczenia. Magiczne staje się to, że czytając o inicjacji stajemy się także jej uczestnikami. Ponadto w książce odnaleźć możemy wiele tajemnic wewnętrznych, np. rozważań o ludzkiej świadomości, urazach wywołujących apatię i wyobcowanie. Autorka sprawiła, że podczas lektury nie tylko zbliżamy się do tajemnicy, ale także „zanurzamy się w doświadczeniu”. Cóż to oznacza? Zapoznajemy się ze światopoglądem Jana Lechonia wyznaczonym przez doświadczenie polskości i melancholii, i - co najważniejsze - sami wzbogacamy się wewnętrznie.

Joannę Kisielową urzeka tradycja literacka, którą postrzega jako ciągle żywą przeszłość. Równocześnie świetnie pokazuje, jak liryka autora *Karmazynowego poematu* wpłynęła na kształtowanie się wyobraźni zbiorowej. Duży udział pierwiastka refleksyjnego sprawia, iż problematyka nie podlegających historycznej zmienności zasad życia nabiera „nowych odcieni”. Pojawia się antynomia względności spraw ludzkich i prawd wiecznych...

Książka ta wnosi znaczny wkład w badania nad twórczością Jana Lechonia. Uczy nas zdolności interpretacji wyrastającej z umiejętności doświadczenia świata i wykorzystywania swojej wiedzy. To po prostu dwie sztuki: mądrości i życia w przyjaźni z poezją!

AGNIESZKA KULIK-JĘSIEK

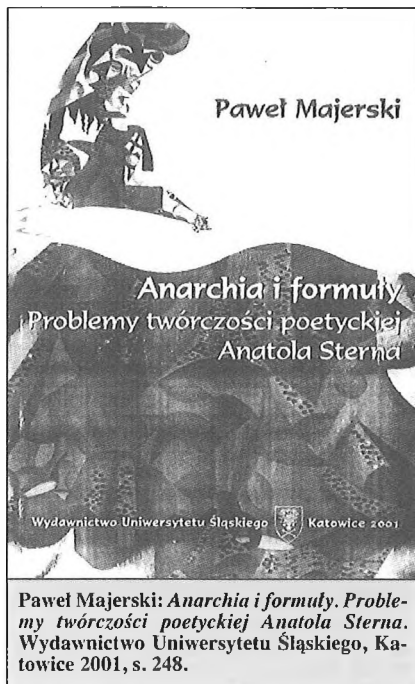
Książkę Pawła Majerskiego *Anarchia i formuły. Problemy twórczości poetyckiej Anatola Sterna* przeczytałem z nieklamanyim zainteresowaniem, także dlatego, że w przeszłości trochę się tym problemem interesowałem. Przypomnę, że przed laty ja również uległem pokusie, o której pisze autor, postrzegając Sterna jako przysięgłego futurystę do grobowej deski. Tymczasem w latach 60. próbował on stworzyć swój image pisarski może nie tyle od nowa, ile pogłębić go, poszerzyć, bardziej nakierować na problemy egzystencjalne, pośród których cień śmierci coraz bardziej się poszerzał. Zmarł w 1968 r.

Po dość krótkim okresie wzmożonego zainteresowania jego twórczością na skutek przemian w październiku 1956 r. (zwłaszcza na łamach „Współczesności”), gdy wykazywał wręcz gorączkową aktywność jako poeta, publicysta czy polemista, we wpływowym kręgu literackich znów zapanowało wokół dorobku Sterna niechęć i lekceważące milczenie. Zwolennicy anglosaskiego (głównie T.S. Eliot) i neoklasycznego (szkoła J. M. Rymkiewicza) modelu poezji uważali, że futurysta był trywialnym wygulaniem, a wiersze Sterna i jego kolegów są zbyt mało wyrafinowane dla ich subtelnych gustów. Gwoli prawdy, nie darzyli estymą nawet Przybosa, choć trudno było zanegować artyzm jego pisarstwa.

Majerski prezentuje w swojej książce nie tylko dojrzałe umiejętności badacza literatury, ale także coś, czym niestety nie wszyscy poloniści, zwłaszcza zajmujący się poezją, dysponują: inwencją i wyobraźnią dociekliwego interpretatora, umiejętnością wczuwania się w poetycki świat. Pamiętam, jak przed laty Kazimierz Wyka mówił nam, że badacz dzieł literackich powinien mieć nie tylko dobre opanowanie warsztatu, ale i „nosa”. Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że Majerski ten przymiot posiada. I mimo że jest to praca doktorska, pomyka nierzadko na stronę eseistyki literackiej, zamiast tradycyjnej polonistycznej narracji, za którą nie przepadam.

Strategia, jaką obrał autor, jest elastyczna i przemyślana, choć na pierwszy rzut oka może sprawiać wrażenie rejestru problemów, honorującego chronologię. Zamiast raczyć czytelnika sążnistymi wywodami, w których streszczenie poglądów poprzedników ma uświęcone miejsce, Majerski uruchamia reflektory umieszczone wokół obiektu badawczego, które punktuja różne aspekty, wzajemnie się zazębiające i uzupełniające. W rezultacie tworzy się całość nie pozbawiona wewnętrznej dynamiki, zakreślająca obszar, który obejmuje bodaj najistotniejsze dla twórczości Sterna czynniki.

Metoda taka okazała się użyteczna w przypadku twórczości niejednorodnej, meandrującej, „wybuchowej”, antynomicznej, naładowanej oksymoronicznym paliwem, co skądinąd przyczytno się do jej oryginalności. Jest zresztą sporo utworów Sterna, których jakość artystyczna mierzona w skali



Przygody futurysty

przekraczającej standardowe futurystyczne praktyki, budzi wątpliwości; nic dziwnego, że poeta swoje utwory chętnie przerabiał, jakby były brulionami.

„Krępuje mnie żółty kaftan słów” – pisał w *Zdobywaniu Paryża*, traktując swoje pisarstwo najwyraźniej jako nieustanną przygodę, nawet ryzykowną. Wyciągnął zresztą w tego różne wnioski, od hasła „Mówmy najprościej” po swoiste łamigłówki językowe, metaforyczne, wersologiczno-graficzne, które zapewne miały oddawać m.in. zagadkowość świata. Majerski cierpliwie i sumiennie rozsupluje zawężenia, zlokalizowane między „eksplozywnym” kreacjonizmem i „głodem jednoznaczności”; między nadrealizmem i ekspresjonistycznym „turpizmem”, powiązanymi z ideą wyzwolenia wyobraźni i słowa z wszelkich okowów a dyskursem niemal publicystycznym, polemicznie perswazyjnym.

Utopijno-mitologiczna wiara w moc przemian technologiczno-przemysłowych sąsiadowała wtedy z postromantyczną tęsknotą do orientalnego, czy rodem z buszu, egzotyizmu; „futuryści chcieli być dziećmi Południa, beztroskami uczestnikami niekończącego się kanawalu” – zauważa Majerski. Pozytywiści, wierzący do pewnego czasu bez zastrzeżeń w postęp, czynili bohaterami swoich utworów przedsiębiorczych inżynierów i kapitalistycznych rekinów. Futuryści artykułowali z zapalem ogólnikowe fascynacje cywilizacją przemy-

słową i tłumem, co łączy ich zresztą z młodymi skamandrytami, ale szukali natchnienia w micie Dobrego Dzikusa z czasów J. J. Rousseau, wystylizowanego przez ówczesną popkulturę np. mocarnego Tarzana. Pasował do tego kokieterijnie uprawiany infantyizm, apologia niedojrzałości, chwilami wyrażana tak, jakby twórczość miała się zamienić w serię chłopcowskich psikusów.

Szło głównie o poczucie wyzwania się z cywilizacyjnych i obyczajowych okowów, ale święto zmysłów nie mogło trwać w nieskończoność zamieniając się w „dramat gubionej podmiotowości, niemocy pogodzenia wyobraźni z realnością”, jak pisze Majerski w poemacie *Nagi człowiek w śródmieściu*. Po stronie realności pojawiły się zaś „smrodliwe rysztocki (...) dusz”, „wielkie śmietniska” czy „Skęcany bólem i wstrętem zapluskwiony raj”. Można by rzec, iż śmietnikowa wizja świata Tadeusza Różewicza m.in. w *Et in Arcadia ego...* tam właśnie się rodziła, tyle że futurysty bronili się jeszcze przed nią śmiechem i błazenadą, a autorowi *Niepokoju* już do śmiechu nie było. W futurystycznej euforii załazłki rzeczywistego dramatu, rozbudowanego później przez drugą awangardę katastrofizmu i wizji destrukcji świata między wojnami.

Wśród fajerwerków wyobraźni rodziła się jasno wyrażona w ostatnim okresie twórczości Sterna myśl, że powinność pisarza wobec nękanej przez historię ludzkości nie powinna kończyć się na frenetycznych okrzykach „dzikusa” tańczącego na gruzach szalonego świata. I wtedy właśnie powraca w zmodyfikowanej roli jeden z fetyszów jego młodości – irracjonalizm. Kiedy czyta się poemat *„Alarm nocny”*, gdzie Stern raz jeszcze powraca do irracjonalizmu, trudno nie zauważyć, że zostało tu zakreślone obszerne koło.

Futuryści fascynowali się „grą wyobraźni z rzeczywistością”, odrzucając jednocześnie „paseistyczne” poczynania Młodej Polski, i oto po latach jeden z czołowych twórców futurystyki zdaje się wracać do punktu wyjścia, do kolebki „irrealnej gwiazdy” – właśnie modernistycznej. Przecież ta epoka odkryła, iż poznanie intuicyjne, zrywające z „przemysłową” logiką może być ucieczką z więzienia egzystencjalno-poznawczego, zwłaszcza że rozwój nauki nie dawał odpowiedzi na narastające niepokoję ducha.

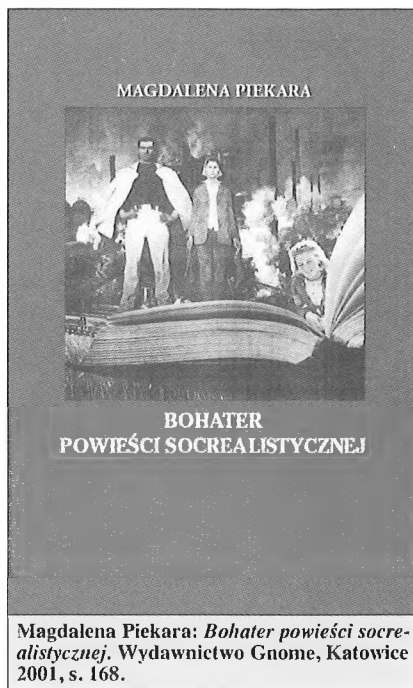
Dobrze, że ukazała się książka Pawła Majerskiego, uzupełniająca wiedzę o jakże często powikłanych dziejach polskiej poezji XX w. w sposób ważny i obiektywny. Może przypomni w czasach jeszcze triumfującego postmodernizmu o poecie, który zamiast oddawać się „ponowoczesnemu eklektyzmowi” marzył o nowatorskiej literaturze, skierowanej ku przyszłości? No cóż, awangardy nie są dzisiaj modne, ale kto wie, co przyniesie przyszłość? Na wszelki wypadek dobrze jest nie zapominać o utopiach dawnych poetów.

JAN PIESZCZACHOWICZ

Wyda się, że od lat dziewięćdziesiątych obserwujemy proces stopniowego „odzyskiwania” literatury socrealistycznej. Efekty krótkotrwałego epizodu, jakim był socrealizm w historii literatury polskiej urastają do rangi swoistego fenomenu i stawiają przed badaczami nowe problemy i zagadki interpretacyjne. Pod koniec ubiegłego roku, na łamach literackiego dodatku *Gazeta o Książkach*, chorwacka pisarka Dubravka Ugrešić, dość prowokacyjnie wykazywała podobieństwa między literaturą socrealistyczną a współczesną. Tłumaczenie fragmentu jej książki, wspomnianego *passusu* o przebrzmiałej metodzie twórczej pod znanym tytułem *Niech żyje socrealizm*, potwierdza dające się zauważyć poruszenia w interesującym temacie. Książka Magdaleny Piekary *Bohater powieści socrealistycznej* nie tylko uzupełnia listę nowych opracowań dotyczących realizmu socjalistycznego, ale proponuje spojrzenie dotąd niespotykane.

Edycja jest cenna i warta lektury przynajmniej z kilku powodów. Przede wszystkim przynosi odpowiedź na pytanie, co w ogóle można współcześnie robić z literaturą socrealistyczną, jak jej używać, jak czytać te utwory, które faktycznie nie mają miejsca w kanonie. W zasadzie można tutaj użyć określenia mniej eufemistycznego i zapytać o sposób podejścia do książek, które zwykło się określać mianem „kicze”, a które kilkadziesiąt lat temu tworzyły przecież obraz literatury polskiej. Magdalena Piekara szuka w wybranych powieściach socrealistycznych takich elementów, które rozbijałyby jednolity w założeniu model tej literatury, które pokazywałyby jego wewnętrzną niespójność i niekonsekwentność, „szczeliny systemu”. Ośrodkiem zainteresowania badaczki jest bohater - to w jego opisie i sposobie zachowań szuka owych pęknięć i wylamań z obowiązującej doktryny: „W niniejszej książce poszukiwać będziemy tego, co jest na pewno niesłychanie rzadkie w tak silnie nacechowanym arbitralnością dyskursie powieści socrealistycznych: czynów i aspektów działań indywidualnych i niepowtarzalnych, a więc pewnej części człowieczeństwa, którą będą właśnie wszystkie niekonsekwencje przedstawienia bohaterów powieści socrealistycznych. [...] Celem tej pracy nie jest zatem wszechstronne opisanie czy to postaci literackich w prozie, czy to modelowych konstatacji, lecz raczej spostrzeżenie pewnych »nieprawomyślności« z punktu widzenia doktryny marksistowskiej, które świadome, bądź nie, pojawiały się w zrytualizowanych, przesycanych nowomową formułach powieści.”

Zgromadzone w książce rozprawy zwracają uwagę czytelnika na nieopisane dotąd aspekty życia postaci pojawiających się na kartach powieści Janiny Dziarnowskiej, Zofii Drózd-Satanowskiej czy Kazimierza Koźmińskiego. Autorkę *Bohatera...* zajmuje życie ero-



Bohater socrealizmu

tyczne, obraz kobiety, wizerunek młodości, znaczenie uśmiechu i śmierci - tak najkrócej można skatalogować problemy poruszane w edycji. Badaczka niezwykle przekonująco analizuje zachowanie bohaterów prozy socrealistycznej i potrafi rozwikłać zagadki tej literatury, odkryć paradoksy i przełamać stereotypy odczytań. Książka przynosi konsekwentnie budowany i narastający wywód, w którym elementy z poprzednich szkiców wiążą się z kolejnymi odkryciami i układają w sugestywny opis zachowań bohaterów - zarówno męskich jak i kobiecych, pozytywnych i negatywnych.

Niezwykłą zaletą rozprawy Magdaleny Piekary jest zapropionowany przez nią sposób pisania. Jest on uwikłany w piętrzące się paradoksy, sprzeczności, przez które autorka się przedziera, pozornie mnożąc pytania i wątpliwości, by po szeregu wnikliwych analiz rozwikłać problem i dojść do ostatecznej konkluzji. Praktycznie każdy rozdział książki opiera się na takim schemacie - tok myślenia zostaje sukcesywnie bogaczony o nowe spostrzeżenia, które stawiają pod znakiem zapytania wcześniejsze konstatacje i ugruntowane powszechnie sądy. Z tego też powodu jakiegokolwiek streszczanie rozważań badaczki wydaje się automatycznie ich poważnym uproszczeniem, a odkrycie przed czytelnikami wniosków odbiera część przyjemności towarzyszącej lekturze. Jedynie dla przykładu wypada zaprezentować kilka uwag dotyczących treściowej zawartości edycji.

Autorka odsłania przed czytelnikiem zaskakujący wizerunek bohatera pozytywnego. O ile dywersant czy sabotażysta zwykle otrzymywał w powieściach produkcyjnych jednoznaczny etykietkę seksualną (czy to w postaci homoseksualizmu, seksoholizmu, czy za sprawą dookreślającej go bezpruderyjnej sekretarki), o tyle seks postaci pozytywnych albo należy do sfery tabu, albo w zupełności ich nie dotyczy. Cała fizjologiczna strona życia kłóci się bowiem z ascezą patronów - Lenina, Stalina i Dzierżyńskiego. A jednak autorka potrafi dowiedzieć, że o całkowitym wykluczeniu seksu nie ma mowy. Czyni to poprzez drobniagowe analizy słów i wybranych cytatów z prozy lat pięćdziesiątych, z których jednoznacznie wynika, że seks paradoksalnie pojawia się, ale zaspokajając bohatera wybranką jest... władza. Władza jako kobieta idealna pozostaje jednakże wyłącznie sprawą mężczyzn i sankcjonuje patriarchalny porządek świata.

Można spojrzeć na *Bohatera...* i z innej perspektywy, przez pryzmat ogarniających całość, znikających i znów pojawiających się, motywów. Do najważniejszych należy z pewnością zaliczyć cielesność (a raczej bezcielesność), przemoc czy znamienny wizerunek Rosjanina. Te kategorie pojawiają się niemal we wszystkich rozdziałach i tym samym sprawiają, że mamy świadomość obcowania nie z luźnymi szkicami, ale z całością, która w założonych przez autorkę ramach pretenduje do kompletności opisu. Frapujący jest według mnie zwłaszcza motyw przemocy. Staje się ona sposobem na realizację różnorodnych celów - pomaga w walce z wrogiem klasowym, jest ponadto środkiem represji wobec kobiet, zwłaszcza tych aktywnych, które są w stanie zagrozić pozycji mężczyzny, odgrywa doniosłą rolę wewnątrz kolektywu, np. ZMP. Magdalena Piekara nie stroni również od rozważań innej natury niż historycznoliteracka - zdradza przy tym kompetencje ogólnokulturowe czy teoretycznoliterackie. Przekonujące są choćby próby rozwikłania zagadnień genologicznych. Tutaj także autorkę interesują powieści wylamujące się z tradycyjnych konwencji, i choć bywa, że jest to działanie jedynie nieświadome (jak u Drózd-Satanowskiej), to prowadzi do zaskakujących spostrzeżeń.

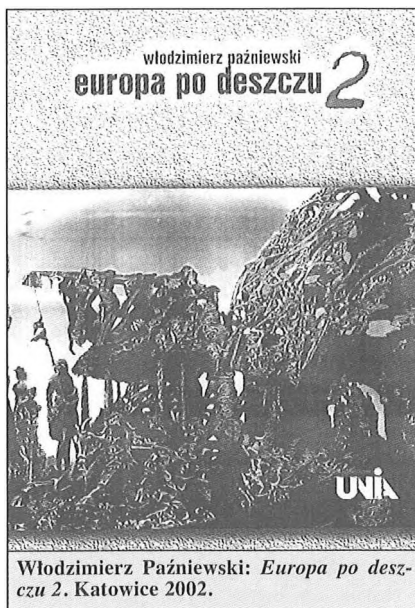
Odkrywczość rozważań, misterne i wywierające duży wpływ na odbiór interpretacje - to ostatecznie ma do zaoferowania książka Magdaleny Piekary. Poszukiwanie szczelin w dyskursie powieści socrealistycznych pozwoliło na zupełnie oryginalny sposób odczytania pozycji z lamusa. Czy autorka trafiła na perły? Niekoniecznie, ale i nie o to chodziło. Za to jej książka ma szansę stać się ważną pozycją dla wszystkich, którzy chcą odzyskać dla siebie tę część literatury polskiej.

MONIKA PETER

W ciągu kilku ostatnich miesięcy ukazały się dwa zbiory esejów katowickiego pisarza i publicysty - Włodzimierza Paźniewskiego: *Europa po deszczu* (Katowice 2001) i *Europa po deszczu 2* (Katowice 2002). Tomy łączy wspólny tytuł, który jest zarazem tytułem obrazu Maxa Ernsta. Reprodukację tego dzieła zamieszczono na okładkach obydwu zbiorów. Czytelnik otrzymał w ten sposób wskazówkę, że *Europę po deszczu 2* może odczytywać jako kontynuację tomu wcześniejszego.

Rzeczywiście najnowsza książka Paźniewskiego, podobnie jak poprzednia, jest wędrówką w czasie i w przestrzeni, w poszukiwaniu źródeł i uwarunkowań tożsamości współczesnego Europejczyka. Powracają tu problemy, wątki, a nawet postacie znane z wcześniejszego zbioru. Wspólna lektura tych dwóch części zwraca uwagę przede wszystkim na poruszane w nich tematy, prowokuje do postawienia pytania o kondycję współczesnej Europy. Powiązania pomiędzy tomami są czytelne do tego stopnia, że można wskazać odpowiadające sobie fragmenty.

Powtarzalność pewnych tematów i motywów wydaje się celowa, gdyż ukazuje równocześnie odmienne sposoby patrzenia na Europę. W pierwszej części Paźniewski poprzez drobiazgi charakteryzuje i diagnozuje europejską kulturę. Powstaje w ten sposób szczególna mapa Europy „po deszczu”. Tezy, zarysowane w pierwszym zbiorze, stają się punktem wyjścia dla esejów zgromadzonych w tomie następnym. Jednak o ile we wcześniejszym zbiorze spojrzenie stopniowo rozszerzało się od fragmentu do stwierdzeń ogólnych na temat Europy, o tyle w nowej książce następuje proces przeciwny - zawężania spojrzenia. Eseista powraca do detali. Odpowiada temu także kształt esejów, które w drugim tomie są raczej krótsze. Wcześniejsze stwierdzenia o europejskim rozproszeniu w nowych tekstach zostały odzwierciedlone w portretach konkretnych miejsc. Paźniewski opisuje dwa miasta „podzielone” między Wschód i Zachód: Triest i Lwów, przedstawia różnorodność, która dzieli, lecz także może wzbogacać. Podobnym miejscem są także Katowice - miasto, w którym pisarz mieszka już od wielu lat, ale które dotąd było raczej nieobecne w jego twórczości. W *Europie po deszczu 2* autor nie przywołuje znanych wizerunków stolicy Śląska, lecz szkicuje „duchowy” portret „miasta trzech kultur”: „Życie duchowe Katowic od samego początku musiało godzić sprzeczne dążenia i racje, ponieważ wyraźna dominacja jednej z nich stale zagrażała kruchej harmonii. Są to doświadczenia wszystkich miast wyrosłych na pograniczach kultur, czego nie należy traktować jako przekleństwa geografii, ponieważ wielość i różnorodność, co zdaje się docierać do nas dopiero dzisiaj, stwarza więcej możliwości niż zagrożeń”. Pisarz przypomina postacie znakomitych katowiczian: Henryka Mikołaja Góreckiego, laureatkę nagrody Nobla pochodzenia żydowskiego Marię Goeppert-Mayer, niemieckiego rysownika Hansa Bellmera. Obraz miasta powstaje z ulotnych wrażeń i odczuć, takich jak słowa Allena Ginsberga o katowickim blokowisku - Osiedlu Tysiąclecia: „Pudelkowe domy przypominały amerykańskiemu poecie przesyłki bez adresu, po któ-



Rozmowy na koszt abonenta

re nikt się nie zgłosił i teraz poczta ma kłopot, co tak naprawdę z nimi zrobić. Wspominał również, że można je traktować, jak opakowania na ludzką samotność”.

W *Europie po deszczu 2* uwaga została wyraźnie przesunięta ku peryferiom kultury. Eseje zamieszczone w najnowszym zbiorze uzupełniają mapę Europy „po deszczu”, są nie tylko kontynuacją tomu wcześniejszego, ale także jego dopełnieniem.

Jednakże, jak sądzę, na ten tom można również spojrzeć przez pryzmat całej eseistyki Włodzimierza Paźniewskiego. Postępowanie takie wydaje się uprawnione, gdyż zbiór zawiera znaczące uwagi o eseju. W nowej książce można dostrzec głos we wciąż aktualnej dyskusji na temat formy, która na mapie współczesnej literatury i literaturoznawstwa zajmuje miejsce szczególne. Z jednej strony jest faworyzowana, zdaje się odpowiadać niepewnym sytuacjom w kulturze, z drugiej (mimo stosunkowo licznych badań i publikacji na ten temat) esej pozostaje wciąż gatunkiem niepoznanym. Spory wokół „sztuki eseju” czy zasadności formułowania „poetyki eseju” wciąż trwają. Można powiedzieć, że nad gatunkiem ciąży fatum związane z jego nazwą (jak przypominała Ewa Bieńkowska) „Esej to właśnie nic innego jak próba [...] Coś, co w zasadzie istnieje samodzielnie [...] ale zarazem samo o sobie wyznaje - czy to nazwą, czy to wewnętrzną formą, że jest czymś niegotowym i niezakończonym, jest wprawką czyli próbownikiem”.

Takie „próby” już od lat podejmuje Włodzimierz Paźniewski - eseista, który wypracował własny styl. W kolejnych zbiorach pisarz zamieszcza refleksje na ten te-

mat. W tomie *Życie i inne zajęcia* (Warszawa 1982) pisarz dostrzega w eseju formę wypowiedzi, którą cechuje zwątpienie, nieufność, ale także jasność myśli i przejrzystość, jest sposobem pisania i sposobem życia. Następne zbiory: *Gramatyka rozproszenia* (Sosnowiec 1995), *Deportacja ogrodu* (Katowice 1996), *Biustonosz Marylin Monroe* (Katowice 1998) wiążą esej z kulturą fragmentu. Zgromadzone w nich utwory są „próbami” ocalenia tego, co rozproszone. W *Kolnierzyku Słowackiego* (Kraków 1999) odnaleźć można uwagi eksponujące charakterystyczne dla tej formy napięcia: „Esej przypomina w równym stopniu grę, co skupienie, gdyż podejmuje wyzwanie krótkiej formy i ma powiklane kontakty ze współczesnością”. Natomiast w tomie: *Europa po deszczu* autor nazywa esej „swobodną wędrówką po tematach, bez konieczności oddawania się metodzie”. W najnowszym zbiorze uwagi na temat swoistości eseju posiadają szczególne znaczenie - stają się „kluczem” do tej książki i do całej eseistyki Paźniewskiego. Według pisarza esej „[...] przypomina rozmowę telefoniczną z Panem Bogiem, oczywiście zamówioną na koszt abonenta, co tej formie wypowiedzi literackiej przydaje odrobinę dwuznaczności”. To porównanie sugeruje by spojrzeć na esej jako na próbę nawiązania nieblahego dialogu. Rozmówca bywa milczący, więc ta forma prezentuje przede wszystkim stanowisko jednej strony. Jednak (mimo wyraźnego subiektywizmu) eseje Paźniewskiego najczęściej zachowują dialogowy charakter. Uwidacznia się on zwłaszcza w tych tekstach, w których pisarz zwraca się bezpośrednio do czytelnika (np. esej *Odojewski*), bądź oddaje głos swoim bohaterom (np. eseje: *Gerszowic, Zyciorys Epikleta*) lub przytacza cudze sądy. Nazwanie eseju „rozmową z Panem Bogiem” sugeruje także podejmowanie istotnych tematów, które jednakże nigdy nie zostaną do końca wyjaśnione.

Z najnowszego tomu Włodzimierza Paźniewskiego wynika, że esej jest przede wszystkim sztuką mówienia „nie” - odzwierciedla zmagania jednostki z pułapkami zastawionymi przez wygodę, przyzwyczajenia lub propagandę. „Na dobrą sprawę jedynym prawdziwym tematem esejów jest zwątpienie, a to oznacza wojnę ze stereotypami i gotowymi odpowiedziami”. *Zbiór Europa po deszczu 2* jest głosem sprzeciwu. Eseista zdecydowanie mówi „nie” przeciętności i powszechnemu brakowi ambicji, burzy „wygodne” wizerunki, uderza w „dobre samopoczucie” i przekonanie, że „jakoś to będzie”. Eksponuje ospałość intelektualną, występuje przeciwko uładowanym wizjom historii i zbyt łatwym interpretacjom. Szuka tego, co pod powierzchnią, drąży w głąb problemów. Za Henrykiem Elzenbergiem powtarza, że najbardziej twórczą odmianą wątplenia jest „myślenie przeciwko sobie”.

Eseje Paźniewskiego są sporami i do sporów prowokują. Bywa, że nieustannie powtarzane przez eseistę „nie” wywołuje sprzeciw czytelnika, z tezami pisarza czasami trudno się zgodzić. Lecz czyż właśnie w ten sposób odbiorca nie zostaje wciągnięty w dyskusję, czyż nie staje się uczestnikiem „rozmowy na koszt abonenta”?

ELŻBIETA DUTKA

Tytułową metaforą - *Przetłumaczyć łagier* - Katarzyna Żemła otworzyła książkę, której nie sposób nie zauważyć na tle innych prac o współczesnej literaturze obozowej. Za pomocą tylko jednego słowa - łagier - autorka skierowała uwagę odbiorcy ku tekstom, związanym z nieodległą przecież rzeczywistością stalinowską i poststalinowską, przywołując zarazem rozmaite, nie tylko literackie asocjacje, mające źródło w totalitaryzmie komunistycznym, i uściślając tym samym rozległy i wielopłaszczyznowy obszar badawczy.

By *przetłumaczyć łagier*, czy raczej zrozumieć go i zinterpretować, badaczka odwołała się do efektywnej koncepcji religii politycznej, opartej na fundamentalnych pojęciach Jacques'a Ellula oraz wypowiedzi Krystyny Pietrzyckiej-Bohosiewicz. Książka Żemły zdecydowanie nie jest o polityce, ale o polityki się nie uwalnia. Przed upadkiem komunizmu w Europie uczciwe podjęcie tematu obozowego było po prostu niemożliwe. Nowe uwarunkowania polityczne, szczególnie po roku 1990, stworzyły okazję do twórczego zbadania problemu i oficjalnego posłużenia się więcej niż tylko klasycznymi egzemplifikacjami z obszaru tabu.

W pracy Katarzyny Żemły najważniejsze źródła dotyczące literatury łagrowej zostały opublikowane właśnie w latach dziewięćdziesiątych. Szczególnie płodne okazało się pięciolecie 1992-1996, a do najchętniej cytowanych przez nią polskich autorów należy zaliczyć Andrzeja Drawicza, Franciszka Apanowicza, Krystynę Pietrzycką-Bohosiewicz, Eugeniusza Czaplewicza oraz Izabellę Sariusz-Skąpską. Z ustaleniami tych właśnie badaczy - a zwłaszcza Andrzeja Drawicza - Katarzyna Żemła najczęściej polemizuje lub ich uwagi czyni prologiem własnych przemyśleń.

W podtytule książki została zawarta informacja, że w polu badawczym pozostaje rosyjska i polska **literatura** łagrowa. To informacja prawdziwa, lecz nieco myląca. Autorka analizuje bowiem jedynie utwory prozatorskie. Zabrakło natomiast analiz twórczości innej niż prozatorska, całkowicie lub częściowo opartej na temacie obozowym, jak na przykład folklor, poezja czy dramat. Zabrakło, po drugie, szerszego nawiązania do bogatej tradycji piśmiennictwa łagrowego, którego relatywnie dojrzałe początki przypadają w Rosji na lata dwudzieste XX w. i wywodzą się z czerwonego terroru, szalejącego w tym kraju od czasów rewolucji październikowej, aż do początków „pieriestrojki”. Wydaje się, że nawet krótki zwrot ku doświadczeniom literackim przeszłości umożliwiłby

Piekieł sowieckiego raju

badacze nie tylko syntetyczne porównanie piśmiennictwa łagrowego, poczynając od roku 1917, aż do stabilnej „pieriestrojki”, lecz przede wszystkim zweryfikowałby sposób funkcjonowania proponowanego przez nią trójkomponentowego modelu tejże literatury do momentu powstania analizowanych przez siebie tekstów. Po trzecie, wreszcie, literatury łagrowej nie tworzą wyłącznie analizowani przez autorkę pisarze, znakomici reprezentatywni klasycy, jak Solżenicyn, Władimow, Ginzburg, Wołkow, Szalamow czy Herling-Grudziński i dlatego decyzję o zajęciu się tak wąskim gronem twórców należało przekonująco umotywować. Z pewnością wyjaśnienie oparte przede wszystkim na odwołaniu się do magicznej mocy **kanonu** (Solżenicyn, Władimow, Szalamow), wyjątkowości stylistyczno-chronologicznej tekstu (Wołkow), osobliwości **poetyki i kompozycji** (Ginzburg), czy uznaniu konkretnego dzieła za **najlepszego przedstawiciela** wszystkich pozostałych (Herling-Grudziński) w sporej mierze czyni zadość oczekiwaniom czytelnika.

Książka Katarzyny Żemły ekspozuje dwa zasadnicze, niezależne od siebie nurty narracyjne. Pierwszy służy charakterystyce **statusu i wyjątkowości** literatury łagrowej, ściślej - bytowania oraz mechanizmom społeczno-politycznym, które ją wykształciły i przez dziesięciolecia karykaturalnie modyfikowały sferę obyczajowości. W analizie komunizmu jako quasi-religii oraz opozycji INNY/OBCY upatruję najbardziej nośnych ustaleń krytycznoliterackich, które obiektywnie poszerzają naszą wiedzę o współczesnym, pochruszczowowskim piśmiennictwie łagrowym.

Drugi z kolei nurt narracyjny prezentuje aspekty **translatologiczne**, które korespondują wprost z tytułową metaforą *przetłumaczyć łagier* i zaświadczać o przekładzie jako kreacyjno-kompromisowym procesie opartym na nieustannym dokonywaniu wyborów językowych spośród oferowanych przez oryginał możliwości. Wydaje się, że głównie leksykalne decyzje translatorów potwier-

dają poprawność wysuniętej przez Żemłę hipotezy naczelną: widzenie tego samego fragmentu rzeczywistości nie jest jednoznaczne z widzeniem takim samym. Skutki owej odmienności utrwala literatura oryginalna oraz jej wersje, czyli przekłady.

Wypunktujmy - prawie cytując - myśli przewodnie, w których autorka zawarła swoje stanowisko oraz zdemontowała nastawienie metodologiczne: 1. Rosyjska i polska literatura łagrowa są tylko pozornie identyczne, w rzeczywistości zaś istotnie się różnią. Otwarty emocjonalizm, nasycenie tekstu rozbudowanymi metaforami, epitetami, porównaniami i dążenie do uwiarygodnienia opisywanych zdarzeń stanowią charakterystyczne cechy polskiej literatury łagrowej, natomiast uczuciowe wyciszenie, emocjonalna asceza i tonowana refleksyjność - rosyjskiej. 2. Szeroko rozumianą obyczajowość INNEGO ŚWIATA i różnorodność postaw INNEGO/OBCEGO uczyniono dominantą dociekań analitycznych. Teksty kanoniczne zaświadczały o występowaniu odmienności mentalnej, kulturowej, obyczajowej oraz narodowościowej (opozycja Polak-Rosjanin). Ekspozowano analitycznie te fragmenty tekstów, które najpełniej ujawniały implikowane przez oryginał światopoglądy i zasady wnioskowania o rzeczywistości zdominowanej przez quasi-religię. 3. „Strategia tłumaczenia” zjawisk rzeczywistości obozowej jest wspólna pisarzom rosyjskim i polskim. Literatura łagrowa ze względu na prezentację idiomatyki dotyka istotnych problemów translatorycznych. Materiał wyjściowy staje się dla tłumacza nie tylko stylistycznym polem doświadczalnym, ale także obszarem różnorodnych nadużyć. Postępowanie tłumacza jest efektem działania określonego paradygmatu interpretacyjnego kultury języka przekładu.

Pewne usterki redakcyjne nie pomniejszają wartości ambitnej i wnikliwej, wymagającej sporej wiedzy książki jako całości i jej istotnego miejsca wśród klasycznych opracowań literatury łagrowej. Spodziewam się, że po Drawiczu, Apanowiczu, Czaplewiczu i Sariusz-Skąpskiej właśnie Żemła będzie wymieniana jako następny badacz, który powiedział coś nowego i istotnego o literackich osobliwościach łagrów, wpisanych w dzieje najnowsze.

GRZEGORZ OJCEWICZ

Katarzyna Żemła: *Przetłumaczyć łagier. Rosyjska i polska literatura łagrowa we wzajemnych przekładach*. Katowice: „Śląsk” 2000, 185 s. [Biblioteka „Przeglądu Rusycystycznego”, nr 2].

Gimnazjum św. Jacka weszło do legendy mojej rodziny. Z ust ojca, Teodora Lubiny, który chodził do tej placówki przez trzy lata, wiedziałam, że była to szkoła niezwykła. To ona, obok katolickiego domu rodzinnego, ukształtowała go na całe życie, nauczyła samodzielnie myśleć i wybierać. Dała mu system wartości czerpiący z tradycji chrześcijańskiej i polskiej oraz wsczepiła na zawsze niezgodę na zniewolenie.

Ojciec był dumny, że był „Jackowiczem” i żałował, że córka i synowie musieli chodzić do szkół, które - lepiej lub gorzej - ale podporządkowane zostały zadaniom laicyzacji i wychowania „do życia w socjalistycznej rodzinie”, jakie stawiały polskiemu szkolnictwu władze państwowe i partyjne Polskiego Ludu. Dlatego często opowiadał nam o „Jacku” - szkole kształcącej ludzi niezłomnych, prawych, uczciwych, w której specyficznie religijne nauczanie poza religią się nie wyczuwało, a wręcz przeciwnie, w której zapoznawano uczniów z możliwie wieloma światopoglądami i uczeno ich dokonywania świadomych wyborów. Z szacunkiem mówił o wspaniałym wychowawcy, katechecie i dyrektorzem „Jacka”, księdzu biskupie Ignacym Jeżu, opowiadał o nauczycielach, harcerstwie, Sodalicii Marińskiej, o kolegach. A my słuchaliśmy z zapartym tchem. Wiedzieliśmy, że opisując niezwykłość swej szkoły ojciec nie przesadzał, bowiem codzienną postawą wobec peerelowskiej rzeczywistości dawał nam świadectwo, że nauki pobrane przez niego w „Jacku” nie poszły w las.

Teraz - choć ojciec już nie żyje od sześciu lat - mogę znów podążać ścieżkami jego młodości. Czynię to dzięki pracy zbiorowej pod redakcją Jerzego Skwary - kolegi ojca z ławy szkolnej - po raz pierwszy, w przeszło pół wieku po likwidacji szkoły przez ideologów systemu komunistycznego, szeroko, bez przekłamań i bez ogródek przedstawiającej dzieje szkoły.

Męskie Gimnazjum św. Jacka założył w 1935 roku biskup śląski, ks. Stanisław Adamski, wzorując się na znanym ośrodku kultury i nauki katolickiej w belgijskim Louvain. Miało być jedną ze szkół systemu szkolnictwa obejmującego kształcenie podstawowe, średnie i wyższe. Gimnazjum kształciło młodzież, jak głosił statut szkoły, przygotowując ją do czynnego udziału w życiu państwa i Kościoła katolickiego. Miało Śląskowi przysporzyć warstwę rodzimej inteligencji. Kładło na kształcenie humanistyczne - co odróżniało „Jacka” od równie znakomitej placówki oświatowej, jaką były Śląskie Techniczne Zakłady Naukowe. Pierwszy cios szkole zadała wojna i hitlerowska okupacja. Zawieszono



Szkoła ludzi niezłomnych

zajęcia, a Niemcy usunęli ze znajdujących się w gmachu kurii pomieszczeń szkoły jej wyposażenie, rabując dokumentację i szkolne biblioteki - uczniowską i nauczycielską. Co prawda budowa przeznaczonego dla „Jacka” gmachu przy ul. Wita Stwosza została ukończona w lipcu 1941 roku, ale aż do wyzwolenia Katowic mieścił się w nim „Haus der Wehrmacht in Kattowitz”. Jednak już trzy miesiące później, 5 maja 1945 roku, Prywatne Gimnazjum Katolickie Męskie im. Św. Jacka w Katowicach zostało otwarte, a naukę w odzyskanym gmachu „Katolickich Zakładów Wychowawczych im. Św. Jacka” podjęło 203 uczniów pod pieczę ojców jezuitów przybyłych z Chyrowa (który znalazł się poza granicami Polski). Po roku jezuita ustąpili pola nauczycielom świeckim, a katechetą, a później dyrektorem „Jacka” został ks. Ignacy Jeż, któremu wraz z gronem pedagogicznym przyszło nie tylko kształtować postawy i wiedzę młodych wychowanków, ale i opierać się coraz mocniejszym szykanom komunistycznych władz. Ks. Ignacy Jeż czynił to aż do momentu, w którym ks. bp Adamski zdecydował zmienić charakter szkoły i przekształcić ją w 1950 roku na Niższe Seminarium Duchowne im. Św. Jacka. To w podziękowaniu dla ks. Ignacego Jeża, dziś 88-letniego bi-

skupa-seniora polskiego episkopatu, Jerzy Skwara wraz z innymi wychowankami „Jacka”, przygotowali tę pionierską pracę.

Utkana jest ona ze wspomnień i wydobytych, a dotąd uważanych za zaginione, dokumentów. Przedstawia nie tylko wspaniałe, ale i heroiczne dzieje szkoły, sytuując je na tle sytuacji politycznej, w jakiej przyszło się im kształcić po II wojnie światowej. W 1948 roku Urząd Bezpieczeństwa aresztował trzech uczniów „Jacka”, Zdzisława Kasiarza skazano na 6 lat więzienia, Jerzego Chęcińskiego na 5 lat i Ryszarda Kulana - na 3 lata. To był pierwszy sygnał prawdziwego kursu nowej władzy. Potem czyniono bezowocne próby namawiania profesorów i uczniów do współpracy. Rozpoczął się atak prasy. W końcu w 1950 roku szkole odmówiono praw państwowych i egzamin dojrzałości uczniowie klasy maturalnej musieli zdawać ze wszystkich przedmiotów jako eksterniści przed wyznaczoną, starannie „dobraną” przez Kuratorium komisją, która miała zadanie wykażać, że szkoła nadaje się jedynie do likwidacji ze względu na niski poziom nauczania. Paradoksem było to, że ta elitarna szkoła szczyła się najwyższym poziomem nauczania, ale była - jak to napisał jeden z jej wychowanków - „żądłem w ciełe komunistycznych mocodawców”. Komisja kuratorska wypełniła przykładowie nałożone na nią zadanie wyrwania owego żądla. Świadectwo maturalne otrzymało tylko 6 uczniów, egzaminu nie zdało 16. Taka była cena za to, że „Jacek” odważył się być jedyną wolną, naprawdę niezależną od jakichkolwiek wpływów politycznych i ideologicznych, szkołą w województwie. Wtedy to, z troską o przyszłość wychowanków szkoły, biskup Adamski zdecydował się zmienić jej charakter. Ale i to nie uchroniło szkoły od szykan. Władze odebrały jej gmach przy ul. Wita Stwosza, a Niższe Seminarium Duchowne im. Św. Jacka żywot zakończyło ostatecznie w 1962 roku nie godząc się wypaczać obrazu świata swych wychowanków.

„Tak się zamyka historia szkoły. Zostało przeświadczenie, że stalinizm, który sztydził z nauki, deprawował młodzież, usiłował zniszczyć system wartości niesiony przez dom i Kościół - ten stalinizm to nie tylko jego ideologowie i przywódcy państwa komunistycznego. Ten stalinizm to także uczestnicy przemocy dokonanej na uczniach św. Jacka. (...) Od przeszło pół wieku szkoły św. Jacka już nie ma. Zostało tylko tyle, że przeszło 50 lat temu dała uczniom „Jacka” zasady i niezgodę na zniewolenie. Czy to mało?” - pisze Jerzy Skwara. To ogromnie wiele - mówię to z wdzięcznością.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

Ewa Sławkowa, Jadwiga Warchol: *Współczesne przekłady utworów Mickiewicza (Studia kulturowo-literackie)*. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2000.

Publikacja E. Sławkowej i J. Warchol to kolejna książka z cyklu *Studia o przekładzie* (pod red. P. Fasta). Autorki omawiają tłumaczenia *Pana Tadeusza*, *Sonetów krymskich* oraz *Dziadów* na język francuski i angielski odwołując się do tektologii kontrastywnej. Proces tłumaczenia jest szczególnym przykładem dialogu kultur, wszak tekst docelowy powinien uwzględniać kulturowo-literacki wymiar oryginału, etnoretorykę, właściwy danej kulturze system wartości, symboli, archetypów. W przypadku translacji *Pana Tadeusza* interesująco omówiona została strategia poszukiwań językowo-kulturowych ekwiwalentów polsko-litewskiej kresowości. Zestawienie XIX- i XX-wiecznych tłumaczeń *Inwokacji* ukazuje strategie translatorskie, których wspólnym mianownikiem jest płaszczyzna kultury, sięgająca swymi korzeniami tradycji grecko-rzymskich. W osobnym rozdziale (III) poddany został analizie sposób przekładu powszechnie znanego Polakom czterowiersza *Inwokacji* („Litwo! Ojczyzno moja!”) z wpisaną weń kategorią ojczyzny. We francuskich przekładach pojawia się słowo *la patrie* (jednokrotnie *le pays*), w angielskich, obok spodziewanego *the country* występują także: *the fatherland*, *the motherland*, *the home*, *the homeland*. W procesie przekładu nie wystarczy znaleźć leksykalne odpowiedniki dla *świerzopu*, *gryki*, *dziesięliny*, trzeba rozpoznać także pokłady Mickiewiczowskiego humoru, patosu, liryzmu. O ile w przypadku *Pana Tadeusza* wyzwaniem dla tłumacza jest polsko-litewski kontekst historyczno-kulturowy, o tyle w przypadku *Sonetów krymskich* ich żywioł liryczny i wrażenia zmysłowe. Odpowiedniość znaczeniowa między oryginałem a przekładem nie polega na tożsamości form językowych (pół leksykalno-pojęciowych), w świetle gramatyki kognitywnej - a do niej odwołują się autorki - konstruowanie tekstu docelowego uwzględniać musi sposób percepcji świata właściwy danej kulturze. Tłumaczenie tekstu jest jego interpretacją, indywidualnym aktem poznawczym tłumacza, wynikiem „rozpoznania” i rozumienia przekładanego tekstu - przypominają E. Sławkowa i J. Warchol w zakończeniu książki, która - na szczęście - nie jest adresowana jedynie dla wytrawnych tektologów. (ak)

Aleksander Wilkoń: *Z dziejów języka literatury polskiej*. Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Katowice 2001.

Na książkę składa się 17 szkiców dotyczących polszczyzny literackiej od średniowiecza po współczesność. Autor - znany badacz języka artystycznego, w l. 1980-81 dziekan Wydziału Filologicznego UŚ - rozpoczyna omówieniem mało znanego średniowiecznego wiersza (*Kwiatek czysty smutnego sierca*) a kończy uwagami nad stylem poezji i prozy Stanisława Piętaka. Miłośnicy literatury barokowej usatysfakcjonowani będą niewątpliwie wnikliwymi uwagami A. Wilkońa dotyczącymi stylów literackich tej epoki: potocznego, panegirycznego, wanitatywnego i reistycznego. Renesansowa zasada *claritas* i *decorum* w gęstej i intensywnej poetyce barokowej podlegała zaskakującym modyfikacjom. W szkicach A. Wilkońa zagustować mogą także miłośnicy Adama Mickiewicza (uwagi o polszczyźnie *Pana Tadeusza*, etosie Kresów, motywie sadu), Juliusza Słowackiego, Henryka Sienkiewicza, Stefana Żeromskiego, Anny Kamieńskiej. Warto dodać, iż jeden ze szkiców poświęcony został właściwościom stylistyczno-językowym śląskiej baśni magicznej. (ak)

Krystyna Faliszek, Krzysztof Łęcki, Kazimiera Wódz: *Górnicy. Zbiorowści górnicze u progu zmian*. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2001.

W latach 1995-1997 przeprowadzone zostały wśród górników dawnego województwa katowickiego badania

w ramach projektu „Procesy marginalizacji tradycyjnych zbiorowości robotniczych miast Górnego Śląska” sfinansowanego przez Komitet Badań Naukowych. Badania zrealizowano w Zakładzie Badań Kultury Współczesnej Instytutu Socjologii Uniwersytetu Śląskiego. Uzyskany w toku badań materiał empiryczny (wraz z komentarzem i prognozami), jest - jak pisze we wstępie prof. Kazimiera Wódz - „zapisem stanu świadomości społecznej specyficznego segmentu populacji mieszkańców”. Przemiany transformacyjne na Śląsku i w Zagłębiu wiążą się z deindustrializacją, „kłopotliwym dziedzictwem” przemysłu wydobywczego; wyniki badań potwierdziły poczucie zagrożenia, degradacji, niepewność i obawy przed bezrobociem. Zebrany wśród respondentów materiał (w dołączonym aneksie znajdują się wszystkie pytania ankietowe) przynosi m.in. także dane dotyczące autoidentyfikacji regionalnej, stosunku do gwary, relacji między Ślązakami, Zagłębiakami a ludnością napływową. Zonę ze Śląska wybiera tylko co dziesiąty respondent Zagłębiak - choć większość respondentów (9 przypadków na 10) deklaruje, że pochodzenie żony nie miało wpływu na decyzję zawarcia małżeństwa. Ostatni rozdział książki zatytułowany *Próba prognozy* to ocena społecznych skutków reform w górnictwie na tle procesów restrukturyzacyjnych, jakie zaszły w Wielkiej Brytanii i w Niemczech. Deindustrializacja wywołuje wszędzie te same skutki: wzrost bezrobocia i problemy z przystosowaniem się do ponowoczesnego rynku pracy. Dopiero przyszłe badania wykażą, czy społeczne koszty restrukturyzacji górnictwa nie były zbyt duże - w stosunku do zapowiadanych przez twórców reformy oszczędności. (ak)

Polska szkoła: edukacja a rozwój lokalny i regionalny. Red. Dorota Czakon, Janina Kosmala, Marek S. Szczepański. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Częstochowa - Katowice 2001.

Zebrane w publikacji materiały są pokłosiem piątego seminarium Zakładu Socjologii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, jaki odbył się w listopadzie 2000 r. Materiały seminaryjne podejmujące problem kapitału społeczno-kulturowego podzielone zostały na cztery rozdziały tematyczne: I - wyzwania i tendencje w rozwoju lokalnym i regionalnym, II - egemplifikacja przemian lokalnych i regionalnych, III - edukacja a bezrobocie i lokalny rynek pracy, IV - oblicza edukacji. Publikacja oddaje charakterystyczną dla metody seminaryjnej wielowartość: obok rozważań na temat procesów globalizacji i makdonaldyzacji, kryzysu edukacyjnego, spotykamy szczegółowe relacje z badań sondażowych dotyczących poczucia tożsamości regionalnej i kulturowej wśród młodzieży, rynku pracy, patologii rodzinnych, barier edukacyjnych. Do negatywów społeczno-kulturowych związanych ze zjawiskiem bezrobocia prof. Szczepański zalicza generację sfrustrowanej młodzieży tzw. pokolenie blockersów. Dorota Czakon omawiając problem bezrobocia przypominała, że szokowy model urynkowania gospodarki i jej prywatyzacji doprowadził do drastycznego kryzysu produkcji oraz spadku popytu konsumpcyjnego i inwestycyjnego przy jednoczesnym osłabieniu barier celnych. Bezrobocie dotknęło w Polsce głównie ludzi młodych oraz kobiety. Jego społeczne i psychologiczne skutki są katastrofalne: rodzą poczucie upokorzenia i nawykową agresywność. Przemiany transformacyjne mają wpływ na preferencje aksjologiczne młodzieży, rodzą zjawisko polaryzacji postaw wartościujących. Jak przypomina Bogumiła Kosek-Nita ujawniły się nowe trendy w postawach wobec życia rodzinnego: niemal 35% młodzieży uznaje życie bez stałego partnera a 26% preferuje bezdzietność. Nieugruntowane poczucie „Ja” jest przyczyną zachowań ucieczkowych - w rzeczywistość wirtualną, uzależnienia i subkultury. (ak)

Lubię trafiać na podobne historie. Zwykło się je kwitować: „Ślązak, a mu się udało”. Że takie zwierzę istnieje, przekonuję się szczególnie w ostatnich latach, kiedy nowocześni i wykształceni Ślązacy, już z pokolenia pozbawionego kompleksów, potrafią stanąć w pierwszym szeregu polskich (i nie tylko) menedżerów, artystów, polityków.

W moim prywatnym polowaniu na tych, którym się udało, trafiam też okazy historyczne. Te postaci, koleje ich losu i osiągnięcia, wyrrywają zęby obiegowym opiniom o tradycyjnej ponoć dupowatości Ślązaków, która zawierać się ma w przysłowiu „siedź w kącie, znojdą cię”. Ostatnia zdobycz pochodzi z czasów gomulkowskiej nocy, a o wyjątkowości postaci zaświadcza sam Stefan Kisielewski. W „Dziennikach” pod datą 21 lutego 1970 roku, zapisał:

„Odwiędził mnie p. Teodor B. (Brachmański), mój stary znajomy z »Ars Polony«, z którym w roku 1962 jeździliśmy do Francji i Niemiec ustalać umowy muzyczne z wydawnictwami nut. B., wówczas dyrektor działu muzycznego »Ars Polony«, dziś prowadzi sklep »Cepelii« w Brukseli z filią w Holandii. Prowadzi go na zupełnie wyjątkowych zasadach, bo jest tam jedynym Polakiem, zatrudnia 27 osób, towar kupuje w kraju za dewizy, a tam ceny ustala samodzielnie. Żeby tak wyglądał nasz handel zagraniczny, to byłoby coś, niestety jest to wypadek wyjątkowy, jak i sam B. Ślązak, syn górnika, uczestnika powstań śląskich i hallerczyka, poliglota, wieloletni pracownik NIK-u, partyjny, jest w istocie z zamiłowania i zdolności handlowcem, ale handlowcem uczciwym - cud, że się taki w naszych stosunkach uchował...”

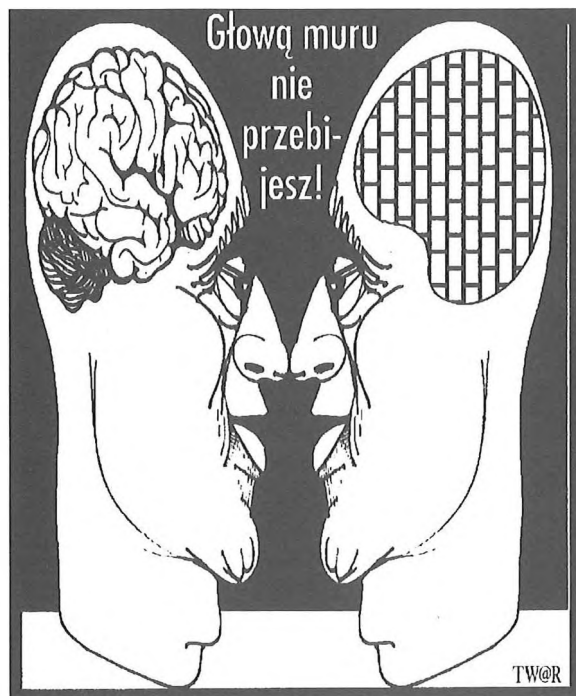
Trudno o więcej komplementów od tęskniącego za wolnym rynkiem Kisiele. Dla człowieka zaradnego, handlowca, powiedzielibyśmy dzisiaj - biznesmena, który w czasach gospodarki nakazowo-rozdziałowej wybił się na prekursora wolnego rynku.

Teodor Brachmański. Może jeszcze żyje. Jak się potoczyły dalej jego losy? Czym się zajmował po powrocie z brukselskiej placówki? Wrócił do NIK-u czy został „kapitanem socjalistycznej gospodarki”, jak w czasach Gierka zwykło się nazywać menedżerów?... Korci się dowiedzieć. Zygmunt Brachmański, katowicki rzeźbiarz, obiecuje rozpytać u rodziny, rozsiadłej między Radlinem, Rydułtowami i Pszowem. Niestety, ani śladu po Kisielowym przyjacielu. Sprawdzam sam pana Zygmunta: dzwonię pod kilkanaście telefonów, wszędzie pudło, a pod wodzisławskim numerem miły głos tłumaczy, że „rodzina jest bardzo rozległa, trudno bę-

BLOC -NOTES

dzie znaleźć jakieś ślady. Dzwonił pan do Zygmunta Brachmańskiego? Tak? No, jak wujek Zygmunt nie wie, to znaczy, że nikt nie wie...”

Teodor. Piękne imię od wodza Ostrogotów, dziś *démodé*, choć dawno temu na Śląsku nierzadko spotykane. Teodor Brachmański. „Syn powstańca”, przedstawia go Kisielewski. „Encyklopedia Powstań Śląskich” podpowiada: Win-



centy Brachmański, górnik i powstańca śląski, rocznik 1898. Ojciec Teodora?... Urodzony w Zabrze, tamże od 1920 roku zaprzysiężony w POW Górnego Śląska. W czasie kampanii plebiscytowej ochraniał wiecze polskie. Podczas III Powstania Śląskiego był dowódcą plutonu w 2. baonie Augustyna Gruchla, w pułku zabrzańskim Fryderyka Szendzielorza. W międzywojniu zamieszkał w Pawłowcu, a w 1939 roku został dowódcą baonu rudzkich ochotniczych Oddziałów Powstańczych.

Wywieziony za okupacji do Niemiec, po wojnie pracował w kopalni „Walenty-Wawel” w Rudzie Śląskiej. Odznaczony m.in. Śląskim Krzyżem Powstańczym i Srebrnym Krzyżem Zasługi. „Od 1948 członek PZPR”, podaje wydane w 1982 roku dzieło.

To wszystko, niczego się więcej nie dowiedziałem. Prywatne polowanie na tego, któremu się udało, powiodło się połowicznie. Trzeba się zadowolić drobną zwierzyną. W nowojorskim „Nowym Dzienniku” czytamy: „27-letni Tomasz Pławner był członkiem 4,6-tysięcznej załogi lotniskowca „Enterprise”, który 7 października 2001 roku jako pierwszy zaatakował rakietami afgańskich talibów. Jego przygoda w marynarce USA potrwa kilkanaście lat”.

Pławner, czyli po naszymu Pławner. 11 września ub. roku oglądał zamach na WTC na ekranie telewizora. Nawet zapomniał o swoich urodzinach, przypadających na 14 września. „Trudno było uwierzyć w to, co działo się w kraju. Nastroj wśród marynarzy na lotniskowcu był taki, że nikt nie chciał już wracać do domu, chociaż po kilkumiesięcznym rejsie każdy młody marynarz nie mógł doczekać się powrotu do rodziny. Na pięć dni przed 7 października 2001 roku załoga „Enterprise” wiedziała już, że prezydent Bush wydał rozkaz ataku na Afganistan, a z ich pływającej fortecy miała uderzyć pierwsza fala ataków na talibów. Uderzenia trwały nieprzerwanie przez następne trzy tygodnie. Wykonano w sumie ponad 700 lotów bojowych, zrzucono tysiące ton bomb”.

A na okręcie, przy stanowisku komputerowym, siedział Tomasz Pławner. Dziś już Tom Pławner.

Jako 4-letni chłopiec przyjechał z rodzicami do Stanów Zjednoczonych. „Po tym, jak Janusz Pławner, ojciec Tomka, nostryfikował dyplom lekarski w USA i rozpoczął pracę w Nowym Jorku, rodzina osiadła na stałe w Stuyvesant Town - osiedlu w dolnej wschodniej części Manhattanu. Mieszkają tam od 1980 roku do dzisiaj. Ojciec praktykuje jako urolog na Manhattanie, mama, Bożena, jest lekarzem dentystą i profesorem na

Uniwersytecie Nowojorskim w College of Dentistry”.

Chłopak skończył prawo i zapisał się do szkoły oficerów marynarki USA. „Urodziłem się w Polsce, ale uważam się za Amerykanina polskiego pochodzenia”. Matka mówi, że chłopak marzy, żeby zostać admirałem albo przynajmniej kapitanem.

Tomasz Pławner urodził się 14 września 1974 roku w Katowicach.

MAREK BASTER

O śmierci Olgierda dowiedziałem się przechodząc pod jego domem. Samo centrum Katowic, stara charakterystyczna kamienica tuż przy rynku, ostre słońce jeszcze nie wiarygodnego przedwiośnia. Dzwonił jego syn, Jurek, znany fotograf, po chwili Beata Netz. Więc nie żyje. Nagła śmierć, nikt nie przypuszczał, że tak nagle właśnie, nikt nie słyszał, żeby chorował...

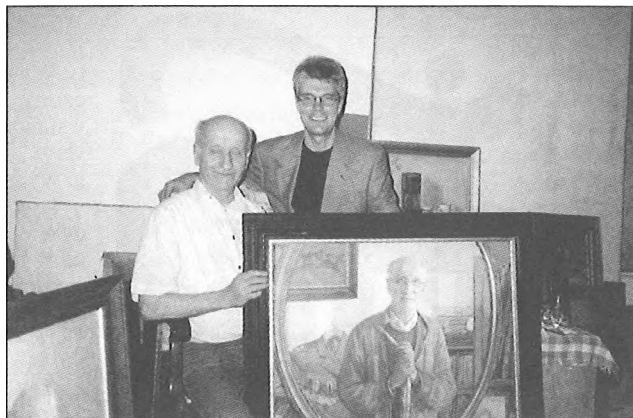
Pamiętam jak przystanąłem i zadarłem głowę. Robiłem tak często w tym miejscu. Baniasta wieżyczka, tuż pod nią okna jego mieszkania, jedno zawsze zasłonięte ekranem, jakby zamglone. W tym pokoju malował, na wysokich półkach trzymał obrazy, tam czuć było najsilniej ostry przyjemny zapach farby. Olgierd.... szczupła ruchliwa sylwetka, prawie zawsze emocja w głosie, fertyczność. Zawsze mnie dziwiła, trochę bawiąc jednocześnie - sprawność z jaką wskakiwał na te półki ze starymi obrazami, błyskawicznie znajdował szukane płótno, „przepływał” z nim do drugiego pokoju, ustawiał - i zaraz potem: „No?!, co sądzisz, który lepszy? Ten? Ale ten chyba też nienajgorszy? No popatrz... Albo jeszcze porównaj, zaraz przyniosę...” Takim pamiętać go musi każdy, kogo dopuścił do siebie bliżej. Kto mógł go odwiedzać.

Więc stałem na dudniących tramwajami ulicy i patrzyłem w okna Olgierda. A potem pomyślałem zaraz „jak to dobrze, że zdążyliśmy zrobić te dwie ostatnie wystawy. Że tak się cieszył”.

★ ★ ★

Był bez wątpienia jednym z najważniejszych polskich malarzy, którzy w drugiej połowie zeszłego już stulecia uwierzytnili artystycznie żywotność realizmu. Kiedy dokładnie rok temu przygotowaliśmy wspólnie dużą ekspozycję z okazji 50 lat jego malarstwa, była to dla mnie podróż zdumiewająca i krzepiąca zarazem. Przede wszystkim uświadamiała imponującą samodzielność w dokonywaniu wyborów, w decydowaniu o rodzaju i kierunku twórczej drogi. Przypomina się niegdyś uważył Jerzego Madeyskiego. Krytyk, jak zawsze przenikliwie, zauważył, że Bierwiazzonek podążał niejako „pod prąd, nurtów, z którymi ruszyła /została porwana?/ zdecydowana większość twórców jego pokolenia. Czyli od sztuki schyłku XIX i początku XX wieku, ku ostatnim bądź choćby przedostatnim odkryciom stulecia. Olgierd od początku spontanicznie i chyba intuicyjnie wybierał sztukę ukazującą rzeczywistość. Zwłaszcza człowieka. Pamiętam jak lubił przypominać pewne powiedzenie Eibischa /studiował w jego pracowni w warszawskiej ASP: „Och, to takie prawdziwe!”.

Realizm - termin nieostry. Wielko-
usty. Mimo pozornej jednoznaczności



Olgierd Bierwiazzonek wraz z autorem wspomnienia.

Foto: ARC autora

Wspominając Olgierda Bierwiazzonek

lubi otaczać się swiłą dookreśleń. Najchętniej przymiotników. Ciekawe, że wyjmowane są najczęściej z przeciwnych przestrzeni estetycznych, filozoficznych i emocjonalnych. W przypadku Bierwiazzonek taki sam kłopot. Podobny proces. Bez trudu klasyfikujemy jego sztukę jako realistyczną właśnie. Tymczasem po bliższym przyjrzeniu obiektywizm i analityczność okazują się jeżeli nie pozorne, to przynajmniej osłabione stosunkiem emocjonalno-uczuciowym. Jeszcze ważniejsze jest chyba wyeksponowanie samej materii artystycznej, zanurzenie „oczywistości” postaci i przedmiotów w przestrzeni już ściśle malarskiej.

A szlachetność owej płaszczyzny jest poruszająca! Olgierd Bierwiazzonek prezentował komunikatywność w mistrzowskim wydaniu. Więź wolności z tradycją przemawia tutaj nie przez mnożenie czy dodawanie środków /sposobów/, ale przez wyrafinowaną o s z c z ę d n o ś ć. Ograniczając np. do minimum operowanie pełnym kolorem uzyskiwał niebywałą ilość niuansów. I - jeszcze - ta procentująca w sztuce siłą, wigorem, jednością życia - ciągła ciekawość detalu. Kontur konkretny.

Bez jaskrawych kontrastów, bez natrętnych dysonansów i efekciarskiej deformacji, ale też bez bezradnej dosłowności - Olgierd Bierwiazzonek objawiał przed nami teatr powszedniego dnia. Zawsze gdy głębiej spojrzeć - zdumiewający. Zawsze żywny artystycznie.

★ ★ ★

Jego malarstwo to przede wszystkim portrety i martwe natury. A martwa natura „demaskuje, nie może być ani narodowa, ani religijna, ani folklorowa, ani robotnicza, słabemu malarzowi wykazuje jego słabość bez ogródek!” - pisał Jan Cybis.

Przeglądałem z Olgierdem dziesiątki jego płócien z okresu /ponad!/ półwiecza. I dostrzegalem z przejściem jak powolne, acz wyraźne zmiany zachodziły w jego martwych naturach. Od wyraźnie zgaszonych barw, brązów, złamanych zieleni i żółci /ongis Alfred Ligocki pisał, że spokrewniają go z Boznańską/ do najsłabniejszych wnikięć w naturę substancji i bryły. Właśnie tutaj pojawiają się te słynne, niezliczone i drobne dotknięcia pędzla. „Wibrujące plamki Bierwiazzonek” /Ligocki/, skąd wrażenie „puszystości materii” /Madeyski/. A wszystko jakby przez mgiełkę, ściszone. Więc nie wprost.

Ta sama technika zastosowana w portretach daje sugestywny efekt psychologicznej prawdziwości. I znowu: lakoniczność, celność stosowanych środków. Twarze są łagodne i przezroczyste jak jedwabny żagiel. Kiedy indziej jakby ociosane samotnością i ciszą. Znieruchomiale. Taka

sytuacja, takie przejście przez inne, obce najczęściej twarze, niegdyś wewnątrz, przedmioty i kwiaty - miało dla mnie, rok temu, głęboko osobisty wymiar. W końcu powiadają, że widzieć - znaczy wierzyć.

★ ★ ★

Olgierd Bierwiazzonek nie żyje. Zmarł artysta znakomity, który uwierzył w malarstwo i wiary tej nigdy nie stracił ani się nie wyżył. Który, jak by to nie brzmiało patetycznie, ufał jego sile i prawdzie.

Był erudyta rozkochanym w kunszcie wielkich mistrzów, zwłaszcza Vermeera i Rembrandta, bywalcem największych galerii i muzeów Europy, znawcą i namiętnym miłośnikiem sztuki. Potrafił cytować z pamięci obszerne fragmenty swoich ulubionych: Prousta, Dostojewskiego, Słowackiego, Staffa...

Znaliśmy się z górą dziesięć lat. Śląskie środowisko plastyczne pamięta go także jako organizatora i działacza ZPAP, a później ZPAMiG-u. Burzliwe czasy tudzież nieugięta lewicowość Olgierda /starczy zerknąć na biograficzną notkę, by zrozumieć jej korzenie/ sprawiły, że miał wielu oponentów. Wiedział o tym. Roznamiętniał w sporach i argumentacjach. Dziś to wszystko już dym, mgła i nic. Pozostaje jak zawsze sztuka. I tylko ona ma szansę przetrwać.

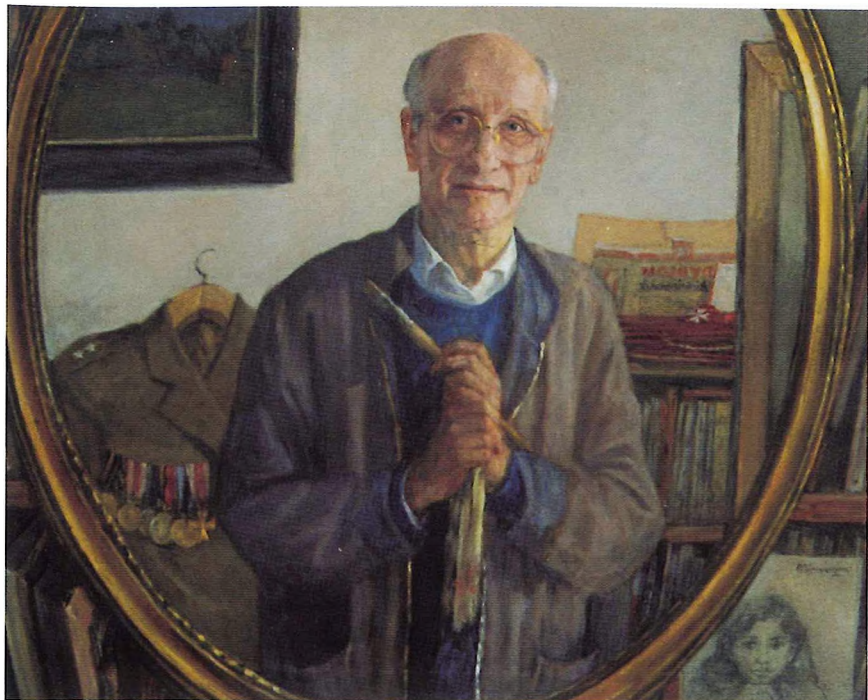
Na setkach współczesnych obrazów oglądam puste miejsca.

Po wzruszeniu, nadziei, po pięknie, po drugim człowieku.

Olgierd Bierwiazzonek, kiedy patrzę na jego prace, przekonuje - dziś być może jeszcze bardziej - że to wszystko jest.

Naprawdę jest!

MACIEJ M. SZCZAWIŃSKI



Autoportret ilustrowany



Portret ojca



Gruszki



Mostek Jurgów



Martwa natura



Sledzie

**Olgierd
Bierwiaczonek**



„Rada Miejska Katowic i jej członkowie w latach 1866 - 1939” - pod takim tytułem Muzeum Historii Katowic i Miasto Katowice zorganizowały z końcem minionego roku wystawę, prezentującą historię tworzenia się samorządności miasta Katowice. Przypomniano wiele znacznych postaci, które zasłużyły się dla rozwoju miasta.

Po raz pierwszy wybory do Rady Miejskiej i Magistratu odbyły się 5 marca 1866 r. Ówczesna ordynacja wyborcza miała na celu umocnienie w miastach bogatej warstwy obywateli, dlatego wyborców obowiązywał cenzus majątkowy. W praktyce członkowie rad miejskich musieli posiadać nieruchomości. Radnych wybierano co sześć lat, co dwa lata jednak ustępowała jedna trzecia radnych, a na ich miejsce wybierano nowych członków.

W 1866 r. na przewodniczącego Rady Miejskiej

skiej wybrano dr. Richarda Holtzego, gorącego orędownika nadania Katowicom praw miejskich.

W pierwszym okresie po uzyskaniu praw miejskich przez Katowice Magistrat urzędował w prywatnym mieszkaniu burmistrza a Rada Miejska najpierw w hotelu Welta a następnie de Prusse. W 1871 r. miasto wynajęło pomieszczenia w budynku Immerwalta przy Grundmannstrasse (obecnie 3 Maja), a w trzy lata później budynek na rogu Friedrichstrasse i Friedrichsplatz. Po wybudowaniu w tym miejscu teatru, ratusz przeniesiono do byłego Hotelu de Prusse, który pełnił tę funkcję do wybuchu II wojny światowej.

W 1919 r. wybory komunalne odbyły się według nowej ordynacji wyborczej.

Jeszcze przed przejściem ziemi śląskiej przez wojsko polskie na urząd burmistrza wybrano 6 lutego 1922 r. Alfonsa Górnik. W 1922 r. stanowisko to objął dr Adam Kocur i piastował je do 3 września 1939 r.

Z czasem ratusz miejski przy ulicy Pocztowej stał się mały. Dlatego też w latach 1929-1931 zbudowano nowy budynek na potrzeby władz miejskich przy ulicy Młyńskiej - stanowi on siedzibę władz miasta po dziś dzień.

Pierwsze wybory w polskiej części Górnego Ślą-



Jan Piechulek



Włodzimierz Dąbrowski



Alfons Górnik



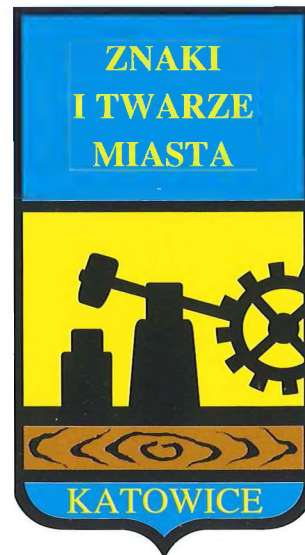
Adam Kocur

ska odbyły się 14 listopada 1926 r. W Katowicach zwyciężyli kandydaci wybrani z listy niemieckiej. Wśród polskich ugrupowań najwięcej głosów uzyskało Polskie Zjednoczenie Stronników Chrześcijańskich. W wyniku konfliktu pomiędzy polskimi i niemieckimi członkami Rady w 1927 r. wojewoda śląski rozwiązał Radę i powołał Komisaryczną Radę Miejską. Na jej czele stanął Włodzimierz Dąbrowski.

Kolejne wybory komunalne odbyły się 15 grud-

nia 1929 r. - wybrano 60 członków Rady Miejskiej. Długoletnim przewodniczącym Rady Miejskiej Katowic został Jan Piechulek, który pełnił tę funkcję nieprzerwanie w latach 1929-1939.

(Oprac. wk na podst. tekstu do folderu do wystawy „Rada Miejska Katowic i jej członkowie w latach 1866-1939” autorstwa Urszuli Rzewiczek)



Przyszedł na świat 28 lutego 1837 roku we wsi Chelst w powiecie czarnokowskim w Wielkopolsce w rodzinie nauczyciela ludowego. 165. rocznica jego narodzin, która minęła tak niedawno, skłania do przypomnienia sylwetki i zasług tego dziennikarza, wydawcy i pisarza ludowego, którego tytaniczna praca przyczyniła się do zachowania tożsamości narodowej setek tysięcy Polaków mieszkających na ziemiach poddanych władzy Prus.

W gimnazjum w Trzemesznie Józef skoncentrował się na organizowaniu tajnych kółek, w których młodzież mogła nauczyć się dziejów i literatury polskiej — rozsmakować w treściach zakazanych w pruskich szkołach. W roku 1859 przerwał naukę. W wyniku usilnego samokształcenia zgromadził taki kapitał wiedzy, że nabrał pewności, iż potrafi utrzymać się z działalności publicystycznej. Niedługo przebywał w redakcji „Dziennika Poznańskiego”, potem na życie zarabiał pracując jako nauczyciel domowy. Jednocześnie od roku 1860 współpracował z „Gwiazdką Cieszyńską”. Przesyłał tu artykuły o treści historycznej, biogramy sławnych Polaków, korespondencje z Wielkopolski. Podpisywał się pseudonimem Tworzymir. Przesłaniem tych tekstów było dążenie do rozbudzenia świadomości narodowej u prostego, niewykształconego czytelnika. Autor wypracował własny styl publicystycznej wypowiedzi skutecznie oddziałującej na odbiorcę. Charakterystycznym przykładem może być artykuł „Głos w obronie czystości języka” drukowany 30 marca 1861 roku czy publikowany w roku następnym w 13 odcinkach obszerny tekst: „O narodowości”.

W lipcu 1861 roku Chociszewski przybył do Cieszyna, by zostać współredaktorem „Gwiazdki”. Znacznie odciążył Pawła Stalmacha, który mógł zająć się w tym czasie organizacją nowego polskiego towarzystwa o nazwie Czytelnia Ludowa, która otwarta została 7 grudnia tegoż roku. Wskutek sugestii Stalmacha Chociszewski rozpoczął też działalność wśród młodzieży miejscowego gimnazjum katolickiego, gdzie założył tajny związek o nazwie Towarzystwo Narodowe. Celem organizacji było rozwijanie świadomości narodowej poprzez poznanie historii Polski i jej literatury. O pracy związanej z czasopiśmie dowiadujemy się z listów Chociszewskiego do Józefa Ignacego Kraszewskiego. W liście z 15 maja 1862 roku czytamy: „Pracuję tu w Cieszynie przy »Gwiazdce«. Wszystkie niemal artykuły, prócz wierszy, są mego pióra. Pragnąłbym ja niejedno mieć lepsze, ale stosunki i okoliczności nie pozwalają, a i tak niemało mamy przykrości. Oczywiście, że większą część czasu zabiera mi praca nad pisanem, obrabianiem, wyszukiwaniem artykułów do »Gwiazdki«, korektę itd. Za to biorę miesięcznie 25 zł. r. (75 zł. pol.). Byłoby to dosyć, ale pragnąc jakiś wpływ wyrzucić, muszę żyć jako tako. Ściśle obliczywszy mój rozchód na ubiór, podróże, książki itp. różne, różne nadzwyczajne wydatki nie mam ani grosza, bo te 25 zł. wycho-



Glossy górnosłaskie

dzi na mieszkanie, stół, opał, światło, opranie itd. Oczywiście rzecz, że się muszę starać o inne zatrudnienie.

Chociszewski zwracał się do autora „Starej baśni”, redaktora „Gazety Polskiej” z propozycją współpracy, prosił go również o protekcję w innych redakcjach pism warszawskich, m.in. „Tygodniku Ilustrowanym”. Oczekiwał, że jego oferta korespondencji o sprawach śląskich spotka się z przychylnym zainteresowaniem. W tym samym liście czytamy jednak: „Poniekąd mnie to i zadziwiło, że zastępcy Pańscy nie życzą sobie mieć korespondencji ze Śląska. Jeżeli pożądana są wiadomości z Wielkopolski, Galicji, to o ile więcej zwracać powinny uwagę wiadomości z śląskiej krainy? Że tam się krzewi żywioł narodowy, to w tym nie ma dziwu, ale że „tu mimo grożących ciosów nie tylko się dochowało, ale i rozwija się narodowość polska, to zaprawdę jest uwagi godnym”.

U Miarki i w Chełmnie

Działalność Chociszewskiego nie uszła uwadze władz, które nakażały mu opuszczenie obszaru Austro-Węgier z dniem 21 lipca 1862 roku. Młody dziennikarz miał już wcześniej jakiś alternatywny plan, który wiązał się z pobytem na Górnym Śląsku. W postscriptum do majowego listu do Kraszewskiego pisał: „Mogę też zarazem donieść, że jest nadzieja wydawania ludowego pisma polskiego ze Śląska, a nawet kto wie, czy ja nie będę miał w tym udziału”. W ostatnim zaś liście z Cieszyna — z datą 12 lipca — możemy przeczytać: „Być może, że osiadę w Śląsku pruskim, aby tam powołać do życia pismo polskie. Już nawet rozpocząłem w tej mierze układy — a zaiste potrzebniejsze jest w Śląsku pruskim pismo, aniżeli austriackim, bo tam 800 000 żyje Polaków, a tu 150 000”.

Następne trzy miesiące spędził Chociszewski w Pielgrzymowicach u za-

przyjaźnionego ze Stalmachem nauczyciela Karola Miarki, podówczas jeszcze tylko początkującego pisarza i publicysty. Autorzy opracowań o Chociszewskim — Walerian Sobkowiak i Ernest Farnik — są przekonani, że to jego wpływ skierował Miarkę na drogę działalności narodowej. Być może czynnikiem przeważającym były prywatne wykłady, w których Chociszewski ukazał wielkość historii i literatury polskiej. To oni obaj prawdopodobnie planowali założenie pisma, o którym była mowa przed chwilą. Teraz nie udało się to jeszcze, ale idea ta utkwiała w świadomości Chociszewskiego. W październiku 1862 roku objął w Chełmnie na Pomorzu redakcję gazety „Nadwiślanin” i pisma „Przyjaciel Ludu”. W lipcu następnego roku, roku powstania w Królestwie, skazany został na dwa lata twierdzy za żarliwie patriotyczny artykuł o Janie Kilińskim. W pisanym w więzieniu pamiętniku pod datą 14—15 czerwca 1865 roku zapisał: „Coraz więcej zajmuje mnie myśl udania się na Górny Śląsk, aby tam wydawać jakie pisma, jedno czysto religijne, drugie więcej narodowe i aby tam roznosić przygasłą iskrę narodowości polskiej”.

Znalazł się inny sposób. W roku 1868 założył w Chełmnie księgarnię wydawniczą rozprowadzającą przygotowane przez siebie kalendarze książkowe dla ludu i czasopisma. W tymże roku rozpoczął wydawanie „Katolika, pisma religijnego-obrazkowego dla oświaty ludu”. W roku następnym odstąpił je Miarce, który przeniosłszy je do Królewskiej Huty, uczynił zeń pismo, które odegrało kluczową rolę w procesie emancypacji narodowej i politycznej Górnosłazaków w ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku.

Chociszewski lat późniejszych to autor dziesiątków książek dla ludu popularyzujących kulturę i dzieje Polski. Takie pozycje jak: „Dzieje narodu polskiego dla ludu polskiego i młodzieży” (1869), „Piśmiennictwo polskie w zyciorysach naszych znakomitszych pisarzy i w wyjątkach z ich pism w krótkości przedstawione” (1874), „Podręcznik geografii ojczystej”, „Małowniczy opis Polski czyli geografia ojczystego kraju”, „Historia polska w pięknych przykładach przedstawiona”, „Wybór pieśni narodowych” wielokrotnie wznawiane krzepiły i edukowały kilka pokoleń Polaków nie tylko w zaborze pruskim. Popularyzowali i rozprowadzali je i Stalmach, i Miarka. Za pointę niech posłuży wyznaczenie wybitnego działacza narodowego z Raciborza — Józefa Rostka: „Gdy byłem w wyższej sekundzie, dziwnym przypadkiem dostała się do rąk moich książki Józefa Chociszewskiego »Piśmiennictwo polskie«, która od razu mnie spolszczyła do tego stopnia, że już w lipcu 1877 pojechałem w największej tajemnicy do Krakowa (...) i od razu stałem się gorliwym apostołem polskości. Wstąpiłem jako pierwszy Polak z Górnego Śląska do Kółka Towarzyskiego, składającego się przeważnie z Wielkopolan. Owocem mej pracy było założenie Towarzystwa Górnosłaskich Akademików-Polaków we Wrocławiu, z którego wyszła prawie cała inteligencja polska Śląska Górnego”.

WOJCIECH JANOTA

Ożywienie w ZPAF-ie

Okres stagnacji katowicki Oddział Związku Polskich Artystów Fotografików powoli zaczynać przemijać. Symptomami tego są ostatnie działania, które jak za dawnych czasów przyciągnęły tłumy do galerii przy ulicy Warszawskiej.

Stagnacja dla śląskich fotografików wcale nie oznaczała zejścia z pola, ale silowanie z trudami nowej rzeczywistości. Sukcesem, jak się okazało, było utrzymanie galerii pod jej dotychczasowym adresem, opłacanie czynszu i należności za media. Na szczęście przyszedł czas na wznowienie działalności, która przez ostatnie lata była w stanie szczytkowym. W zapomnienie odszedł również czas, kiedy to młodzi fotograficy wybierali samodzielność i niezależność, także związkową. Relikty przeszłości ich nie interesowały. Dziś związek nie spełnia zadań jakie miał przed sobą jeszcze kilkanaście lat temu, a przynależność do określonego środowiska okazuje się być znowu potrzebna. W czasach, kiedy fotografować każdy może a dostęp do sprzętu może hamować wyłącznie stan majątkowy fotografa, ważna zaczyna być identyfikacja z ludźmi, którzy o fotografowaniu nie myślą wyłącznie w kategoriach komercyjnych, dla których fotografia to coś więcej aniżeli czynność utrwalania na kliszy tego co przed obiektywem się znajdzie. Związek Polskich Artystów Fotografików powoli odzyskuje swą dawną pozycję. Dlatego też szerokim echem odbyło się niedawne przyjęcie w szeregi ZPAF nowych członków. Byli wśród nich i bardzo młodzi artyści i osoby fotografujące od lat jak Maciej Stobierski, Andrzej Lech mieszkający od lat w Stanach Zjednoczonych, Stanisław Michalski - wychowanek Zofii Rydet, prowadzący od ponad dziesięć lat swoją prywatną galerię fotografii. Wydarzeniem było przyjęcie w szeregi ZPAF Kazimierza Seko - seniora śląskich fotografów, wieloletniego szefa katowickiego oddziału CAF - człowieka legendy. Jak zapewniał Andrzej Koniakowski podczas uroczystego wieczoru w galerii ZPAF, Kazimierz Seko członkiem związku powinien być co najmniej od 25 lat. Kazimierz Seko dla reportażu był tym, kim Edward Poloczek dla fotografii artystycznej - dwie niezwykle osobowości.

Wystawa zorganizowana przy okazji przyjęcia nowych członków w szeregi ZPAF pokazała, jak różni się fotografia sprzed lat od fotografii dzisiejszej. Przy tej okazji znowu spotkały się pokolenia artystów - niektórzy po raz pierwszy usłyszeli o niezwyklej dorobku artystycznym Kazimierza Seko. Ten wieczór z pewnością był dobrą nowiną nie tylko dla środowiska fotografów, ale dla ludzi sztuki na Śląsku, gdzie fotografia zawsze miała wysoką pozycję i znakomitych reprezentantów.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Turniej barytonów pamięci Andrzeja Hiolskiego

10 lutego br. odbył się w Operze Śląskiej wyjątkowy koncert: Turniej Barytonów przygotowany w akcie hołdu i pamięci z okazji 80. rocznicy urodzin Andrzeja Hiolskiego. Wystąpiło 6 barytonów z całego kraju: Paweł Kajzderski, Adam Krukowski, Jerzy Mechliński, Włodzimierz Skalski, Florian Skulski, Andrzej Szurhan z orkiestrą Opery Śląskiej pod batutą Antoniego Dudy, Tadeusza Serafina i Piotra Warzechy. W programie znalazły się popularne arie i pieśni z repertuaru barytonów,



Andrzej Hiolski

w większości pozycje których wyjątkowym wykonawcą był Andrzej Hiolski. Koncert prowadził Piotr Nędzyński.

Ten jeden z najwybitniejszych artystów w całej historii narodowej sceny czynny artystycznie do ostatnich dni życia, zmarł nagle w wieku 78 lat w Krakowie, 26 lutego 2000 roku w przededniu koncertu. W tym roku obchodziłby 80. urodziny.

Początki wspaniałej kariery Andrzeja Hiolskiego związane były z Operą Śląską, której artystą pozostawał przez 18 sezonów, od pierwszych dni tej sceny utworzonej przez Adama Didurę wiosną 1945 roku. To tu stworzył wspaniałą kolekcję wybitnych kreacji wokalnych i scenicznych, uznany wkrótce za najznakomitszego polskiego barytona. Z Operą Śląską utrzymywał kontakty artystyczne do końca, a już wydarzeniem bez precedensu był udział Andrzeja Hiolskiego w spektaklu premie-

rowym „Halki” z okazji jej półwiecza, gdy 14 czerwca - po 50 latach od pierwszej realizacji tego dzieła pod kierownictwem artystycznym Adama Didura - wystąpił w roli Janusza... znowu pełen młodzieńczej werwy, stwarzając niezapomnianą kreację.

W koncercie tym jako gość honorowy wziął udział Bogdan Paprocki, najbliższy przyjaciel Andrzeja Hiolskiego od dnia debiutu znakomitego tenora w Operze Śląskiej, gdy wystąpił w premierowym spektaklu jako Alfred w „Trawiacie” w towarzystwie Barbary Kostrzewskiej (Violetta) i Andrzeja Hiolskiego (ojciec Germont). Pojawienie się na scenie Bogdana Paprockiego spotkało się z owacją - jak zawsze gdy wita go bytomska publiczność.

Podczas tego koncertu odbyła się oficjalna promocja Wielkiej Księgi Opery Śląskiej - obejmującej jej dzieje wraz z 100-letnią historią bytomskiego teatru - która ukazała się w opracowaniu i pod redakcją Tadeusza Kijonki. To wspaniałe wydawnictwo można było nabyć z osobistą dedykacją Bogdana Paprockiego.

Znakomitą zwieńczeniem Turnieju Barytonów była aria Miecznika wykonana przez 6 barytonów. Wrażenie imponujące - owacje i bis.

Pawłowski w BWA

W Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach odbywała się wystawa zatytułowana „Andrzej Pawłowski 1925-1986”. Towarzyszyło jej seminarium poświęcone twórczości artysty z udziałem krytyków, teoretyków i twórców, m.in. prof. Michała Klisia (ASP Katowice), prof. Jerzego Wuttke (ASP Katowice), Marka Chlady (autor aranżacji wystawy), Jana Trzupka (kurator wystawy), prof. Maria Dziedzic (ASP Kraków), prof. Adam Wodnicki (Muzeum Narodowe we Wrocławiu) oraz synowie artysty. Seminarium prowadził znany krytyk prof. Szymon Bójko.

Andrzej Pawłowski był profesorem krakowskiej ASP na Wydziale Architektury Wnętrz. Na początku lat 60. Zorganizował przy ASP Wydział Form Przemysłowych, którego był profesorem i dziekanem do 1986 r. Był członkiem założycielem Grupy krakowskiej a także Stowarzyszenia Projektantów Form Przemysłowych.

Twórczość Andrzeja Pawłowskiego była wszechstronna: obejmowała dziedziny tradycyjne jak rzeźba, malarstwo i foto-

Jednym zdaniem

■ 28 lutego br. w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Będzinie odbyło się „Spotkanie z poezją Władysława Śliwonii”, autorem kolejnego tomiku poetyckiego pt. „Rok morza”, którego promocja odbyła się podczas tego wieczoru.

■ W Muzeum Śląskim w galerii „Sztuka Pogranicza” pokazano rzeźbę w węglu i grafiki Franciszka Kurzei.

■ VIII Dziecięce Spotkania Teatralne zorganizował Gliwicki Teatr Muzyczny, a wzięły w nim udział teatry z Katowic, Krakowa, Bielska-Białej, Torunia i czeskiego Hradec Kralowe.

■ Instytut Pamięci Narodowej Biuro Edukacji Publicznej w Katowicach zorganizował w Muzeum Miejskim w Świętochłowicach promocję publikacji „Obóz pracy w Świętochłowicach w 1945 roku. Dokumenty, zeznania, relacje, listy”.

■ Instytut Mikołowski ogłasza X edycję Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rafała Wojaczka, na który do 27 kwietnia należy nadesłać zestaw 3 niepublikowanych wierszy (Instytut Mikołowski, ul. 1 Maja 8/5, 43-190 Mikołów).

■ Centrum Dokumentacji Europejskiej Biblioteki Śląskiej przygotowało wystawę pt. „Unia Europejska - 10 lat Traktatu z Maastricht”.

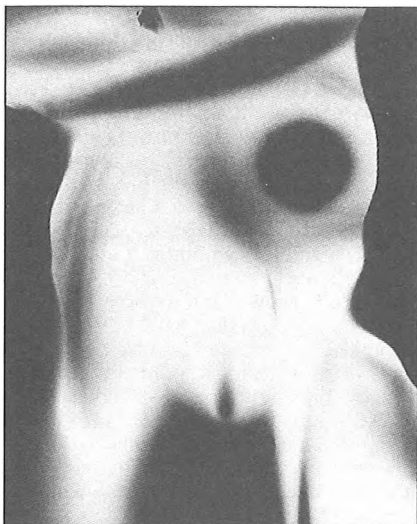
■ W Miejskiej Galerii Sztuki „Extravagances” w Sosnowcu odbył się recital uczniów klasy perkusji Zespołu Szkół Muzycznych w Sosnowcu.

■ Wystawa „Kapliczki i krzyże przydrożne w Sosnowcu” zaprezentowano podczas wystawy w Muzeum w Sosnowcu.

■ Ośrodek TV Katowice zorganizował projekcję filmu pt. „Wolanie codzienności” w reżyserii Wojtka Grabowskiego ukazującego sylwetkę i twórczość Samuela Cyglera i grupy Jung Idysz.

■ „Humanisci na dworach monarchów w XVI w.” - to tytuł spotkania historycznego z drem Waldemarem Chorażyczewskim przygotowanego przez Muzeum Historii Katowic.

■ Spotkanie pt. „Zabijanie Partuma” z udziałem Jerzego Truskowskiego, Grzegorza Olszańskiego i Dominika Strycharskiego połączone z promocją dwumiesięcznika „Opce” odbyło się w Bytomskim Centrum Kultury.



Andrzej Pawłowski, z cyklu *Mutacje*, 1959

grafia. Zajmował się również projektowaniem wystaw, aranżacją stałych ekspozycji muzealnych, m.in. w Muzeum Historycznym i Muzeum Narodowym w Krakowie. Jego twórczą aktywność jako projektanta obejmowała nie tylko samo projektowanie przedmiotów, ale również jego metodykę i szczegółowe badania naukowe.

Wystawa w katowickiej BWA obejmuje prace artysty z lat 50. i 60., kiedy Pawłowski zasłynął swoimi kineformami, ruchomymi i rzutowanymi na ekran projekcjom świetlnym pokazywanym w teatrze Cricot 2. W tym czasie powstały również jego Luxogramy, Heliogramy, Mutacje i Somnam, Zbiory i Discovery.

Nowy adres artystyczny

Wspólnym przedsięwzięciem Hotelu „Noma Residence” w Promnicach i Domu Akcyjnego Polonia-Art. z Katowic jest „Kawiarnia Artystyczna” mieszcząca się w pomieszczeniach dawnej Café-Art. w BWA w Katowicach. Nowa kawiarnia w niczym nie przypomina swej poprzedniczki.

Obydwie firmy nawiązały współpracę w 2001 r., by podjąć próbę rozpowszechniania wiedzy o sztuce w ramach formuły Klubu Miłośników Sztuki, działającym przy „Noma Residence”.

Częścią integralną Kawiarni jest galeria sztuki współczesnej. Na początek

proponowane jest malarstwo Piotra Naliwajki.

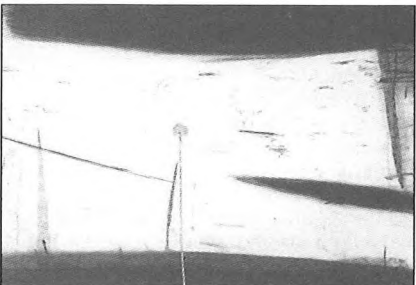
Kawiarnia Artystyczna przewiduje współpracę z BWA przy realizacji zamierzeń programowych i wernisaży, a także z wykorzystaniem przestrzeni ekspozycyj-



Wnętrze Kawiarni Artystycznej

nej galerii inicjować inne wydarzenia kulturalne jak np. przegląd polskiej oferty antykwarycznej i galeryjnej, koncerty, pokazy mody.

Grafika Roku 2001



Grand Prix Grafika 2001: Sylwia Sady-Daniel, *Dotyk*, wkłęsłodruk

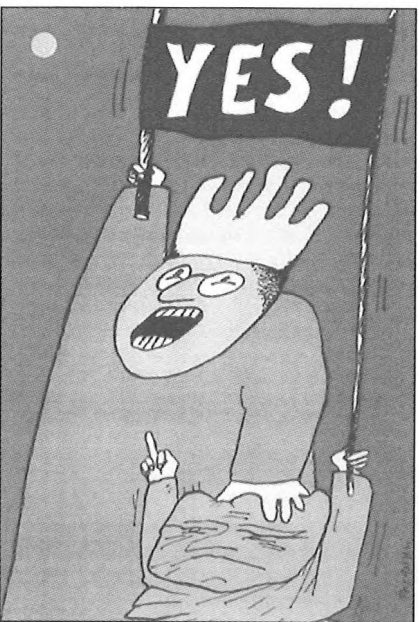
W Galerii ASP Górnośląskiego Centrum Kultury w Katowicach prezentowana jest wystawa pt. „Grafika Roku 2001”. Formuła konkursu jest szczególnego rodzaju dialogiem pomiędzy artystami reprezentującymi różne ośrodki artystyczne zajmujące się grafiką warsztatową w Polsce. Tegoroczna edycja konkursu jest konfrontacją środowiska absolwentów ASP w Krakowie i ASP w Katowicach.

W tym roku prace oceniało jury pod przewodnictwem prof. Adama Wsiolkow-

skiego, a członkami komisji byli prof. Andrzej Pietsch, prof. Adam Romaniuk, prof. Jan Szmatoch, prof. Roman Żygulski i Agata Wąsowska - laureatka ubiegłorocznej edycji konkursu.

Grand Prix przyznano Sylwii Sady-Daniel za „Dotyk” (wkłęsłodruk), nagrodę drugą otrzymała Anna Sadowska za „czerwoną przestrzeń” (wkłęsłodruk), nagrodę trzecią przyznano Tomaszowi Dańcowi za „Neue Ordnung (A)” (akwaforta, akwatinta, intaglio).

Polański w Śląskiej



Kolejną porcję rysunków satyrycznych autorstwa Marka Polańskiego można oglądać w Bibliotece Śląskiej.

Marek Polański od wielu lat zaliczany jest do czołówek polskich karykaturzystów. W swoim dorobku posiada kilka tysięcy opublikowanych rysunków, osiem autorskich tomików oraz pięć albumów, których jest współautorem. Na swoim koncie artystycznym ma ponad trzydzieści wystaw indywidualnych. Swoje rysunki prezentował na ponad dwustu pięćdziesięciu wystawach krajowych i międzynarodowych. Jest współzałożycielem Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury. Od początku współpracuje z redakcją naszego miesięcznika.

■ W Muzeum w Sosnowcu otwarta została wystawa „Sosnowieckie ABC” podczas której nastąpiło podpisanie umowy o sponsoringu pomiędzy Muzeum a Elektrociepłownią „Będzin” S.A. w Będzinie.

■ Również w sosnowieckim Muzeum odbyło się spotkanie z redaktorami i wydawcą książki Jana Przemszy Zielińskiego pt. „Chłopak z Sosnowca. Szkice do portretu Jana Kiepury”.

■ Słowackie pisanki można było oglądać w Muzeum w Sosnowcu.

■ Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Sztuki Reżyserkiej im. Konrada Swinarskiego „Interpretacje” w Muzeum Historii Katowic odbyły się „Rozmowy o Konradzie Swinarskim i reżyserii”, których gospodarzem był Józef Opalski.

■ W II Prywatnym Liceum Ogólnokształcącym w Katowicach-Murckach rozstrzygnięto ogólnopolski konkurs poetycki pn. „Miłość niejedno ma imię”, a laureatką I miejsca została Julia Zadrożna z Katowic - studentka Akademii Ekonomicznej w Katowicach.

■ 9 marca Narodowa orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia podczas comiesięcznego koncertu wystąpiła pod dyrekcją Tadeusza Wojciechowskiego i wykonała Uwerturę do opery „Tannhäuser” Ryszarda Wagnera oraz koncert wioloncelowy a-moll Roberta Schumann z udziałem solisty Andrzeja Bauera i V Symfonii Dymitra Szostakowicza.

■ W Katowicach Uniwersytet Śląski zorganizował Konferencję Rektorów Uniwersytetów Polskich, podczas której omawiano najpilniejsze problemy środowiska akademickiego, m.in. bloki zagadnień dotyczących studiów doktoranckich, sytuacji kierunków artystycznych, współpracy uczelni wyższych z instytucjami samorządowymi, jakości kształcenia i akredytacji oraz badań naukowych i roli Komitetu Badań Naukowych.

■ W kwietniu Muzeum Miejskie w Zabrze zaprasza na wystawy: „Czas rodzinny - nasze miejsce w świecie”, „Piotr Muschalik - fotografie”, „Lesław Kozicki. Przez twarze, oczy, przełumaczalne”, „Prawda i legenda o najgłośniejszych zbrodniach na Górnym Śląsku”.

■ 15 marca w Muzeum Miejskim w Rudzie Śląskiej odbył się wernisaż wystawy grafik i rysunków Edwarda Josefowskiego - absolwenta ASP w Krakowie Wydział Grafiki w Katowicach, pedagoga i zastępcy dyrektora Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Katowicach.

■ Również w Muzeum Miejskim w Rudzie Śląskiej odbyło się spotkanie poetycko-muzyczne „Droga krzyża” w opracowaniu Barbary Dziekańskiej.

■ Utwory kompozytorów południowoamerykańskich wykonała NOSPR pod dyrekcją Jose Ma-

rii Florencio juniora podczas kolejnego Poranku Symfonicznego.

■ Dorota Nieznańska - absolwentka Wydziału Rzeźby ASP w Gdańsku prezentowała swoją twórczość w Galerii Sektor I katowickiego GCK.

■ W Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich odbyła się promocja książki Eugeniusza Depaty pt. „W stronę świata”.

■ Scenografie Zofii de Ines gościły w Galerii Obok Teatru Małego w Tychach.

■ „Korespondencje” to tytuł wystawy fotografii Grzegorza Banaszkiewicza w Muzeum Historii Katowic.

■ Spotkanie promocyjne książki *Army Koziny* pt. „Pałace i zamki na pruskim Górnym Śląsku w latach 1850-1914” odbyło się 14 marca w Muzeum Śląskim.

■ Rysunek i malarstwo Karola Wiczorka a także wystawę (kanin Marii Bujakowej) przygotowaną przez Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem można oglądać w salach wystawowych Muzeum Śląskiego.

■ W Galerii ZPAF w King Crossie „Géant” oraz w Galerii „Szyb Wilson” powstałej w zabudowaniach dawnego szybu kopalni „Wieczorek” można oglądać prace fotograficzne Andrzeja Koniakowskiego.

Grosik Aśki

Mało było, jest, a zapewne także będzie w Bielsku-Białej osób tak jednoznacznie pozytywnie ocenianych jak Joanna Kwiatkowska. Aśka była człowiekiem, który nie miał wrogów. Przeciwnie — wszyscy ją lubili, gdyż ona lubiła wszystkich. Nic dziwnego, iż sala bielskiego Domu Muzyki wypełniła się po brzegi, gdy 25 lutego, z okazji drugiego rocznicy śmierci Joanny Kwiatkowskiej odbył się uroczysty koncert poświęcony jej osobie, w którym wystąpili wychowankowie, podopieczni i przyjaciele Asi.

— Joanna Kwiatkowska jednoczyła środowisko kultury. Umiała cieszyć się życiem. Pomagała każdemu, kto pomocy potrzebował i pamiętała o każdym — powiedziała prowadząca — wraz z Leszkiem Miłoszewskim — koncert Rena Edelman, która postarała się, aby w symboliczny sposób Aśka nadal pamiętała o twórcach bielskiej kultury... Do biletu na koncert przymocowany był bowiem grosik, który ma nam towarzyszyć na co dzień i przynosić szczęście.

Aśka sądziła, że szczęście znajdzie na emeryturze, kiedy będzie mogła oddać się podróżom. Tymczasem zdążyła jedynie usłyszeć w Moulin-Rouge swoją przyjaciółkę Grażynę Węglińską, której nie mogło oczywiście zabraknąć podczas koncertu „Pamięci Asi”. Bielska artystka z francuskim paszportem ujawniła, że co kochają ją Francuzi. Zaprezentowała znakomitą formę i nie dziwiota, że jest znana w Paryżu, a nie w Bielsku-Białej...

Ekscytująco wypadł występ wibrafonisty czy nawet... perkusisty fortepianu Janusza Kohuta. Preparowanie przez niego instrumentu przybierało wiele form o bardzo różnej skali ekspresji: jazzową improwizację zakończył jednak po bożemu — subtelny „trelami łagodności”. Bezbłędna lirycznie i dramatycznie była przyszła gwiazda polskiej sceny, a obecnie łódzka studentka Marta Walesiakówna, która już teraz potrafi głosem rozpalać namiętności.

Na estradzie nie mogło zabraknąć najbardziej znanego ucznia Joanny Kwiatkowskiej — Henryka Talara, który przybył do Bielska-Białej prosto z planu filmowego. Pochodzący z Kóz artysta przybrał groteskową pozę Witkacego. Najpierw z dezynwolturą „Słówek” Boya ostro pobudzał moralną wyobraźnię zgromadzonych, a następnie przy pomocy tekstów ks. Jana Twardowskiego usiłował wprowadzić na widowni atmosferę domu modlitewnego, co mu się — ku uciesze nielicznych katechetów — udało.

Myślę, że Aśce także by się podobalo. Wszak nade wszystko kochała dowcipnych ludzi, nawet jeśli dowcipu nadużywali. Zebrani postanowili powtarzać co roku wieczory pamięci poświęcone Joannie Kwiatkowskiej i — tak jak za pierwszym razem — dochód z imprezy przeznaczać na walkę z rakiem.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

„Wydęta” płyta

Foto: J. Picheta



Bielska orkiestra

23 kwietnia w Domu Muzyki odbędzie się uroczysty koncert z okazji 15 rocznicy powstania Bielskiego Centrum Kultury, w którym wystąpi Bielska Orkiestra Dęta. Impreza będzie okazją do zaprezentowania najnowszej płyty kompaktowej bielskich „dęciaków”. Na płycie zarejestrowano ubiegłoroczny koncert galowy, który odbył się z okazji jubileuszu 25-lecia działalności artystycznej Bielskiej Orkiestry Dętej. Nagrania zrealizowano w studiu znanego bielskiego kompozytora i muzyka Janusza Kohuta. Muzycy spod Szyndzielni przedstawili na płycie szeroki repertuar — od polskiej i światowej klasyki, przez współczesne standardy po muzykę marszową i biesiadną.

Orkiestra skupia 35 wykształconych muzycznie instrumentalistów, a działa obecnie w strukturze organizacyjnej Bielskiego Centrum Kultury. Wielokrotnie koncertowała z powodzeniem w Czechach, Niemczech i Belgii. Największym jej sukcesem było zdobycie jednej z głównych nagród podczas VI Ogólnopolskiego Przeglądu Orkiestr Dętych w Poznaniu w 1998 r. Dyrygentem i kierownikiem artystycznym orkiestry jest Bogusław Świńczyk, a szefem organizacyjnym Zygmunt Czernek. — Współtwórcami osiągnięć Bielskiej Orkiestry Dętej są jej pierwsi, wspaniali ślasy dyrygenci — Eligiusz Skwara i Henryk Goła oraz znany w środowisku orkiestr wojskowych, nieodżałowanej pamięci kapelmistrz Aleksander Dębski. W różnych okresach w Bielskiej Orkiestrze Dętej grało wielu znakomych muzyków, m.in.

klarneciści Alojzy Kapała i Józef Sala, flecistki Dorota Korpany i Magdalena Kania, tubista Edmund Hausner, perkusista Marek Olma, puzoniści Maciej Pietraszko i Dariusz Sprawka, a także słynni obecnie bracia Łukasz i Paweł Golcowie. Duży wkład w działalność orkiestry wniosły muzykujące rodziny Świńczyków (Karol, Bogusław, Wincenty i Tomasz), Michalców (Marcin, Marek, Mateusz i Maciej) Suchoniów (Aleksander i Maciej), Pieczków (Dariusz i Tomasz) oraz bliźniaków Gajewskich (Marcin i Tomasz) i Gawędów (Jan i Stanisław) — powiada Zygmunt Czernek.

Od lat z orkiestrą współpracują profesjonalni bielscy artyści — Tadeusz Janiak (trąbka), Jerzy Zaziąbło (saksofon), Adam Adamczyk (tuba), Jarosław Grzybowski (perkusja).

Dwudziesty rok z Reymontem

Tadeusz Modrzejewski jest jednym z najbardziej znanych bielszczan. Jest założycielem Muzeum im. Władysława Reymonta. Podczas ostatnich mrozów pękł wodomierz i Tadeusz Modrzejewski został pozbawiony bieżącej wody. Naprawa urządzenia kosztuje 134 zł. Miłośnik Władysława Reymonta taką kwotę nie dysponuje, musi więc na wodę czekać do lepszych czasów. Co prawda muzealnica wspomaga miasto comiesięczną dotacją w wysokości 84 zł netto, ale z drugiej strony to samo miasto o taką samą kwotę podniosło ostatnio Tadeuszowi Modrzejewskiemu czynsz... Tymczasem w muzeum nadal panuje mroź. Gdy na dworze jest 15 stopni powyżej zera, we wnętrzach muzeum zaledwie pięć. Co parę godzin Tadeusz Modrzejewski musi więc wychodzić ze świątyni kultury, by się ogrzać. Jedyne jego pociechą jest to, że na muzealnym dziedzińcu zakwitły już przebiśniegi. I krokusy.

Fascynacja abstrakcją

3 marca w bielskiej Galerii Środowisk Twórczych ZPAP otwarto kolejną wystawę. Tym razem swe prace zademonstrował Aleksander Andrzej Łabiniec, który słynie z zafascynowania liryczną abstrakcją. Twórczością bielskiego artysty zainteresował się swego czasu sam Tadeusz Kantor, który zorganizował Aleksandrowi A. Łabiniowi wystawę w teatrze Cricot 2 i wygłosił entuzjastyczną mowę na temat jego dzieł.

Bielski malarz, scenograf i reżyser, który w ubiegłym roku obchodził 50 rocznicę swej pracy artystycznej, w Galerii Środowisk Twórczych ZPAP przedstawił dzieła malarskie, projekty i scenografie.

Jednym zdaniem

■ Rudzicki malarz strachów polnych Florian Kohut obchodzi w tym roku 35-lecie pracy artystycznej i z tej okazji został uhonorowany dyplomem i nagrodą pieniężną przez starostę bielskiego Zygmunta Mizerego.

■ Podczas XVIII Ogólnopolskiego Konkursu o Laur Tarnowskiej Starówki jurorzy uhonorowali nagrodami dwóch bielskich poetów — Stanisława Gołę i Krzysztofa Kalisza.

■ Od 2 do 24 marca w bielskich kościołach odbył się cykl imprez muzycznych pn. „Koncerty na wielki post”.

■ „Zarys dziejów Lipnika” to historyczna monografia dra Jerzego Polaka, która powstała z okazji 700-lecia tej miejscowości, obecnie dzielnicy Bielska-Białej.

■ W wyremontowanym budynku przedwojennego Domu Polskiego w Lipniku reaktywano Dom Kultury, który będzie filią bielskiego MDK.

■ Marek Kondrat, Zbigniew Zamachowski, Marek Walczewski i Zdzisław Wardęja wystąpili między innymi w premierowym przedstawieniu bielszczanina Macieja Pisuka „Gwiazdy i los człowieka”, wyreżyserowanym przez Dariusza Kuciewicza 3 lutego br. w Programie II TVP.

■ W marcu w Galerii Bielskiej BWA wystawiła swe prace bielska malarzka Jagoda Adamus.

■ „Życie codzienne Żydów Bielska i Białej” to tytuł ekspozycji, którą prezentowano w marcu w Galerii Bielskiej BWA.

■ W cieszyńskim Teatrze im. Adama Mickiewicza odbyły się w marcu Dni Teatru Ateum z Warszawy.

■ 14 i 15 marca w Domu Kultury w Kętach odbył się VIII Wojewódzki Turniej Interpretacji „Bajki i Baśnie”.

■ Dyrektor BCK w Bielsku-Białej Władysław Szczotka został uhonorowany Laurem Umiejętności i Kompetencji.

Teatralne rozmaitości

W ostatnim miesiącu w Teatrze im. Adama Mickiewicza sporo się działo. A wszystko zaczęło się od królowej kryminału — Agaty Christie. Na częstochowskiej scenie wystawiono jedną z najbardziej znanych sztuk brytyjskiej mistrzyni kryminału, „Pułapkę na myszy”, w reżyserii Jana Bratkowskiego. Sztuka ta to swoisty teatralny „samograj”, bowiem jest w niej wszystko, co wciąga widza w rozwiązywanie kryminalnej zagadki, której finał i tak z pewnością zaskakuje. W rolę uwięzionych w starym pensjonacie przez śnieżną zamieć gospodarzy i niespodziewanych gości wcielili się m.in.: Adam Hutyra, Czesława Monczka, Michał Kula, Andrzej Iwiński. Najciekawszą postać sceniczną stworzył Adam Hutyra, który bardzo skutecznie zdołał „wyprowadzić w pole” nie tylko wszystkich uwięzionych w „śnieżnej pułapce”, ale przede wszystkim publiczność.

Drugą teatralną propozycją (tylko o 10 dni późniejszą od „Pułapki na myszy”) była premiera na najmniejszej scenie częstochowskiego teatru — scenie Histrión — „Lamentu Maryi”. Reżyser Szymon Szczynko sięgnął po arcydzieło liryki średniowiecznej „Lamentu Świętokrzyskiego”, nazywanego także „Żalami Matki Boskiej pod krzyżem”. Wykorzystał tkwiącą w tym XV-wiecznym tekście energię teatralną, gdyż, jak wskazują historycy literatury, „Lament Świętokrzyski” mógł być fragmentem dramatu liturgicznego. Przejmującą postać matki stworzyła Elżbieta Jablonka. Aktorka, tworząc tę postać wydobyla uniwersalne — ludzkie, a nie boskie rysy matki cierpiącej po stracie swojego dziecka. I chociaż czas Wielkiego Postu, w którym odbyła się premiera sztuki, potęguje jej religijny charakter, to jednak nie zdołał ograniczyć jej artystycznej interpretacji. Niemymi postaciami spektaklu stały się sosnowe anioły Jana Wiewióra, rzeźbiarza, twórcy ruchomej szopki w Olsztynie koło Częstochowy.

I zupełna zmiana klimatu w częstochowskim teatrze, a uczynił to Nick Cave swoimi „Balladami morderców”. W przypadku tej premiery mamy do czynienia ze spektaklem autorskim. Iwona Choliuj nie tylko jest główną wykonawczynią ballad Cave’a, ale także wyreżyserowała owo przedsięwzięcie. Partnerem Iwony Choluj na scenie jest Arkadiusz Głogowski i muzycy z częstochowskiego zespółu Jura. I mimo iż teatr może wydawać się niezbyt odpowiednią przestrzenią dla mrocznych tekstów i muzyki Cave’a, to udało się stworzyć świetny klimat (coś pomiędzy koncertem rockowym a spektaklem piosenki aktorskiej) i opowiedzieć publiczności niebanalną historię o współczesnym świecie. Młoda widownia przyjmuje ten spektakl rewelacyjnie. Balladę „Where the wild roses grow” aktorzy muszą bisować.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

„Blażen” w teatrze

Czym miała być Scena „Blażen”? Jej założyciel, kompozytor i muzyk Tomasz Kmiecik pragnął stworzyć miejsce spotkań „artystów starających się używać warsztatu scenicznego do przekazania własnych, autorskich postaw opartych na osobistym doświadczeniu i wrażliwości. Miejsce spotkań ludzi starających się pokazać na scenie nie tylko to, co potrafia, ale przede wszystkim kim są...” (wypowiedź Tomasza Kmiecika w częstochowskim kwartalniku „Aleje 3” nr 32, 2001). I tak też się stało. Od pierwszego spotkania w październiku 2000 roku w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” „Blażen” skupił wokół siebie interesujące i różnorodne środowiska artystyczne. Obok aktorów z Teatru im. A. Mickiewicza — Czesławy Monczki i Bońki Dymarczyka poezję śpiewaną wykonywali młodzi twórcy m.in.: Agata Ślęzyk, Katarzyna Matejczyk. Poniedziałkowe spotkania przerodziły się w trybunę dla młodych częstochowskich poetów. Również satyra stała się mocną stroną „Blażna”. Władek Grabowski i Marcin Król zawsze potrafili w inteligentny i zabawny sposób skomentować wydarzenia współczesne.

Twórcy Sceny „Blażen” trafili swoją artystyczną propozycją w gusta publiczności i zdołali wypełnić pewną lukę w ofercie kulturalnej naszego miasta. Potwierdza to z pewnością występ artystów Sceny „Blażen” w częstochowskim teatrze. Tomasz Kmiecik, który już tradycyjnie pełnił rolę konferansjera, wcale nie ukrywał tremy spowodowanej występem „Blażna” na teatralnej scenie. To, co mogła wybaczyć publiczność kameralnych przeciw spotkań literackich w „Gaude Mater” (było ich ponad dwadzieścia) niekoniecznie musiała zaakceptować o wiele szersza widownia licznie zgromadzona w teatrze. Jednak szybko okazało się, iż młodzi (dominujący w „Blażnie”) twórcy świetnie pasują do gmachu „świętyni sztuki” nie tracąc nic ze swojej autentyczności. Podczas teatralnej premiery „Blażna” nie zabrakło gości — przyjaciół i sympatyków — częstochowskich artystów. Wystąpił Wojtek Gęsicki i Jerzy Filar.

Plebiscyty rozstrzygnięte

„Gazeta Wyborcza”, a raczej jej lokalny dodatek „Gazeta w Częstochowie”, po raz piąty zorganizował plebiscyt „Najlepsi

w kulturze”, rozdając laury w dwóch kategoriach: twórcy i wydarzenia roku. W jubileuszowej edycji plebiscytu wzięła udział rekordowa liczba 1885 czytelników „Gazety”.

Twórcą Roku został choreograf Włodzimierz Kuca, a najważniejszym wydarzeniem, zdaniem uczestników plebiscytu, został wyreżyserowany przez niego spektakl „Dworzec Zoo”, którym debiutował Akademicki Teatr Tańca, działający przy Akademickim Centrum Kultury Politechniki Częstochowskiej. Wyraźnie widać, iż częstochowanie promują twórców silnie związanych z życiem miasta. Wręczenie statuetek autorstwa częstochowskiego rzeźbiarza Mariusza Chrzastka stało się również okazją do dyskusji o kulturze w naszym mieście.

Rozstrzygnięty został także plebiscyt „Człowieka Roku Życia Częstochowy 2001”. Tu o werdykcie nie decydowali czytelnicy, ale Kapituła Tytułu, która nominowała wstępnie pięć znanych osobistości miasta m.in. Małgorzatę Nowak — dyrektora Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” i Wiesława Marasa — Prezydenta Częstochowy. Jednak tytuł Człowieka Roku 2001 zdobył Piotr Van der Cogen — jeden z organizatorów i obecny dyrektor Jurajskiej Grupy GOPR.

Mimo, iż formuły obydwu plebiscytów, organizowanych przez gazety lokalne w Częstochowie, są różne, jednak łączy je z pewnością chęć promowania ludzi, którzy wywierają wpływ na oblicze naszego miasta i regionu.

Ekologiczne rzeźby

W Miejskiej Galerii Sztuki odbyła się wystawa rzeźby Agnieszki Mitury-Bagińskiej. Artystka studiowała na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Dyplom obroniła w 1998 roku w pracowni prof. Alfredy Poznańskiej.

Częstochowska wystawa to debiut młodej artystki, która swoje rzeźby — instalacje wykonuje wyłącznie z materiałów ekologicznych. Oprócz drewna, w pracach artystki znajdują się pędy, trawy, fragmenty korzeni; trudno prawidłowo rozpoznać wykorzystany materiał. Rzeźby Mitury-Bagińskiej, mimo iż zamknięte w muzealnej sali, to i tak na odbiorcy robią wrażenie, iż powstały one bez ingerencji człowieka. Prace: „Przyszpilona”, „Kokon”, „Nasiono IV” przywołują świat przyrody z jej „popłatanymi” kształtami pędu i korzenia.

Określenie „ekologiczne” w przypadku twórczości Mitury-Bagińskiej oznacza o wiele więcej, niż można by początkowo sądzić, a z pewnością nie odnosi się ono wyłącznie do materiału, z którego zostały zrobione prezentowane instalacje. Prace artystki przypominają, iż pierwszym, a może i największym artystą była i jest natura.

Jednym zdaniem

■ Artur Barciś był gwiazdą koncertu zorganizowanego przez Stowarzyszenie Opieki Hospicyjnej Ziemi Częstochowskiej, z którego dochód przeznaczono na remont częstochowskiego hospicjum.

■ Wspólnie z orkiestrą Filharmonii Częstochowskiej wystąpili muzycy z Korei Południowej: dyrygent Samuel Wook Byun i klawirzysta Lee Jong-Su.

■ Klub studencki Filutek na swoją muzyczną scenę zaprosił w ostatnim czasie legendarną grupę IRY i Kasię Nosowską z zespołem Hey.

■ Na scenie Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” zaprezentowała się muzyczna

formacja Made in Quintet (Tomasz Prudnicki — saksofon, Michał Walczak — gitara, Maciej Szewczyk — instrumenty klawiszowe, Jacek Fedkowicz — bas, Wojtek Fedkowicz — perkusja); w roli gościa muzykom towarzyszył Jose Torres.

■ Wystawę fotografii Anny Przybylskiej pt. „Kultry” można było podziwiać w Galerii Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie.

■ Teatr Muzyczny z Gliwic na scenie Filharmonii Częstochowskiej zaprezentował swoją najnowszą produkcję — musical „Oklahoma!”

Witajcie w Hitlersee

Parokrotnie pisałem tu o tym, że Opolszczyzna na gwałt potrzebuje publicznej debaty na temat dziejów regionu. Niestety, opolska mniejszość niemiecka i większość polska zawarły w okopach obrońców samodzielnego administracyjnie Śląska Opolskiego pakt zakładający nierozmawianie na tematy drażliwe, bo może to zaszkodzić wizerunkowi regionu. Ta lokalna odmiana politycznej poprawności, owa heimat correctness, sprawiła, że wszystkie kwestie kontrowersyjne zostały zamiecione pod dywan, gdzie żyły sobie własnym życiem.

No i stało się — na pomniku upamiętniającym niemieckich żołnierzy obu wojen pochodzących z wioski Szczedrzyk pojawiła się nazistowska nazwa tej miejscowości — Hitlersee. Pojawiła się w sposób modelowy dla opolskiego „dyskursu” na temat przeszłości. Nikt o niczym nie wiedział, nikt niczego nie planował, tylko podczas kolejnego pucowania pomnika odkuto napis z 1934 roku, który od zakończenia ostatniej wojny pozostał zabetonowany. Po prostu — stało się. Widzieli to mieszkańcy, zdjęcia robili z lekka zaszokowani turyści z RFN (w zdenazyfikowanych Niemczech takich napisów nie ma i nie będzie), a ojcowie wioski (z litości nie wskazujemy ich palcem) milczeli. A jak mleko się wylało, to stanęli w obronie dobrego imienia wioski, argumentując, że napis nikomu nie przeszkadzał. Bo „to tylko historia”, a Hitlersee figuruje przecież w aktach urodzenia i na cmentarnych nagrobkach.

Do takiego pomieszania sensów dochodzi, gdy tematów tabu się nie rusza. Jak tu tłumaczyć światłym niby ludziom, że zapis w prywatnych dokumentach to tylko ślad historii, ale pomnik to upamiętnienie wycelowane w przyszłość — pomniki upamiętniają te wartości, które mają kształtować świadomość przyszłych pokoleń. I co, świadomość dzieciaków ze Szczedrzyka ma budować napis z epoki, kiedy to ich wiosce nadano imię na cześć Adolfa Hitlera?

Szybko okazało się, że napis jednak komuś przeszkadza. Wojewoda opolski natychmiast powołał komisję, która skontroluje wszystkie pomniki ustawione przez mniejszość niemiecką. Lepiej późno niż wcale, od lat dla nikogo nie było tajemnicą, że na wielu z nich nie dokonano poprawek zaleconych przez wspólną komisję pomnikową z 1991 roku.

Niestety, z rozwoju sytuacji nie ma się co cieszyć. W cieniu nieszczonego Hitlersee nie będzie miejsca na rzeczową dyskusję zakładającą możliwość zawierania kompromisów. Zamiast tego będziemy mieli administracyjną procedurę, gdzie liczy się litera prawa i na subtelności interpretacyjne miejsca nie ma. Naprawdę szkoda, bo gdyby do publicznej debaty elit jednak doszło, to może mieszkańcy Szczedrzyka, w końcu proszą ludzkie, pojęliby, dlaczego Hitlersee to nie jest „normalna” i neutralna nazwa historyczna. A tak pozostaną zapewne w przekonaniu, że Polacy nie szanują ich wspomnień.

Warto dodać, że afera Hitlersee zbiegła się w czasie z kłótnią o podręcznik regionalny. Konkurs na jego przygotowanie wygrała ekipa naukowców pod kierunkiem prof. Doroty Simonides. Motywem wiodącym podręcznika miała być wielokulturowość Śląska Opolskiego. Werdykt komisji konkursowej został jednak zakwestionowany przez mniejszość niemiecką, która a priori uznała, że taki podręcznik będzie polski.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Nowi doktorzy

Uniwersytet Opolski uczcił swoje ósme urodziny nadając doktoraty honoris causa dwóm kolejnym znakomitościom: prof. Zbigniewowi Relidze, twórcy rodzimej kardiokirurgii i transplantologii oraz mecenasa Hendrika Fotha, wykładowcy Uniwersytetu w Düsseldorfie, oraz mecenasa sztuki i hojnego sponsora, który kwotą 200 tysięcy marek wsparł remont kaplicy św. Wojciecha, która stanie się częścią Collegium Maius, nowej siedziby rektoratu opolskiej uczelni. Gmach Collegium Maius odsłonięto w trakcie tej samej uroczystości.

Wręczanie doktoratów, które odbyło się w pięknej auli Wydziału Teologicznego UO, ściągnęło przyjaciele opolskiej uczelni z całego kraju (na widowni doliczono się jedenastu senatorów RP). Wszyscy komplementowali nie tylko szacownych doktorów, ale też sam uniwersytet, podkreślając, że jego szybki rozwój w ostatnich latach raz na zawsze powinien rozwiać wątpliwości tych, którzy przed laty nie byli pewni, czy Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu dojrzała do statusu uniwersytetu pełną gębą.

Kafle sprzed wieków

W brzeskim Muzeum Piastów Śląskich ruszyła budowa drugiego już pieca renesansowego z XV wieku. Stawiają go uczniowie klasy renowacji zabytków miejscowego Zespołu Szkół Budowlanych, za wzór biorąc kafle znalezione w gruzach zamku w Chojnowie.

To już druga brzeska replika renesansowego pieca (na Śląsku nie zachował się żaden oryginał). Pierwsza powstała jako kopia pieca z 1543 roku stojącego w ryckim zameczku w czeskim miasteczku Urchabi. Mieszkający tam rycerz wydał swoje

córki za poddanych brzeskiego księcia Fryderyka II, dlatego też na czeskim piecu widać herb brzeskiego księcia oraz jego dewizę: „Słowa Pańskie pozostaną na wieczność”. Tamta replika ma 1397 detali, jest wysoka na 4,2 metra a waży prawie tonę. Nowy piec będzie nieco mniejszy, ma mieć 3,85 metra.

Nie tylko Nosferatu

Pierwszy Studencki Przegląd Filmu Niemego odbył się na początku marca w Opolu. W roli organizatorów wystąpili: Koło Filmoznawców Uniwersytetu Opolskiego, Młodzieżowy Dom Kultury w Opolu, kino „Kraków” oraz Jugend-Forum-Młodych, afiliowana przy mniejszości niemieckiej organizacja zajmująca się aktywizacją śląskiej młodzieży.

Ta pozornie niszowa impreza spotkała się z bardzo żywym odzewem miłośników kina. Pokazane w MDK i „Krakowie” arcydzieła niemieckiego ekspresjonizmu z „Gabinetem doktora Caligari” Roberta Wiene, „Golem” Paula Wegenera oraz „Portierem z Hotelu Atlantic”, „Faustem” i „Nosferatu” Friedricha Wilhelma Murnaua ściągnęła pokąźną liczbę widzów. Dodatkową atrakcją było to, że niemym filmom towarzyszyła muzyka wykonywana na żywo.

Spór o księgę

Po pół wieku odnalazł się bezcenny średniowieczny rękopis „Księgi praw miejskich Głubczyc” z XV wieku. Zaginął w roku 1945, w marcu okazało się, że ma go w swoich zbiorach milionerka Barbara Piasecka-Johnson. Chciała go wystawić na charytatywną aukcję, ale dała się przekonać o konieczności przekazania rękopisu polskim instytucjom kultury (nie za darmo, mówiło się o kwocie 450 tysięcy złotych).

O księgę starają się teraz Biblioteka Narodowa w Warszawie, Archiwum Państwowe w Opolu oraz władze miejskie i powiatowe Głubczyc, które chciałyby umieścić zabytek w miejscowym muzeum. Czas pokaże, czy do Głubczyc wróci oryginał, czy — jak proponuje Biblioteka Narodowa — jedynie kopia księgi.

Jednym zdaniem

■ Galeria Muzeum Śląska Opolskiego przy ul. Ozimskiej w Opolu przygotowała „kalendarz przegląd twórczości” Leona Tarasewicza.

■ W galerii Aneks działającej przy opolskiej Galerii Sztuki Współczesnej otwarto wystawę „Black”, obejmującą fotografie ks. Piotra Maniurki, na co dzień dyrektora Muzeum Diecezjalnego.

■ „Pchła szachrajka” Jana Brzechwy w reżyserii Krystiana Kobylki to najnowsza premiera na deskach Opolskiego Teatru Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki.

■ Opolski zespół Paprika Korps rozpoczął największe w swojej historii tournée — da 21 koncertów, w tym 13 w kraju, dwa w Chorwa-

cji, cztery w Niemczech oraz po jednym w Czechach i Słowenii.

■ Tegoroczną edycję Konkursu im. Wojciecha Wawrzynka na najlepszą pracę magisterską na temat Śląska otrzymał Łukasz Kuś z Uniwersytetu Opolskiego za pracę „Paweł Kwoczek (1904-1975) — adwokat i działacz społeczny”.

■ Grzegorz Waluś, wokalista formacji Shau Palatshy Hashyshu, zdobył pierwsze miejsce na tegorocznej, 12. już edycji opolskiej Zimowej Giełdy Piosenki.

■ W holu Filharmonii Opolskiej pokazano prace Bartosza Żurakowskiego, studenta V roku Instytutu Sztuk Pięknych w Lublinie (autor ma już za sobą siedem indywidualnych i dwanaście zbiorowych wystaw).

„Beskid Śląski” 80-letni

Złotymi Krzyżami Zasługi, przyznanymi przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego, odznaczył w sobotę 23 lutego br. konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis Bronisława Mencnera - pierwszego prezesa PTTS „Beskid Śląski” po jego reaktywacji w roku 1991, oraz członka zarządu tej organizacji - Jana Milerskiego. Srebrnymi Krzyżami Zasługi zostali udekorowani prezes „Beskidu” w latach 1992-2001 Franciszka Chocholąg oraz wiceprezes Bronisław Schulhauser.

Członkowie (wśród nich również piątka jeszcze z czasów międzywojennych) i sympatycy „Beskidu” spotkali się w sobotnie popołudnie w dolnoślązańskim Domu PZKO na akademii jubileuszowej z okazji 80-lecia działalności i 10-lecia reaktywacji. Nie zabrakło licznych gości - oprócz konsula M. Masiulanisa i konsula ds. Polonii Małgorzaty Filipiek byli wśród nich m.in. przedstawiciele zaprzyjaźnionego Cieszyńskiego Oddziału PTTK z prezesem Ryszardem Mazurem, wiceprezes ZG PZKO Tadeusz Szklarczyk, członkini Rady Polaków Elżbieta Stróżyk, prezes ZG Macierzy Szkolnej Jan Branny, szef Kancelarii Kongresu Polaków Marek Słowiaczek, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Goralskiego Święta (z którym „Beskid” współpracuje przy organizowaniu „Rajdu o kypce Macieja”) - Bogusław Słowiaczek...

Rozpoczęły się sobotnie uroczystości od wernisażu wystawy jubileuszowej, przygotowanej przez J. Milerskiego oraz Tadeusza i B. Schulhauserów przy współpracy z Kancelarią i Ośrodkiem Dokumentacji Kongresu Polaków. Zaprezentowano na niej nie tylko zdjęcia i dokumenty związane z historią jubilatów, ale również mapy, kroniki, odznaczenia czy uratowaną po pożarze schroniska na Kozubowej granitową tablicę poświęconą pierwszemu prezesowi „Beskidu”, Władysławowi Wójcikowi.

Akademia rozpoczęła się od krótkiego programu w wykonaniu działającego przy bystrzyckiej PSP im. S. Hadyny zespołu folklorystycznego „Łączka”. Po wspólnym odśpiewaniu „Rory” zabrał głos obecny prezes zarządu Tadeusz Stec. W swoim ciekawym przemówieniu przypominał, że „Beskid” jest spadkobiercą założonego w roku 1910 Polskiego Towarzystwa Turystycznego „Beskid” w Księstwie Cieszyńskim, wspominał najbardziej zasłużonych dla ruchu turystycznego działaczy, m.in. W. Wójcika, Gustawa Zielińskiego, Jana Pytlika, Karolów Polaka i Pięćkę, Gustawa Zuczka... T. Stec mówił nie tylko o 80-letniej historii „Beskidu”, ale również o czasach współczesnych, o współpracy z polskimi oddziałami turystycznymi czy Kongresem Polaków, organizowanych regularnie wycieczkach...

Po wystąpieniach gości, w trakcie których m.in. sąsiedzi zza Olzy przekazali „Beskidowi” przyznany przez Macierz Ziemi Cieszyńskiej Medal Pawła Stalmacha i puchar okolicznościowy ufundowany przez burmistrza Cieszyńska Bogdana Fickę, przyszła kolej na odznaczenia i dyplomy dla najbardziej zasłużonych „beskidowców”. Dwudziestce przedwojennych członków organizacji zarząd „Beskidu” przyznał dyplomy „za zasługi dla rozwoju sportu i turystyki na Zaolziu”, dyplomy „za zasługi dla BS” otrzymali Karol Klus i Stanisław Walaski, publikacje „Olza” z dedykacją zaś Olga Heczakowa i Mirosław Chocholąg. Zarząd przyznał też Medale BS za Zasługi sześciu osobom najbardziej zasłużonym w reaktywacji „Beskidu”: Emilii Macurowej, Elżbiecie Wantulokowej, Tadeuszowi Stecowi, Janowi Heczce, Franciszkowi Ślusciakowi i Ewaldowi Witale.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

„Srebrne Spinki” dla Z. Siwka

Przedstawiciele zaolziańskich środowisk twórczych spotkali się 5 lutego w siedzibie Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, by po raz kolejny wziąć udział w uroczystości przyznania nagrody „Srebrnych Spinek”. W tym roku laureatem nagrody, która od roku 1993 (jej pierwszym laureatem był pisarz Władysław Sikora) jest dowodem uznania dokonani artystycznych i zasług w promocji kultury polskiej w naszym regionie, został muzyk i kompozytor Zbigniew Siwek z Cz. Cieszyńska.

Jak powiedział w trakcie uroczystości konsul generalny RP Marek Masiulanis, „Srebrne Spinki” przyznała kapituła tej nagrody (w tym roku spotkali się w Ostrawie 5 lutego Władysław Bilko, Leszek Kalina, Zbyszek Kubiczka, Rudolf Molinski i Jacek Sikora) - za pełną akceptację Konsulatu - Z. Siwki - za krzewienie i umiowanie muzyki oraz wspieranie i niezapomniane kompozycje wywodzące się z Ziemi Cieszyńskiej”.

Z. Siwek jest absolwentem Konserwatorium im. Leoša Janáčka w Ostrawie i nauczycielem muzyki (w klasie gitary) czeskosłowackiej Podstawowej Szkoły Muzycznej im. Pawła Kality. Doskonale zna go przede wszystkim sympatycy Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego jako autora muzyki do wielu jej spektakli. Laureat tegorocznych „Srebrnych Spinek” rozpoczął swoją przygodę z teatrem na początku lat 80., kiedy to napisał muzykę do sztuki Janusza Klimszy „Mora” (grał ją zespół teatralny „IKRA” założony przez uczestników pezetkaowskich internatowych kursów reżysera i aktora). Później był autorem muzyki do reżyserowanych przez Klimszę sztuk: „Przednówek” wg Pawła Kubisa, „Czarna Julka” wg Gustawa Morcinka (zdobyła 1. nagrodę na V Festiwalu Teatralnym „Na granicy”) i wielu innych. Współpracował też z wielu innymi reżyserami, m.in. w Scenie Czeskiej TC czy TL „Bajka”, w teatrach w Ostrawie i w Polsce. Prawie że od początku związany jest z literacką „Kawiarnią AVION, której nie ma...” Renaty Putzlacher, gdzie skomponował muzykę do większości „avionowskich” piosenek, jest też współautorem płyty „Lamus”. Zagrał m.in. w filmie Milana Cieslara „Lebensborn - Źródło życia”, a jego muzyka zabrzmiała ponadto w filmie „Tęśńska jabłeczka” tegoż reżysera...

Obchody na wielką skalę

Drugie z kolei spotkanie komitetu organizacyjnego obchodów 70. rocznicy tragicznej śmierci polskich lotników Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury przebiegło 21 lutego w lokalach

Jednym zdaniem

■ W trzynieckiej 2. PSP odbyła się 6. już edycja konkursu „Enjoy Your English”, w której wzięło udział 57 młodych anglistów z 36 zaolziańskich polskich i czeskich szkół.

■ Chór czeskosłowackiego Polskiego Gimnazjum „Collegium Iuvenum” zakwalifikował się do finału XXII Ogólnopolskiego Konkursu Chórów a Capella Dzieci i Młodzieży. Wojewódzkie eliminacje odbyły się 23 lutego w Katowicach-Szopienicach.

■ Po długiej przerwie powrócił do czeskosłowackiego Ośrodka Kultury „Strzelnica” muzyka jazzowa. Bohaterem pierwszego „Piątku Jazzowego” - 1 marca - był słowacki wokalista Peter Lipa.

■ O przygotowaniach do jubileuszu 25-lecia rozmawiali 28 lutego na swoim spotkaniu członkowie kierownictwa Harcerskiego Kręgu Seniora „Zaolzie”. Krąg liczy ponad 50 członków, jego prezesem jest Władysław Szebel.

■ W ostrawskiej galerii „Mlejn” otwarto niecodzienną polsko-czeską wystawę - zaprezentowali na niej swe dzieła artyści, tworzący swoje dzieła wyłącznie przy pomocy ust i stóp.

Domu Polskiego na Kościelcu. W obradach uczestniczyli oprócz przedstawicieli MK PZKO również konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis i konsul Małgorzata Filipiek oraz przedstawiciele krakowskiego oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, nie zabrakło reprezentantów władz gminnych, Aeroklubu w Bielsku-Białej, ZG PZKO, Kongresu Polaków oraz innych organizacji i instytucji biorących już tradycyjnie udział w tutejszych obchodach.

Jak powiedział kierownik Ośrodka Dokumentacji Kongresu Józef Szymeczka, placówka ta przygotowuje na jesień rocznicę wydanie jednodniówki, w której pojawią się informacje i zdjęcia historyczne, ale także dane o dniu dzisiejszym w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury. Oprócz tego Kongres opracował też wniosek o grant na działania związane z obchodami. Został on wystosowany do czeskiego ministerstwa szkolnictwa.

Z ciekawą inicjatywą wystąpił przedstawiciel ZG PZKO. Wystosowali oni do Ministerstwa Infrastruktury RP, a konkretnie do wiceministra ds. łączności, list z prośbą o reprint znaczka okolicznościowego oraz wydanie tzw. „całostki pocztowej”. Chodzi o specjalną kartę pocztową i kopertę z okolicznościowymi nadrukami. „Jest już trochę późno, bo decyzje o takich wydawnictwach Poczta Polska podejmuje z dużym wyprzedzeniem, jestem jednak dobrej myśli i wierzę, że uda nam się do tego pomysłu przekonać kompetentne osoby” - stwierdził prezes PZKO Zygmunt Stopa. „Mamy też zamiar poprosić organizatorów Cierlickiego Lata Filmowego, które w tym roku przebiega tydzień przed uroczystościami na Żwirkowisku, by rozważyli możliwość zaprezentowania w trakcie CielFa-u filmu z tematyką lotniczą”.

Ostatnie posiedzenie Rady Polaków

Przygotowania Zgromadzenia Ogólnego (ZO) Kongresu Polaków zdominowały ostatnie w tej kadencji zebranie Rady Polaków. W programie posiedzenia znalazły się jednak również sprawy bieżące - wiele uwagi poświęcono m. in. wydawaniu „Głosu Ludu”.

Członkowie Rady zapoznali się z ostateczną wersją tegorocznego budżetu gazety - w postaci, która została już zaakceptowana przez dotychczasowców, podjęli też decyzję o wystosowaniu do Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Warszawie prośby o pomoc finansową na zakup sprzętu komputerowego dla redakcji „GL”.

Jednym z zaplanowanych punktów obrad było też omówienie wniosku umowy o współdziałaniu Kongresu z PZKO, ponieważ jednak członkowie Rady nie mieli do dyspozycji proponowanego przez ZG PZKO brzmienia tego dokumentu, podjęto tylko decyzję o kontynuacji rozmów w tej sprawie.

W ramach przygotowań do ZO uchwalono brzmienie dokumentów, które będą do dyspozycji delegatów. Rada Polaków postanowiła też, że część obrad ZO przebiegnie tradycyjnie w grupach roboczych. Miałoby to być cztery grupy: praw mniejszości; szkolnictwa, młodzieży i oświaty; kultury i środków masowego przekazu oraz ekonomii i zarządzania. W tej ostatniej przewidziano m.in. omówienie funkcjonowania Wydawnictwa „Olza”.

■ W galerii Teatru Cieszyńskiego można od 10 marca zwiedzać przygotowaną przez Muzeum w Sosnowcu wystawę poświęconą 100. rocznicy urodzin znakomitego polskiego tenora, Jana Kiep.

■ Scena Polska przygotowywała się w marcu do premiery „Balladyny” Juliusza Słowackiego. Reżyserem sztuki jest Marek Mokrowiecki z Teatru im. J. Szaniawskiego w Plocku.

■ Z inicjatywy Kongresu Polaków pokazała się w języku czeskim książka Tadeusza Siwka, Stanisława Zahradnika i Józefa Szymeczki „Polska mniejszość narodowa w Czechosłowacji 1945-1954”. Książka trafi do wszystkich szkół okręgu morawsko-śląskiego.

■ Dolnoślązcy PZKO-owcy wystawili jednokółkę Władysława Niedoby „Babski raj”.

■ Dyrekcja Polskiego Gimnazjum zorganizowała „Dzień bohemistyki!” w trakcie którego uczniowie mogli m.in. wysłuchać wykładu doc. Ireny Bogocz z Uniwersytetu Ostrawskiego i spotkać się z poetą Bogdanem Trojakiem.

- W 1997 roku zamknięto ponad 14 hektarowe składowisko odpadów komunalnych istniejące w jednej z dzielnic Katowic - Bogucicach. W połowie 1998 roku rozpoczęto realizowanie programu naprawczego wysypiska. Dlaczego tak istotne było jego zrealizowanie?

- W związku ze szkodliwym wpływem na środowisko Państwowy Inspektorat Sanitarny w 1997 roku nakazał zamknięcie wysypiska istniejącego w rejonie ulic Cedrowej - Leopolda w Katowicach. Nałożył także karę w wysokości 32 mln zł na Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i jednocześnie zobowiązał je do rekultywacji tego terenu. Kara została zawieszona do czasu wykonania rekultywacji, która musiała zostać całkowicie zrealizowana do połowy roku 2002. MPGK od razu przystąpiło do realizacji programu naprawczego. Opracowano stosowną dokumentację i przystąpiono do pierwszych prac.

- Program rekultywacji obejmował kilka etapów. Na czym one polegały i który z nich był najważniejszy?

- Program obejmował trzy etapy. Pierwszy - ukształtowanie bryły składowiska odpadów. Drugi - pokrycie całego wysypiska warstwą inertną. W tym celu wykorzystano odpady pokopalniane czyli kamień węglowy. Następnie całość pokryto warstwą humusu. Najważniejszy był trzeci etap - odgazowanie wysypiska. W 1999 roku MPGK zawarło umowę z firmą Hedeselskabet z Danii na wykonanie stosownej dokumentacji i odgazowania wysypiska. Na wysypisku wywiercono ok. 40 otworów zakończonych studzienkami, z których wydobywa się biogaz i rurociągami wykonanymi z tworzyw sztucznych doprowadzany jest do kontenera, w którym zostaje oczyszczony. Stąd jednym rurociągiem przekazany jest do Zakładu Przeróbki Gazu, znajdującego się 500 m od wysypiska. Za pomocą odpowiednich urządzeń gaz zostaje zamieniony na energię elektryczną i ciepłą. Energia elektryczna produkowana w Zakładzie sprzedawana jest do Górnośląskiego Zakładu Elektroenergetycznego w Gliwicach, zaś energia ciepła do Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej w Katowicach.

- Program rekultywacji wysypiska, był bardzo kosztowny. Z jakich funduszy został on sfinansowany?

- Koszt urządzeń i całych działań odgazowania terenu wysypiska wyniósł ok. 8 mln złotych. Nie zostały nim jed-

nak obciążony budżet gminy, a budżet MPGK zaledwie w niewielkim stopniu. Inwestycja została prawie w całości sfinansowana ze środków Funduszu Miljo Sam, funduszu inwestycyjnego czterech funduszy emerytalnych i firmy Hedeselskabet oraz Funduszu Inwestycyjnego dla Europy Środkowej i Wschodniej Rządu Duńskiego.

- Jakie są zalety zielonej energii uzyskiwanej w wyniku zamiany gazu w energię elektryczną i ciepłą?

- Po pierwsze przez najbliższe 20 lat będziemy uzyskiwali niekonwencjonalną, bezobsługową metodą, tanią energię elektryczną i ciepłą. Dzienna produkcja energii elektrycznej uzyskiwanej z biogazu pokrywa zapotrzebowanie 2000 gospodarstw domowych, a ciepłej 400. Po drugie w efekcie wykonanych prac i zainstalowanych urządzeń mamy zrehabilitowane wysypisko. Zyskuje na tym zarówno środowisko, jak i MPGK. Wykonane na terenie wysypiska prace są podstawą do anulowania kary nałożonej na MPGK. Do atmosfery natomiast nie są emitowane szkodliwe biogazy, a ich odprowadzanie za pomocą studzienek przyspiesza odga-

zowanie terenu w stosunku do procesu, który zachodziłby samoistnie. Równocześnie przyspiesza możliwość użytkowania tego terenu po całkowitym odgazowaniu.

- W Katowicach mieszka przeszło 400 tys. mieszkańców i każdy z nich produkuje śmieci. Ile ton rocznie odpadów wywozi się na wysypiska i gdzie są one obecnie składowane?

- Rocznie z Katowic wywozi się ok. 140 tys. ton odpadów komunalnych. Odpady organiczne trafiają do kompostowni przy ulicy Miłowickiej w Dąbrowce Małej, tam segregowane są na te, które nadają się na kompost i te które się nie rozkładają, tzw. positowe. Odpady positowe wywożone są na składowisko przy ulicy Zwirów. Wszystkie pozostałe odpady wywożone są na wysypiska poza teren miasta: do Pyskowic, Siemianowic i innych okolicznych miast.

- Problem odpadów komunalnych jest dziś problemem globalnym. Na całym świecie wprowadza się segregację śmieci i ich powtórne wykorzystanie w drodze recyklingu. Jak ta kwestia wygląda na terenie Katowic i w jaki sposób wykorzystywane są surowce uzyskiwane w drodze segregacji odpadów?

- Od 1992 roku w Katowicach prowadzona jest selektywna zbiórka odpadów. Obecnie na terenie Katowic rozlokowanych jest 1200 pojemników do prowadzenia selektywnej zbiórki. Równocześnie objęto 2000 posesji tzw. systemem workowym. Do posesji domków jednorodzinnych rozdawane są bezpłatnie worki w różnych kolorach. Każdy kolor przeznaczony jest dla innego rodzaju odpadów. I ten system daje najlepsze efekty. Odpady ze zbiórki selektywnej trafiają do sortowni, która znajduje się na terenie kompostowni. Tam następuje właściwa selekcja. Rocznie w drodze zbiórki selektywnej gromadzi się ok. 1200 ton odpadów. Niestety jedynie 180 ton udaje się sprzedać do przeróbki wtórnej. Reszta składowana jest na terenie kompostowni. W ubiegłym roku weszły w życie trzy ustawy: o ochronie środowiska, o odpadach i odpadach opakowaniowych, mające na celu zmniejszenie produkcji śmieci i większą możliwość ich powtórnego wykorzystania. Mamy nadzieję, że to przyniesie dodatkowe efekty.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
AGNIESZKA
JASZKANIEC



Rozmowa z wiceprezydentem Katowic
JÓZEFEM KOCURKIEM

Zielona energia



Hałda po wysypisku w wiosennej zieleni. W przyszłości wyrosną tu drzewa.



**Miejskie Przedsiębiorstwo
Gospodarki Komunalnej Sp. z o.o.,
ul. Obroki 140, 40-833 Katowice**

tel. centrala: (032) 254-40-86;
Prezes: (032) 254-08-53;
fax (032) 254-25-44.

MPGK Katowice Sp. z o.o.

W służbie miasta i społeczeństwa Katowic



Oferujemy kompleksowe usługi w zakresie:

- * 24-godzinnego SERWISU urządzeń teletransmisyjnych
- * 24-godzinnego SERWISU dostępowych urządzeń radiowych oraz światłowodowych
- * montażu i uruchomienia urządzeń teletransmisyjnych i komutacyjnych
- * montażu i uruchomienia dostępowych urządzeń radiowych oraz światłowodowych
- * prac związanych z budową sieci teletechnicznych wszystkich standardów
- * prac związanych z budową stacji bazowych dla operatorów sieci komórkowych.

351674

III



PUHT „TELEKROS” Sp. z o.o.

ul. Sportowa 27

41-608 Świętochłowice

tel./fax (32) 2450888, ISDN (32) 3451998

e-mail: telekros@telekros.com.pl

www.telekros.com.pl